

MARCIN CISZEWSKI

MAJOR

W roku dwa tysiące siódmym rząd polski podjął decyzję o znaczącym zwiększeniu udziału w wojnie - oficjalnie zwanej misją stabilizacyjną - w Afganistanie. W wyniku długich dyskusji podjęto decyzję o utworzeniu uderzeniowego oddziału Wojska Polskiego w sile wzmocnionego batalionu, przeznaczonego do walki z talibami na południu tego pięknego, surowego kraju.

Rozkazem ministra obrony narodowej jednostka o niezbyt oddającej istotę rzeczy nazwie: Pierwszy Samodzielny Batalion Rozpoznawczy, została sformowana w oparciu o zasoby stacjonujące w południowo-zachodniej Polsce Piątej Brygady Pancernej, dowodzonej przez energicznego i kompetentnego generała brygady Lucjana Dreszera. Batalion liczył pięciuset starannie wyselekcjonowanych żołnierzy, samych ochotników. Zadbano o to, aby wyposażać oddział w możliwie najnowocześniejszy sprzęt, względnie sprzęt starszy, ale zmodernizowany przy użyciu najnowszych wojskowych technologii, szczerze przekazywanych przez amerykańskich sojuszników, którym bardzo zależało na stworzeniu szerokiej antytalibskiej koalicji. Na czele batalionu stanął, ku swemu zaskoczeniu, świeżo upieczony podpułkownik Jerzy Grobicki.

Wysiłki Amerykanów nie ograniczyły się do podarowania pewnej ilości sprzętu i wyposażenia. Przesłali do Polski także niewielki oddział wojska dowodzony przez kapitan Nancy Sanchez. Oddział ów złożony był z trzydziestu ludzi - dwunastu marines ochrony oraz osiemnastu najwyższej klasy specjalistów: informatyków, elektroników, inżynierów nuklearnych, speców od łączności. Rychło okazało się, że Sanchez jest bardzo dobrą znajomą Grobickiego, co zresztą nie pozostało bez wpływu na zachowanie i decyzje podejmowane przez nich oboje. Ale nie to okazało się najważniejsze.

Najistotniejszym elementem amerykańskiego wsparcia było najnowsze dziecko zaawansowanych technologii Pentagonu, system obrony o nazwie Mobile Defence System, MDS. Maszyneria ta zdolna była do wytworzenia mocarnego pola siłowego, rodzaju tarczy chroniącej ukryty pod nią oddział przed wszelkiego rodzaju fizycznymi zagrożeniami - ataku nuklearnego nie wyłączając. Co więcej, komputer sterujący polem siłowym napędzanym przez kieszonkowy reaktor atomowy był w stanie również łamać barierę czasu i dokonywać pewnych - ograniczonych co prawda - skoków w przeszłość. W zamierzeniach pomysłodawców technologia ta pomyślana była jako niezwykle atrybut dowódcy jednostki chronionej polem siłowym, dający możliwość korygowania błędów na polu bitwy. Projektanci wyszli z założenia, że cofnięcie się w czasie oddziału, który wpadł w tarapaty, na przykład o godzinę lub dwie, pozwoli odwrócić łańcuch wydarzeń i uniknąć popełnionego błędu przy drugim rozdaniu.

Wydawało się, że spełnił się odwieczny sen o władzy nad rzeczywistością.

Konstruktorzy MDS-a przeanalizowali setki rozmaitych bitewnych scenariuszy, nauczyli komputer reagować na tysiące możliwych kombinacji zdarzeń, Uczynili MDS-a i kierujących nim ludzi niemal wszechwładnymi. Nie wzięli pod uwagę jednego, jak się okazało, decydującego czynnika: przedsiębiorczości i niepokromionej fantazji polskich sojuszników. Generał Lucjan Dreszer, dowódca Piątej Brygady Pancernej, miał własny, autorski pomysł na wykorzystanie możliwości futurystycznej technologii. Generał, wybitny taktik, znawca historii wojskowości w ogóle, a historii Polski w szczególności, od dawna owładnięty był ideą zrewidowania i naprawienia tragicznych losów Rzeczypospolitej. W jednej chwili zorientował się, że trafia mu się okazja, o jakiej zawsze marzył i jakiej nikt nigdy nie miał cofnąć się w czasie, będąc wyposażonym we współczesną wiedzę i technologię wojskową, osiągnąć punkt kluczowy, którego zmiana pozwoli na skierowanie biegu historii w pożądanym kierunku.

Plan działania powstał szybko. Dreszer zwerbował do pomocy dwóch bezwzględnych i zdecydowanych na wszystko ludzi i zlecił im skonstruowanie wirusa umożliwiającego objęcie władzy nad systemem. Nim Amerykanie przekroczyli próg jednostki wszystko było gotowe. Korzystając ze swoich szerokich uprawnień, generał dostał się do MDS-a i wpuścił wirusa do głównego komputera, starannie zacierając ślady tej operacji. Wirus zmienił oprogramowanie sterujące. W trakcie pierwszego testu pola siłowego, przeprowadzanego na poligonie pod Olesnem, uaktywnił się, po czym wysłał Pierwszy Samodzielny Batalion Rozpoznawczy wraz z pokaźnym zapasem amunicji, paliwa i części zamiennych w podróż zakończoną dnia pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Był piątek, parę minut po siedemnastej. Oddział wylądował niemal na plecach niemieckiej 4 Dywizji Pancernej i z miejsca został zaatakowany przez pluton żandarmerii polowej tejże dywizji. Żołnierze batalionu nie mieli ani możliwości, ani czasu na przeprowadzenie szczegółowej analizy położenia, a także rozważań co do celowości i chęci ingerencji w historię znaną z podręczników. Po prostu odparli atak, po czym, pchani siłą rozpędu i silną wolą Grobickiego, zaatakowali sami. Efektem było zniszczenie nie tylko 4 Dywizji Pancernej, ale i reszty XVI Korpusu Pancernego dowodzonego przez generała Ericha Hoepnera, a także zadanie bardzo poważnych strat idącemu w sukurs XIV Korpusowi. Natarcie niemieckie na froncie zachodnim zostało w znacznej mierze zahamowane.

Jednak sama przewaga techniczna to nie wszystko. Na wojnie ogromną rolę odgrywa przypadek i zwykłe szczęście - lub jego brak. Trzeci dzień września okazał się dla batalionu niezwykle pechowy. Jedna przypadkowo zrzucona z niemieckiego samolotu bomba obróciła wniwecz zamierzenia dowódcy o rozebraniu tego pokera z historią znaczonymi kartami wyciągniętymi z własnej kieszeni. Dwustukilogramowa skorupa wypchana materiałem wybuchowym, ostatni akord wielkiego, z sukcesem zresztą odpartego nalotu Luftwaffe, trafiła w MDS-a, w znacznym stopniu go uszkadzając i czyniąc niezdatnym do użytku, oraz ciężko raniła dowódcę batalionu. Powrót do roku dwa tysiące siódmego, choć jeszcze półgodziny wcześniej wydawał się na wyciągnięcie ręki, stał się niemożliwy. Najstarszy stopniem oficer walczył ze śmiercią. Zapasy batalionu, jakkolwiek znaczne, wyczerpywały się szybko. Zdania co do dalszego postępowania były podzielone zarówno wśród oficerów, jak i żołnierzy. Większość Amerykanów nie przejawiała ochoty do walki. W tej sytuacji batalion, wyczerpawszy swoje możliwości ofensywne, uległ rozwiązaniu. Część żołnierzy, w tym niemal wszyscy Amerykanie, ranny dowódca i kilku oficerów, via Węgry i Rumunia rozjechała się po świecie. Reszta, w sile dwustu pięćdziesięciu ludzi, nad którymi objął dowództwo dziarski artylerzysta kapitan Wójcik, ukrywający pozostałości ciężkiego sprzętu w Górach Świętokrzyskich, udała się do Warszawy i w końcowej fazie wojny wzięła udział w jej obronie.

Kampania jesienna, pomimo poniesienia przez Wehrmacht znaczących strat, została przez stronę polską przegrana. Wojska sowieckie na początku października wkroczyły na terytorium Rzeczypospolitej, wypełniając wobec Niemców sojusznicze zobowiązania.

Warszawa skapitulowała pod koniec listopada. W przeddzień kapitulacji, trafiony niemal ostatnią kulą wystrzeloną przed zawieszeniem broni zginął kapitan Wójcik.

Decyzją pozostałych na placu boju oficerów batalionu, nowym dowódcą jednostki został komandos, dowódca plutonu GROM, porucznik Janusz Wojtyński.

PROLOG

17 KWIETNIA 1940 ROKU

Choć śnieg zalegał jeszcze wielkim płatami, w lesie czuło się wiosnę.

To nie były wyraźne objawy, ot, jakiś ciepły powiew, nieśmiały ptasi tręł, pierwszy pączek budzący się do życia. Moment, w którym chce się oddychać pełną piersią, zaczerpnąć żywicznego aromatu, aż zabolą płuca i zakołuje się w głowie. Moment, w którym chce się żyć. Zwłaszcza w takim dniu jak dzisiejszy.

Rozklekotany autobus z oknami pobielonymi wapnem kołysał się na nierównościach dziurawej polnej drogi. Jechał niespiesznie, pewny kierunku i celu. Dwadzieścia metrów za nim podążał następny, równie zdezelowany wehikuł. Nawet najmniejszy podmuch wiatru nie mącił martwej ciszy. Dostojny sosnowy las zastygł w pełnym zadumy oczekiwaniu, jakby przeczuwając nadciągające wydarzenia.

Starszy major bezpieczeństwa państwowego Piotr Nikołajewicz Bieriezuchin niecierpliwił się. Stał nieopodal głębokich, rozległych dołów wykopanych w nocy przez koparkę i coraz częściej spoglądał na zegarek. Autobusy miały się pojawić prawie dwadzieścia minut temu.

Major wiedział, że przedsięwzięcie, którego miał za chwilę stać się świadkiem, nie jest łatwe ani od strony logistycznej, organizacyjnej, ani pod kątem, by tak rzec, zasobów ludzkich. Po to jednak miejscowych czekistów wspomagają specjalnie przysłani z Moskwy najlepsi ludzie, aby on, w końcu najstarszy stopniem z całej tej lekko pijanej i zdenerwowanej gromady funkcjonariuszy, nie musiał marznąć któryś z rzędu kwadrans, skazany na towarzystwo niezbyt rozgarniętego starszego lejtnanta Zajcewa.

W końcu autobusy, poprzedzone zgrzytliwym warkotem, pojawiły się u wylotu leśnej drogi. Niespiesznie dotarły na miejsce i stanęły może o piętnaście metrów od wykopu. Po dłuższej chwili drzwi pierwszego otworzyły się. Wskoczyło z nich kilkunastu czekistów, z których część uzbrojona była w karabiny z nasadzonymi na lufy bagnetami, po nich oficer, a na końcu dwie kobiety ubrane w zielone mundury wojsk konwojowych NKWD. Widok tych ostatnich nieco majora zdziwił. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że niedawno słyszał plotki - jak w każdym wyższym dowództwie część czasu spędzało się na kolportowaniu i omawianiu rozmaitych oficjalnych i nieoficjalnych wieści - że w niektórych komendach NKWD zatrudnia się kobiety. Ambitne, uświadomione klasowo, prawdziwe, oddane sprawie komunistki. Za towarzysza Stalina i Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich gotowe skoczyć w ogień.

Kobiety wyjęły z mapników tekturowe podkładki, długopisy oraz kartki papieru zapisane równym, maszynowym pismem. Kierowane jakby jedną komendą wygładziły płaszcze, przemaszerowały kilka kroków, stanęły na skraju wykopu i równocześnie spojrzały na pozostałych członków ekipy.

Funkcjonariuszka stojąca bliżej majora była olbrzymia. Patrzysz z przodu - może nawet i niebrzydka. Z tyłu - piec martenowski. Błyszczące oficerki z trudem opinały potężne łydki. Wypchnięty gigantycznymi krągłościami mundur sprawiał wrażenie, jakby przy gwałtowniejszym ruchu miał popękać wzdłuż i wszerz. Błękitne oczy spoglądały lodowato, wąska kreska ust była jak zasznurowana.

Stojąca dalej kobieta, dziewczyna właściwie, szczupłutka, niezbyt wysokiego wzrostu, została przez los obdarzona, o ile major był w stanie dostrzec z tej odległości, figurą zdecydowanie lepszą od gargantuicznej koleżanki. Spod furazerki wysmykiwał się kosmyk jasnych włosów, poprawianych co chwila niecierpliwą ręką. Dziewczyna uśmiechała się niepewnie, rozglądając ciekawie na boki.

Oficer dał znak i zaczęło się. Dwóch czekistów otworzyło drzwi pierwszego autobusu i wskoczyło do środka. Coś się tam zakotłowało, ktoś krzyknął chrapliwie, pojazd zakołował się. Po chwili w drzwiach ukazali się

zdyszani czekał ci ciągnący za wykręcone ręce człowieka ubranego w polski oficerski mundur i długi wojskowy płaszcz. Cała trójka niezdarnie zeskoczyła na ziemię. Gdy jeniec znalazł się na skraju wykopu, nosem niemal dotykał kolan. Kobieta-piec zaznaczyła coś na liście. Od tyłu podszedł trzeci funkcjonariusz, płynnym ruchem podniósł pistolet i strzelił skazańcowi w kark. Trzask wystrzału odbił się od drzew wątłym echem i zniknął w głębi lasu. Kula wyszła oczodołem, oficer wpadł do wykopu.

Droga od autobusu do śmierci zajęła jeńcowi najwyżej dziesięć sekund.

- Tak trzeba strzelać - instruował grupę wyselekcjonowanych funkcjonariuszy NKWD podczas niedawnej, specjalnej narady słynny Wasia Błochin, najbardziej doświadczony egzekutor na terenie Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich.

Bieriezuchin miał okazję uczestniczyć w tym spotkaniu. Zapamiętał niemal wszystko, słowo po słowie:

- Jak strzelisz w głowę od tyłu, kula przebijie mózg i wyjdzie czołem, a krwi będzie tyle, że się utopić można. Zastrzelisz dziesięciu, musisz wskoczyć do dołu i ułożyć, bo równo nie spadają. A jak krwi będzie dużo, oficerki uwalasz, że potem nie doczyścisz. I zapadać się będziesz. Ale jeżeli strzelisz w kark, pomiędzy kręgi szczytowy i obrotowy kręgosłupa szyjnego, ot tak - zademonstrował na poblady z wrażenia młodszym lejtnancie, którego sekundę wcześniej szarpnięciem postawił na nogi - kula wyjdzie oczodołem i polecą do góry, w las, a krwi będzie tyle co nic. Zaoszczędzisz nerwów i czasu.

Wszyscy kiwali głowami z przejęciem. Fachowiec ten Wasia, bez dwóch zdań. Wie, co mówi.

Funkcjonariusze zarówno przy pierwszym, jak i drugim stanowisku zapamiętali tę lekcję. Strzelali płynnie, fachowo, bez konieczności poprawki. Pomocnicy stojący o pół kroku za egzekutorami sprawnie wymieniali magazynki w podawanych przez ramię pistoletach i oddawali kolegom zapasowe, naładowane.

Wyprowadzani wprost w wiosenne słońce oficerowie nie mieli już jakichkolwiek złudzeń i zdawali sobie sprawę, co ich czeka. Siedząc w coraz bardziej opustoszałych autobusach, strzały słyszeli przecież doskonale. Wielu z nich jeszcze przed półgodziną miało nadzieję, że transport - w ciągu ostatniego półrocza nie pierwszy przecież - może oznaczać po prostu zmianę lokalizacji obozu. Ci nastawieni najbardziej optymistycznie liczyli wręcz na powrót do domu.

Konfrontacja z rzeczywistością wywołała szok. Większość pogodziła się z losem, niektórzy jednak za wszelką cenę starali się opóźnić moment, w którym zapada wieczna ciemność. Szarpali się, wyrywali, nie chcieli wychodzić z autobusów. Tych, pomagając sobie bagnetami, czekał wyciągali siłą, zarzucali na głowy płaszcz i krępowali ręce sznurem, wolny koniec zapętłając na szyi skazańca.

Egzekucja nabierała tempa, wszyscy uwijali się jak w ukropie. Śmierć zbierała należną jej daninę. Trzaski wystrzałów odbijały się od drzew i ploszyły ptaki.

Bieriezuchin pomyślał, że właściwie zmarnował czas, przyjeżdżając tutaj. Miał swoje zadania, znacznie ważniejsze niż asystowanie przy kolejnej egzekucji, nawet jeżeli ofiarami byli ludzie szczególnie zagrażający bezpieczeństwu państwa. Jeszcze kilka minut i czas jechać. Nic tu wymyślić się nie da, natchnienie nie przyjdzie. Major zastanawiał się, co mu przyszło do głowy, aby spędzić w tym miejscu solidny kawał przedpołudnia. Nie był przecież wyznaczony do bezpośredniego wykonania, według określenia swoich przełożonych, „zadania specjalnego”. Mógł asystować, wedle uznania, ale i w biurze miał co robić. Zarówno w swoim oficjalnym życiu, jak i, bardziej nawet, nieoficjalnym.

Krzyk dotarł do Bieriezuchina jednocześnie z tą ponurą konstatacją.

- Towarzyszu majorze! - Zajcew złapał go za rękaw mundurowej bluzy i potrząsał natarczywie. - Patrzcie.

Ale major patrzył już od kilku sekund.

Przy drugim stanowisku młody oficer gwałtownym ruchem wyrwał się funkcjonariuszom. Jednego pchnął mocno i wrzucił do rowu, drugiego powalił mocnym ciosem w twarz, łamiąc nos. Obrócił się w momencie, gdy przypadał do niego egzekutor z podniesionym do strzału pistoletem. Oficer złapał za broń, drugą ręką próbując uderzyć enkawudziście w twarz. Chwilę trwała bezwładna szarpanina. Pistolet zniknął z widoku, uwięziony gdzieś między walczącymi. Czwarty czekista, ten od ładowania, stał jak słup soli, nie reagując ze strachu i zaskoczenia.

Chrapliwe krzyki walczących jakby zmroziły wszystkich dookoła.

Huknął strzał, egzekutor pobał śmiertelnie i puścił broń. Oficer szarpnął się w tył, chcąc uwolnić rękę z pistoletem z fałdów obszernego wojskowego szynela. W końcu osiągnął cel. Miał w garści załadowanego walthera PP - z co najmniej sześcioma nabojami w magazynku - i tylko sekunda dzieliła go od przejścia kontroli nad sytuacją. Nie miał szans ani na wygraną, ani na ucieczkę, z czego zdawał sobie sprawę. Chciał tylko - i aż - zabrać ze sobą do grobu możliwie największą liczbę funkcjonariuszy Narodnowo Komissariata Wnutriennych Dieł.

Oficer spojrzał w stronę pierwszego stanowiska, po czym podniósł broń. Zlekceważył ładowacza i dziewczynę. I popełnił podwójny błąd.

Gdy tylko odwrócił się i złożył do strzału, stojąca metr dalej jasnowłosa funkcjonariuszka znalazła się za jego plecami. Do tej pory sprawiała wrażenie kompletnie sparaliżowanej strachem, podobnie jak pomocnik ładowacz. Ale - Bieriezuchin uświadomił to sobie w przeraźliwie krótkim przeblasku zrozumienia - to był tylko kamuflaż, przejściowe oddanie pola przeciwnikowi. Gdy warunki zmieniły się, dziewczyna niczym atakująca pantera doskoczyła do zastygłego w bezruchu pomocnika, płynnym ruchem wyrwała mu z ręki pistolet, podniosła na wysokość oczu i wystrzeliła, trafiając oficera dokładnie tam, gdzie jeszcze przed piętnastoma sekundami zamierzał wycelować wytrawny kat-specjalista, leżący teraz u jej stóp.

Pchnięty uderzeniem pocisku oficer wpadł do dołu wprost na ciała towarzyszy i na jęczącego z bólu, powalonego pierwszym ciosem czekistę.

Echo wystrzału potrzebowało do wybrzmienia ładnych kilku chwil. Zgromadzeni na polanie ludzie - jeszcze kilku następnych na ochłonięcie. W tym czasie dziewczyna zdążyła zabezpieczyć walthera, wepchnąć go za pasek, podnieść z ziemi tekturkę z listą wraz z ołówkiem, dmuchnąć potężnie, aby oczyścić kartkę z sosnowych szpilek, po czym, po krótkim momencie zastanowienia, odhaczyć na liście właściwe nazwisko.

Starszy major bezpieczeństwa państwowego Piotr Nikołajewicz Bieriezuchin zrozumiał, że decydując się dziś rano na przyjazd w to miejsce, podjął jedną z najlepszych decyzji w całym swoim zawodowym życiu.

17 KWIETNIA 1943 ROKU

1

- Szybciej! Już niedaleko! Szybciej!

Żołnierz przebiegł kilkanaście metrów i upadł, przygnieciony ciężarem trzydziestokilogramowego plecaka. Hełm opadł na oczy, pot kapał ciurkiem i wsiąkał w wilgotną, wiosenną ziemię.

- Wstawaj! Nie po to biegłeś taki kawał, żeby rezygnować. Chrapliwy oddech zakłócał senną, popołudniową ciszę. Żołnierz leżał nieruchomo z oczami wytrzeszczonymi z wysiłku. Czuł, że umiera. Nie mógł myśleć o dalszym biegu czy choćby zwykłym marszu. Nawet pełzanie wydawało się czynem ponad siły. - No dobra, jak chcesz. Możesz sobie leżeć. Nie spiesz się. Odpadasz!

- Neeee!

Krzyk zabrzmiał niezbyt mocno, ale czuć w nim było desperację. Choć jeszcze przed paroma sekundami wydawało się to niemożliwe, żołnierz dźwignął się na kolana, podparł karabinem szturmowym i powoli wyprostował. Z widocznym wysiłkiem spróbował utrzymać równowagę. Obtarte i odparzone stopy zdawały się płonąć. Zaciśnął zęby i po chwili chwiejnie ruszył przed siebie. W bucie chlupnęło. Potem w następnym. Miał przed sobą pół kilometra. Pięset ciągnących się w nieskończoność metrów.

2

Leśny, górski potok pędził z szumem w dół, omywając wielkie głazy, którymi gęsto usiane były dno i brzegi. Zawieszoną na wysokości trzeciego piętra stalową linę, długości co najmniej czterdziestu metrów, przymocowano do dwóch wiekowych drzew po obu stronach strumienia. Metr wyżej biegnące równolegle do siebie dwie cieńsze linki tworzyły namiastkę poręczy.

Żołnierz znajdował się dokładnie pośrodku mostu i dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo się boi. Najwyraźniej - o czym nie miał wcześniej pojęcia - cierpiał na lęk wysokości.

Za żadne skarby nie chciał wracać, ale nie był w stanie ruszyć do przodu.

- Jeszcze trzydzieści sekund! Potem już możesz sobie darować, twoja grupa odpada! - usłyszał.

Żołnierz stęknął z rozpaczą. Drżącymi dłońmi złapał poręcz i pomału, niepewnie, zrobił krok. Po nim następny. Most zakołysał się, uginając się pod ciężarem człowieka, plecaka i broni. Żołnierz stanął, zamknął oczy i zaczął się modlić.

Stojący na drugim brzegu pozostali trzej członkowie grupy wrzeszczeli coś niezrozumiale.

3

Na początku zaatakowało go dwóch. Wypadli z drzwi starej, zrujnowanej chałupy, gdy ostrożnym krokiem wyszedł zza rogu. Był przygotowany na coś w tym rodzaju, więc zareagował zgodnie z wdrukowanym w podświadomość odruchem. Miętko odskoczył, zszedł z linii ataku bliższego napastnika i wyprowadził cios prawą ręką. Uderzenie doszło. Przeciwnik zachwiał się i odskoczył, by po chwili znowu zaatakować. Żołnierz kątem oka zauważył, jak drugi z napastników przesuwając się w prawo i szykuje do skoku. Szybko wszedł z pierwszym w zwarcie, starając się uderzyć głową w nos. Nie udało się precyzyjnie zadać ciosu, ale przeciwnik upadł.

Wtedy żołnierz zobaczył nóż.

Jednocześnie poczuł, że ktoś zaplata ramię na jego szyi. Trzeci przeciwnik musiał podążać za nim. Teraz wypadł zza domu i przystąpił do dzieła. Człowiek ten był bardzo silny, żołnierzowi niemal natychmiast zabrakło tchu. Przez łzy dostrzegł drugiego napastnika szykującego się do zadania ciosu.

Na ułamek sekundy opanowała go panika. Przypomnił sobie liczne opowieści krążące wśród uczestników kursu. Między nimi i tę, że na każdym etapie szkolenia jeden lub dwóch adeptów ginie gwałtowną śmiercią. Nie wierzył tym historyjkom, mając je za wyolbrzymione przez strach bajeczki rozsiewane przez dowództwo lub co bojaźliwszych kursantów. Teraz jednak był absolutnie pewien, że ci, którzy po kątach snuli takie przypuszczenia, mieli całkowitą rację.

Rzucił się w tył. Duszenie gilotynowe. Jeśli założone zostało prawidłowo, jest techniką nienaruszalną i kończącą, a ostateczny rezultat zależy tylko od intencji zakładającego. Toteż żołnierz nie miał wielkich nadziei na pomyślny koniec walki, chciał tylko odwlec jej skutki, zadziałał także zwykły, pierwotny instynkt walki o życie.

Desperacja musiała dodać mu sił, bo duszący go przeciwnik stracił równowagę. Obaj upadli na plecy, żołnierz czuł pod sobą napastnika. Powietrze uszło z sykiem z płuc obydwu, z dolnych w zdecydowanie większym stopniu. Nie zwlekając, żołnierz przekręcił się gwałtownie i uchwyt rozluźnił się. Z całych sił uderzył łokciem w brzuch dusiciela. Gdyby przeciwnik nosił kamizelkę kuloodporną, żołnierz skończyłby dzień z potrzaskanym stawem, ale cios wszedł miękko i spowodował, że napastnik wypluł resztę powietrza z płuc.

Wyglądało na to, że nie ma już żadnych rezerw i jest na granicy utraty przytomności.

Żołnierz poderwał się akurat w momencie, kiedy nożownik rozpoczął atak, próbując zadać klasyczne szermiercze pchnięcie. Odskoczył więc gwałtownie i zaczął uciekać. Po kilku krokach dostrzegł leżący na ziemi mocarny, masywny drąg, który okazał się styliskiem od łopaty. Chwycił kij obiema rękoma, podniósł w górę...

Nożownik zatrzymał się o dwa kroki przed nim. Zastanawiał się przez chwilę, spojrzał na dwóch powalonych kolegów, po czym schował nóż.

- Nieźle - powiedział.

4

Żołnierz desperacko starał się ustabilizować oddech.

To była już dziesiąta godzina nieustannego wysiłku, przerywanego torsjami i napadami zwątpienia. Tylko w ciągu ostatnich dwóch godzin dopadły go trzy takie kryzysy. Ostatni był najgorszy i dosłownie ułamki sekund dzieliły żołnierza od wypadnięcia z gry, co zniweczyłoby nie tylko dzisiejszy wysiłek, ale przede wszystkim sześciomiesięczny okres przygotowawczy. Do tego nie mógł dopuścić. Za żadną cenę.

Kilkakrotnie zamrugał i skupił się na celu. Starał się ocenić dystans. Sto metrów. Może sto dziesięć. Mała, pochylona sylwetka niemal zlewała się z otoczeniem. Pot skapywał z nosa, mgła przed oczami nie chciała się rozwiać. To miał być teoretycznie najłatwiejszy strzał. Z leżącej pozycji, do nieruchomego celu. Żołnierz skupił się. Nie mógł tu tkwić w nieskończoność, przeciwnie, czuł, że jego czas się kończy. Wycelował najlepiej, jak mógł, wstrzymał oddech i nacisnął spust...

Wyciszony tłumikiem dźwięk był na tyle dyskretny, aby nie alarmować nikogo w okolicy. Drugi strzał. Trzeci. Czwarty. Piąty.

Tarcza zachwiała się, ale żołnierz nie był pewien rezultatu. Poderwał się i zaczął biec.

Pilnie rozglądał się na boki, obserwując jednocześnie teren na wysokości oczu, a także wyżej, na poziomie gałęzi drzew. Po prawej zamajaczyła tarcza.

Strzelił szybko z biodra. Poprawił. Karabin fukał jak pies poczęstowany tabaką. Po lewej w głębi człowiek w hełmie. Strzał. Poprawka. Na wprost tarcza. Strzał. Poprawka. Po prawej człowiek w marynarce. Żołnierz przez

sekundę trzymał go na muszce, ale nie strzelił. Z przodu ruch. Dwie sylwetki naraz, przemieszczające się na lewo. Za nimi następne dwie.

Żołnierz przełączył karabin na ogień ciągły i oddał dwie krótkie serie do obu grup. W biegu zmienił magazynek. Za sobą usłyszał hałas. Odwrócił się i strzelił instynktownie. Sylwetka cywila upadła. Żołnierz zaklął wściekle, ale kontynuował bieg. Na drzewie po lewej snajper.

Przykłęk. Strzał. Drugi. Poprawka. Cztery sylwetki w hełmach po lewej. Seria. Zmiana magazynka. Dwie krótkie serie. Koniec.

Ukląkł, przez chwilę nie widział nic. Przed oczami biegły oszalałe, kolorowe plamy.

5

Wybuch spowodował, że żołnierz upadł i na jakiś czas stracił słuch, równowagę i wyczucie kierunku. Przez dłuższą chwilę walczył z zawrotami głowy. Kłęby dymu spowiły pomieszczenie, potęgując ciemność, dezorientację i strach. Powoli podniósł się i ruszył do przodu. Potknął się o jakiś przedmiot leżący na podłodze, ale utrzymał się na nogach. Nie widział nic, dym drapał w oczy, w uszach dzwoniło. W dłoniach, na wysokości oczu, ścisnął pistolet. Dokładnie tak, jak przez dziesiątki godzin wbijał mu do głowy instruktor. Po prawej wyczuł ruch. Zatrzymał się i skierował lufę w tamtą stronę. W krótkim błysku światła zobaczył dwie sylwetki. Strzelił do dalszej, częściowo ukrytej za pierwszą, bliższą. Światło zgasło, w tym momencie usłyszał łomot walącego się ciała. Błysk z przodu. Dwa strzały. W celu.

Dwa pociski za siebie. W celu.

Dwa w prawo - jeden w celu, drugi pudło.

Na wprost - dwaj cywile. Tylko spokojnie.

Światło zgasło. Usłyszał tupot wielu nóg, ktoś zaklął i nagle przed nim zapalił się mocny reflektor, oślepiając na chwilę. Żołnierz instynktownie zmrużył oczy, zobaczył wokół siebie kilka niewyraźnych sylwetek, strzelił na wyczucie do wybranych...

I zmartwiał.

Na krześle naprzeciwko, nie dalej jak cztery, najwyżej pięć metrów od żołnierza, siedział dowódca i przyglądał mu się uważnie. Przypominający do złudzenia żywego człowieka manekin w niemieckim mundurze i hełmie, z dziurą w miejscu prawego oka, znajdował się najwyżej trzydzieści centymetrów od jego twarzy.

6

- Żołnierze! - Głos zdawał się dominować nad okolicą, choć nie był wcale głośny. Dwuszeręg kilkadziesiąt postaci odzianych w jednolite, czarne kombinezony wstrzymał oddech. - Wczoraj zakończyliście szkolenie. Dziś zdawaliście egzamin. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy sześć miesięcy temu, było was, wyselekcjonowanych spośród tysiąca, stu dwudziestu czterech. Zostało - trzydziestu dwóch. Siedemdziesiąt pięć procent waszych kolegów odpadło w trakcie szkolenia i kolejnych egzaminów. Nie dlatego, że byli złymi żołnierzami. Przeciwnie. Wykazywali się wielkimi umiejętnościami i zapałem. Ale zaszczytu służby w szeregach batalionu może dostąpić tylko część z was. I tak być powinno, na tym polega selekcja. Dzięki swojemu uporowi możecie czuć się wybrani. Najlepsi z najlepszych. Swoim postępowaniem udowodniliście, że jest w was hart ducha i gotowość do poświęceń.

Przed chwilą zdaliście ostateczny egzamin, a to, że żyjecie, a także fakt, że ja również pozostałem przy życiu, oznacza, że zdaliście go wszyscy celująco. - Dowódca uśmiechnął się nieznacznie, a dwuszeręg odetchnął z ulgą. Nieznacznie. - Z tą chwilą stajecie się żołnierzami Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego

Armii Krajowej. Niesie to ze sobą zaszczyt walki z wrogiem na pierwszej linii. Będziecie uczestniczyć w akcjach bojowych, które w sposób jednoznaczny pokażą okupantowi, jak skuteczny i groźny potrafi być polski żołnierz. Odbierzecie Niemcom wolę walki i chęć do terroryzowania naszego społeczeństwa.

Będziecie współtworzyć historię. Jednocześnie członkostwo w naszym oddziale to zaszczyt szczególnego rodzaju, ponieważ jesteście zobowiązani do zachowania bezwzględnej tajemnicy. O niczym, czego się nauczyliście, wróg nie może się dowiedzieć. Ani żaden z was, ani żadna część uzbrojenia lub wyposażenia nie może wpaść w jego ręce. Nawet za cenę życia. I żaden z nas, żołnierzy Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego Armii Krajowej, nie może się zawahać, aby ofiarę życia, w razie konieczności, złożyć.

Dowódca zamilkł. Dwuszeręg z przejęciem chłonął wypowiedziane przed chwilą słowa.

Analizował. Przetrawiał. Wyciągał wnioski.

- Kapral! Wystąp!

Żołnierz drgnął zaskoczony, ale po sekundzie zreflektował się i płynnym krokiem podszedł do prowadzącego uroczystość oficera. Stał na baczność i zaszalutował.

- Kapralu! Ukończyliście z wyróżnieniem kurs szkoleniowy i zostaliście przyjęci w szeregi Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego Armii Krajowej. Z dniem dzisiejszym otrzymujecie stopień sierżanta i obejmujecie stanowisko dowódcy drugiej drużyny pierwszej kompanii. Gratuluję.

Świeżo upieczony sierżant zaszalutował ponownie i z wielką ochotą uściśnął podaną dłoń.

- Ku chwale ojczyzny, panie komendancie!

- Spocznij. Możecie wrócić do szeregu.

Żołnierz odwrócił się i zajął swoje miejsce.

Dowódca wyczytywał kolejne pseudonimy. Żołnierze wychodzili na środek placu apelowego z dumą w oczach i zarumienionymi z emocji policzkami. Przyjmowali awanse i funkcje, z trudem skrywając entuzjazm.

Porucznik Janusz Wojtyński był z nich naprawdę dumny.

Choć uroczystość powtarzała się po raz piąty w ciągu ostatnich dwóch lat, nigdy nie uchylał się od prowadzenia ceremonii zaprzysiężenia nowych żołnierzy batalionu. Uważał to za swój obowiązek, a nawet - widząc zapał i chęć do boju tych młodych ludzi - coś w rodzaju podszytej satysfakcją przyjemności. Uświadomił sobie, zresztą całkiem niedawno, jak silne jest przywiązanie ludzi wychowanych w patriotycznych tradycjach dwudziestolecia międzywojennego do wojskowego ceremoniału i symboli. Jak bardzo potrzebują takich chwil jak ta.

Wcześniej zarówno on, jak i reszta weteranów Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, niewiele myśleli o patriotyzmie i miłości do ojczyzny. Górę brały raczej pragmatyzm i profesjonalne podejście do obowiązków. Kalkulacja ryzyka była jednym z pierwszoplanowych, wynikłych ze szkolenia nawyków.

Dla ludzi stąd i ludzi stamtąd ważne były różne rzeczy.

Do czasu.

7

- Dużo ostatnio myślałem... - odezwał się porucznik Tomasz Sawicki.

- Zdumiewające - roześmiał się Jamróz.

- Dajcie mu powiedzieć. - Wojtyński po raz pierwszy od dłuższego czasu wyglądał na rozbawionego. Za oknem hulała śnieżna i mroźna zima czterdziestego roku, pierwsza zima okupacji. - Jak wykonał ten wysiłek, niech mówi.

- No dobra. - Jamróz udał, że się zastanawia. W tych żartach było coś straceńczego, ale pomagało utrzymać nerwy na wodzy. - Niech mówi.

- No więc przeanalizowałem problem. - Sawicki, ekspert od uzbrojenia i szef kompanii logistycznej batalionu, sprawiał wrażenie, jakby docinki go nie dotyczyły. Rozłożył na kolanie pomięty zeszyt gęsto zapisany równymi rzędkami drobnych, starannych liter. - Stoimy przed kilkoma zadaniami. Zostało nam sporo sprzętu, uzbrojenia i nieco amunicji, zwłaszcza strzeleckiej. Część sprzętu nie nadaje się do użytku, resztę można spróbować wyremontować. Ale jeżeli mamy myśleć serio o walce w konspiracji, skutecznej walce, musimy mieć stałe źródło zaopatrzenia w odpowiednią broń i amunicję.

- Z ciężkiego sprzętu trzeba odzyskać to, co się da - powiedział Wojtyński, poważniejąc. - Zakonserwujemy go i będzie czekał, aż się przyda. Broni i amunicji batalionu też nie będziemy używać, poza wyjątkami. Jednak i tak musimy spróbować uzupełnić zapasy amunicji, choćby czołgowej, do rosomaków czy beryli.

- To skomplikowana sprawa. Amunicję można produkować tylko w warunkach fabrycznych. A to są nietypowe kalibry.

- Ale techniczna możliwość istnieje?

- Owszem. Z tym że wymaga dużych przygotowań, surowców i czasu na przekalibrowanie maszyn. No i raczej jakość nie będzie oryginalna.

- W porządku. - Wojtyński kiwnął głową. - Ty zorganizujesz to od strony technicznej, ja zapewnię linię produkcyjną. Przeprowadzimy jednorazową akcję, wyprodukujemy to, co potrzebne, i znikniemy.

- To naprawdę nie takie proste.

- Wiem. Zostawmy to na razie.

Sawicki wyglądał na nieprzekonanego, ale zanotował uwagi dowódcy w zeszycie.

- Mów dalej.

- Jeszcze przed kapitulacją zorganizowałem zbiórkę broni i amunicji przedwrześniowej. Sporo tego jest i bardzo nam się przyda. Zaraz o tym powiem. Jednak i tak musimy zorganizować produkcję broni, która będzie lepiej się nadawać do naszych celów, oraz dostawy amunicji - kontynuował Sawicki. - Potrzebujemy pistoletów maszynowych, granatników i kaemów. Najłatwiejszy do wykonania peem to sten. Prymitywny, ale jak się go starannie wykona - skuteczny. Dla partyzantki miejskiej wystarczająco dobry. Możemy go produkować w stosunkowo dużych ilościach. Jeżeli chodzi o kaemy, mamy trochę polskich browningów. Bez problemu mogą je przerobić na zasilane większym magazynkiem, na przykład pięćdziesięcio-nabojowym. To podniesie szybkostrzelność praktyczną. Na pewno lepsze są niemieckie MG-34 czy w przyszłości MG-42, o ile dałoby się je zdobyć. Wszystkie strzelają amunicją mauzerowską, produkowaną przed wojną w Polsce. Tej amunicji mamy spory zapas, kilkaset tysięcy sztuk. Więc jeżeli chodzi o kaemy, problemu nie ma. Do stena potrzebne są dziewięćmilimetrowe naboje typu parabellum, takie same jak do MP-5 czy MP-40. Można je kraść, zdobywać albo kupować w fabrykach w Skarżysku czy Radomiu.

- Słowo „kraść” mi się nie podoba. Będziemy je organizować. Pomyślę, w jaki sposób. - Wojtyński miał już w głowie niemal gotowy plan. - Trzeba będzie dotrzeć do niemieckich zarządów tych zakładów. Nieważne, czy mamy zorganizować produkcję, czy kupować typowe kalibry, i tak musimy rozpracować wywiadowczo te fabryki.

- Jest gorsza sprawa, jeżeli chodzi o nasze PK i wukaemy. Niemcy takiej amunicji nie produkują, nasi też nie. Natomiast idealnie pasują ruskie naboje do DSzK czy mosinów. Tyle że ciężko będzie je zdobyć.

- Wcale nie - odezwał się Wiechecki. - Hitler napadnie na Ruskich za półtora roku i na początku, jak być może pamiętacie, da im strasznie w dupę. Niemcy zdobędą nieprzemyślane ilości uzbrojenia, sprzętu i amunicji. Musimy tam być w odpowiednim czasie i miejscu i przechwycić część.

- Będziemy tam. - Wojtyńskiemu pomysł najwyraźniej przypadł do gustu. - Na razie nasze kaemy proszę zamelinować i nie używać. Ile zostało amunicji do barettów i sako?

- Po około pięćset sztuk na rodzaj broni.

- Będzie tylko na specjalne akcje. Co dalej?

- Jeżeli chodzi o granatnik przeciwpancerny, najprostszy do wytworzenia jest pancerna rura. Prosta rura, prosta głowica, prosty mechanizm spustowy. Można dość łatwo zorganizować materiały i produkować go w dużych ilościach. Szczerze mówiąc, na bieżący użytek batalionu produkowałbym tylko steny i pancerny oraz przerabiał browningi na bardziej szybkostrzelne. Resztę broni kupowałbym albo zdobywał. Aha, muszę oczywiście mieć gdzie to produkować, naprawiać i magazynować. Potrzebuję miejsca.

- Dobrze - powiedział Wojtyński. - Znajdziemy miejsce.

Ta rozmowa odbyła się ponad trzy lata temu. Jednym z jej skutków było powstanie Obiektu Numer Dwa.

W ciągu kilku tygodni, z mapą przedwojennej Warszawy w ręku, przeprowadzono dokładną analizę topograficzną miasta oraz szereg wizji lokalnych. Wybór padł na spory kwartał zabudowań pomiędzy ulicami Obozową, Listopadową i Ożarowską. Lokalizacja była dyskretna, nierzucająca się w oczy, otoczona drobnymi zakładnikami i składami, miała bardzo dobre walory obronne, a także, co najważniejsze, zapewniała możliwość szybkiej ewakuacji załogi i ochrony w razie zagrożenia. Posługując się fałszywymi dokumentami oraz zdobycznymi lub przydzielonymi przez Komendanta Głównego Armii Krajowej pieniędzmi, przeprowadzono szereg transakcji zakupu i w ten sposób wiosną czterdziestego roku niektórzy z oficerów batalionu stali się właścicielami całkiem pokaźnej liczby nieruchomości.

Sawicki, niezmordowany organizator całego przedsięwzięcia, oprócz wyboru miejsca stanął także przed koniecznością skompletowania zespołu specjalistów zdolnych podołać wymogom konspiracyjnej produkcji. Jako że jego zbrojmistrze stanowili tylko niewielką, kilkusobową grupę, podjęto decyzję o włączeniu w skład zespołu produkcyjnego starannie wyselekcjonowanych fachowców - wykształconych w latach dwudziestych i trzydziestych inżynierów, techników i robotników. Ludzie ci dobrani byli nie tylko pod kątem fachowości i zdecydowanego nastawienia do okupanta, co w zasadzie było oczywiste i nie podlegało dyskusji, ale także - a może przede wszystkim - braku zobowiązań rodzinnych. Po włączeniu w skład ekipy produkcyjnej całkowicie zniknęli z życia codziennego okupowanej Warszawy, niemal nie ruszając się na krok poza obręb Obiektu Numer Dwa.

Szybko okazało się, iż połączenie sił i kompetencji ludzi stamtąd i ludzi stąd dało niezwykle twórczą mieszankę. Zadziałał efekt synergii. W warunkach głębokiej konspiracji szybko udało się opanować technologię wytwarzania oraz zorganizować seryjną produkcję niezbędną batalionowi uzbrojenia.

Niemало wysiłku włożono również w zabezpieczenie zakładu. Obiekt składał się z pozornie chaotycznej plątaniny podwórek, gołębników, walących się garaży, szemranych warsztatów i starych, drewnianych chałup. Po terenie i wokół niego kręcili się nieogoleni i wiecznie pijani wozacy, węglarze, pokątni handlarze złomem, a także lokalne tuzy czarnego rynku obrotu mięsem z nielegalnego uboju. W środku tego królestwa, niczym rodzynek w cieście, tkwił niewielki kompleks budynków otoczony solidnym, ceglanym murem. W tym miejscu nie było już towarzystwa przebywającego pięćdziesiąt metrów dalej. Zakład, oficjalnie należący do firmy Stamm

Werke, GmbH, mającej wieloletnie umowy na dostawy priorytetowych elementów wojennej gospodarki III Rzeszy, odwiedzali wysocy rangą niemieccy urzędnicy, a także funkcjonariusze organizacji Todt oraz służb pomocniczych z opaskami „Im Dienst dem Deutschen Wehrmacht” na ramionach. Ciężarówki wwoziły dziesiątki ton surowców i półfabrykatów, a wywoziły gotowy towar.

Większość Niemców nie domyślała się, że obskurne budy nieopodal i fabryka Stamm Werke, GmbH stanowią jedną całość i oprócz przedmiotów niezbędnych do zwycięskiego zakończenia wojny i ukoronowania dzieła budowy Wielkiej Rzeszy, produkują również przedmioty, których istota działania była całkowicie z tym dziełem sprzeczna. Ci z Niemców, bardzo zresztą nieliczni, którym wpadły do głowy jakieś podejrzenia, zostali zaopatrzeni w solidną porcję gotówki, a także wyrażoną stanowczym tonem informację, iż życie ich samych oraz rodzin zakończy się w momencie, w którym kierownictwo zakładu wyczuje jakiegokolwiek zagrożenie z ich strony.

Tak więc spacerujący Obozową przypadkowy przechodzień nie zobaczyłby nic prócz tego, co było do pokazania.

Ktoś bardzo spostrzegawczy jednak, wyposażony w dokładny plan wszystkich nieruchomości wchodzących w skład kompleksu, wiedzący na dodatek, czego szukać, zwróciłby uwagę, że wozacy i handlarze tylko udają pijanych, starannie natomiast lustrują przylegające ulice. Po dokładnych poszukiwaniach znalazłby także, choć wymagałoby to nie byle jakiego kunsztu, wiedzy i ogromnej dozy szczęścia, zamaskowany podziemnymi tunelami, bramami i podwórkami system połączeń wszystkich obiektów w jedną, starannie zaplanowaną i zrealizowaną całość. Być może zauważyłby też, choć byłoby to wyczynem nie lada, przeszło pięćdziesięciu żołnierzy plutonu ochronnego, mających do dyspozycji dwanaście punktów ogniowych w pierwszej linii, osiem w drugiej oraz bastion ostatniej linii oporu, zwany powszechnie, choć nieoficjalnie, Westerplateńko.

Najbardziej nawet uważny obserwator, o ile nie siedziałby w głowie dowódcy, nie odnalazłby natomiast blisko dwóch ton materiałów wybuchowych i kilkudziesięciu min umieszczonych w pasie ochronnym dookoła kompleksu, a także w kilku parkujących przy chodniku samochodach-pułapkach, zresztą każdego dnia zmienianych. Wszystkie kable zapłonowe prowadzące do zapalników zbiegały się w pomieszczeniu dowódcy ochrony obiektu. Miał on prawo, a w pewnych okolicznościach, gdyby uznał sytuację za beznadziejną, a kompleks niemożliwy do obrony, nawet obowiązek, wysadzić go w powietrze razem ze wszystkimi budynkami, maszynami i zapasami.

Dowódca ochrony został zatem obarczony niełichą odpowiedzialnością. Musiał być człowiekiem o silnych nerwach oraz cieszyć się idealną opinią i zaufaniem Wojtyńskiego.

8

Uroczystość skończyła się. Porucznik wydał rozkaz „spocznij” i dwuszereg rozpadł się na kilka dyskutujących z ożywieniem grup. Żołnierze ponownie przeżywali sześć miesięcy morderczego treningu powodującego konieczność nieludzkich wyrzeczeń, zaniedbywania rodzin i pracy zarobkowej, wyczerpującego fizycznie i psychicznie. Wymieniali się wrażeniami, podśmiewali z cudzych i własnych słabości, złośliwie komentowali osiągnięcia swoje i kolegów. W głębi ducha jednak pękali z dumy. Wyszli z tej potyczki zwycięsko, więc mieli do tego prawo.

Wojtyński również odczuwał satysfakcję. Zdawał sobie sprawę, jak trudno tym urodzonym na początku lat dwudziestych chłopakom przystosować się do metod szkoleniowych z początku następnego stulecia, do narzuconego tempa ćwiczeń, które dla niego, człowieka urodzonego trzydzieści kilka lat po wojnie, było

oczywiste. Ale zacisnęli zęby i przetrwali. Toteż z przyjemnością stał wśród nich, żartował, wspominał co śmieszniejsze momenty treningów, szkoleń oraz egzaminów, i miał pełne poczucie sensu tego, co robi. Nie zaprzyjaźnił się z nimi. Ani nie był tego typu człowiekiem, ani nie pozwalał na to wytworzony przez obie strony dystans, ale lubił ich i szanował, a nawet podziwiał. Mieli w sobie coś, czego nie umiał do końca nazwać, jakąś cechę charakteru czy raczej właściwość osobowości, której brakowało i jemu, i weteranom batalionu. W kontaktach z ludźmi stąd za każdym razem to najbardziej go uderzało.

Po raz kolejny przyszła mu do głowy myśl, że w takich momentach przestaje mu doskwierać, zwykle przygniatająca ciężarem niemal ponad siły, odpowiedzialność za tych ludzi oraz za skutki podejmowanych przez batalion działań.

A także zwykła tęsknota za domem rodzinnym oddzielonym barierą nie do pokonania.

- Panie komendancie, melduje się porucznik Stańczak. - Karol Stańczak, ongiś dowódca plutonu rozpoznawczego batalionu, obecnie skuteczny, zimny i wyrachowany szef komórki wywiadu i kontrwywiadu, był czymś przejęty, co samo w sobie należało do wydarzeń zgoła niezwykłych i niezmiernie rzadkich. Wojtyńskiemu zawsze wydawało się, że niemal nic na świecie nie jest w stanie wytrącić go z lodowatej, profesjonalnej obojętności. Gdy byli sami, mówili sobie po imieniu, teraz jednak znajdowali się wśród podwładnych, dlatego porucznik zdecydował się na oficjalną formę meldunku. - Mogę pana prosić?

Wojtyński wiedział, że Stańczak nie przerywałby mu chwili nader względnego co prawda, ale jednak relaksu, gdyby nie miał ważnego powodu, toteż bez protestu wyszedł z kręgu roześmianych żołnierzy i pytająco spojrzał na porucznika.

- Jakiś facet do ciebie.

Dowódca podniósł brew.

- Jakiś facet? Zapraszałeś kogoś?

- Niezupełnie. - Stańczak zdawał sobie doskonale sprawę, że pomimo lekkiego tonu Wojtyński traktuje takie sprawy ze śmiertelną powagą. Sam traktował je ze śmiertelną powagą. - Przeszedł przez dwie linie posterunków, wpadł na trzeciej.

- To ci się chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło, co? - mruknął łagodnie Wojtyński, rozglądając się dookoła. Liczba żołnierzy strzegących terenu była znacznie większa od liczby trenujących kandydatów. Jeszcze nie było przypadku, by ktokolwiek zakłócił przebieg szkolenia lub egzaminu. Zabezpieczenie ćwiczeń było jednym z priorytetów dowództwa batalionu i leżało w kompetencjach Stańczaka.

- Nie. - Porucznik potarł niegolony od dwóch dni zarost. - Nogi z dupy powyrywam.

- Powyrywaj. A teraz pokaż mi tego gościa. Polak? Niemiec?

- Polak. Leśnik.

- Czego chce?

- Nie chciał gadać. Powiedział, że musi się widzieć z komendantem.

Wojtyński cmoknął z zaciekawieniem i spojrzał na porucznika pytająco, ten jednak potrząsnął głową, po czym zrobił minę z serii „sam zobaczysz”. Dowódca wzruszył ramionami, oficerowi dowodzącemu ćwiczeniami wydał polecenie zamknięcia uroczystości i rozesłania żołnierzy do macierzystych jednostek, po czym poszedł za Stańczakiem.

Doszli do skraju polany i weszli w las. Mrok zgęstniał. Od ziemi ciągnęło chłodem, wiatr szumiał wysoko w gałęziach. Kontury drzew były zamazane, ale Wojtyński nie potrzebował latarki. Miał wzrok niczym kot i pierwszorzędny zmysł orientacji.

Nie szli długo. Ostatnia, bezpośrednio ochraniająca miejsce ćwiczeń linia czujek oddalona była najwyżej o sto metrów od polany, na której odbywała się uroczystość zakończenia kursu. Toteż Stańczak zatrzymał się gwałtownie już po niecałej minucie. Przed nimi stało dwóch żołnierzy ubranych w kamuflujące mundury, kevlarowe hełmy i uzbrojonych w karabiny szturmowe beryl. Jeden celował do klęczącego na ziemi ubranego w zielony mundur człowieka, drugi, skryty za pniem drzewa, czujnie oglądał przedpole przez noktowizyjne gogle. Żołnierz z noktowizorem odwrócił się.

- Panie komendancie, melduję, że przechwyciliśmy tego człowieka około pięciu minut temu - powiedział całkowicie wypranym z emocji głosem.

Wojtyński już dawno zauważył, że większość podwładnych stara się go naśladować. A w ostateczności Stańczaka.

- Skąd przyszedł?

- Od południa. Stamtąd. - Żołnierz machnął ręką w dół pokrytego lasem stoku. Poniżej powinny znajdować się jeszcze dwie linie czujek. Powinny.

- Dziękuję - zgrzytnął Wojtyński. Choć nie znosił takich zaniedbań, z reguły unikał demonstrowania złego humoru wobec żołnierzy, którzy niczemu nie zawinili, przeciwnie, wykazali się należyłą czujnością. Podeszedł do klęczącego mężczyzny. - Może pan wstać - powiedział.

Tamten podniósł się. Miał około pięćdziesiątki, przyprószone siwizną włosy i wyraz spokojnej rezygnacji na twarzy. Wojtyński znał już na tyle ludzi stąd, aby odgadnąć, że facet reprezentuje typ rzetelnego urzędnika państwowego, traktującego swoje obowiązki ze śmiertelną powagą.

Na gajowego za stary. Raczej leśniczy, pomyślał. Gospodarz tego terenu.

- Co pana sprowadza? - zapytał.

Tamten rozejrzał się dookoła, jakby chcąc zapamiętać jak najwięcej szczegółów. O ile oficerowie wyglądali według standardów z lat czterdziestych dwudziestego wieku całkiem zwyczajnie, o tyle wartownicy wzbudzili ogromne zainteresowanie i zamaskowaną zmieszaniem obawę gościa.

- Mam wiadomość dla dowódcy - powiedział w końcu. - Pan tu dowodzi?

- Owszem. Od kogo ta wiadomość? - odpowiedział pytaniem na pytanie Wojtyński, choć już domyślał się, w jakim kierunku będzie zmierzała rozmowa.

- Od władz wojskowych odpowiedzialnych za ten teren. Mam przekazać, że komendant jest zaniepokojony pojawieniem się w jego rejonie obcego oddziału wojskowego i proponuje spotkanie w celu udzielenia wyjaśnień.

- Komendant rejonu? - zapytał Wojtyński.

- Tylko tyle miałem do powiedzenia. Komendant prosił, abym pana przyprowadził. Jak najszybciej.

- Nie ma mowy. Może pan przekazać komendantowi, że jeżeli chce się ze mną widzieć, musi się sam pofatygować.

- Ja tam nie wiem. Co miałem powiedzieć, powiedziałem.

- Ja również. Do widzenia.

Chciał odwrócić się na pięcie i odejść, gdy poczuł, że ktoś chwyta go za rękaw.

- Pozwól na chwilę. - Stańczak miał poważną minę. Choć Wojtyński zaczynał się już niecierpliwić, usłuchał. Odeszli kawalek. - Ja bym radził iść.

- Z jakiego powodu?

- Wiem, kto jest szefem w tej okolicy. Wiechecki sporo mi o nim mówił. To nasz. Mądry. Odważny. I nie odpuści nam, jak nie będzie wiedział, o co chodzi.

- Co to znaczy, nie odpuści?

- Będzie węszył. Ma solidne oparcie w miejscowych. Jest stąd, zna każdy kąt. Możemy mieć kłopoty na przykład z furazem.

Porucznik zastanowił się przez chwilę.

- Któż to taki, ten superman? - mruknął, przyglądając się spod oka międlącemu w rękach czapkę leśnikowi.

- Znany jest pod pseudonimem Ponury.

Nic więcej nie było trzeba. Wojtyński odwrócił się na pięcie i podszedł do starszego mężczyzny.

- Dobrze - powiedział głośno. - Pójdę z panem. Obaj oficerowie będą mi towarzyszyć.

- Komendant kazał, żeby pan sam... - Leśnik wyglądał na zmartwionego. I nadal się bał.

Dobrze to o nim świadczyło. Władza kazała mu przyjść i gadać, no to przyszedł i gada, choć się boi.

- Trudno. - Wojtyński rozłożył ręce. - Nie będę sam.

Mężczyzna dumiał przez moment, w końcu machnął ręką na znak, że wszystko mu jedno.

Wojtyński odszedł na bok, by wydać rozkazy żołnierzom ubezpieczenia. Po chwili wrócił, dopiął guziki czarnej, prostej bluzy bez żadnych dystynkcji i poprawił pas z pistoletem.

- Możemy iść - powiedział.

9

Pułkownik IV Zarządu Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, znanego także pod nazwą Głównoje Razwiedywatelnoje Uprawlenie, w skrócie GRU, Nikołaj Stiepanowicz Kazakowcew, przebywał w Warszawie od blisko miesiąca.

Czwierć setki dni minęło w tempie, które przyprawiało o zawrót głowy. Skok, lądowanie, nerwowe poszukiwanie ludzi z placówki, która miała ich odebrać, jeszcze bardziej nerwowa podróż do Warszawy - po drodze byli dwa razy kontrolowani, ten drugi omal nie skończył się wpadką - urwany kontakt już w samym mieście, szukanie kontaktu rezerwowego, szczęśliwe odnalezienie kontaktu pierwotnego, rozlokowanie członków oddziału, szesnastu mężczyzn i trzech kobiet, w kilku konspiracyjnych lokalach - to wszystko następowało tak szybko, że początek misji niemal zlewał się w jedną kakofonię zdarzeń oraz wizualnych i dźwiękowych bodźców.

Pułkownik w końcu opanował sytuację. Łączność pomiędzy rozproszonymi w różnych punktach miasta sekcjami oddziału została ustanowiona, udało się także skontaktować z licznymi agentami terenowymi, z najcenniejszym, wartym każdych pieniędzy Kontaktem Numer Jeden na czele. Zadania zostały rozdzielone, zespoły udały się w teren, radiotelegrafiści dwadzieścia cztery godziny na dobę tkwili przy radiostacji, a Kazakowcew łamał sobie głowę nad następnymi posunięciami.

Zajmowane przez niego obszerne mieszkanie znajdowało się w śródmieściu Warszawy, miało dobre połączenia komunikacyjne z całym miastem, było wyposażone w telefon oraz w dwa wejścia - frontowe i kuchenne - co w razie konieczności zwiększało szanse odskoku.

Wskazani przez przełożonych Polacy byli na każde skinienie, ale nie narzucali się ze swoją obecnością. Po pierwszym zwariowanym tygodniu, gdy wszystkie rozkazy zostały wydane, a praca rozdzielona, nastąpił okres spokoju przechodzącego w nudę.

Pułkownik któregoś dnia wyszedł na spacer, coś w rodzaju pierwszego rekonesansu, ale zły potem wrócił po czterdziestu minutach. Postanowił więcej nie kusić losu i bezterminowo zawiesił wypadły na miasto. Warszawa zdecydowanie mu się nie spodobała, wzbudzając mieszaninę niesmaku i - co tu dużo gadać - obawy. Podczas tej krótkiej wycieczki dwa razy wybuchła strzelanina, były niemieckie wozy policyjne, tłum przemieszczający się po ulicach potrafił zniknąć w jednej minucie w bramach, wiedziony wskazaniem jakiegoś zbiorowego systemu alarmowego.

Metody stosowane przez Niemców wobec Polaków zasadniczo nie odbiegały od tego, co niedawni sojusznicy wyprawiali w zajętej przez siebie części Rosji, a jednak były jakby bardziej gwałtowne, radykalne, stosowane z jeszcze większą bezwzględnością. Kazakowce widział, jak patrol żandarmerii zastrzelił na ulicy niewinną ofiarę - a może winną, kto to wie. Widział, jak żydowskie dziecko wpadło w ręce policji, jak bieda i strach panoszą się dokoła. Nie, nie żałował ani Żydów, ani Polaków.

Szczerze mówiąc, nie tylko ich nie żałował, ale w ogóle o nich nie myślał, skupiony na zadaniu, którego wykonanie przybliży upragnione nadejście Nowego Porządku, Sprawy, Celu - Rewolucji Światowej.

Dlatego nie mógł ryzykować własnego życia, było zbyt cenne. Dla Sprawy.

Kazakowce nieraz wątpił. Och nie, nie w Sprawę. W tę wierzył niezachwianie i z zapalem. Po prostu łapał się czasami na myśli, że ponosi go fantazja (prawda, rozbudzona podczas licznych rozmów z Szeferem), że scenariusz zakładający objęcie Nowym Porządkiem całego świata wydaje się zbyt śmiały czy przedwczesny, a rozciągnięcie sowieckich, rewolucyjnych idei nad samą tylko Europą, łącznie z ukochanymi przez Lenina Niemcami, byłoby postępek nie lada. Gdy serce rewolucji zacznie bić w jednym, europejskim rytmie, wtedy każde marzenie stanie się realne. Cóż pozostanie? Skorumpowana, tchórzliwa, schowana za morzem Ameryka? Brytyjskie kolonie? Azja?

Tak, silna, zjednoczona sowiecka Europa, kierowana prawdziwą socjalistyczną ideą jako kolejny krok ku Rewolucji Światowej, to właściwa kolej rzeczy. Zwłaszcza że będzie to krok milowy. A jeżeli wydarzenia potoczą się według założonego scenariusza, on, Nikołaj Stiepanowicz Kazakowce, dowódca operacji specjalnej o kryptonimie „Jutrzenka”, dostarczy bojownikom Sprawy i ich wodzowi, towarzyszeniowi Stalinowi, gromowy oręż, wobec którego wszystkie armie świata z ich czołgami, samolotami i okrętami okażą się żałośnie bezradne. Ten oręż pozwoli odwrócić losy wojny, zmienić skutki wiarołomnego hitlerowskiego ataku, rozpoczętego zanim przyczajona do skoku Armia Czerwona, która kosztem milionów ofiar od tylu lat przygotowywała się do wojny, zdołała zadać skrwawionej Europie śmiertelny cios.

Cios przy użyciu siedmiu milionów żołnierzy wspartych żelazną pięścią ponad dwudziestu pięciu tysięcy czołgów i piętnastu tysięcy samolotów.

Ale rankiem dwudziestego drugiego czerwca niemiecko-faszystowskie dywizje runęły na niczego niespodziewające się wojska sowieckie i nadzieja na zaprzęgnięcie Europy, całej Europy, a po niej całego świata do socjalistycznego rydwanu, obróciła się wniwecz.

Kazakowce pamiętał swoją rozpacz podczas tamtych strasznych czerwcowych dni. Stał na czele batalionu wyposażonego w najnowsze czołgi T-34, batalionu należącego do najpotężniejszej w całej Armii Czerwonej 4 Dywizji Pancerniej, wchodzącej w skład IX Korpusu Zmechanizowanego. W toku walk odwrotowych niemal

plakał z wściekłości. Nie dlatego, że całe sowieckie ugrupowanie rozpadło się w pył, niczym wydmuszka uderzona kowalskim młotem. Nie dlatego, że widział wokół siebie powszechną dezercję, masowe oddawanie się do niewoli, niedołęstwo, głupotę i tchórzostwo dowódców oraz komisarzy. Płakał, bo upadła nadzieja, że Sprawa zwycięży.

W końcu wziął się w garść. Przeżył odwrót, awansował, został dowódcą pułku, odznaczył się w wielu bitwach. Był jednym z najmłodszych i najzdolniejszych pułkowników Wojsk Pancernych Armii Czerwonej. Za śmiałe manewry podczas bitwy stalingradzkiej nadano mu tytuł Bohatera Związku Sowieckiego.

I wtedy zjawił się Szeff.

Oczywiście Kazakowcew z początku nie wiedział, kto zacz, nie domyślał się, że Szeff jest szefem czegośkolwiek. Przybysz nazwisko mruknął niewyraźnie, mogło się za nim kryć sto znaczeń, jakiś Kriuik, Matziukin, Riuchin, Śmukin albo jeszcze inny czort. Ale ten dziwny człowiek wyciągnął go w mroźny, nadwołański step, wymówił trzy zdania i Kazakowcew zaczął słuchać jak zaczarowany. Po dwóch tygodniach został zwolniony z dowództwa pułku i piętnastego grudnia czterdziestego drugiego roku zameldował się w niepozornym, otoczonym ceglany murem domu, ulokowanym w zalesionym terenie sto kilometrów na wschód od Moskwy.

Chociaż miał kilkunastu konkurentów, szybko stał się ulubieńcem Szeffa. Z ogromnym samozaparciem przeszedł morderczy i okrutny trening, celując zaliczył wszelkie testy i sprawdziany. Jego oddanie Partii nie podlegało dyskusji, pochodzenie było nienaganne, wiedza i zaangażowanie w Sprawę - pełne. Pod koniec lutego przyjęto go w szeregi etatowych pracowników IV Zarządu. Treningi trwały dalej.

Szeff zostawiał pułkownika w fachowych rękach instruktorów i znikał na całe tygodnie.

Kazakowcew nie miał pojęcia, po co ani gdzie, ale nawet nie pytał. Sześć tygodni temu, po dłuższej niż zwykle przerwie,

- Zielony jeszcze jesteś. Zielony i młokos.

- Ha! Trzydzieści cztery lata i młokos.

Kazakowcew uśmiechnął się w głębi ducha, ale stał z kamienną miną wyprężony jak struna. Szeff machnął ręką, żeby siadać. - Ale z tych wszystkich durni płaczących się po budynku ty jeden wydajesz się mieć głowę na karku. Masz głowę na karku, Kazakowcew?

- Tak myślę, towarzyszu generale.

- Myślisz? Czy wiesz? - Szeff westchnął. Udał, że się zastanawia. Zapalił papierosa i milczał. Gdy w końcu się odezwał, głos miał niższy, pełen skupienia. - Jedziesz na pierwszą linię frontu. Na zachód. Przeszło tysiąc kilometrów na zachód.

- Front nie tam, towarzyszu generale.

- Tam. Najważniejszy. Wiem, co mówię.

- Tak jest!

- Kazałem siadać, więc siadaj. Za kilka dni przetrzucimy cię do Warszawy. - Kazakowcew zdziwił się, ale nie dał po sobie nic poznać. Berlin, owszem. Londyn, jak najbardziej. W ostateczności Genewa, miasto szpiegów i wielkich pieniędzy. Ale Warszawa? Peryferie Europy? Cóż ciekawego może się dziać w tym miejscu? - Dostaniesz ludzi, najlepszych. Wszyscy mówią po polsku.

- Polacy?

- Nie bój się, nasi, ale mówią jak Polacy z Zachodniej Ukrainy czy Białorusi. Oni to kiedyś nazywali Kresami Wschodnimi. - Generał skrzywił się nieznacznie i splunął. Stare dzieje, nie warto wspominać. - O PPR słyszałeś? To partia polskich bolszewików. Mamy tam sporo naszych ludzi, do kilku dostaniesz kontakt. Są pewni, o ile Polacy mogą być pewni. Przygotują ci lokale konspiracyjne i środki transportu. Dostaniesz pieniądze. Tyle, ile trzeba. O zadaniu nie wiedzą nic. Mają rozkaz zrobić wszystko, czego zażadasz.

- A zadanie, towarzyszu generale?

Szef, który dotąd krążył po zasnutym papierosowym dymem pokoju, zatrzymał się i spojrzał na Kazakowce, jakby jeszcze raz upewniając się, czy podjął właściwą decyzję. Pułkownik wytrzymał ciężki, przenikliwy wzrok, patrząc prosto w oczy Szefa, który dostrzegł w tym jasnym obliczu szczerość, oddanie i rozpierającą trzydziestoczeroletnią osobowość pułkownika żądę czynu. W jednej sekundzie zrozumiał, że nie mógł dokonać lepszego wyboru. Gdyby przyszło mu wskazać teraz, w tym momencie, komu powierzyć życie: synowi, obiecującemu słuchaczowi Akademii Wojskowej imienia Frunzego czy Nikołajowi Stiepanowiczowi Kazakowcowi, wybrałby bez wahania, w jednej sekundzie, w ułamku nawet. Podeszedł do sejfu, otworzył ciężkie stalowe drzwi, wyciągnął leżącą na samym wierzchu kartonową teczkę - trzy centymetry grubości, ocenił Kazakowce - i rzucił pułkownikowi na kolana.

- Czytaj! - rozkazał.

10

Szli przez godzinę. Stary narzucił takie tempo, że nawet im, ludziom wytrenowanym i o trzydzieści lat młodszym, trudno było dotrzymać kroku. Tamten widział w ciemności jak kot, znał każde drzewo, każdą ścieżkę i ani razu nie zgubił kierunku.

Wojtyński ocenił, że zrobili co najmniej pięć kilometrów, co w górach i po ciemku było wyczynem nie lada. O mniej więcej kilometr oddalili się od ostatniej, najbardziej zewnętrznej linii czujek ochraniających teren ćwiczeń.

W końcu doszli na skraj lasu, skąd widać było samotną chałupę otoczoną zabudowaniami gospodarczymi. Za nią rozciągała się rozległa, wolna przestrzeń. Dopiero w sporej odległości majaczyła wieś.

Podeszli do chałupy. Drzwi jak na zawołanie otworzyły się i wyszło z nich trzech mężczyzn. Wojtyński wraz z towarzyszącymi oficerami zatrzymał się o kilka metrów przed nimi. Pomyślał, że miejsce spotkania wybrane zostało doskonale, z wielką znajomością rzeczy. Dobre do obserwacji i obrony, a także do odskoku. Gdyby porucznik miał decydować o tych sprawach, wybór byłby identyczny. Leśnik zniknął jak duch.

Pośrodku grupki mężczyzn, którzy wyszli im na spotkanie, stał człowiek najniższy z całej trójki - niższy od Wojtyńskiego, którego wzrost już w okolicach matury zatrzymał się na cyfrze sto osiemdziesiąt i za nic nie chciał się podnieść - o ciemnej karnacji, mocnym zaroście na znamionującej stanowczość i siłę woli kwadratowej szczęce, o zimnym błysku piwnych oczu, spoglądających spod krzaczastych, zrosniętych nad nosem brwi. Facet ubrany był w sfatygowany płaszcz ściągnięty w pasie jeszcze bardziej sfatygowanym paskiem, lata świetności spodni i butów także przypadały na okres przedwojenny. Mimo tak niepozornego stroju dało się w tym człowieku wyczuć wojskowego, i to wysokiej klasy. Towarzysze piwnookiego emanowali spokojem i fachowością. Po całej trójce nie widać było wahania. Spotykali się z nieznanym, ale to nie zachwiało ich pewnością siebie. Czuli się doskonale w roli gospodarzy.

Wojtyński nabrał stuprocentowego przekonania, że te twarze, a zwłaszcza twarz dowódcy, szefa pozostałej dwójki - bo bez wątplenia piwnooki był szefem - widział wielokrotnie. W szkole, na lekcjach historii

poświęconych drugiej wojnie światowej. Zdolność zapamiętywania rozmaitych szczegółów, na przykład fotografii, była immanentną cechą jego osobowości i bardzo się teraz przydała. Ponadto Wiechecki, batalionowy ekspert od historii, całkiem niedawno sporo mu o tym człowieku opowiadał.

Piwnooki już otwierał usta, ale porucznik go uprzedził.

- Pan komendant Ponury, jak sądzę - powiedział swobodnym tonem. - Oraz panowie Robot i Nurt.

Przybysze drgnęli. To był frontalny atak. Nie spodziewali się tego. Sami mieli być stroną atakującą. Ale piwnooki oficer uznał, że warto podjąć grę na zasadach narzuconych przez gościa.

- Pan natomiast dowodzi oddziałem, który przebywa na moim terenie, prawda? Od trzech tygodni prowadzicie tu szkolenie wojskowe.

W istocie kandydaci na członków batalionu zasadniczą część kursu odbyli w Warszawie i okolicach. W kieleckie lasy przybyli przed trzema tygodniami, aby odbyć ostatnią turę szkoleń i egzaminów.

Wiadomości były stuprocentowo dokładne. Obie strony strzeliły po pięknej bramce i na razie był remis.

Wojtyński zaklął w duchu, ale zdołał się zmusić do uprzejmego - taką przynajmniej żywił nadzieję - uśmiechu. Przyjemny tenor gospodarza zrobił na nim duże wrażenie. Nie ma się co denerwować. W końcu samo zaproszenie wskazywało, że przeciwnik - a może partner - wiedział o nich coś niecoś. A to, że tyle wiedział i chciał rozmawiać, przemawiało na jego korzyść.

- Tego nie mogę potwierdzić - odrzekł spokojnym tonem. - Skorzystam z faktu, że nie muszę się przed nikim tłumaczyć...

- Niezupełnie - wpadł mu w słowo Ponury. - Jestem komendantem tego obszaru i wszystko, co się na nim znajduje, podlega mojej jurysdykcji i rozkazom.

- Wiem, kim pan jest, i cieszę się, że właśnie pan to przyznał. - Wojtyński kiwnął głową.

- Dobrze. Zakładam, że macie panowie jakąś sprawę, inaczej nie facygowalibyście mnie taki kawał po lesie. Sami też z Michniowa musieliście przejść parę kilometrów.

Dając dowód dobrej orientacji w położeniu Ponurego, Wojtyński po raz kolejny wywołał wyraz zdumienia na twarzach gospodarzy. Ale ci, tak jak poprzednio, opanowali się szybko. Ponury nawet się uśmiechnął, uprzejmym gestem wskazał wewnątrz chałupy i powiedział:

- Wygląda na to, że porozmawiamy nieco dłużej, a robi się zimno. Zapraszam na kwatery.

Wojtyński skinął głową, schylił się i wszedł przez obszerną sień do wielkiej kuchni.

Pośrodku stał stół z kilkoma krzesłami, ogień buzował pod blachą. Było ciepło i przytulnie.

- Rozumiem, że tu możemy rozmawiać bez przeszkód - stwierdził.

- Owszem. Teren jest dobrze zabezpieczony.

Bez dwóch zdań. Niezależnie od wszystkiego, Wojtyński sam się o to postarał.

Usiadł. Pozostali również zajęli miejsca przy stole. Trzech na trzech, po dwóch stronach. Pośrodku, przykryta krzasiastą ceratą, pusta przestrzeń. Pomyślał, że powinni siedzieć razem.

- Słucham.

- Powiem szczerze. - Ponury zdjął płaszcz i położył go na oparciu krzesła. - Moi ludzie obserwują was od dłuższego czasu. Proszę się nie dziwić. Staram się być człowiekiem dobrze poinformowanym, a jestem odpowiedzialny za ten rejon. Wyniki obserwacji są... zastanawiające. Zasięgnąłem o was języka wyżej. Odpowiedź otrzymałem dużo szybciej, niż się spodziewałem, i to prosto z Komendy Głównej...

- I cóż to była za odpowiedź? - zapytał Wojtyński uprzejmym tonem.

Ponury spojrzał na niego uważnie i uśmiechnął się. Pytanie porucznika wybrzmiewało w izbie jeszcze przez kilka sekund.

- Wie pan, że nie tylko ja się wami interesuję? - raptownie zmienił temat.

Wojtyński siedział nieruchomo, wpatrując się w siedzącego naprzeciwko człowieka. Zastanawiał się, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Nie mówię o Niemcach. - Ponury zawiesił znacząco głos.

- A o kim?

Zamiast odpowiedzi, wyciągnął zza pazuchy pomietą kartkę papieru i rozłożył ją na stole. Była to połówka przedwojennej mapy sztabowej, niezwykle dokładnie przedstawiającej pewien fragment Gór Świętokrzyskich. Spojrzał porucznikowi prosto w oczy.

- Mówi panu coś nazwa Gołoborze Uroczysko?

Cios był niespodziewany i mocny. Na twarzy Wojtyńskiego, zwykle kamiennie spokojnej, przemknął wicher. Po sekundzie zgasł. Ale Ponury dostrzegł, że trafił.

- A konkretnie to miejsce? - Zakreślił wydobyłym z kieszeni ogryzkiem kopiowego ołówka niewielkie kółko pośrodku mapy.

- Nie. - Wojtyński wiedział, że przegrał. I zdawał sobie sprawę, że przeciwnik - czy może partner - zdaje sobie z tego sprawę. Pytanie tylko, co zrobić w tej sytuacji.

- Myślę, że pan dobrze wie, o czym mówię. Ma pan tam ulokowany w jaskini schowek ze sprytnie zamaskowanym wejściem. Duże wejście do tej jaskini zostało zawałone wybuchem. Tu obecny mój kolega jest specjalistą od materiałów wybuchowych, a ja także wiem coś niecoś na ten temat. Z boku, bardzo dobrze ukryte, jest małe wejście. Najprawdopodobniej zaminowane. Patrol złożony z kilku świetnie uzbrojonych żołnierzy odwiedza to miejsce codziennie.

Chociaż nie wymienił nawet połowy zabezpieczeń, Wojtyński był pełen podziwu dla wywiadowczej roboty Ponurego. Dyskretnej i skutecznej. Wziąwszy pod uwagę fakt, że ani Stańczak ze swoimi ludźmi, ani bezpośrednia ochrona do dziś nie zdawali sobie sprawy, że jedna z kryjówek jest obserwowana - bardzo dyskretnej i skutecznej.

Problem w tym, że w okolicy znajdowały się dwie kryjówki. Ta, o której mówił przedwojenny oficer policji, cichociemny, dowódca i organizator błyskotliwej akcji rozbicia więzienia w Pińsku i uwolnienia trzech towarzyszy broni, obecny komendant Kierownictwa Dywersji Okręgu Radomsko-Kieleckiego, porucznik Jan Piwnik, pseudonim Ponury, była niezwykle ważna. Kryła dużą ilość nowoczesnego sprzętu - na czele z czołgami twarde, kołowymi transporterami opancerzonymi rosomak, samobieżnym, dwulufowym moździerzem amos, zestawem przeciwlotniczym szyłka oraz sporymi zapasami broni piechoty - a także pewne urządzenie, które stanowić miało kartę rozgrywkową w nadchodzącej batalii o kształt powojennej Polski.

Jednak zawartość tego magazynu, jakkolwiek ważka, mogąca przechylić w pewnych szczęśliwych okolicznościach szalę zwycięstwa, bladła w porównaniu z zawartością następnej, znajdującej się kilka kilometrów dalej kryjówki. Miejsca, którego odkrycie z całą pewnością popchnęłoby losy drugiej wojny światowej na zupełnie nowe tory.

Jeżeli Ponury lub któryś z jego milczących do tej pory towarzyszy zdradzi, że w jakikolwiek sposób są poinformowani o istnieniu drugiego magazynu, Wojtyński będzie miał nie lada kłopot. Przeniesienie zawartości obu schowków stanie się nagłym, palącym priorytetem.

- To bardzo interesujące, co pan mówi. - Porucznik zdołał już ochłonąć. Odchylił się do tyłu, założył nogę na nogę. Dłonie położył na kolanach. - Ale jeżeli pan pozwoli, chciałbym wrócić do sprawy, o której pan wspomniał na początku naszej rozmowy. Cóż na nasz temat powiedziała panu Komenda Główna?

- To jest dopiero interesujące. - Ponury uśmiechnął się półgębkiem, choć oczy pozostały czujne. - Oficjalnie nikt nie potwierdza waszego istnienia. I równie oficjalnie dostałem rozkaz, żeby się wami nie interesować. Mam się nie interesować czymś, co nie istnieje. Nie przeszkadzać, nie pomagać, tak jakby was w ogóle nie było. Zagrożono mi, że jeżeli nadal będę węszył, zostanę odwołany ze stanowiska.

- No właśnie. A pan nie wykonał rozkazu.

- Owszem. - Głos nieznacznie, ale zauważalnie się zaostriął. Ponury wstał raptownie i zaczął przechadzać się po pokoju, zmuszając gości do ciągłego kręcenia głowami. - Nie wykonałem. Powiem panu dlaczego. Bo z obserwacji wynika, że jesteście zorganizowani i uzbrojeni tak, jak żaden oddział partyzancki na terenie Polski. Wyglądacie jak regularne wojsko, a wasze metody szkoleniowe są... - przez chwilę szukał właściwego słowa - nietypowe. Awangardowo nowoczesne, tak bym to ujął. Nie spotkałem się z takimi, choć, niech mi pan wierzy, przeszedłem wszechstronne wyszkolenie wojskowe. Lepsze niż wielu innych. Pan i pana ludzie potraficie zorganizować ćwiczenia tak, że Niemcy nie tylko o tym nie wiedzą, ale nawet nie mają pojęcia, że tak wielki oddział kręci się po okolicy. Zabezpieczacie się fachowo, a w terenie poruszacie się umiejętnie. A jednocześnie nie walczyacie, przynajmniej tu, na Kielecczyźnie. Z drugiej strony zewsząd słyszę o wielu tajemniczych akcjach, ot, gubernator Frank ginie od kuli, a strzelec rozplywa się bez śladu.

Wiem, że taki strzał musiał być oddany z bardzo daleka, bo Frank miał liczną ochronę i nie było łatwo się do niego dostać. Innym razem przed gmachem radomskiego gestapo wybucha ciężarówka z trotylem i cały budynek znika z powierzchni ziemi, a wraz z nim ponad trzystu funkcjonariuszy. W innych zamachach ginie sporo Niemców, i to wysokiego szczebla. I żadna z akowskich komórek się do tego nie przyznaje, choć oficjalnie wiadomo, że to robota AK. Widzi pan, mam sporo znajomych. Pytałem tu i tam. Nikt nic nie wie i każdy się zastanawia, co to może być. A ja, obserwując was, myślę sobie, że to wszystko może być waszą robotą.

- Czego pan chce? - zapytał Wojtyński, kiedy Ponury zamilkł, by zaczerpnąć tchu.

- Dochodzimy do sedna sprawy. Nie twierdzę, że skoro dotarłem do pana ja z moimi ludźmi, mogą dotrzeć i Niemcy. Albo inaczej, nasi wrogowie. Mam swoich informatorów w terenie, umiem się tu poruszać i wiem, co się dzieje. To prawda, szukaliśmy was długo, ale w końcu się udało. Mimo wszystko, skoro mogłem ja, może się zdarzyć i tak, że ktoś inny, nazwijmy to, nie tak życzliwie nastawiony, pana odnajdzie. I kryjówkę lub kryjówki.

- Wojtyński zeszytywniał. - Bo zakładam, że to, co wskazałem na tej mapie, to nie jedyny pana magazyn czy punkt bojowy. I będzie pan miał kłopoty.

Znowu zamilkł na dłuższą chwilę. Obie grupy asystencyjne - Jamróz i Stańczak z jednej strony i Nurt oraz Robot z drugiej - patrzyły na siebie w napięciu. Za pazuchami tkwiła broń. Cztery dłonie pozostały pod stołem, mocno ściskając wilgotne od potu rękojeści. Z odległości metra colt albo vis wyrzywa w ciele takie same dziury jak wist czy glock. Ale przynajmniej jedna ze stron zdawała sobie sprawę, że strzelanina byłaby absurdem.

- A więc? - przynaglił Ponurego Wojtyński. Dostrzegał wręcz komiczną nienaturalność tej sytuacji.

- Zakładam, że walczymy po tej samej stronie, z tym samym wrogiem. Mogę zapewnić, że poza naszą trójką nikt o panu nie wie, a przynajmniej nie ma całościowego obrazu sytuacji. I tak pozostanie. Otoczę dodatkową ochroną działania pańskich ludzi na tym terenie, nie będę się wtrącał. I nikt z moich podwładnych nie będzie się

wami interesował, a mogę zapewnić, że moi ludzie słuchają moich rozkazów. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Może pan liczyć na pomoc w razie konieczności. Przekażę panu dane osoby, która za wami węszy.

- A w zamian?

- Widzę, że jest pan człowiekiem konkretnym. To bardzo dobrze. Moja prośba jest prosta. Wiem, że macie spore możliwości organizacyjne. Chcę broń i wyposażenie dla stu ludzi.

Wojtyński roześmiał się głośno. Tylko ktoś, kto go dobrze znał, wiedział, że śmiechem zamaskował wielkie westchnienie ulgi.

- Tak z ciekawości... jak pan mnie znalazł? - mruknął.

Tym razem to Ponury zaśmiał się filuternie. Atmosfera wyraźnie się rozluźniła.

- Nie chcę usprawiedliwiać nieuwagi pana żołnierzy - powiedział w końcu z wyraźną nutką przekory i satysfakcji - ale utrudniliśmy im zadanie. Znamy dobrze teren i bardzo staraliśmy się, aby nas nie zauważyli. A obserwacja tak wielkiego zgrupowania, i to w dobrze znanym lesie, nie jest w końcu taka trudna, jak się wie, czego szukać, i umie się to robić. I niech pan się nie obawia, Niemcy nie mają takich możliwości.

Wojtyński skinął głową, aby pokazać, że docenia podsuwane mu honorowe wyjście, ale wiedział swoje.

- Winni zaniedbań zostaną ukarani - odparł. - Dziękujemy za zaproszenie. Będziemy się zbierać. Wiem, że wybiera się pan do Warszawy. Dziś mamy siedemnastego. Proszę dwudziestego przed południem, powiedzmy o jedenastej, zadzwonić pod ten numer - wyjął z kieszeni kartkę papieru, ołówek i napisał pięć cyfr - i zapytać o wujka Henryka.

- Rozumiem, że przyjmuje pan moją propozycję?

- Nie nazwałbym tego propozycją. Przystawia mi pan pistolet do głowy. Raczej nie lubię takich sytuacji. Ale w tym przypadku wierzę w pana dobre intencje i wiem, że ma pan ambitne plany zaktywizowania tego rejonu. Postaram się pomóc.

- Dziękuję. A mapę proszę zabrać. Już o niej zapomniałem. Tak jak i o całej sprawie.

Wojtyński kiwnął głową, złożył arkusz na pół i wsadził za pazuchę. Wstał, puścił asystujących mu oficerów przodem, ucisnął dłonie trójki gospodarzy, spojrzał jeszcze raz Ponuremu w oczy i wyszedł w ciemną, kwietniową noc.

11

Porucznik Andrzej Zellman, dowódca plutonu ochronnego Obiektu Numer Dwa, nudził się. Nudził się piekielnie i w całej rozciągłości, nuda oblepiała niemal całe jego służbowe życie. Niemal - bo w chwilach wolnych od obowiązków służbowych porucznik oddawał się marzeniom.

O powrocie do domu, jak wszyscy. To znaczy, oczywiście, wszyscy stamtąd. Zauważył, że od pewnego czasu starannie unikali rozmów na ten temat, instynktownie czując, że jest to obszar zaminowany, a najdłuższa nawet dyskusja nie rozwiąże podstawowego problemu, którym był brak możliwości powrotu. Gdy ktoś zaczynał mówić o jakimkolwiek, nawet mało istotnym zdarzeniu stamtąd, był natychmiast w ostry sposób przywoływany do porządku. Zellman musiał nawet pewnego razu rozdzielać dwóch kaprali ze swojego plutonu. Gdyby o sekundę spóźnił się z interwencją, najprawdopodobniej połałaby się krew.

Ale to, że nie gadali, nie znaczy, że nie marzyli. On tak robił i wiedział, że wszyscy inni robili to samo, jednocześnie starając się sumiennie wykonywać codzienne obowiązki.

I tu trafiali na nudę.

Nuda - rodzona siostra rutyny. Nieodłączny składnik codziennie powtarzanych czynności, wykonywanych w tej samej kolejności, o tej samej godzinie. Obchód stanowisk, odprawa z dowódcami drużyn, sprawdzenie systemów alarmowych, minerskich i łączności, rozmowa z szefem produkcji, wysłuchanie raportu dotyczącego planowanych transportów, sporządzenie własnego raportu do dowództwa. To samo. Codziennie. Tydzień za tygodniem.

Gdy niespełna dwa miesiące temu otrzymywał dowództwo plutonu ochrony, potraktował to jako wyróżnienie, a także swego rodzaju ucieczkę od szarpiących nerwy akcji, ciągłych szkoleń, monotonnych obserwacji. Od cholernej huśtawki nastrojów. Ale początkowy entuzjazm szybko ustąpił miejsca znużeniu. Czasami próbował sobie przypomnieć powody, dla których cieszył się z tej nominacji, i nic nie przychodziło mu do głowy. Zamienił życie aktywne na rutynowe, akcję na nudę, adrenalinę na ciągłą senność.

Sprawy nie ułatwiał sposób, w jaki traktowali go własni żołnierze.

Wszystkie drużyny plutonu dowodzone były przez dawnych operatorów GROM-u. Również poprzedni dowódcy zmiany pochodzili z tej formacji. A gromiarze mieli zwyczaj, może nie do końca przez nich samych uświadomiony i nie do końca celowo wprowadzany w życie, traktowania kolegów spoza ich kręgu nieco protekcyjnie. Z dyskretną, ale zauważalną wyższością.

Zellman nie miał nic wspólnego z siłami specjalnymi. Z wykształcenia był specjalistą od konstrukcji mostowych, we wrześniu trzydziestego dziewiątego dowodził plutonem saperów i podlegał Stańczakowi. Po rozpoczęciu nowego życia w szeregach akowskiej konspiracji, kiedy batalion właściwie tworzył się na nowo, zgłosił Wojtyńskiemu chęć przejścia do „oddziałów bojowych”, jak to nazwał. Saperskie obowiązki z ulgą scedował na sierżanta Gintowta, dowódcę pierwszej drużyny w swoim plutonie. Gintowt, ucieszony zresztą takim obrotem sprawy, zdążył od tamtego czasu awansować na podporucznika i z wielką ochotą dowodził batalionowym plutonem saperów, a także prowadził szkolenia dla kolejnych grup entuzjastycznej, akowskiej młodzieży. („Wybuchamy, wybuchamy - zwykły był mawiać, gdy spoceni z wrażenia adepci odpalali pierwsze próbne ładunki, usiłując wysadzić w powietrze obiekt treningowy. - Bo jak my ich nie wybuchniemy, to one nas wybuchną”).

Wraz z pierwszym rocznikiem akowskiego narybku Zellman odbył mordercze szkolenie według specjalnie opracowanego przez Wojtyńskiego programu, zdał egzamin i dołączył do pierwszej kompanii, gdzie objął dowództwo trzeciego plutonu. Wydawało się, że marzenia się spełniły, o ile szczytem marzeń było uczestnictwo w walce z Niemcami, których znało się przedtem z filmów i literatury. W czwartym roku wojny jednak, pomimo uczestnictwa w kilkunastu akcjach bojowych, a także mimo wyróżnień i pochwał, na które podczas tych akcji zasłużył, a może właśnie z tego powodu, znowu zamarzył o zmianie trybu życia, czując, że nerwy ma w strzępach, coraz mniej może liczyć na siebie i, co gorsza, koledzy coraz mniej mogą liczyć na niego. Poprosił o przeniesienie, został wycofany z linii, a po miesiącu objął funkcję szefa plutonu ochrony Obiektu Numer Dwa. Czuł się wyróżniony. Szybko okazało się, że funkcja ta, choć wymagała ogromnej czujności i nieustannego zwracania uwagi na najmniejsze nawet szczegóły, była w gruncie rzeczy rutynowa i powodowała, że człowieka szybko opanowywało zniechęcenie. Sprawdzał posterunki, kontrolował stan amunicji i pola ostrzału - te dwie ostatnie kwestie najzupełniej zbędnie, ponieważ zostały już dawno zaplanowane i zorganizowane - utrzymywał łączność, pisał raporty. Poznanie wszystkich aspektów nowej funkcji zajęło Zellmanowi dwa tygodnie i na tyle mniej więcej starczyło zapалу. Zmiana natomiast trwać miała trzy miesiące, taki bowiem system rotacji obowiązywał w batalionie.

Więc teraz, w drugim miesiącu szczyty, uwięziony wśród zabudowań Obiektu Numer Dwa, nudził się. Myślał o swoim życiu i o tym, że tęskni do rodziny, czasami tak bardzo, że budził się w nocy zlany potem i krzyczał coś niezrozumiale. Chwilami opanowywała go rozpacz. Próbował sobie racjonalnie wytłumaczyć sytuację, przemówić do rozsądku, ale najczęściej brakowało mu sił. Powrót do domu, nierealny i nieosiągalny niczym lot na Marsa, był tak bardzo upragniony, że sprawiał ból.

Zellman mienił się jednak człowiekiem obowiązkowym i profesjonalistą w wojskowym fachu, starał się więc, by rozterki nie wpływały na obniżenie sprawności bojowej i jego, i plutonu. Miał w oddziale kilkunastu żołnierzy stąd i gdy obserwował u tych ludzi entuzjazm, ochotę do walki i skłonność do bezinteresownych poświęceń, łapał się na tym, że myśli o swoich obowiązkach zupełnie inaczej niż dotychczas i inaczej traktuje rzeczywistość dookoła. Uczepił się tej myśli i zaczął ją pielęgnować.

Nadal czuł się źle, ale w końcu doszedł do wniosku, że on, człowiek z roku dwa tysiące siódmego, któremu kiedyś wydawało się, że nie może obyć się bez różnych zdobyczy cywilizacji, i to bynajmniej nie tylko z zakresu elektroniki użytkowej, odnalazł sens egzystencji w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim, jednym z najbardziej ponurych okresów w historii ludu zamieszkującego obszar między Tatrami a Bałtykiem.

Ta konstatacja nadała jakiś sens jego życiu, zaoferowała motyw do działania i walki. Nie przyszło mu do głowy, że nowe spojrzenie na życie jest tylko zasłoną dymną, rozpaczliwą próbą dopasowania odczuć do rzeczywistości, próbą w dłuższej perspektywie skazaną na niepowodzenie. Nie wiedział, że pancerzyk pozorów jest cieniutki jak włos, wystarczy drobny impuls, by zniknął bez śladu.

Kilka tygodni po objęciu dowództwa plutonu ochronnego wydarzyło się coś, co spowodowało, że zaczął jeszcze częściej myśleć o tym, co tu i teraz. Rozkazem Wojtyńskiego do ochrony Obiektu Numer Dwa przydzielonych zostało kilka dziewcząt z plutonu kobiecego, z drużyny wywiadowczo-obszerwacyjnej. Były dowodzone przez szefową drużyny Marię i odpowiadały za tak zwaną obserwację taktyczną, czyli patrolowanie ulic przylegających i sąsiadujących z fabryką z zadaniem namierzania oraz identyfikowania agentów i konfidentów gestapo. Utrzymywanie bieżących kontaktów z sekcją wywiadowczą leżało w zakresie służbowych obowiązków porucznika Zellmana.

Maria miała dwadzieścia trzy lata, trzy pełne sezony w konspiracji, rok doświadczenia w batalionie. Koleżanki patrzyły na nią jak na świętą. Rozsądna i odważna, miała do swoich podopiecznych rzeczowy, nacechowany opiekunczością stosunek, wyraźnie zresztą wzorowany na postępowaniu swojej szefowej Wali.

Była także niezwykle podobna do hollywoodzkiej gwiazdy Rity Hayworth.

Zellman błyskawicznie odkrył, że jest to jego ulubiony typ urody, a kilkakrotna wymiana zdań z tą niezwykłą dziewczyną spowodowała, że w piersi porucznika serce biło jak oszalałe, pociły mu się dłonie, a w brzuchu czuł intensywne łaskotanie.

Maria poszła mu do głowy niczym najlepsze francuskie wino.

12

Hauptsturmführer Alfred Spilker, szef Sonderkommando IV A, wydzielonej, niepodlegającej warszawskiemu dowództwu gestapo specjalnej komórki niemieckich sił bezpieczeństwa, powołanej do zwalczania centralnych ogniw polskiego podziemia, siedział w swoim gabinecie i czytał najświeższy raport omawiający wyniki śledztwa dotyczącego zamachu na gubernatora Franka w grudniu ubiegłego roku. Choć nie był bezpośrednio odpowiedzialny za złapanie sprawców, okoliczności zamachu bardzo go interesowały, od dłuższego czasu tropił bowiem nieuchwytną grupę znakomicie wyszkolonych i głęboko zakonspirowanych terrorystów, którzy w

sposób bardzo dotkliwy dawali się Niemcom we znaki, poczynawszy od września trzydziestego dziewiątego roku. Raport wskazywał, dla Spilker'a bez żadnych wątpliwości, że za zamachem stała właśnie ta grupa. Jej działania - nie tylko ten bezczelny i zbrodniczy akt terroru, którym było zabicie najwyższego rangą przedstawiciela Wielkiej Rzeszy w Generalnym Gubernatorstwie, ale w ogóle jej działania - powodowały, że choć kampania jesienna zakończyła się zwycięstwem, władza Niemców była słaba i chwiejna. Jak na gust Hauptsturmführera - zbyt słaba i chwiejna. Każdy bardziej energiczny ruch władz okupacyjnych spotykał się z niezwykle ostrą i zdecydowaną reakcją podziemia.

Toteż władze odpowiedzialne za porządek i bezpieczeństwo na nowo pozyskanych terytoriach stawiały na głowie, by zlikwidować przyczyny tego stanu rzeczy.

Analizując historię klęski korpusu Hoepnera we wrześniu trzydziestego dziewiątego, siły bezpieczeństwa oraz wywiad szybko ustaliły, że sprawcą całego zamieszania jest niezbyt liczna, ale wyszkolona i uzbrojona według nieznanych standardów grupa przybyszów z przyszłości. Pojawienie się w szeregach Niemców renegata z owej grupy, kaprała Stanisława Cuprysia, pozwoliło precyzyjnie odtworzyć historię powstania oddziału, a także przebieg działań bojowych, widzianych niejako od drugiej strony. Niestety, w wyniku splotu niefortunnych okoliczności nieproszeni goście zostali pozbawieni możliwości powrotu do domu i Spilker nieraz żałował tego faktu.

Zrobiliby, co mieli zrobić, i wrócili do siebie, zostawiając prowadzenie wojny ludziom urodzonym według chronologicznego porządku. Co gorsza, podjęli decyzję o kontynuowaniu działań, bardzo dotkliwie dając się Niemcom we znaki. Pomimo dokładnego zinfiltrowania środowisk akowskiej konspiracji i pomocy Cuprysia, Spilkerowi do dziś nie udało się wpaść na trop kogokolwiek z tej niezwyklej grupy, Oddziału, jak go w myślach nazywał. Choć walka z tymi ludźmi stała się motywem przewodnim pracy Hauptsturmführera i czymś w rodzaju *idée fixe*, rezultaty były jak dotąd bliskie zeru. Zresztą, w odróżnieniu od szefa policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa dystryktu warszawskiego Sturmbannführera dra Ludwiga Hahna, który z niezrozumiałych powodów ufał Cuprysiowi bezgranicznie, Spilker podejrzewał, że ten mały polski cwaniaczek gra ze swoimi nowymi mocodawcami w jakąś grę o niejasnych regułach i nie angażuje się specjalnie w akcję zlikwidowania niebezpieczeństwa czyhającego ze strony jego dawnych towarzyszy broni.

Niemniej jednak, mimo braku spektakularnych sukcesów, mimo iż nie udało się do tej pory złapać nikogo z członków Oddziału, dzięki mozolnemu trudowi wielu ludzi, z fragmentów różnych informacji wyłaniał się w miarę spójny obraz.

Grupa tych bandytów, wraz ze swoim dowódcą, nie była w żadnym stopniu powiązana ze strukturami akowskimi. Obowiązywał ścisły rozdział obu organizacji. Żaden z informatorów Spilker'a nigdy nie spotkał nikogo, komu znany byłby członek Oddziału. Jako że inkryminowani żołnierze byli przybyszami z przyszłości, niemożliwe było również dotarcie do nich przez rodziny, bo rodzice tych ludzi w większości nie pojawili się jeszcze na świecie, a dziadkowie byli ludźmi trzydziestoletnimi, rzecz jasna niemającymi bladego pojęcia o nieistniejących wnukach. Zaordynowana tytułem eksperymentu inwigilacja kilku wskazanych przez Cuprysia rodzin potwierdzała fakt, którego istnienie Spilker, znając już trochę swoich wrogów, podejrzewał od początku: nikt się ze swoimi bliskimi nie kontaktował. Spilkerowi wpadła nawet do głowy przelotna myśl, że gdyby kazał zlikwidować tychże dziadków, rodzice żołnierzy Oddziału nigdy by się nie narodzili, a co za tym idzie, nie byłoby także tych przeklętych i niechcianych przybyszów z przyszłości. Wykonano kilka egzekucji, ale żadnych

zauważalnych skutków to nie przyniosło i Hauptsturmführer zaniechał tej metody, od początku zresztą nie mając do niej przekonania.

Pewna nadzieja na przełom w śledztwie pojawiła się niedawno, wraz z wychwyceniem przez agentów Spilkera krążącej po warszawskich strukturach AK pogłoski, że dowódca Oddziału zarządził w ramach uzupełnień kadrowych rekrutację nowych żołnierzy spośród ludzi urodzonych w latach dwudziestych. Ci młodzi mężczyźni z oczywistych względów funkcjonowali w konkretnym otoczeniu społecznym, mieli rodziny, znajomych, gdzieś pracowali czy uczyli się. Pojawiła się zatem możliwość znalezienia w ich otoczeniu kogoś, kto za garść srebrników, ze strachu lub z obu tych powodów naraz, zdecyduje się współpracować z Niemcami. Hauptsturmführer bardzo na to liczył. Zarządził skierowanie śledztwa na nowe tory, puścił tropem nowych żołnierzy Oddziału najlepszych wywiadowców. Rezultatów nie należało się jednak spodziewać zbyt szybko.

Dowódca Oddziału bardzo dbał o utrzymanie incognito swych ludzi. W akcjach bojowych używano wyłącznie broni alianckiej bądź niemieckiej, więc ewentualne zdobycze sprzętowe do niczego nie prowadziły i nie pomagały w rozwiązywaniu żadnej z zagadek. W kilku starciach z szybko reagującymi siłami bezpieczeństwa strona przeciwna miała rannych. Parę razy wydawało się, że sukces jest blisko. Polacy zdołali jednak rannych ewakuować, a w kilku przypadkach, gdy okazało się to niemożliwe, dobito ich strzałem w głowę. Członkowie Oddziału nie dość, że górowali wyszkoleniem, taktyką, technikami łączności i sposobami pozyskiwania informacji, to jeszcze byli gotowi na wszystko. Działali jak maszyny. Jednak raport, który Spilker trzymał przed sobą, nareszcie zdawał się obiecywać przełom.

Hauptsturmführer nie miał żadnych wątpliwości, że zamach na gubernatora był dziełem żołnierzy Oddziału. Frank zginął od pojedynczego strzału w głowę. Śledztwo wykazało, że snajper znajdował się w odległości dziewięciuset metrów od celu i strzelał z karabinu o kalibrze dwanaście i siedem dziesiątych milimetra. Kula bowiem, po roztrzaskaniu czaszki byłego ministra sprawiedliwości Rzeszy niczym dojrzałego arbuza, przeleciała jeszcze pięćdziesiąt metrów i wbiła się w ścianę jednej z kamienic otaczających krakowski rynek, po czym została znaleziona przez uważnych śledczych i poddana analizie.

Snajper oczywiście rozplątał się w powietrzu, nie pozostawiając żadnych śladów. Ale kula, okazało się, stanowiła klucz. Inny raport bowiem, sprzed dosłownie dwóch dni, donosił o pewnym interesującym fakcie. Wywiadowca odpowiedzialny za wykrycie źródeł zaopatrzenia Oddziału otrzymał od swojego informatora wiadomość o dużej partii amunicji tego właśnie kalibru, która opuściła tydzień temu pewien dobrze strzeżony magazyn. Składowano w nim broń i amunicję zdobytą w ogromnych ilościach na froncie wschodnim, zwłaszcza w początkowym okresie wojny niemiecko-sowieckiej, przeważnie o nietypowych parametrach, a używaną na przykład przez oddziały obrony przeciwlotniczej w GG. Pewnego dnia pod rampę załadowniczą podjechał typowy samochód ciężarowy, kierowca wylegitymował się strażnikom, po czym przedstawił niebudzące wątpliwości dokumenty, na czele z rozkazem wydania dwudziestu tysięcy sztuk naboju kalibru dwanaście i siedem, podpisanego przez dowódcę Oberfeldkommandantur Dystryktu Warszawskiego. Papiery były autentyczne, skrzynie załadowano i ciężarówka odjechała.

Zanotowany przez informatora numer rejestracyjny ciężarówki wskazywał, że auto należy do pewnego przedsiębiorstwa transportowego świadczącego usługi na rzecz wysiłku wojennego Trzeciej Rzeszy. Szybkie śledztwo wykazało, że firma owa nie istnieje, a podani w rejestrze właściciele zmarli grubo przed wojną. Trop okazał się ślepy, a przez to niezwykle interesujący.

Wywiadowca otrzymał polecenie śledzenia ciężarówki przy okazji następnego transportu, który w istocie nastąpił po około dwóch tygodniach. Sukces był połowiczny. Kierowca przez całą drogę utrzymywał kurs prosto na Warszawę, jednak po minięciu rogatek zaczął kluczyć i mylić tropy. Samochód wywiadowcy trzymał się blisko, lecz w końcu i tak, po różnych manewrach, ciężarówka zniknęła w zakamarkach krętych i wąskich uliczek robotniczej Woli. Agenci zaczęli przeczesywać ten rejon, nie znaleźli jednak niczego konkretnego. Ślad urywał się. Magazyn został objęty ścisłą obserwacją, lecz nikt nie miał złudzeń: Polacy zorientowali się w zagrożeniu i trudno było liczyć na to, by samochód pojawił się ponownie.

Spilker spojrzał na wiszący na ścianie portret Führera i zaczął postukiwać palcami o blat biurka.

Budynek, w którym mieściła się siedziba Sonderkommanda, już dawno opustoszał. Ulice również były jak wymarłe. Godzina policyjna wygoniła ludzi do domów, nie jeździły samochody, od czasu do czasu przemknął tylko daleki, nocny tramwaj albo zastukały o bruk podkute buty patrolu. Toteż cisza wydawała się głęboka, idealnie sprzyjająca namysłowi i skupieniu.

Dzwonek telefonu wyrwał Hauptsturmführera z zadumy.

- Spilker - rzucił do słuchawki.

Słuchał chwilę, po czym jego surowa, przystojna twarz wypogodziła się. Jeszcze przed chwilą miał wrażenie, że elementy skomplikowanego procesu wykrycia i likwidacji Oddziału powoli zaczęły się zazębiać. Teraz zmienił zdanie.

Proces przyspieszył niczym wyścigowy samochód.

- Już schodzę - powiedział.

13

Huk motorów liberatora był monotony, drażniący i wcale nie koił do snu, co prorokowali przed startem bardziej doświadczeni podwładni. Generał Morgan Travis denerwował się i nawet nie próbował tego ukryć. Jego doświadczenie spadochronowe było mizerne: kilkanaście skoków treningowych, z tego tylko dwa nocne, z których zresztą jeden omal nie zakończył się tragicznie - pierwszy spadochron nie otworzył się, spanikowany generał walczył z linkami przez dłuższą, pełną grozy i buzującej we krwi adrenaliny chwilę, i dosłownie w ostatnim momencie udało mu się otworzyć spadochron zapasowy. Wszystko to nie napawało optymizmem przed mającym za chwilę nastąpić pierwszym skokiem bojowym, na terytorium zajęte przez wroga, w nocy, w kompletnie obcym kraju. Od dawna nie był już agentem terenowym, od wielu lat dowodził zza biurka, zresztą skutecznie i kompetentnie.

Zanotował na swoim koncie szereg spektakularnych sukcesów, a wszystkie większe porażki udało się szczęśliwie i dyskretnie zamieść pod dywan.

Teraz jednak sytuacja była zupełnie wyjątkowa. Dwa i pół roku temu generał został włączony do operacji mającej szansę na całkowite odwrócenie losów drugiej wojny światowej. Jako że motywacja jego przełożonych wzmogła się gwałtownie - wraz z wyrzutami sumienia i poczuciem winy - po Pearl Harbour i wypowiedzeniu Stanom Zjednoczonym wojny przez Niemcy, operacja osiągnęła rangę priorytetu, a wraz z rozwojem działań wojennych i uzyskiwaniem pełnego obrazu sytuacji otrzymała status Operacji Numer Jeden. Jego szefowie obudzili się jednak za późno. Dwa miesiące po Pearl zostali odwołani ze stanowisk, a Travis zyskał nowego przełożonego.

Nazywał się Franklin Delano Roosevelt i pełnił funkcję prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Travis, który wcześniej miał tylko fragmentaryczną i niepełną wiedzę, zyskał od tej chwili swobodny dostęp do akt i pełnię władzy. Mógł zatem wyrobić sobie spójny obraz sytuacji i zacząć planować dalsze kroki.

Mleko jednak, w dużej mierze, już się rozlało.

Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego roku do jednego z terenowych oddziałów wywiadu, znanego wtedy pod nazwą Koordynacji Informacyjnej, przemianowanej następnie na Biuro Służb Strategicznych (OSS), zgłosiła się pewna kobieta. Była piękna i niezwykle stanowcza. Zażądała spotkania z szefem „firmy”. Odmówiono jej. Nalegała. Spotkał się z nią niski rangą oficer i próbował zbyć, jednak kilka wypowiedzianych przez tę kobietę zdań powtórzył swemu przełożonemu. Ten przekazał informację dalej. W końcu raport, niejasny i chaotyczny, dotarł na biurko szefa wywiadu. Stwierdzenia wypowiedziane przez nieznajomą były na tyle intrygujące, że szef polecił zorganizować spotkanie. Kobieta przedstawiła się jako Nancy Sanchez, kapitan Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych przybyła z przyszłości, z roku dwa tysiące siódmego. Szef wywiadu początkowo nie przerywał jej, traktując tę opowieść jako kolejną wariację na temat niedawnego słuchowiska radiowego o lądowaniu na Ziemi przybyszów z Marsa. Jednak pewność siebie, żelazna logika przedstawianych faktów oraz rozległa wiedza Nancy Sanchez z zakresu taktyki walki - wiedza i terminologia niejednokrotnie dla tego doświadczonego oficera kompletnie niezrozumiała - powoli skruszyły jego sceptyczny stosunek do tematu. Na zakończenie rozmowy kapitan Sanchez położyła na stole niewielkie urządzenie.

- To jest telefon komórkowy wyprodukowany w roku dwa tysiące szóstym przez firmę Motorola - powiedziała. - Rzecz w moich czasach najzupełniej powszechna i łatwo dostępna. Każdy obywatel ma taki. Teraz nie działa, ponieważ w obecnych czasach brak do niego koniecznej infrastruktury. Zastosowane technologie zostaną stworzone dopiero za sześćdziesiąt lat. Ale niech go pan przekaże do zbadania specjalistom z zakresu elektroniki. Jeżeli ci ludzie nie biorą pensji za darmo, powinni potwierdzić moje słowa.

Szybko jej uwierzono i zaczęto bardzo uważnie słuchać tego, co ma do powiedzenia.

Szczegółowe, ciągnące się po dwie, trzy godziny dziennie przesłuchania trwały ponad dwa miesiące. W ich trakcie kapitan Sanchez wskazała miejsce pobytu pozostałych członków grupy ochrony i obsługi MDS-a.

Operacja pozyskiwania informacji od tych niezwykle gości została oznaczona najwyższym gryfem tajności. Nikt, poza wąskim kręgiem najwyższych oficerów wywiadu, nie miał dostępu do kapitan Sanchez ani jej ludzi. Grupa, mieszkająca w normalnych warunkach, czego Sanchez wyraźnie zażądała już na początku współpracy („żadnych koszar, żadnego zamknięcia - powiedziała - my i tak mamy dostatecznie dużo obciążeń z powodu utraty, pewnie na zawsze, domów i bliskich”), została otoczona ścisłą ochroną i wzięta pod obserwację.

Przybysze z przyszłości przekazali funkcjonariuszom Koordynacji całą dostępną wiedzę techniczną. Rychło okazało się, że obie strony stanęły przed trudnościami niemal nie do rozwiązania. Bardzo wiele zagadnień było dla ludzi z lat czterdziestych całkowicie niezrozumiałych, natomiast przybysze z dwudziestego pierwszego wieku nie umieli zapełnić brakującej przestrzeni pomiędzy różnymi rozwiązaniami. Brakowało kilkunastu ogniw łańcucha technologicznego i żadna ze stron nie dysponowała odpowiednią wiedzą, by ten łańcuch połączyć.

Pomimo to prace prowadzone z podziwu godnym uporem trwały dalej.

Już po pierwszych spotkaniach z kapitan Sanchez - w każdym razie po pierwszych spotkaniach, na których zaczęto jej opowieści traktować poważnie - nie ulegało wątpliwości, że pozostałe w Polsce resztki systemu MDS muszą zostać niezwłocznie przetransportowane do Stanów. Czy uda się zaprząć te technologie do

amerykańskiego rydwanu wojny, czy się nie uda, to zupełnie inna sprawa, ale nie można było dopuścić, by cokolwiek wpadło w ręce Niemców lub Sowietów.

Toteż, chociaż pomiędzy USA a Niemcami formalnie panował pokój i planowana operacja mogła w razie wpadki poważnie zaburzyć wzajemne stosunki, wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Koordynacja wysłała do Polski misję złożoną z kilkunastu doświadczonych agentów, mających za zadanie odnalezienie i ewakuację wszystkich pozostałych elementów systemu MDS. Wyprawa zakończyła się całkowitym fiaskiem, bowiem kryjówka opisana przez kapitan Sanchez okazała się pusta. Pomimo usilnych poszukiwań, agentom nie udało się wpaść na ślad ani emitera, ani ludzi, którzy go ukryli. Tak więc wywiad amerykański zanotował na swoim koncie pierwszą porażkę w tej rozgrywce. Drugą, znacznie boleśniejszą, okazał się siódmy grudnia czterdziestego pierwszego roku. Miejsce akcji: Pearl Harbor, baza Floty Pacyfiku. Rezultat: strata wszystkich lotniskowców i połowy pancerników.

Dlaczego do tego doszło? Dlaczego ludzie dysponujący wiedzą o przyszłych wydarzeniach nie zapobiegli najbardziej upokarzającej klęsce sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w historii? Fakt ten można łatwo wytłumaczyć.

Wśród grupy przybyszów z przyszłości znajdowali się zawodowi żołnierze, elektronicy, informatycy, mechanicy i wielu innych specjalistów, ale żaden nie znał historii na tyle, aby w sposób kompleksowy naświetlić partnerom przebieg wojny. Oczywiście każdy z przybyszów słyszał o pewnych kluczowych datach, jak na przykład siódmego grudnia czterdziestego pierwszego roku, i umiał z grubsza podać podstawowe fakty, ale wiedza ta, złożona z oderwanych od siebie obrazów i epizodów, była fragmentaryczna, nieuporządkowana i bez żadnej gwarancji jakości. Ludzie ci najwyraźniej niezbyt uważali na lekcjach historii w swoich macierzystych czasach.

Pomimo najszczerzych chęci nikomu nie udało się przypomnieć żadnych informacji na temat sowieckich szpiegów w otoczeniu prezydenta Roosevelta, kolejności japońskich agresji, planów wojennych Niemiec czy zakulisowych knowań wywiadów. Zaangażowani w operację oficerowie Koordynacji łamali sobie głowy nad ułożeniem z tego konglomeratu możliwie prawdopodobnego scenariusza wydarzeń.

Suma niewiedzy daje jednak pewną wiedzę i w końcu udało się stworzyć w miarę spójny obraz sytuacji, bez żadnej gwarancji, że jest on właściwy.

Próby przebicia się do polityków z powstałym w wyniku tych działań raportem nieoczekiwanie uderzyły w mur. Jako że operacja była całkowicie tajna, a Koordynacja z oczywistych względów nie chciała zdradzać swoich źródeł informacji, uwikłani w bieżące rozgrywki decydenci nie dawali wiary rewelacjom. Silna i niezwykle wpływowa frakcja izolacjonistów wysuwała argumenty przeciwko udziałowi w wojnie, narastającą agresywność Niemiec i Japonii tłumacząc na wszystkie korzystne ze swojego punktu widzenia sposoby. Opinia publiczna chętnie nadstawiała ucha takim argumentom, mając w pamięci ofiary pierwszej wojny światowej. Prezydent wahał się. W końcu wywiadowi udało się skłonić go do przesłania Japonii kilku stanowczych ostrzeżeń oraz wydania rozkazu postawienia Floty Pacyfiku w stan najwyższej gotowości. Lotniskowce i pancerniki wypłynęły z Pearl na dzień przed spodziewanym atakiem, a na spotkanie japońskich lotniskowców dowodzonych przez admirała Nagumo popłynęła flotylla okrętów podwodnych. Problem polegał na tym, iż Amerykanie nie chcieli być postrzegani jako agresorzy, nie mogli więc zaatakować pierwsi. Zmuszeni zostali niejako do przyjęcia uderzenia, aby dopiero wtedy przystąpić do kontrataku.

Japończycy zaatakowali pustą bazę - wszystko, co wartościowe, wypłynęło wcześniej w morze - ponieśli pewne straty w wyniku przeciwdziałania amerykańskich myśliwców i wrócili na pokłady macierzystych jednostek z niczym. Godzinę później japoński samolot zwiadowczy wykrył flotę amerykańską płynącą kursem na wschód, niecałe sto mil od Hawajów. Wściekły i zawiedziony Nagumo błyskawicznie zmienił plan działań i wydał rozkaz startu wszystkim stojącym do dyspozycji samolotom torpedowym i bombowcom nurkującym. W tym czasie admirał Kimmel, osobiście dowodzący flotą amerykańską, usilnie poszukiwał okrętów japońskich. W końcu, po szarpiącym nerwy oczekiwaniu, jednemu z okrętów podwodnych płynących na spotkanie Japończyków udało się namierzyć wrogą formację. Kimmel rozkazał poderwać samoloty i przygotować się do jednoczesnego uderzenia okrętom podwodnym.

Zabrakło może trzech minut. Amerykańskie bombowce już rozgrzewały silniki, kiedy nad lotniskowcami pojawiła się armada licząca blisko trzysta maszyn z czerwonymi kołami na skrzydłach. Zaatakowała według wielokrotnie trenowanych schematów - w owym czasie japońscy piloci, szkoleni w legendarnej Zatoce Mgieł, należeli do absolutnej czołówki w swoim fachu na świecie - jednocześnie wszystkie trzy lotniskowce Kimmela. Skutkiem zmasowanego nalotu było zatopienie dwóch z nich i ciężkie uszkodzenia trzeciego, który zresztą zatonął kilka godzin później. Na dno poszedł także jeden z pancerników, a dwa następne zostały tak uszkodzone, że zdołały dopłynąć co prawda do portu, ale przez blisko rok nie nadawały się do walki.

Admirał Kimmel zginął śmiercią marynarza, idąc na dno wraz z flagowym lotniskowcem „Enterprise”. W wyniku spóźnionego ataku amerykańskiego okrętu podwodnego jeden japoński lotniskowiec został trafiony torpedą i uszkodzony. Niszczycielom eskorty wytopnienie i zatopienie napastnika zajęło niecały kwadrans.

Kłeska Amerykanów była zupełna. Rdzeń Floty Pacyfiku - lotniskowce - został przetrącony znacznie bardziej dotkliwie, niżby wynikało z opowieści kapitan Sanchez. Czas pancerników skończył się bowiem, nadchodziła era lotniskowców, co Amerykanie, pozbawieni na Pacyfiku swego lotniczego żądła, rychło odczuli bardzo boleśnie.

Gdy kurz opadł, Roosevelt zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, nie doceniając informacji wywiadu. Nie mógł pozwolić, by w dalszym ciągu nad twardymi faktami górę brała polityka. Prezydent jako pierwszy doszedł do wniosku, że musi zmienić sposób działania. Ze struktur Koordynacji wydzielił operację „Przyszłość” (tak nazwano całość działań związanych z ludźmi i technologią z przyszłości, w tym z emiterym pola siłowego). Na jej czele postawił energicznego i doświadczonego generała Morgana Trávisa, nadał mu rozległe kompetencje, przydzielił nieograniczone środki finansowe i rozkazał, bez względu na cenę, odzyskać emitery i rozszyfrować drzemiącą w nim technikę, a także znaleźć sposób zaprzęgnięcia tej wiedzy w wojenną maszynę Stanów Zjednoczonych.

Travis ostro zabrał się do roboty. Dokładnie przestudiował raporty z przesłuchań Sanchez i innych członków oddziału. Doszedł do wniosku, że przybyli do Ameryki Polacy - kilku oficerów, z których jeden został mężem dzielnej pani kapitan - przydadzą mu się w drugiej fazie operacji. Kluczową kwestią było odnalezienie i odzyskanie emitery. Generał szybko uznał, że bez nawiązania współpracy z pozostałymi w Polsce żołnierzami Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego nie uda się odzyskać urządzenia. Wywiad amerykański na terenie tego dalekiego kraju w zasadzie nie istniał, jednak za pomocą nacisków na polski rząd w Londynie udało się nawiązać kontakt z Komendą Główną Armii Krajowej. To był pierwszy krok, generał założył bowiem, że żołnierze batalionu w taki czy inny sposób z legalnymi władzami wojskowymi współpracują.

Zajęło to irytująco dużo czasu, ale okazało się, że przypuszczenie było trafne.

Informacja przekazana przez Trávisa w końcu spotkała się z oddźwiękiem. Strona polska podchwyciła chęć nawiązania współpracy i zaproponowała, wykluczając możliwość jakichkolwiek negocjacji tego warunku, spotkanie w Warszawie.

General początkowo nie chciał o tym słyszeć, ale przynaglony warknięciem prezydenta („Boi się pan, Travis? Niechże pan leci i nie zawraca głowy!”), robiąc dobrą minę do złej gry, w końcu się zgodził. Przygotowania zajęły miesiąc i tak oto teraz Travis szykował się do skoku w nieznane, w towarzystwie swego zastępcy, podpułkownika Mitchella oraz przydzielonych do ochrony sierżantów Sto Pierwszej Powietrznodesantowej: tłumacza Gawronsky’ego i radiotelegrafisty Morrisona. W samolocie znajdowało się także trzech polskich cichociemnych, „tym ostatnim general szczerze zazdrościł stalowych nerwów. Jeden usnął zaraz na samym początku lotu, a dwóch pozostałych gwarzyło cicho w tym swoim niezrozumiałym, śmiesznym, szeleszczącym języku.

Polacy! - przemknęło przez głowę Trávisa. Niby sojusznicy, a tak naprawdę wrzód na dupie. Mają zwyczaj uważać się za pępek świata.

Nie miał już czasu na dalsze rozważania. Jeden z członków załogi zaczął przygotowywać ekipę do skoku.

14

Porucznik Krystyna Waliszewska, pseudonim Wala, miała trzydzieści cztery lata, pełniła funkcję dowódcy plutonu kobiecego i wśród podwładnych uchodziła za stojącą nad grobem staruszkę. Najstarsza z jej dziewczyn liczyła sobie dwadzieścia trzy wiosny, reszta oscylowała w okolicy dwudziestki. Wszystkie były młode, pełne życia i mimo ponurej rzeczywistości dookoła, przepełnione wiarą w lepsze jutro.

Pluton Wali składał się z trzydziestu osób. Każda z trzech drużyn miała swoją specjalność wiodącą: obserwacyjno-wywiadowczą, łącznościową i sanitarną. Wszystkie dziewczyny przeszły razem z chłopcami mordercze szkolenie bojowe: strzeleckie, saperskie, dywersyjne, taktyki zielonej (walki w polu) oraz czarnej (walki w mieście). Wala świetnie strzelała z pistoletu, i to z obu rąk, sprawnie władała nożem, umiała skonstruować bombę czy dwoma szybkimi ruchami unieruchomić dowolny silnik. Jej podopieczne były równie dobre. Do dziś pamiętała, jak kilka miesięcy temu dwie dziewczyny z pierwszej drużyny, zaskoczone na ulicy przez patrol żandarmerii, rozprawiły się z Niemcami w ciągu kilkunastu sekund, położyły trupem krewkiego lotnika idącego kolegom na pomoc i rozplynęły się w tłumie, zanim jeszcze Wala zdążyła otrzeć pot ze zwilgotniałego nagle czoła.

Od tej pory wiedziała, że na dziewczyny może liczyć. Ze swej strony była pewna - i one również były pewne - że mogą liczyć na nią. W każdej sytuacji. Mimo to decyzja porucznika Wojtyńskiego o włączeniu plutonu kobiecego w skład bojowej części batalionu zaskoczyła Walę, jak zresztą wiele innych decyzji dowódcy. Patrzyła na niego z szacunkiem i podziwem, stopniowo przechodzącym w uwielbienie. W dodatku uważała porucznika za szalenie atrakcyjnego mężczyznę i co tu ukrywać, myślała o nim dużo częściej, niżby sobie tego życzyła i niż jej wypadało, zważywszy na fakt, że od lat dwunastu była szczęśliwą mężatką, a od dziesięciu - matką. W swoich fascynacjach nie była jednak odosobniona. Zdecydowana większość jej podopiecznych żywiła do porucznika podobne uczucia, niejednokrotnie nawet znacznie bardziej płomienne.

- Cisz! - zawołała. Czasami wydawało jej się, że jest nauczycielką w klasie. - Czy tancerki zechcą usiąść?

- Tak jest, pani porucznik - zachichotała Zosia, jej ulubienica. Wraz z trzema innymi dziewczętami płynęła lekko po pokoju w rytmie walca granego w wyobraźni. Pozostałe uczestniczki spotkania siedziały pod ścianą i z zainteresowaniem komentowały taneczne osiągnięcia koleżanek.

- No to już! Nie mamy czasu. - Wala zmarszczyła brwi. Udawanie surowości przychodziło jej z trudem.

Zosia zakręciła spódnicą i usiadła na pierwszym z brzegu krześle. Zawsze w pierwszym szeregu.

Wszystkie zgromadzone w pokoju młode kobiety były członkami drużyny obserwacyjno-wywiadowczej. Czekał je ciężki dzień.

- Jutro ochraniaamy pewne spotkanie. - Wala zawsze podawała tylko niezbędną do wykonania zadania ilość szczegółów. - Odbędzie się na ulicy Twardej. Znać tę okolicę. Zaczynacie o ósmej rano. Żelazna, Grzybowska, Twarda, Prózna, plac Grzybowski. Patrolujecie pojedynczo i parami. Lokal kontaktowy przy Żelaznej pięć. Zwracacie uwagę na konfidentów i agentów. Zwracacie uwagę na wszystko, co niezwykle. Jutro jest Niedziela Palmowa, ludzi na ulicy będzie sporo. Akcja przewidziana jest do godziny czternastej. Jakies pytania?

Były profesjonalistkami. Zadanie wyglądało na rutynowe. Żadnych pytań.

15

Niepokój przerodził się w zwykły strach. A potem w panikę.

Początkowo nic nie zapowiadało komplikacji. Pilot, z pewnymi co prawda problemami, odnalazł lokalizację zrzutu, obsługa sprawnie przygotowała całą siódmkę do skoku, towarzysze generała prezentowali miny mające dodać mu otuchy, więc Travis tuż przed opadnięciem w ciemność zaryzykował optymistyczne założenie, że może się uda. Gdy już wyskoczył, a nad głową wystrzeliła biała czasza spadochronu - nie mógł dojść, dlaczego do nocnych skoków używa się białego materiału - był już pewien, że przynajmniej pierwsza część misji zakończy się sukcesem. Od urodzenia był szczęściarzem, więc liczył na to, że i teraz szczęście go nie opuści.

Zaniepokoił się, gdy podmuch wiatru zniósł go z kursu opadania. Spojrzał w dół i zobaczył światła lądowiska rozmieszczone według umówionego sposobu: w duży regularny prostokąt. Rozejrzał się, ale nie zobaczył towarzyszących mu żołnierzy. Jak go poinformowano przed startem, takie rzeczy się zdarzają. Podczas skoku z lecącego z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę samolotu niemal niemożliwym jest, aby siedmiu spadochroniarzy leciało zwartą grupą i wylądowało w jednym miejscu.

Zbliżył się do ziemi na tyle, by zacząć rozpoznawać szczegóły. Coś było nie tak. Świetlne prostokąt był zbyt regularny i zbyt duży jak na dzieło oczekujących na zrzut żołnierzy miejscowej konspiracji. A światła... nie wyglądały jak ogniska, nie miały tej charakterystycznej żółtej, pulsującej poświaty.

Nagle zrozumiał, do czego zbliża się z prędkością kilkunastu metrów na sekundę, w co niemal idealnie celuje obutymi w wysokie, spadochroniarskie trzewiki stopami. Gdy przyszło odpowiednie skojarzenie, siwe włosy podniosły mu się pod kaskiem.

Generał Morgan Travis od dawna nie uczestniczył w operacjach polowych i rzecz jasna nie orientował się zbyt dokładnie w realiach okupacyjnej rzeczywistości w zapomnianej przez Boga i ludzi Polsce. Ale był dostatecznie długo oficerem wywiadu, by zdać sobie sprawę, że to, co widział pod sobą, dane mu było oglądać na dziesiątkach zdjęć wykonanych nad okupowaną Europą w ciągu ostatniego czasu.

Te obiekty były mniejsze lub większe, ale zawsze posiadały kilka wspólnych, charakterystycznych elementów: okolony drutem kolczastym prostokąt lub kwadrat, regularne kreski baraków, wieże strażnicze i masę reflektorów oraz lamp oświetlających teren w nocy.

Obóz jeniecki. Pieprzeni analitycy ustalający miejsce zrzutu nie wzięli pod uwagę bliskości obozu jenieckiego. Pilot zwyczajnie pomylił się, biorąc oświetlony prostokąt za przygotowane lądowisko. Generał zaklął, ale przekleństwo trafiło w próżnię. Nie było komu przekazać swoich pretensji, bo huk motorów liberatora już dawno ucichł, a ziemia zbliżała się w niepokojąco szybkim tempie.

Biorąc pod uwagę wiek, stres, noc i bliskość naszpikowanego Niemcami obozu jenieckiego, Travis wylądował wzorowo. Gdy tylko dotknął stopami ziemi, ugiął nogi w kolanach i przewrócił się na bok, dokładnie tak, jak uczyli go instruktorzy w Stanach. Szybko stwierdził, że obyło się bez kontuzji, w każdym razie w rodzaju tych, po których człowiek kuleje przez tydzień. Nie podnosząc się z ziemi, powoli zaczął ściągać linki spadochronu, aż w końcu cała wydymająca się na wietrze jedwabna czasza znalazła się w jego zasięgu. Zdusił ją i wepchnął pod siebie. Dopiero wtedy odważył się rozejrzeć.

W odległości może sześćdziesięciu metrów stał wysoki na trzy metry, wykonany z drutu kolczastego, oświetlony elektrycznymi lampami płot. Nieco po prawej górująca nad otoczeniem wieża strażnicza z reflektorem i - gotów był się założyć - karabinem maszynowym. W głębi dwie następne wieże. Pomiędzy skoczkiem a ogrodzeniem pusta przestrzeń - na kamień zmrożone ostatnimi wiosennymi przymrozkami, porośnięte rzadkimi krzaczkami płaskie pole.

Ostrożnie spojrzał przez ramię. Z tyłu rósł las, owszem. Wystarczy dwustumetrowy spacer po płaskim, odkrytym terenie i już się jest w lesie - żaden problem. Zaczął czołgać się do tyłu, nie tracąc obozu z oczu. Prawą ręką przesunął zwinięty w kłęb spadochron. Dwa krótkie ruchy - zyskiwał może metr terenu, to nie był w tych warunkach zły wynik, naprawdę - i podciągnięcie. Dwa ruchy i podciągnięcie. Starał się nie robić hałasu, ale nawet tarcie materiału o ziemię wydawało mu się dźwiękiem alarmującym całą okolicę. Pot skapywał z czoła, kask opadał na oczy. Zdawał sobie sprawę, że załoga obozu została zaalarmowana odgłosem motorów krążącego w okolicy samolotu (pilot-dureń, latał wte i wewte z dziesięć minut, nie mogąc znaleźć miejsca zrzutu), najprawdopodobniej senni do tej pory strażnicy ocknęli się i zaczęli rozglądać dookoła. Może właśnie w tej chwili do ciężarówki ładuje się drużyna alarmowa, dwudziestu rostrych, żądnych czynu i sukcesów, wierzących święcie w narodowy socjalizm i Führera młodych ludzi uzbrojonych w broń maszynową...

Jakby na potwierdzenie tych słów jasny blask zaalał okolicę. Ogromny lotniczy reflektor, umieszczony na wieży strażniczej wysoko nad poziomem gruntu, liznął długim snopem światła ziemię zaledwie kilkanaście metrów przed Travisem i zaczął przesunąć się w prawo. Choć generał wiedział, że powinien czym prędzej czołgać się w tył, nie mógł wykonać żadnego ruchu. Umysł wysyłał liczne sygnały, ale mięśnie były jak sparaliżowane, motoryka nie reagowała. Pomyślał, że właśnie w ten sposób będzie wyglądał koniec. Nie na polu chwały, nie w bitwie, ale właśnie tak: na zmrożonym, polskim kartoflisku, gdzie dosięgnie go celny karabinowy strzał...

Światło dotarło do prawego krańca pola, przedłużyło zasięg i zaczęło wracać niespiesznym, uważnym ruchem. Generał był pewien, że w ślad za złowieszczym, jaskrawym tunelem, takim samym powolnym i płynnym ruchem przesuną się lufa karabinu maszynowego. Sześćdziesiąt metrów to dla niemieckiego kaemu tyle co nic. Mógł iść o zakład, że kiedy strzelec dostrzeże go w końcu, już pierwsza seria będzie siedziała prosto w celu. Nie był w stanie na to nic poradzić. Tkwiący w kaburze pod pachą colt 1911, broń celna, skuteczna i o dużym kalibrze, była przydatna jedynie na krótkich dystansach. Zresztą Travis podczas ostatniego strzelania, i to do nieruchomej tarczy oddalonej zaledwie o piętnaście metrów, cztery na dziesięć strzałów spudłował. To już raczej palnąć sobie w łeb...

Może nie będzie innego wyjścia. Zbyt cenną zdobyczą byłby żywy w rękach Niemców.

Na pomoc swoich ludzi raczej nie mógł liczyć. Nawet zakładając, że wylądowali szczęśliwie w majaczącym nieopodal lesie i poznajdowali się nawzajem w ciemnościach i nieznanym terenie, ich uzbrojenie (pistolety maszynowe thompson obu sierżantów i colt pułkownika) także nie pozwalało mieć wielkich nadziei na

skuteczną interwencję. Z Thompsona z dwustu sześćdziesięciu metrów nie trafił w cel o półmetrowej średnicy, chyba że przypadkiem. A przecież w obozie było jeszcze kilka wież strażniczych z reflektorami, które też mogły włączyć się do poszukiwań.

Plama światła powoli przesuwiała się w lewo. Ocenivszy, że jeszcze tym razem nie znajdzie się w jej zasięgu, Travis zaczął gwałtownie czołgać się do tyłu. Już myślał, że uda mu się szczęśliwie przebrnąć tę rundę, kiedy jakaś część wyposażenia - może ukryty w kaburze pistolet, może sprzączka od paska kombinezonu - zazgrzytała o kamień. W panującej ciszy dźwięk rozległ się z siłą wystrzału. Strażnicy na wieży po ogłoszeniu alarmu musieli mieć wyostrzone zmysły, bo snop światła natychmiast przeskoczył w stronę źródła dźwięku. Travis podejmował właśnie decyzję o podniesieniu się i rozpoczęciu szaleńczego biegu w stronę lasu, kiedy został w przykłęku uchwycony w oślepiający krąg. Na dłuższą chwilę stracił wzrok - odległość jak na lotniczy reflektor była śmiesznie mała, a moc żarówek ogromna - i pomyślał, że wszystko stracone. Wyobraził sobie z niezwykłą precyzją, jak pochylony nad kaemem strzelec zgrywa elementy celowania, w ułamku sekundy przetwarza w wyszkolonym umyśle wszystkie parametry, kładzie palec na spuście i płynnym, zdecydowanym ruchem ściąga go...

Huknął strzał.

16

Nieduży piwniczny pokój oświetlono dwiema jaskrawymi lampami o wielkiej mocy. Pod jedną ze ścian stało biurko z maszyną do pisania, pod drugą półka z różnymi narzędziami mającymi pomóc w rozwiązywaniu języków gości tego przybytku.

W pomieszczeniu, oprócz czyniącego honory domu Hauptsturmführera, przebywało pięciu ludzi: zajmujący miejsce za biurkiem protokolant, wysoki i ponury tłumacz, najbardziej zaufany wywiadowca Spilkera - Scharführer Hanemann, Rudi - specjalista od stosowania narzędzi zajmujących miejsce na półce pod ścianą - oraz siedzący na przykręconym do podłogi krześle mężczyzna, będący obiektem wzmożonego zainteresowania przebywającej w pokoju piątki Niemców.

Spilker przyjrzał się gościowi dokładnie. Mógł mieć trzydzieści sześć, może trzydzieści siedem lat, był masywny, dobrze zbudowany, ubrany w byle jaką koszulę i byle jakie spodnie. A twarz... No cóż, jedno spojrzenie wystarczyło, aby pojąć, dlaczego ten człowiek wpadł.

Czarne włosy, brązowe, niemal czarne oczy i długi, nieco zakrzywiony przy końcu nos sprawiały, że każdy policjant na terenie GG dostałby natychmiast gęsiej skórki na widok takiej zdobyczy. Spilker zaczął nawet zastanawiać się, jakim cudem ten człowiek przetrwał przeszło trzy lata niemieckich rządów.

Facet bał się i nawet nie starał się tego ukryć.

- Skąd on się tu wziął? - mruknął Hauptsturmführer.

- Schutzpolizei miała informację o tajnej drukarni w Śródmieściu. Obstawiała dom. Traf chciał, że akurat przechodziłem w pobliżu, gdy ten człowiek wybiegł z bramy naprzeciwko - odpowiedział Hanemann. Był młody i pełen entuzjazmu. Wierzył w budowę Wielkiej Rzeszy i w Führera. Pochodził z dobrej rodziny. - Omal nie narobił w spodnie ze strachu. Dokumenty miał w porządku, no, ale ze swoim wyglądem mógłby mieć nawet dokumenty wystawione na nazwisko Adolfa H... - Urwał, niemal uderzony spojrzeniem Spilkera. Szef czasami pozwalał na żarty, ale to najwyraźniej nie był właściwy moment. - Przepraszam, Herr Hauptsturmführer. Zaczął coś wykrzykiwać. Po angielsku. Moi rodzice mieli przed wojną znajomego Amerykanina, więc umiem rozpoznać język. A ponieważ wiem, czego szukamy, i uznałem, że nie ma w Warszawie zbyt wielu

Amerykanów, zwłaszcza o takim wyglądzie, w dodatku chodzących swobodnie po ulicach, natychmiast wylegitymowałem się tym baranom z policji i przejąłem zdobycz.

- Bardzo dobrze. - Spilker nie należał do przełożonych skorych do pochwał, ale to naprawdę była dobra robota. Poparta szczęściem. Istniała co prawda możliwość, że złowiony przez Hanemanna człowiek był na przykład amerykańskim lotnikiem, który uciekł z obozu jenieckiego i snuł się po Warszawie w poszukiwaniu pomocy, ale Spilker czuł przez skórę, że to nie to. Ubranie nie to i wyraz twarzy nie ten. Zdobycz. Klucz do zagadki. Powód do chwały. Z pewnością... członek Oddziału.

- Moim zdaniem to Amerykanin - kontynuował coraz bardziej dumny z siebie wywiadowca. - To znaczy Żyd, ale amerykański. Znalazłem przy nim kilka ciekawych rzeczy. - Położył na biurku garść przedmiotów.

Dokumenty, świetnie podrobione, może nawet oryginalne, opiewały na nazwisko Mieczysław Grabik.

Śmiechu warte, pomyślał Spilker, oglądając sztywny, niemal nieużywany kartonik. Czuł coraz większe zadowolenie. On taki Grabik, jak ja Chińczyk. Najwyraźniej pan Amerykanin nie był dość ostrożny. Coś się musiało stać, sytuacja musiała wymknąć się spod kontroli. Będzie łatwym celem. Takiego nam było trzeba. Jeniec drżał.

Nie dokumenty były jednak najciekawsze. Uwagę Hauptsturmführera przykuł przedmiot, jakiego nie dane mu było jeszcze oglądać - płaski, czarny, nie większy niż papierośnica, wyposażony w plastikowe, przezroczyste okienko i parę małych słuchawek zwisających z boku na cienkim kabelku. Gdy Spilker dotknął jednego z przycisków znajdujących się z boku urządzenia, okienko rozjarzyło się zimnym, niebieskawym światłem. Usłyszał melodyjkę, która zaraz ucichła, a na ekranie pojawił się napis „Creative”. Po chwili ukazał się kolejny napis: „Linkin Park”. Z małych słuchawek dobiegło ciche brzęczenie. Spilker zawahał się, ale po chwili przytknął jedną ze słuchawek do ucha. Usłyszał dźwięki niepodobne do niczego.

Coś bzycało niczym rój rozwścieczonych pszczoł, stukało miarowo, ktoś wydierał się jak opętany, a ktoś inny go przekrzykiwał. Spilker miał wrażenie, że jest w tym jakaś melodia, ale jej sensu nie sposób się było doszukać.

Pomimo kilkukrotnych prób nie umiał wyłączyć urządzenia, więc po prostu odłożył je na biurko. Siedzący na krześle mężczyzna przypatrywał się tej dziejącej się w milczeniu scenie - jeśli nie liczyć diabelskich dźwięków dochodzących ze słuchawek - i rozpacz coraz wyraźniej gościła na jego twarzy. Powoli docierało do niego, jakie głupstwo zrobił. Nieodwracalne. Spilker nawet go rozumiał. Wiele miesięcy siedzenia w zamknięciu, bez możliwości wyjścia na zewnątrz, zaczerpnięcia świeżego powietrza...

- Zapali pan? - zapytał zniecierpliwiony i wyciągnął w kierunku więźnia rękę z paczką papierosów. Pytanie zostało zadane po polsku.

Tamten spojrzał zaskoczony. Po chwili niepewnie podniósł skute kajdankami ręce i powoli, niezdarnie manipulując zdrętwiałymi palcami, wyjął z paczki ofiarowanego papierosa, po czym włożył go do ust. Spiker błysnęła elegancką zapalniczką i w małym pomieszczeniu zapachniało dymem popularnych niemieckich Juno.

- Jak się pan nazywa? - Spilker zapalił również i z przyjemnością się zaciągnął.

Mężczyzna drgnął, wyraźnie niczego nie rozumiejąc. Pozostała czwórka Niemców milczała. Cisza przeciągała się, więzień nie mógł wykrztusić słowa. Spilker czuł, że jest na dobrym tropie. Musiał złamać ostatnią linię oporu tego człowieka.

- Odepnij go - polecił Hanemannowi.

Wywiadowca bez słowa rozpiął parziane pasy krępujące mężczyznę i szarpnięciem postawił go na nogi.

Spilker otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, gestem dłoni dając do zrozumienia, aby zgromadzeni w piwnicy ludzie poszli za nim. Marsz nie trwał długo, po kilkunastu krokach cała grupa osiągnęła cel. Spilker gestem głowy polecił otworzyć ciężkie, stalowe, zaopatrzone w judasza drzwi. Rudi, wielki facet, specjalista od przesłuchań, przepchnął się z końca kolumny na czoło, wyjął z kieszeni pęk kluczy, bez wahania wybrał jeden i przekręcił go w zamku. Pstryknął umieszczonym na korytarzu włącznikiem, pociągnął za klamkę i język jasnego światła wypełził z celi na korytarz. Spilker wszedł do środka i gestem przywołał Amerykanina. Ten niepewnie wykonał dwa kroki i znalazł się pośrodku małego pomieszczenia.

Dłuższą chwilę trwało, nim dotarło do niego, co widzi. Może przyczyną był jaskrawy blask osłoniętej hartowanym szkłem żarówki, a może ogarniające go dotkliwe poczucie nierzeczywistości. Spilker, który od dawna starał się wczuć w mentalność i sposób postępowania więźniów, rozumiał to. Nabierał przy tym niemal stuprocentowej pewności, że ma przed sobą jednego z członków Oddziału.

Miejsce pod ścianą zajmowała przykręcona do podłogi wąska prycza wyłożona siennikiem i cienkim jak papier brudnym kocem. Obok stał kubeł na nieczystości. Tylko te dwa elementy składały się na stałe wyposażenie małej i ciasnej celi. Na pryczy leżał człowiek. A właściwie dogorywające szczątki czegoś, co jeszcze niedawno, może przed dwoma, może trzema dniami było człowiekiem. Kiedyś zapewne ubranym w spodnie i koszulę. Teraz koszula zniknęła, pozostał tylko strzępek kołnierzyka owiniętego niczym stryczek dookoła szyi. Spodnie kończyły się w okolicy kolan. Stopy, zmiażdżone uderzeniami, z czerwoną, obrzmiałą bryłą zamiast palców, były nagie. Korpus, ręce, nogi nosiły ślady uderzeń, wielokrotnego, wielogodzinnego bicia. Twarz - człowiek ten leżał na brzuchu, najwyraźniej mniej zmasakrowany od pleców, a może po prostu nie miał siły się przekręcić - spoczywająca bezpośrednio na kocu i zwrócona w stronę celi, nie pozwalała określić wieku. Lewe oko, to górne, było wybite. Nos i policzki stanowiły jedną wielką ranę, krwawiącą i zapachniętą. Lewa dłoń, zwisająca bezsilnie z pryczy, przybrała kolor fioleto.

Do Amerykanina dotarło w końcu, co widzi. Reakcja była odruchowa, pierwotna, atawistyczna. Kwiknął głośno i szarpnął się w tył. Hanemann i Rudi złapali go w kleszcze, nie pozwalając się ruszyć. Mężczyzna zaczął jęczeć niewyraźnie i wrywać się, ale jednocześnie nie odrywał oczu od człowieka na pryczy, przerażony i zafascynowany tym widokiem niczym zahipnotyzowany przez węża królik. Chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł, jakaś przemożna siła nie pozwalała mu tego zrobić. Spilker obojętnie spojrzał na dogorywającego więźnia, rzucił okiem na Amerykanina, po czym uznał, że wystarczy. Lekcja z pewnością została zapamiętana.

- Idziemy - powiedział, po czym zwrócił się bezpośrednio do Rudiego: - Ty już nie będziesz dzisiaj potrzebny. Rudi trzasnął obcasami.

Cała grupa wyszła na korytarz. Spilker, Amerykanin, Hanemann, tłumacz i protokolant znowu w milczeniu i znowu gęsiego poszli w stronę schodów, odprowadzani ponurym zgrzytem zamykanych drzwi celi. W milczeniu wspięli się na pierwsze piętro. Spilker skierował się w stronę swojego gabinetu. Ruchem dłoni zaprosił wszystkich do środka - gest był identyczny z tym na dole, na twarzy Amerykanina odmalował się taki sam wyraz grozy - a gdy weszli, zamknął drzwi.

- Siadajcie. - Zajął miejsce za biurkiem. Amerykanin, zachęcony stanowczym klepinięciem w ramię, opadł na krzesło naprzeciwko. Hanemann też chciał usiąść, ale Spilker potrząsnął głową. - Nalej po lampce koniaku. Należy się i nam, i jemu.

Wywiadowca nie mógł sobie przypomnieć, aby surowy i wymagający przełożony kiedykolwiek pił alkohol w jego obecności, nie mówiąc już o częstowaniu podwładnych.

Natomiast przypadku częstowania jakiegokolwiek więźnia drogim, francuskim koniakiem z pewnością nie znała cała czteroletnia historia tego budynku. To tylko potwierdzało podejrzenia Hanemanna, powzięte na podstawie skąpych instrukcji udzielanych przez Hauptsturmführera: brał udział w operacji, która może zmienić losy wojny i wydzwignąć III Rzeszę na światowy piedestał, zapewnić jej zwycięstwo i szczęśliwe panowanie nad zastygłą w zdumieniu i podziwie ludzkością.

A dla takiej sprawy młody wywiadowca bez wahania skłonny był poświęcić życie.

Tym bardziej więc nie miał oporów przed poczęstowaniem więźnia koniakiem. Nalał mu połowę porcji, którą przed chwilą przygotował Spilkerowi, wcisnął baniasty kształt w dłoń Amerykanina i usiadł na krześle obok.

- Przekładaj dokładnie to, co powiem - polecił Spilker tłumaczowi, jednocześnie patrząc więźniowi prosto w oczy. - Pozwoli pan, że daruję sobie wstępy. My wiemy, kim pan jest, a pan wie, kim my jesteśmy, więc szkoda czasu na bzdury. Proszę potwierdzić, że pan rozumie.

Więzień sprawiał wrażenie, jakby nie tylko nie rozumiał, ale nawet nie słyszał. Patrzył tępo w trzymany w rękę kieliszek. Spilker zdążył zapalić papierosa i kilkakrotnie zaciągnąć się wonnym dymem, gdy Amerykanin pomału, jakby w letargu, skinął głową.

- Doskonale. - Spilker szeroko się uśmiechnął. - Mamy przed sobą trzy możliwości. Oto pierwsza z nich. Mogę podnieść słuchawkę telefonu i wezwać patrol policji. Z pana wyglądem jutro o tej porze będzie pan w obozie koncentracyjnym w Treblince. Nie podajemy tego faktu do publicznej wiadomości, ale panu zdradzę w sekrecie, że to nie jest sanatorium. Szanse na przeżycie ma pan zerowe. Najprawdopodobniej razem z całym transportem wyląduje pan w komorze gazowej. W pana sytuacji może nawet i nie byłoby to złe wyjście. Chwila strachu, trochę duszności, parę minut konwulsji i wieczna ciemność. Drugie rozwiązanie nie jest, przynajmniej, tak komfortowe. Co prawda powiedziałem Rudiemu, mojemu specjalście od przesłuchań, że może już iść do domu, ale pewnie jeszcze się nie wybrał. Wie pan, on jest strasznie porządny, nigdy nie kończy pracy, dopóki wszystkiego nie posprząta, nie zmyje krwi i zębów z podłogi, nie poukłada na miejsce narzędzi, zawsze też sprawdza, czy więźniom niczego nie brakuje i czy nie mają zamiaru powiesić się na porwanym na pasy kocu z własnej pryczy. Przykłada dużą wagę do komfortu i czystości w miejscu pracy, co zresztą bardzo w nim cenię. Tak więc idę o zakład, że go jeszcze zastaniemy. Zejdziemy na dół, Rudi przywiąże pana do krzesła i porozmawia tak, jak rozmawiał z tym człowiekiem, którego pan przed chwilą oglądał na dole. Usilnie nalegam, aby mi pan uwierzył: powie pan wszystko, o co będziemy pytali. Wszystko. A nawet więcej. Proszę się nie ludzić, każdy mówi. Nie ma w tym niczego wstydliwego. Człowiek jest tylko człowiekiem. Ale zdradzę panu, że takie metody mnie nie przekonują. Owszem, zawsze osiągam w ten sposób cel, ale generalnie uważam, że dobrowolna współpraca jest znacznie korzystniejsza dla obu stron. I to jest właśnie trzecia możliwość, o której wspomniałem. Późno już, ale zakładam, że pewnie pan głodny. Zaraz każę podać kolację. Koniaku mam spory zapas.

Dostanie pan nie celę, ale pokój z wygodnym łóżkiem, łazienką i kelnerem na każde zawołanie. Nikt nie zwróci uwagi na pana pochodzenie. W zamian dowiemy się, kim pan jest, czym się zajmował przed wojną, co robi w Warszawie i te de. Nawijemy współpracę ku obopólnemu zadowoleniu. Moim zdaniem decyzja może być tylko jedna, ale dam panu chwilę na zastanowienie. Niech pan się nie spieszy.

Pobladała twarz więźnia była mokra od potu. Ciemne, prawie czarne oczy omiały pomieszczenie i siedzących w nim Niemców. Pierś unosiła się szybkimi, nieregularnymi zrywami. Dłoń z kieliszkiem, choć podtrzymującą ramię oparte było o poręcz krzesła, drżała konwulsyjnie. Przerywana chrapliwym oddechem cisza trwała

dobrych pięć minut. Mężczyzna powoli uspokajał się, w końcu odetchnął kilka razy głęboko i gardłowym, niskim głosem powiedział:

- Nazywam się Michael Ören. Jestem Amerykaninem. Byłem członkiem oddziału specjalnego obsługującego system obrony o nazwie MDS. Zostałem przeniesiony w czasie z roku dwa tysiące siódmego.

17

Reflektor zgasł przy akompaniamencie wyraźnie słyszalnego dźwięku tłuczonego szkła i eksplodujących żarówek. Chwilę później rozległa się długa seria karabinu maszynowego. Travis nie od razu zrozumiał, co się stało. Jeszcze trzymał napięte wszystkie mięśnie w oczekiwaniu na uderzenia pocisków, gdy dotarło do niego, że tajemniczy snajper, schowany w lesie za jego plecami, cudownym, precyzyjnym strzałem zgasił ten cholerny reflektor i zapadła nagle względna ciemność - względna, bo nadal paliły się lampy oświetlające obóz - dzięki czemu zyskał szansę na ucieczkę. Toteż kiedy rozległ się złowieszczy dźwięk serii niemieckiego kaemu i kule zaczęły ryc bruzdy dookoła, generał był już na nogach i biegł niczym rączy jeleń w kierunku drzew. Miał pięćdziesiąt lat, teren był cholernie nierówny, ale mógłby przysiąc, że od czasu studiów nie zdarzyło mu się biec tak szybko. Oporządzenie i broń boleśnie tłukły po plecach i tułowi, ale nie zważał na to. Niemiecki kaemista oddawał serię za serią, to tu, to tam, na ślepo, ale cały czas stanowił poważne zagrożenie, wystrzeliwał tyle pocisków, że statystyka działała na jego korzyść. Na dwóch następnych wieżach także zapaliły się reflektory, dwa następne kaemy dołączyły do zajadłego solisty, tworząc niezwykle głośny i niebezpieczny tercet. Snajper-wybawca strzelał raz po raz w kierunku najbliższej wieży i w końcu środkowy nieprzyjacielski kaem zakrzusił się jakby w napadzie kaszlu, po czym umilkł. Pozostałe dwa reflektory macały na oślep, kaemiści także nie bardzo wiedzieli, do czego strzelają, w każdym razie Travis przestał słyszeć złowróżny chichot kul, zresztą po chwili wpadł między drzewa. Przebiegł jeszcze kilka metrów, potknął się o niewidoczny w ciemności krzak i wyrzucił jak długi. Leżał na brzuchu, nie mogąc złapać tchu. Czerwone plamy tańczyły przed oczami, układając się w całkiem zresztą wizualnie wyszukane wzory.

Chaotyczna kanonada trwała jeszcze przez chwilę, Tajemniczy Strzelec z Lasu wystrzelił ostatni raz - jego stanowisko znajdowało się nie dalej niż dwadzieścia metrów od wypływającego płuca generała - skrajny lewy reflektor zgasł, w drzewa nieopodal stuknęły spóźnione kule i nieprzyjacielskie kaemy zamilkły jak na komendę. Nastąpiła dzwoniąca w uszach cisza. Generał z trudem przekręcił się na plecy i usiadł. Czerwone plamy sprzed oczu powoli ustępowały. Odpiął paski plecaka i z ulgą pozbył się zapasowego spadochronu. Rozpiął kombinezon. Usłyszał trzask gałązek, ale zanim zdążył sięgnąć do kabury, oświetlił go blask niewielkiej latarki.

- Chwała Bogu. Nic panu nie jest?

Boże, tak pewnie brzmią niebiańskie pieśni, pomyślał. Z akcentem z New Jersey.

- Nic. Miałem szczęście, zdaje się. - Travis wstał, otrząpał się i spojrzał na Mitchella. - Gdzie reszta?

- Są wszyscy - odpowiedział podpułkownik, odbierając od Trávisa plecak. - Szukaliśmy pana...

- Zniosło mnie trochę. Omal nie zameldowałem się na placu apelowym tego cholernego obozu.

- Pech. - Mitchell był wyraźnie poruszony.

- Głupota. I niekompetencja. Z pechem to nie ma nic wspólnego. W tych okolicznościach uważam nawet, że mieliśmy diabelnie dużo szczęścia.

Mitchell przytaknął. Z ciemności wynurzyło się kilka postaci, po nich kilka następnych. Na widok tych drugich generał ponownie sięgnął do kabury i zaczął odpinać klapę, lecz Mitchell uspokoił go gestem dłoni.

- To nasi. To znaczy Polacy - poprawił się.

- Tak wyglądają Polacy? - stęknął generał, podnosząc się. Trójkę jego towarzyszy, a także trzech polskich cichociemnych otaczało kilkunastu ludzi ubranych w czarne - o ile można to było dostrzec w tych cholernych ciemnościach, ciemne w każdym razie - mundury z esesmańskimi emblematami na kołnierzach, baniaste głębokie hełmy i uzbrojonych w pistolety maszynowe MP-40. Jedyne bez broni maszynowej, wysoki postawny blondyn w oficerskim mundurze, odezwał się szkolną nieco, ale bardzo sprawną angielszczyzną:

- Tak właśnie wyglądają. W pewnych okolicznościach. Pan Mock, prawda?

- Tak. Jestem Eberhard Mock. - Chociaż raczej nie powinno być wątpliwości co do tożsamości i intencji uczestników spotkania, rozkazom i ostrożności musiało stać się zadość.

Travis od początku uważał te hasła za niezrozumiałe i idiotyczne, ale strona polska nalegała, generał podejrzewał zresztą, że dobrze się przy tym bawiąc.

- A moje nazwisko Kurt Smolorz. Mam pana zawieźć do Warszawy.

- Do Warszawy? Myślałem, że do Wrocławia.

- Nie, nie. Do Warszawy. - Z uśmiechem wyciągnął dłoń. Wszystko się zgadzało. - Miło mi pana powitać, generale. Obawiam się, że musimy się stąd wynosić - dodał, łowiąc odległe dźwięki syren.

Travis również całkiem wyraźnie je słyszał.

- Chodźmy zatem.

- Poprowadzę.

Ruszyli. Mitchell i obaj sierżanci asysty wzięli od generała wyposażenie, lecz i tak tempo narzucone przez ludzi odbierających zrzut dało mu się we znaki. Nie był w stanie złapać tchu. Grupa doszła do leśnej drogi - Amerykanie, aby dotrzymać kroku, musieli co jakiś czas podbiegać - i skierowała się na południe. Kwietniowe, bezksiężycowe niebo raz po raz przecinały błyskawice jaskrawobiałych rac oświetlające teren upiornym, zimnym blaskiem. Dźwięki syren ucichły w oddali, ale Travisowi co chwila wydawało się, że słyszy warkot silników i wydawane chrapliwym głosem komendy. Mógł się mylić. Ale nie musiał. Nie bardzo wiedział, ile trwał ten szaleńczy marsz. Stracił rachubę czasu, wycucie dystansu i kierunku. Jego towarzysze, choć o kilka dekad młodszy, też sprawiali wrażenie skonanych. Klęli cicho, potykając się na korzeniach, wyglądali, jakby ciągnęli ostatkiem sił. Generał ostatkiem sił ciągnął na pewno.

W końcu prowadzący żołnierz zatrzymał się tak gwałtownie, że Travis omal na niego nie wpadł. Przed nimi, przy drodze, stały dwa samochody, osobowy i ciężarowy. A więc jednak może nie wszystko okaże się taką amatorszczyzną, o jaką Travis podejrzewał swoich, pożałujcie Bóg, partnerów do negocjacji.

Oficer wydał kilka krótkich rozkazów - towarzyszący mu żołnierze błyskawicznie jęli przygotowywać się do odjazdu - po czym podszedł do cichociemnych i coś im zakomunikował. Spojrzeli na niego w zdumieniu, a ich dowódca przecząco pokręcił głową. Oficer wypowiedział jeszcze jedno krótkie zdanie, tym razem nieco ostrzejszym tonem. Szef cichociemnych zawahał się, spojrzał na swoich kompanów i wzruszywszy ramionami, oddał identycznego z generalskim colta 1911. W ślady pistoletu poszły zapasowe magazynki, dokumenty i osobiste drobiazgi. Dwaj pozostali z ociąganiem powtórzyli gesty dowódcy. Bez najmniejszych oporów natomiast cała trójka pozbyła się ciężkich, okalających biodra pasów - Travis przed startem dowiedział się, że jest tam kilkaset tysięcy dolarów, niezła sumka, trzeba przyznać, przeznaczonych na finansowe wsparcie konspiracji.

- Poproszę o waszą broń oraz wszystkie rzeczy osobiste - zwrócił się oficer do nadal walczącego z oddechem generała.

- Zwariował pan? - Zdumienie niemal odebrało mu mowę.
- Nie. To dla waszego bezpieczeństwa.
- Nic mi nie zapewni bezpieczeństwa w tym kraju lepiej niż dobry pistolet u boku.
- Myli się pan. - Rozmówca był nadal uprzedzająco grzeczny, choć oczy spochmurniały. - W tym kraju nielegalne posiadanie broni karane jest śmiercią, od czego nie ma żadnych apelacji. W razie kontroli mężczyźni często poddawani są rewizji osobistej, a w promieniu kilkudziesięciu kilometrów alarm spowodowany waszym przylotem i walką podniósł na nogi większość jednostek wojskowych i policyjnych. Jedyna szansa, abyście zgodnie z rozkazem dojechali bezpiecznie do Warszawy, to zdanie się na nasze rozeznanie sytuacji.

Mówił przekonująco, ale w taki sposób, jakby niespecjalnie zależało mu na zdaniu Trávisa. Po chwili gniewnego sapania generał doszedł jednak do wniosku, że polski oficer może mieć rację. On i jego rodacy nie znali tego kraju, nawet nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują. Być może jazda do celu w asyście drużyny SS jest w istocie najlepszym wyjściem. Wahał się jeszcze przez chwilę, ale już tylko dla fasonu. W końcu odpiął pas z kaburą i oddał go. Wszyscy niemal wyczuwalnie odetchnęli z ulgą.

Grupa Trávisa szybko pozbyła się pasów, plecaków i spadochroniarskich kombinezonów, spod których wyrzały cywilne ubrania. Kreacje Amerykanów zdradzały niedwuznacznie zagraniczne pochodzenie, co oficer zanotował z niepokojem, ale na razie machnął na ten fakt ręką, bo i tak nie miał wielkiego pola manewru. Wraz z trzema żołnierzami wsiadł do samochodu osobowego, a skoczkowie razem z resztą eskorty zajęli miejsce na platformie załadunkowej ciężarówki. Umilkł dźwięk silników. Las zastygł w pochmurnym bezruchu, rozświetlanym co jakiś czas przez białe światło rac.

18

- Skubany - powiedział Stańczak z mieszaniną złości i podziwu w głosie. - Przygwoździł nas kolaniem do ściany i płakać nie daje.

- Nadarzyła się okazja, to ją wykorzystał. - Wojtyński skinął głową. - Nieźle nas wyczuł. Zgadł bezbłędnie, czego może zażądać i co mu na pewno damy. Wiedział, że potraktujemy to jako niską cenę za milczenie i spokój. Wcale mu się nie dziwię.

- Dlatego mówię, że cwaniaczek. Jak Wiechecki opowiadał o nim w ramach kursów historii, to trochę mi się wierzyć nie chciało. - Porucznik Tomasz Wiechecki, ekspert od dziejów drugiej wojny światowej, urządzał regularne pogadanki na tematy historyczne, charakteryzując przede wszystkim głównych aktorów i mechanizmy działań, a także motywy podejmowania decyzji. W mniejszym stopniu opowiadał o wydarzeniach. Te bowiem, pod wpływem działań Wojtyńskiego i spółki, często miały inny przebieg niż fakty znane Wiecheckiemu. -Taki z niego pistolet, że hej. Wiecie, co on, mając do dyspozycji jedenastu ludzi, zrobił w Pińsku? Wszedł do więzienia, które znajdowało się w samym środku miasta, sterroryzował strażników i uwolnił trzech kumpli. A dookoła były trzy tysiące Niemców. I nikt z uczestników akcji nawet nie został drażniony!

- Wiemy, wiemy. - O tym wyczynie żołnierzy podziemia opowiadali nawet instruktorzy na kursie wiele lat temu, podając go jako przykład wzorowo przeprowadzonej akcji dywersyjnej. - Krótko mówiąc, z panem komendantem Ponurym lepiej się ułożyć.

- Dlatego się zgodziłeś.

- Dlatego. Pomijam fakt, że jak go dozbieramy, pomożemy też Polsce, bo facet zacznie na pewno nieźle rozrabiać w całej okolicy. Tak a propos, jakie mamy możliwości?

- Przede wszystkim jest broń odłożona dla Żydów - odezwał się zza kierownicy Jamróz.

- Jakieś nadwyżki na pewno są, trzeba pogadać z Sawickim, on ci powie dokładnie. Coś mu na pewno damy. Jak nie teraz, to później.

- Dla Żydów, powiadasz. - Wojtyński zamyślił się na chwilę. To już pojutrze. Choć przygotowywali się do tego dnia od wielu miesięcy, zawsze wydawał się taki odległy. Ale jasne było, że w końcu nadejdzie. Kolejny kamień milowy, kolejna katastrofa, której nie da się ani uniknąć, ani przekuć w zwycięstwo. Można tylko próbować zminimalizować skutki.

- No - przytaknął Jamróz. Zwolnił, policyjny mercedes pracował niemal bezgłośnie. Przez nikogo niezatrzymywani mijali bezludny, nocny Radom, nierozświetlony nawet najsłabszą latarnią. Spojrzał na Wojtyńskiego w lusterku. - Ciężko będzie.

- Owszem. Życie w ogóle jest ciężkie - wtrącił Stańczak. - Ciekawe, czy Wiechecki bezpiecznie przejął naszego drogiego gościa.

- Odebrałem meldunek. Owszem, pan generał nawet wylądował szczęśliwie - powiedział Jamróz. - Czyli jutro gramy o całą pulę?

- Zobaczymy. Może będziemy mieli szczęście i załatwimy to, co chcemy - odezwał się Wojtyński, bo pytanie skierowane było wyraźnie do niego. Ale nie myślał o czekających go negocjacjach przygotowywanych od wielu tygodni. Nie myślał o nadchodzącym starciu, największej akcji, jaką do tej pory przeprowadzili, ani o spotkaniu ze swoim bezpośrednim przełożonym. Myślał o kobiecie.

Nadal nie mógł uwierzyć, że to mu się przytrafiło. I nadal nie był w stanie racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Od początku walki konspiracyjnej przestrzegał wszystkich dookoła przed zbyt zażyłymi kontaktami z miejscowymi dziewczętami. Sam do tych zasad konsekwentnie się stosował. Szybko jednak, podobnie jak pozostałych, dopadła go samotność. W przyszłości zostawił swoją rodzinę - rodziców i siostrę. W dwa tysiące siódmym był kawalerem, przed wyjazdem na tę diabelską wojnę nie miał żadnej stałej partnerki. Charakter pracy, czy może raczej służby, którą lubił i która stanowiła główną treść jego życia, nie pozwalał na żaden poważny związek. Ale w realiach okupacyjnych, kiedy żyło się szybko i w ciągłym napięciu, zaczął odczuwać przemożną potrzebę odrobiny ciepła, doświadczenia, bodaj przez chwilę, czegoś innego niż codzienne, niemal wyłącznie w męskim towarzystwie kręcące się życie.

Złapał się na tym, że podobają mu się miejscowe kobiety, nie ze względu na urodę nawet, choć daj Boże każdemu narodowi tyle ładnych i bardzo ładnych niewiast, ale ze względu na pewną staroświeckość zachowań i sądów, które im oczywiście wydawały się zupełnie naturalne, a dla niego, człowieka urodzonego niemal trzydzieści lat po wojnie, już po rewolucji seksualnej i w czasie feministycznej ofensywy, były właśnie szalenie atrakcyjne. Kontakt bliższy, bezpośredni i codzienny zaczął mieć z kobietami blisko dwa lata temu, gdy, jednogłośnie zresztą, zapadło w sztabie batalionu postanowienie o utworzeniu plutonu kobiecego. Szybko okazało się, że z wojskowego punktu widzenia była to świetna decyzja. Kobiety mogły łatwiej wykonywać pewne zadania. Skrupulatne, obowiązkowe i pełne poświęcenia, doskonale uzupełniały i wzbogacały bojową siłę batalionu. Ale, co okazało się równie szybko, krok ten miał swoje skutki uboczne. Dwustu pięćdziesięciu wygłodniałych facetów, przeważnie przyzwyczajonych do szybkich podbojów i znajomości na jedną noc, zaczęło mieć pod bokiem trzydzieści młodych i atrakcyjnych kobiet, patrzących z podziwem na znamienitych wojowników. Toteż zaczęło się prężenie mięśni i popisy, niejednokrotnie przechodzące w zbędną brawurę. Kilka razy omal nie skończyło się to katastrofą, bo żołnierze, zajęci nieustannym podrywem, zaczęli być niebezpiecznie rozkojarzeni. Do Wojtyńskiego dochodziły słuchy o pewnych niesnaskach, wynikających z

konserwatywnego podejścia dziewcząt do kontaktów męsko-damskich. Dawały stanowczy odpór różnym Speedy Gonzalesom, często gęsto skarżąc się szefowej, samej zresztą będącej pod nieustannym ostrzałem niechcianych adoratorów. Wojtyński, zorientowawszy się w sytuacji, wydał szereg zarządzeń, w radykalny sposób redukując liczbę osób upoważnionych do kontaktów z dziewczętami.

Wydawało się, że sytuacja została opanowana.

Jakiś czas później jedna z drużyn plutonu kobiecego została włączona w przygotowania do zamachu na gubernatora Franka. Tych kilka młodych kobiet odegrało, zarówno w czasie poprzedzającym akcję, jak i podczas niej, niezwykle istotną rolę, dostarczając wykonawcom zamachu wielu informacji o kluczowym znaczeniu. Podczas odpraw Wojtyński zwrócił uwagę na uroczą, wiecznie roześmianą dziewczynę, która zresztą wpatrywała się w niego z takim podziwem, że parę razy poczuł się nawet nieco zażenowany. Zosia, wyróżniająca się odwagą i wyobraźnią szefowa jednej z sekcji, miała dwadzieścia dwa lata (była od Wojtyńskiego o dwanaście lat młodsza, choć urodziła się w tym samym roku co jego niedawno zmarła babcia), filigranową sylwetkę, która oszołomionemu porucznikowi kojarzyła się z porcelanową figurką, burzę kręconych, kasztanowych włosów i uśmiech mogący roztopić lód na rzece w najbardziej mroźne dni. Już po pierwszej odprawie złapał się na tym, że myśli o dziewczynie w sposób dalece odbiegający od służbowej rutyny - za dużo, za życzliwie i w zbyt różowych barwach.

Nawet nie zauważył, kiedy wpadł po uszy. To go zaskoczyło i zdumiało, choć, niespecjalnie się przed tym bronił. Szybko zaczął też myśleć o nich, co nappełniło go mieszaniną niesmaku i euforii.

Zebrał się na odwagę, zaprosił ją na kawę, ona ochoczo przyjęła propozycję. Dwie godziny upłynęły nie wiadomo kiedy. Nie dokończyli rozmowy, umówili się na następny raz. A potem na jeszcze jeden. Proponował te spotkania początkowo bez żadnych intencji, czując przemożną potrzebę spędzenia z Zosią choć kilku krótkich chwil sam na sam. Z czasem spotkania wydłużyły się, a intencje, i to obu stron, stały się całkowicie jasne.

Choć wiedział, że robi źle, nie chciał i nie umiał skończyć tej znajomości. Może dlatego, że musiałby się przyznać do porażki. Historia i literatura podpowiadały liczne przykłady, kiedy przez miłosne zawroty głowy życie skręcało w zupełnie niechcianą stronę. Ot, choćby Parys i Helena Trojańska, Kmicic i Oleńka, a z bliższych wydarzeń losy jego niegdysiejszego przełożonego, podpułkownika Jerzego Grobickiego, który uniesiony amokiem do swej dawnej miłości, wpakował ich w tę nieszczęsną wojnę. Oczywiście Wojtyński zdawał sobie sprawę, że nie podpułkownik był bezpośrednim sprawcą, bo nie on namieszał w układach scalonych komputera odpowiedzialnego za przeskoki czasowe, ale mimo wszystko Grobicki jakoś się w tej roli dobrze komponował.

Nagle zdał sobie sprawę, że Jamróz mówi coś do niego od pewnego czasu.

- Słucham?

- Pytałem o dokładny harmonogram na jutro. - Porucznik przyjrzał się dowódcy we wstecznym lusterku samochodu. Takie roztargnienie nie było podobne do zwykle doskonale panującego nad sobą oficera, którego, wydawałoby się, znał aż nadto dobrze.

- Harmonogram? - Wojtyński zastanowił się. W końcu udało mu się opanować myśli. - Ach tak. Harmonogram. Na jutro. W porządku. O jedenastej spotkanie z Travisem. Na Twardej mam być godzinę wcześniej.

- Moi ludzie będą na stanowiskach od ósmej rano. Teren patrolowany jest przez cały czas - włączył się do rozmowy Stańczak. Nie musiał dodawać, że dwadzieścia cztery godziny na dobę pracowały podległe mu zespoły nasłuchu elektronicznego.

- Spotkanie potrwa pewnie ze trzy godziny - kontynuował Wojtyński, jakby oświadczenie Stańczaka nie było niczym wartym uwagi. Przez cztery lata wspólnej walki nauczyli się, że zgranie i precyzyjne wykonywanie rozkazów jest najlepszym sposobem na przeżycie. - Przed spotkaniem Leszek sprawdzi, jak naszemu panu rotmistrzowi idą przygotowania budowy tunelu i ewakuacji. O trzeciej po południu odprawa dowódców grup bojowych w Obiekcie Numer Jeden. O piątej jestem umówiony w bunkrze ŻOB-u na Miłej. Ustalę ostatecznie co i jak. Jeżeli się dogadamy, ewakuację zaczniemy natychmiast. Potem pewnie będę musiał złożyć wizytę naszemu nowemu... - zawahał się - ...znajomemu. Nie był znajomym. Ale oni go znali. Z przyszłości. A potem pięknej znajomej-nieznajomej, dodał w myślach.

- A ja wieczorem bym się wódki napił - rzucił Stańczak nieoczekiwanie.

Wojtyński i Jamróz ponownie spotkali się spojrzeniami w lusterku wstecznym.

- Ten pomysł nie jest całkowicie pozbawiony racjonalnych podstaw, panie poruczniku - zgodził się Wojtyński. Równie nieoczekiwanie. Nigdy wcześniej nie pili przed akcją.

Zapowiadał się ciekawy dzień.

Spilker dotrzymał słowa. Poprzedniej nocy Michael Ören został uprzejmie poproszony o podpisanie deklaracji współpracy i na tym przesłuchanie zakończono. Więźnia zaprowadzono do obszernego pokoju wyposażonego w wygodne łóżko, niewielki stolik, a także rozłożysty klubowy fotel, jakby stworzony do czytania. Dostał dwa czyste koce i kolację, więc noc, pomimo zdenerwowania i zmęczenia, przespał gładko, zresztą ku swojemu wielkiemu zdziwieniu. Rano ocknął się na dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Milczący strażnik poderwał go z łóżka niezbyt uprzejmą komendą i zaprowadził do położonej kilka metrów dalej łazienki, wręczył ręcznik i mydło, a potem, nadal bez słowa, zaprowadził z powrotem do pokoju, gdzie już czekało obfite śniadanie. Ören obiecywał sobie stosować bierny opór, ale na widok smażonych kielbasek, musztardy, świeżego pieczywa, jajka na miękko i truskawkowej marmolady skapitulował. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jaki był głodny.

Jednak niecierpliwość gospodarzy musiała być znaczna, ponieważ nie zdążył nawet dokończyć śniadania, kiedy w drzwiach ponownie pojawił się ponury strażnik i gestem kazał iść za sobą. Po chwili Ören znalazł się w znajomym gabinecie. Za dnia pokój nie robił już tak ponurego wrażenia jak w nocy, kiedy oświetlony był tylko stojącą obok ozdobnego biurka lampą. Ot, zwykły urzędniczy gabinet, jakich tysiące na świecie.

Spilker na jego widok wstał i rozpromieniony wyciągnął rękę na powitanie.

- Drogi panie Ören, czy spał pan dobrze? - zapytał przyjaznym tonem.

Siedzący po lewej stronie tłumacz mówił po angielsku sprawnie, choć z wyraźnym niemieckim akcentem.

- Tak. - Choć czuł jeszcze w ustach smak musztardy i gorącej, lurowatej kawy, przemknęła mu przez głowę nadzieja, że to jednak sen. I że może zaraz się obudzi.

- Śniadanie smakowało?

- Tak.

- To doskonale. - Spilker zatarł ręce. - Bardzo dobrze. A zatem przejdźmy do rzeczy. Na początek ustalmy parę konkretów. Nazywam się Alfred Spilker i jestem dowódcą oddziału specjalnego policji bezpieczeństwa, którego głównym zadaniem jest zapewnienie spokojnego życia w tym mieście, ochrona ludności przed bandytami i wicherzycielami. Od początku wojny oddział, którego był pan członkiem - Spilker zaakcentował słowo „był” - sprawiał nam, i nadal niestety sprawia, sporo problemów. Przez jego beczelne, terrorystyczne zamachy ludność oraz mieszkający na tym terenie Niemcy nie mogą spokojnie żyć i pracować. Chcę zmienić ten stan. Chcę dotrzeć do członków oddziału i aresztować ich. Oczekuję od pana pełnej współpracy w tym zakresie. Mam nadzieję, że jasno wyłożyłem swoje intencje.

Ören słuchał tego wykładu z roztargnieniem. Nadal rozpaczliwie zastanawiał się, jak do tego wszystkiego mogło dojść. I co powinien w tej sytuacji zrobić. Po chwili przypomniał sobie jednak dogorywającego dwa piętra niżej więźnia i ramiona opadły mu gwałtownie.

- Całkowicie - powiedział cicho.

- To doskonale. Przypomnę panu...

- Mam swój warunek - przerwał mu Ören.

- Warunek? - Spilker starał się być uprzejmy, choć nie znoślił, gdy mu przerywano.

- Powiem panu wszystko. A potem chcę wrócić do Stanów.

- Do Stanów? - zapytał Spilker, jakby rozmawiali przez telefon i coś trzeszczało na łączach. - Chyba źle pana zrozumiałem. Mamy rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci i prowadzimy wojnę. Między innym ze Stanami Zjednoczonymi. Pan sobie wyobraża...

- Wszystko jedno. Chcę wrócić. To mój warunek współpracy.

Twarz Spilkera stężała. Zaczynał nabierać ochoty, aby przekazać tego człowieka Rudiemu, który zaaplikuje mu, na rozgrzewkę powiedzmy, program wstępny, półgodzinny. Ręka sama wyciągnęła się w kierunku telefonu, ale reszta zdołała się opanować.

- Mój drogi Ören, przypomnę sytuację. Jest pan w naszych rękach i zmuszenie pana do mówienia bez spełniania jakichkolwiek warunków będzie dziecinnie proste. Chce się pan ze mną założyć, że najdalej za dwie godziny będzie pan śpiewał niczym Caruso? Naprawdę pan chce?

- Nie - pokręcił głową więzień. Wzrok wbijał w podłogę. Zaczął drżeć.

- Ja ze swojej strony dotrzymuję słowa. Ma pan warunki luksusowe. I tak będzie dalej, jeśli oczywiście pójdzie pan na pełną współpracę.

Ören milczał ze spuszczoną głową, ukazując Spilkerowi czarne, krótko ostrzyżone włosy na ciemieniu.

- Ale dobrze - odezwał się Hauptsturmführer, gdy cisza przeciągała się. Tak czy inaczej miał nad tym człowiekiem pełną władzę, a obietnica kosztowała niewiele. - Chcę dać przykład dobrej woli. Otóż jeżeli powie pan wszystko, co chcemy wiedzieć, podkreślam, wszystko - zawiesił na chwilę głos - po zakończeniu śledztwa zostanie pan zaokrętowany na jeden z naszych okrętów podwodnych i wysadzony u wybrzeży Anglii. Brytyjczycy są waszymi sojusznikami, pomogą panu dostać się do domu. Rząd amerykański przyjmie pana, jak sądzę, z otwartymi ramionami.

Gdy tłumacz skończył przekładać te słowa, Ören gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na Spilkera badawczo, jakby chciał w przystojnej, gładko ogolonej twarzy Niemca odczytać, czy ten mówi szczerze. I wyraźnie znalazł tam to, czego oczekiwał, bo po chwili kiwnął głową.

- Powiem wam większość tego, co wiem. Powiedzmy osiemdziesiąt procent. Resztę spiszę w formie raportu i przekażę go dowódcy waszej łodzi podwodnej, gdy będę wysiadał. Przekażę mu raport i każdy popłynie w swoją stronę.

Spilker roześmiał się wesoło. Zaczynały go bawić te targi...

- Drogi panie, a skąd ja mam wiedzieć, że w tym raporcie będzie cokolwiek wartościowego?

- A skąd ja mogę wiedzieć, że dowódca okrętu podwodnego nie palnie mi w łeb?

Cwaniaczek, pomyślał Spilker. Jak każdy Żyd.

Nazista, przemknęło przez głowę Örena. Myślałem, że tacy istnieją tylko w filmach.

Chwilę trwało milczenie, ucichł nawet towarzyszący rozmowie stukot maszyny do pisania.

- Obaj ryzykujemy - odezwał się w końcu gospodarz spotkania. - Podkreślam: ja w ogóle nie muszę pana wypuszczać. Mogę wydobyć z pana wszystko bez uciekania się do obietnic. Jednak chcę pana traktować jak partnera, a nie jak wroga, i to pomimo pana pochodzenia. - Örenowi po raz kolejny wydało się, że śni. - Obiecuję, że jeśli uzyskamy szczegółowe odpowiedzi na wszystkie pytania, będzie pan wolny.

Amerikanin pomału odzyskiwał zdolność kojarzenia faktów.

- Opowiem wszystko na temat tego, co dzieje się tutaj, w Polsce - sprecyzował. - Moją historię i to, jak się tutaj znalazłem. Część techniczną, chyba najciekawszą z pana punktu widzenia, otrzyma dowódca łodzi podwodnej, kiedy już szczęśliwie wyląduje w Anglii.

- Prześle pan ją pocztą? - zainteresował się Spilker z udawaną życzliwością. Nabierał przekonania, że jednak traci czas.

- Nie. Zakładam, że dacie mi jakąś łódkę czy ponton, abym mógł dopłynąć do brzegu. Popłynie ze mną jeden z marynarzy, bez broni. Gdy wysiądę na ląd, dam mu kopertę, on wróci na pokład i będziecie mieli swoje wiadomości. Mnie nie obchodzi ta wojna, dla mnie jest historią. Ja chcę żyć, pan chce mieć swoje informacje. Jeśli obaj zagramy uczciwie, obaj dostaniemy to, czego chcemy. Bez uciekania się do przemocy.

Idiota! - Spilker nieomal się skrzywił, choć zwykle nad mimiką panował w sposób mistrzowski. Naprawdę myśli, że go puszcze...

Byłby idiotą, gdyby mnie puścił. Ören patrzył mu prosto w oczy i chciał wierzyć, że widzi w nich tylko szczerść. Gorączkowo kalkulował szanse. W gabinecie Spilker'a strategia rozmowy wyglądała nieco inaczej, niż to sobie planował w ciepłym i przytulnym pokoju, w którym spędził noc, gdzie od biedy można było myśleć logicznie. Jednak logika sypialni nijak się miała do logiki tego z pozoru zwyczajnego gabinetu. Muszę jak najdłużej pozostać przy życiu, myślał. Może Wojtyński mnie wyciągnie. Nie miał zbyt wielu kontaktów z porucznikiem w ciągu tych czterech lat - trzy, może cztery krótkie spotkania - ale znał lub domyślał się skuteczności tego człowieka. Po chwili jednak przypomniał sobie, z jakiego powodu się tu znalazł - nie wykonał całkowicie jasnych i prostych rozkazów - i ta myśl wprawiła go w panikę. Kiedy Wojtyński dowie się, że wpadłem w łapy gestapo, każe mnie zlikwidować. Na pewno nie będzie chciał, abym zaczął gadać.

- Zgoda - odezwał się Spilker, gdy obaj już zastanowili się nad tym, co dalej. - Ma pan moje słowo, oczywiście pod warunkiem, że uzyskam od pana wiarygodne i cenne informacje. W tym wypadku spowoduję, że odpłynie pan do Anglii z raportem w kieszeni.

- Dobrze. - Ören skinął głową. - Co pan chce wiedzieć?

- Najpierw kawa. - Spilker wpadł w znakomity humor. Podniósł słuchawkę telefonu. - Greta, poprosimy dwie kawy. Według twojego specjalnego przepisu. I nie ma mnie dla nikogo.

2

Takich przeżyć, jakich dostarczyło mu ostatnich dwanaście godzin, generał porucznik Morgan Travis nie doświadczył jeszcze w swoim, całkiem przecież długim i pełnym emocji życiu. Skok niemal wprost na plac apelowy obozu, walka, irytująca pewność siebie - generał wołał nawet na prywatny użytek nazwać ją arogancją - oficera, który dowodził odbiorem rzutu, i w końcu szarpiąca nerwy, dwugodzinna podróż trzęsącą się na wybojach ciężarówką, w otoczeniu żołnierzy może nawet i sojuszniczego kraju, ale prezentujących wobec Amerykanów obojętność i chłód - w odróżnieniu od cichociemnych, wobec których zachowywali się z ogromną, zresztą odwzajemnianą serdecznością - wszystko to działało mu na nerwy i wprawiło w ponury nastrój.

Mały konwój dotarł do Warszawy o świcie. Po półgodzinnym kluczeniu ciężarówka w końcu zatrzymała się na podwórku jakiejś ogrodzonej ceglanym murem posesji. Travis wysiadł i z trudem rozprostował zesztywniałe mięśnie. Marzył o odpoczynku. Na szczęście szybko wskazano gościom kwatery - dwa czyste pokoiki z całkiem wygodnymi łózkami - i zaproponowano prysznic. Sądził, że po takiej nocy nie będzie mógł zmrużyć oka, ale ledwie przyłożył twarz do poduszki, już spał głęboko.

Obudził się, a raczej został obudzony po czterech godzinach. Zdziwiło go, że czuje się dobrze i nawet nieco odpoczął. Z przyjemnością zjadł zaproponowane przez gospodarzy skromne śniadanie i o dziesiątej wraz z całą ekipą był gotowy. Niestety, ku wściekłości Trávisa, oficer, ten sam co w nocy, poinformował go, że spotkanie -

cel męczącej i niebezpiecznej podróży - odbędzie się o godzinie jedenastej i poprosił, aby dwadzieścia minut przed tym terminem byli gotowi.

To było śmieszne. Przecież nie mieli nic innego do roboty. Mogli jechać od razu, bez nudnego czterdziestominutowego czekania. Ale officer uciął w zarodku jakąkolwiek dyskusję, pozostało więc zastosować się do prośby - czy może raczej rozkazu.

3

- Towarzyszu pułkowniku, lejtnant Zubow melduje się...

- Nie drzyj się tak. - Kazakowcew błyskawicznie zrobił się zły, choć prywatnie całkiem Zubowa lubił. Mieszkanie, zlokalizowane w solidnej mieszczańskiej kamienicy w Śródmieściu, było wystarczająco duże i miało na tyle grube ściany, aby zapewnić dyskrecję, ale i tak pułkownik obawiał się wścibskich sąsiadów. Takich jak on i jego ludzi nie kochano w tym kraju, ot co. - Nie jesteśmy sami.

- Tak jest. - Lejtnant zarumienił się, ale widać było, że chce jak najszybciej podzielić się zdobytymi informacjami. Był oficerem odpowiedzialnym za utrzymywanie łączności z agentami i z nielegalnymi pracującymi na rzecz operacji „Jutrzenka”. Ściszył głos. - Kontakt Numer Dwa melduje, że Niemcy złapali wczoraj jeden z Obiektów. - Tak w nomenklaturze operacji nazywani byli członkowie Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego. - Zajmuje się nim osobiście Hauptsturmführer Alfred Spilker.

- Zubow, przypomnę ci, że nasz cel jest inny. My nie uganiamy się za Obiektami. To problem Niemców, niech sobie ich łapią.

- Towarzyszu pułkowniku, za pozwoleniem, to nie jest zwykły Obiekt. To Amerykanin i nie jest żołnierzem. - Zubow uśmiechnął się szeroko.

Kazakowcew zmierzył go uważnym spojrzeniem. Zaczynało być naprawdę interesująco.

- Technik?

- Prawie na pewno tak. Przesłuchanie dopiero się zaczęło. Spilker najpierw go postraszył, potem zaproponował współpracę, a tamten na to poszedł.

- Jak znalazł się w rękach faszystów?

- Przypadek, zdaje się. Wpadł w czasie rutynowej kontroli. Kontakt Numer Dwa więcej zamelduje dziś po południu. Spilkerowi najbardziej zależy na likwidacji Obiektów, ale przecież zakres techniczny też go interesuje.

- No pewnie. - Kazakowcew przetrawiał usłyszane wieści. Konkurencją Niemców niezbyt się przejmował, dzięki sieci agenturalnej i ofiarnej działalności nielegalnych był przekonany, że jest w stanie zawsze wyprzedzić faszystów o krok. Co innego własne zadanie. Jak do tej pory rezultatów niestety nie było, choć był cierpliwy i wierzył, że praca agentów w terenie oraz wytężone działania jego własnych ludzi dadzą w końcu efekt. Akta sprawy, ciągnącej się od końca roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, były obszerne. GRU jeszcze przed uruchomieniem operacji „Jutrzenka” dysponowało całkiem sporą wiedzą. Do Kazakowcewa i jego grupy należało przekucie wiedzy w sukces operacyjny. Zadanie o jasnych jak słońce zasadach, jego wykonanie pozwoli osiągnąć wymarzony Cel. - Kontakt Numer Jeden nie odzywał się?

- Meldował wczoraj. Jest blisko. Na razie podał prawdopodobną lokalizację przebywania celu.

- To dobrze. Niech się nie spieszy. Niech tego nie schrząni. - Kontakt Numer Jeden był ich najcenniejszym agentem.

- Tak jest, przekażę. Jest jeszcze coś. - Zubow nadal się uśmiechał.

Kazakowcew widział w nim jakby swoje młodsze odbicie. Tę samą szczerość, oddanie Sprawie i wilczą bezwzględność. Spryt. Inteligencję. Szczęście.

- Mówcie.

- Kontakt Numer Trzy wpadł na trop ich źródła amunicji. Wiecie, towarzyszu pułkowniku, w rejonie Starachowic, Skarżyska Kamiennej, Radomia jeszcze przed wojną Polacy zorganizowali sporo zakładów zbrojeniowych. Teraz, ma się rozumieć, produkują dla faszystów. Mamy na tym terenie wielu oddanych nam ludzi. Kontakt Numer Trzy zorganizował z nich całkiem dużą siatkę informacyjną. Obserwacja zakładów przyniosła ciekawe wnioski. Z zebranych informacji wynika, że co jakiś czas z zakładu znika niewielka partia amunicji pistoletowej i karabinowej.

Niemcy udają, że nic nie widzą. Obserwator namierzył jeden z takich transportów. Ciężarówka podjechała w nocy pod jedną z mniejszych ramp, kilku pracowników wyniosło skrzynie z amunicją i w pięć minut było po sprawie.

To nie wszystko. Po okolicy kręci się sporo ludzi w mundurach Wehrmachtu lub SS, ale informatorzy dają sobie głowę uciąć, że to nie są miejscowi Niemcy, bo ci są im znani. Że to raczej w ogóle nie są Niemcy. Fryce w tym rejonie nie prowadzą żadnej tajnej produkcji, która by uzasadniała konieczność zaangażowania dodatkowych sił.

Poza tym ci dodatkowi Niemcy lubią się przemieszczać i działać w nocy, a towarzysz pułkownik wie sam bardzo dobrze, że fryce w nocy raczej nie wyściubiają nosa poza garnizony. - Zubow rozpostarł na stole dokładną mapę Kielecczyny i wskazał rejon Gór Świętokrzyskich. - Tutaj kręcą się najbardziej. Myślę, że to Obiekty. I chyba nie chodzi tylko o zabezpieczenie dostaw amunicji.

Obiekty chronią jeszcze coś. Może to, co nas interesuje. Rejon jest wymarzony. Duże kompleksy leśne, Niemcy daleko i raczej w większych miejscowościach, a w okolicy sporo ludności życzliwie nastawionych do burżuazyjnej partyzantki. - Zubow skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

- Ciekawe, ale to tylko spekulacje. - Jednak Kazakowcew wcale tak nie myślał. Czuł przez skórę, że Zubow złapał właściwy trop. W końcu tamci gdzieś musieli ukryć interesujące GRU skarby. Rejon Gór Świętokrzyskich jest rzeczywiście jakby do tego celu stworzony.

- Jestem prawie pewien, że tam coś jest.

- Prawie to trochę za mało. Ale może masz rację. Zawołaj Kaliszuka.

- Tak jest. - Zubow trzasnął obcasami znoszonych cywilnych półbutów i wyszedł z pokoju.

Po kilkunastu sekundach w drzwiach stanął największy facet, jakiego Kazakowcew widział w życiu. Prawdziwy olbrzym. Aby zmieścić się we framudze, musiał się pochylić i nieco przekręcić, bo szerokie bary nie pozwalały na normalne przejście. Człowiek ten miał twarz podobną do zaciśniętej pięści i złe, ponure spojrzenie. Był Ukraińcem i nienawidził Polaków z całego serca, choć po polsku mówił bardzo dobrze. Jego rodzice zginęli w walkach z Polakami w rejonie Lwowa w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, gdy Kaliszuk miał rok.

Wyrastał pośród ciotek i wujków, od dzieciństwa karmiony opowieściami o okrucieństwach i rzeziach urządzanych przez polskich żołnierzy. O wyczynach Kaliszuka jako szefa drużyny Specnazu krążyły legendy. Miał za sobą kampanię hiszpańską, polską i fińską, a także krwawy szlak bojowy od stepów Ukrainy po Kaukaz. W drużynie nie było już nikogo, kto choćby pamiętał zeszłoroczne lato. On sam trwał, niezniszczalny i posępny niczym złowrogi anioł śmierci. Kazakowcew osobiście go wybrał na dowódcę oddziału zwiadowczo-uderzeniowego.

Ludzie Kaliszuka także rekrutowali się spośród podobnych życiowych rozbitków i byli najwyższej klasy zabójcami. GRU słynęło z umiejętności odpowiedniego doboru starannie wychowanych i wyszkolonych kadr.

- Siadaj - nakazał Kazakowcew.

Olbrzym usiadł ostrożnie na krześle. Nie miał zwyczaju się meldować, co pułkownik, świadom zalet podwładnego, był zmuszony zaakceptować.

- Otrzymujesz zadanie. Wezmiesz pięciu ludzi i pojedziesz w ten rejon. - Zakreślił niewielkie koło na leżącej na stole mapie. - Skontaktujesz się z naszym nielegalnym w terenie. Od Zubowa dostaniesz na niego namiary. Nielegalny wprowadzi cię w szczegóły.

Możliwe, że w tej okolicy zlokalizowane jest to, czego szukamy. Masz mieć uszy i oczy otwarte. Utrzymuj łączność z Zubowem. Myślę, że damy ci niebawem więcej konkretów i wskażemy, gdzie szukać. Bądź ostrożny, w tym rejonie jest sporo placówek AK. Korzystaj tylko ze sprawdzonych melin wskazanych przez naszego człowieka. Możesz polegać na jego ocenie sytuacji. Jeżeli zauważysz coś konkretnego, melduj. Działaj na własną rękę w ostateczności. Tylko wtedy, kiedy coś będzie wymagało natychmiastowej reakcji, bez możliwości złożenia mi meldunku. Po takiej akcji zdasz raport na piśmie. I odpowiesz głową w razie niepowodzenia.

Kaliszuk spojrział na Kazakowcewa spode łba i pułkownika przeszedł dreszcz. Czasami miał wrażenie, że jest myszą, na którą poluje wielki, krwiożerczy kot. Po Kaliszuku nie było widać, żeby w jakikolwiek sposób przejął się groźbą. Miał na swoim koncie tyle sukcesów - na przykład w czasie tej przeklętej wojny fińskiej, w której zginęło tak wielu dobrych chłopaków - że nie musiał się przejmować humorami byle pułkownika. Pułkownicy przychodzą i odchodzą, a wojsko i tak opiera się na takich ludziach jak sierżant Kaliszuk.

Kazakowcew patrzył na podwładnego, oczekując jakiegokolwiek reakcji. Olbrzym przeniósł wzrok na mapę i wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Pułkownik wiedział, że wyszkolony umysł tego żołnierza wsparty fotograficzną pamięcią pozwoli mu dostrzec i zapamiętać wszystkie szczegóły. Kaliszuk w końcu oderwał wzrok od mapy, wstał, niemal niezauważalnie skinął głową na znak, że rozumie i odmeldowuje się, i nadal nie wypowiedział słowa, wyszedł z pokoju.

4

Kamienica przy Twardej trzydzieści sześć nie wyróżniała się niczym szczególnym. Podobnie jak niczym szczególnym nie wyróżniał się otaczający ją fragment Warszawy.

Na ulicach panował normalny, codzienny ruch, ludzie zajęci byli swoimi zwykłymi sprawami.

Jednak słowa „normalny” zdecydowanie nie można było odnieść do mieszkania pod numerem dziesiątym, zlokalizowanego na drugim piętrze budynku.

Wojtyńskiemu przypomniła się scena sprzed kilku miesięcy. Został wtedy zaalarmowany nagłym rozkazem, by stawić się niezwłocznie pod tym, nieznanym wówczas, adresem. Wszedł w bramę zwyczajnej śródmiejskiej kamienicy, wdrapał się na drugie piętro i zapukał do wskazanych w zaproszeniu drzwi. Poczuł, że jest obserwowany przez wizjer. Trzasnęły zamki i drzwi uchyliły się.

Znalazł się w miejscu, które, zbudowane niemalym nakładem sił i środków przez najlepszych warszawskich fachowców, miało pełnić rolę kwatery głównej Komendanta Armii Krajowej, generała Stefana Roweckiego, wobec świata najczęściej występującego pod pseudonimem Grot.

Po dokładnym obejrzeniu mieszkania, które Rowecki osobiście mu zademonstrował z zapalem godnym dziecka celebrującego otrzymanie nowej zabawki, Wojtyński musiał przyznać, że radość i duma generała były całkowicie uzasadnione.

Kwaterna składała się z trzech pozornie całkowicie od siebie niezależnych mieszkań, w rzeczywistości sprytnie połączonych. Do kompleksu prowadziło sześć różnych wejść obsługiwanych przez trzy klatki schodowe. Wszystkie drzwi zostały zabezpieczone systemem alarmowym. W samym środku kwatery znajdowało się pomieszczenie, którego istnienia nie sposób się było nawet domyślić, a które służyło za ostatnią deskę ratunku, gdy zawiodą możliwości ewakuacji. Wojtyńskiemu skojarzyło się jednoznacznie z pomieszczeniami typu „panic room” instalowanymi w domach współczesnych mu milionerów. Pokój o powierzchni czterech metrów kwadratowych wyposażono w wygodną leżankę i zapas żywności dla sześciu ludzi na dwa tygodnie.

Do dyspozycji użytkowników lokalu stał prawdziwy arsenał: dwa ciężkie karabiny maszynowe, dziesięć pistoletów maszynowych sten, granatnik przeciwpancerny piat oraz sto zrzutowych angielskich granatów obronnych. W razie zagrożenia usytuowanie okien zapewniało możliwość trzymania pod ogniem ulic Twardej, Pańskiej, Grzybowskiej i Żelaznej.

Wojtyński był pod wrażeniem. Doradził wprowadzenie kilku modyfikacji i opuścił fortecę nieco spokojniejszy o los szefa. Nie bardzo wiedział, dlaczego przypominał sobie ten dzień właśnie teraz, po tamtej wizycie był przecież na Twardej wielokrotnie. Może dlatego, że wtedy także świeciło słońce, dzień był pogodny, jasny i, w jakiś nie całkiem zrozumiały sposób, optymistyczny.

Zapukał do jednego z zapasowych wejść punktualnie o godzinie dziesiątej. Po dłuższej chwili drzwi otworzyły się. Porucznik wszedł do mieszkania.

5

- Dzień dobry, panie generale - powiedział do Tadeusza Komorowskiego, Bora, zastępcy Komendanta Głównego. Wojtyński początkowo sprzeciwiał się obecności Komorowskiego podczas odpraw. Jednak Rowecki przekonał go, że Państwo Podziemne, którego tak czy inaczej Wojtyński ze swoimi ludźmi był częścią, musi mieć zapewnioną ciągłość dowodzenia, na przykład w razie aresztowania Komendanta, i dlatego Bór powinien być wprowadzony w całokształt kontaktów z dowódcą Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego Armii Krajowej.

Wojtyński musiał zresztą przyznać, mając okazję dość dokładnie poznać tego człowieka w ciągu ostatnich kilku lat, że Bór często wykazywał się rozsądkiem i pragmatyzmem podczas planowania - a właściwie może raczej omawiania, planowanie bowiem Wojtyński z reguły rezerwował dla siebie - operacji wojskowych prowadzonych przez żołnierzy batalionu.

- Dzień dobry. - Generał uśmiechnął się życzliwie i wyciągnął rękę na powitanie. Wojtyński uściśnął ją mocno. - Proszę dalej. Czekamy na pana.

Idąc za Borem, przeszedł przez ukryte za ogromną, biblioteczną szafą drzwi i znalazł się w pokoju, w którym od pół roku zwykle odbywały się narady. Skład uczestników był zawsze niezmienny i ograniczony do czterech osób: Grota, Bora, Wojtyńskiego oraz szefa sztabu Komendy Głównej Armii Krajowej, pułkownika Tadeusza Pelczyńskiego o pseudonimie Grzegorz. Na widok porucznika Rowecki i Pelczyński przerwali prowadzoną z ożywieniem rozmowę, podnieśli się i przyjaźnie skinęli głowami. Uściski dłoni były krótkie i mocne. Usiedli przy stole mogącym pomieścić dalszych sześć osób.

Rowecki liczył sobie lat czterdzieści osiem, miał owalną twarz, niebieskie oczy, krótki wąs i mocne, stanowcze spojrzenie. Był najważniejszym z twórców Państwa Podziemnego, przywódcą zarządzającym nim od kilku lat kompetentnie, fachowo i twardo. Porucznik miał przed sobą postać, którą zobowiązał się, przed sobą i historią, chronić ze wszystkich sił.

Od samego początku współpracy kontakty obu struktur ograniczały się tylko do ludzi zgromadzonych w tym pokoju i tylko ci ludzie byli poinformowani o pochodzeniu części żołnierzy Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego Armii Krajowej. Reszta oficerów Komendy Głównej, nie mówiąc o szeregowych żołnierzach, nie miała pojęcia, przynajmniej oficjalnie, nawet o istnieniu batalionu. Owszem, krążyły rozmaite plotki, narastały legendy wokół co głośniejszych akcji, ale nikt tak naprawdę nie wiedział niczego konkretnego. Na prośbę Wojtyńskiego Rowecki dyskretnie kolportował różne niedomówienia i aluzje, z których wyłaniał się zasnuty mgiełką tajemnicy obraz oddziału do zadań specjalnych, mającego swe korzenie jeszcze w okresie przedwojennym, o unikalnym poziomie wyszkolenia i wyposażonego w eksperymentalną technikę bojową.

- Jak zawsze jest pan bardzo punktualny - zagaił Rowecki, patrząc na podwładnego z sympatią.

- Dziękuję. Uważam punktualność za część swojej pracy. Chciałbym omówić, jeśli panowie pozwolą, kilka spraw bieżących, zanim przejdziemy do głównego tematu dzisiejszej narady. - Wojtyński nie tracił czasu na ozdobne wstępy. Pozostali uczestnicy narady kiwnęli głowami. Porucznik wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki poczwórnie złożoną kartkę papieru. - Tu jest rozliczenie wydatków za ostatni okres. Wyniosły blisko cztery miliony złotych.

Rowecki spojrzał przelotnie na kolumny cyfr i odłożył karteczkę na bok. Sprawy finansowe nigdy nie były problemem. Wojtyński rozliczał wydatki z przekazywanych przez Komendanta kwot co do grosza, obszernie i przekonywająco uzasadniając każdy z nich. Równie sumiennie zresztą, o czym już Komendant nie wiedział, rozliczał środki pozyskiwane na własną rękę dzięki rekwizycjom.

- Druga sprawa, znacznie ważniejsza. - Wojtyński poprawił się na krześle. - Jutro ma się rozpocząć akcja ostatecznej likwidacji getta i wywiezienie do obozów znajdujących się w nim ludzi. Część Żydów zamierza się bronić, niezależnie od wszystkiego. Rozumiem ich. Zrobiłbym to samo na ich miejscu, chociaż tej walki nie da się wygrać ani sprowadzić do jakichś zadowalających rezultatów i z punktu widzenia wojskowego nie ma ona żadnego sensu.

- Dla Niemców akcja też nie ma uzasadnienia wojskowego, natomiast ma uzasadnienie ideologiczne. Żydzi przeznaczeni są do eksterminacji - wtrącił Grot, kiedy Wojtyński przerwał na chwilę dla złapania oddechu. Komendant sprawiał wrażenie, bardzo częste podczas narad, jakby myślał na głos. - Żeby zlikwidować zagrożenie, należałoby wyeliminować źródło, czyli ideologię, a to nie leży w naszych możliwościach. Niemcy uderzą. Żydom pozostaje albo użycie siły, albo bierne poddanie się wydarzeniom, co dla większości z nich jest nie do zaakceptowania. Analizowałem różne warianty rozwoju sytuacji. Bez wywoływania powstania o ogólnowarszawskim albo nawet ogólnokrajowym zasięgu nasza pomoc na szerszą skalę jest niemożliwa. A takie powstanie, tu się chyba wszyscy zgadzamy, jest w tej chwili nie do wygrania. Zatem pomoc na szerszą skalę odpada, a pomoc ograniczona przyniesie niestety wyłącznie przedłużenie walk i większe zniszczenia. Ponieważ jednak Żydzi będą się bić, a my nie możemy ich zostawić samych sobie, wydałem polecenie zorganizowania szkolenia wojskowego dla bojowców ŻOB-u, a także udzielenia im pomocy materiałowej.

- Panie generale, jest jedna rzecz, którą zresztą jakiś czas temu zaproponowałem przedstawicielom żydowskich organizacji, mająca szanse powodzenia zarówno w sensie moralnym, jak i faktycznym oraz uzasadniająca ograniczoną pomoc. Żydzi zgadzają się, choć to dla nich bardzo trudne ze względów psychologicznych - odezwał się Wojtyński.

- Co pan ma na myśli?

- Ewakuację wszystkich znajdujących się w getcie dzieci do lat dziesięciu. Podkreślam, wszystkich. Moi rozmówcy oszacowali ich liczbę na minimum dwa i pół tysiąca, zresztą tak naprawdę nikt nie wie, ile ich jest. Z tego punktu widzenia walka ma jakiś cel. Przed ludźmi można postawić konkretne zadania. Walcząc, kupimy czas potrzebny do ewakuacji oraz, co równie ważne, wywołamy pewne skutki polityczne, których Niemcy bardzo się obawiają. Damy im mocno w skórę, a jednocześnie nie rozlejemy bitwy na całe miasto czy kraj. Opracowałem scenariusz, jak zadać Niemcom maksymalnie duże straty, dotkliwe pod względem wojskowym, ale i prestiżowym, co zresztą później możemy wykorzystać propagandowo. Akcja będzie składała się z kilku elementów: opóźnienia, walki zewnętrznej oraz walki wewnątrz terenu getta.

- Walki zewnętrznej? - Grot pokręcił z powątpiewaniem głową.

- W ograniczonym zakresie, ale spektakularnym sensie. Widzę dwa cele: osłabienie siły nieprzyjacielskiego ataku i, zgodnie z pana poleceniem, pokazanie, że eksterminacja Żydów nie jest sprawą pomiędzy Żydami a Niemcami, jest sprawą pomiędzy wszystkimi obywatelami polskimi a Niemcami. Oni bardzo boją się naszej interwencji, chcę wykorzystać ten strach.

- Mam obawy co do represji. Mogą nas również uznać za cel.

- Nie zrobią tego, bo nie mają wystarczających sił. Walka jest im nie na rękę. My z kolei zademonstrujemy siłę i solidarność bez wdawania się w przewlekłe bitwy. To Niemcom da do myślenia i nieco ich powstrzyma.

- Brzmi rozsądnie - powiedział Bór.

Porucznik miał nadzieję, że ta opinia wyraża zdanie całej trójki.

- Owszem. O ile się uda - mruknął zatopiony w myślach Rowecki.

- Przeanalizowałem wszelkie warianty planowanych działań wynikające z dostępnych mi danych na temat intencji nieprzyjaciela i jego sił. Ryzyko porażki jest zawsze, ale sądzę, że w tym wypadku powinno nam się udać przeprowadzić akcję zgodnie z planem.

Zapadła cisza. Trzej słuchający porucznika wojskowi z wieloletnim stażem i praktyką bojową przetrawiali usłyszane informacje.

- Oni będą się bić. Czy im pomożemy, czy nie - powiedział Grzegorz.

- To jasne. Nie mają wyboru. Chcą umrzeć z bronią w ręku. A my nie będziemy stać bezczynnie. - Rowecki był zamyślony i nie sprawiał wrażenia człowieka chętnego do dalszego roztrząsania tematu. Zbyt często to czynił w ciągu ostatnich dni. Wnioski były zawsze te same. - Jak pan chce dokonać opóźnienia akcji niemieckiej? - zwrócił się do Wojtyńskiego.

- Spróbuję bezpośrednio wpłynąć na dowódcę sił bezpieczeństwa. Potrzęsnać nim nieco.

- Von Sammerna pan nie przekona - wtrącił Pełczyński.

- Nie chodzi o von Sammerna. - Wojtyński pokręcił głową. - On jutro straci dowodzenie. Nowym szefem sił bezpieczeństwa dystryktu zostanie SS-Brigadeführer Jürgen Stroop.

Generałowie popatrzyli po sobie. Już dawno stwierdzili, że porucznik najczęściej ma lepsze informacje niż akowski wywiad.

- Jaki powód zmiany?

- Himmler potrzebuje na tym stanowisku kogoś znacznie twardszego od pana barona. Mnie to jest nawet na rękę. Moi ludzie rozpracowali Stroopa bardzo dokładnie

- Rozumiem, że szczegóły działań zostawi pan dla siebie? - zapytał Rowecki, uśmiechając się lekko. Zawsze tak było i do tego też już się przyzwyczaili.

Ale Wojtyński zadziwił ich.

- Nie tym razem. Chcę to z panami uzgodnić, ponieważ akcja ma jednak wymiar operacyjny i przyniesie dość poważne skutki. Według moich kalkulacji spowoduje przeorientowanie polityki niemieckiej względem nas, osłabienie jej kursu. Oczywiście to nie jest bezdyskusyjne, wiele ryzykujemy. Pozwolą panowie?

- Proszę mówić.

Wojtyński referował przez kilka minut, patrząc im prosto w oczy. Proponowane działania zostały przedstawione w logicznie powiązanych ze sobą punktach. Słowa układały się w zdania, zdania w wątki, a te tworzyły całość. Fascynującą.

- To jest najśmielszy plan, o jakim słyszałem. Wydawało mi się, że znam pana dość dobrze, ale mimo wszystko zaskoczył mnie pan - powiedział Rowecki, gdy Wojtyński skończył wystąpienie i usiadł.

- To brzmi brawurowo, wiem. Ale nie proponuję niczego, co nie byłoby wykonalne. A przede wszystkim spowoduje spowolnienie reakcji Niemców, bez konieczności podejmowania walki na skalę ogólnokrajową, mam nadzieję...

- Ma pan nadzieję - wtrącił Grzegorz. - A co, jeśli się nie spełni?

- Cóż mogę na to odpowiedzieć, panie pułkowniku? - Wojtyński poprawił się na krześle. - Zawsze będę mógł stwierdzić, że przynajmniej próbowałem.

- Nie chciałbym zrozumieć tego w ten sposób, że zarzuca nam pan bierność, panie poruczniku. - Pełczyński podniósł nieco głos.

- Niczego panu nie zarzucam. Staram się po prostu sporządzać rachunek szans. Już to panom tłumaczyłem. Dla mnie to nie jest sprawa honoru czy romantycznej walki z wiatrakami. Obliczam szanse, analizuję różne warianty, przygotowuję plan. W tym wypadku kalkulacja mówi, że ryzyko się opłaci. I tyle.

Pomyślał, że niepotrzebnie się dał ponieść emocjom. Nigdy nie powinien im ulegać. Ale ostatnio zaczął i wcale go to nie cieszyło.

- Rozumiem pana punkt widzenia - włączył się do rozmowy Grot.

- Wolałbym mieć więcej czasu na przemyślenie pana propozycji, biorąc pod uwagę jej, że tak powiem, kaliber. Chcę jeszcze poznać kilka szczegółów. Rozmawialiśmy o walce w getcie. Jak ma przebiegać ewakuacja ludności? - zapytał.

- Z getta tunelem, następnie samochodami ciężarowymi i osobowymi na teren innych dzielnic lub w ogóle poza Warszawę. Jednocześnie komórki legalizacyjne przygotowują nowe papiery dla dzieciaków i opiekunów. Mniej więcej sześćdziesiąt procent z nich będzie mogło żyć na powierzchni, bo mówi po polsku i nie odróżnia się od Polaków wyglądem, więc może w miarę normalnie funkcjonować w nowych rodzinach. Dla reszty staramy się znaleźć bezpieczne schronienia.

- Rozumiem, że znaleziono wystarczająco dużo rodzin, które zgodziły się przyjąć dzieci?

- Prace nad tym zagadnieniem jeszcze trwają. Nie jest to proste, ludzie boją się ryzyka, ale powoli posuwamy się do przodu. Wskazane przez pana organizacje i poszczególne osoby bardzo nam pomagają. Szczerze mówiąc, wzięły na siebie główny ciężar poszukiwań.

- Rozumiem. Kiedy chce pan zacząć akcję?

- Dziś po południu mam spotkanie z głównymi przywódcami sił powstańczych. O ile wszystko z nimi uzgodnię, a na pierwszym spotkaniu mieli kłopoty z wypracowaniem wspólnego stanowiska, ewakuacja zacznie się dziś w nocy, grupami po dwadzieścia osób.

Mam pięć ekip wyposażonych w papiery umożliwiające poruszanie się podczas godziny policyjnej. Jutro rano Niemcy wkroczą do getta. Zamierzam przed tym terminem przerzucić za mur stu żołnierzy, tworzących dwadzieścia grup bojowych, w składzie od czterech do sześciu ludzi, które zaatakują Niemców ze wszystkich stron. Wzdłuż osi natarć będą także rozmieszczeni strzelcy wyborowi. Niemcy skazani są na taktykę poruszania się wzdłuż ulic i likwidowania kolejnych punktów oporu. Wpadną w końcu na pomysł, że utworzenie małych grup bojowych, które mogą zachodzić nieprzyjaciela od tyłu, jest znacznie skuteczniejsze niż linearne natarcie, ale jutro rano tej wiedzy jeszcze nie będą mieli. - Trzej zgromadzeni w pokoju dowódcy AK zdążyli się już przyzwyczaić, że Wojtyński mówił o przyszłych wydarzeniach w taki sposób, jakby już się odbyły, ale zwłaszcza Pelczyński i Komorowski mieli nadal kłopoty z pełnym zrozumieniem i zaakceptowaniem tego faktu. - Zadanie polega na tym, aby osłonić ewakuację. Potem moi ludzie wycofają się.

- A powstańcy? I reszta ludności? - odezwał się Bór.

- Tak jak panowie słusznie zauważyli, będą się bić dalej. - Wojtyński wypowiedział te słowa nienaturalnie obojętnym tonem.

Zaległa cisza. Zza okna dochodził stłumiony gwar uliczny. Rowecki wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Nie ma najmniejszych wątpliwości, że naszym moralnym i fizycznym obowiązkiem jest możliwie najlepsza i najskuteczniejsza ochrona tych ludzi - odezwał się w końcu.

Pozostali mieli wrażenie, że mówi raczej do siebie, niż do nich. Porządkował myśli, podsumowywał dyskusję.

- To są przecież w ogromnej większości obywatele polscy i jako tacy podlegają prawom i obowiązkom obywateli Rzeczypospolitej. Z drugiej strony, bez żadnych wątpliwości, niemiecki terror i machina przemocy są zbyt duże jak na nasze siły. Przeprowadzenie operacji, która mogłaby być zakończona całkowitym sukcesem, nie jest możliwe bez rozpętania ogólnonarodowego powstania, na co nie mamy sił, nie nadszedł też jeszcze właściwy moment. A zatem operacja, którą proponuje pan porucznik, będzie miała ograniczony co do skutków zasięg, ale tylko ona jest możliwa w obecnej sytuacji. Moi podkomendni włączą się do działań na zewnątrz murów. Poprowadzą szereg akcji dywersyjnych.

Wojtyński uśmiechnął się w duchu. Grot nie był człowiekiem, który dawał sobą sterować. Porucznik musiał wnieść się na wyżyny dyplomatycznych umiejętności, aby stopniowo doprowadzić generała wraz z jego współpracownikami do dzisiejszych wniosków. Kilka miesięcy temu, kiedy poruszył ten temat po raz pierwszy, jednogłośnie reakcją był sprzeciw. Choć wszyscy rozumieli motywy powodujące konieczność i nieuchronność walki, nie zgodzili się na podejmowanie jakiejkolwiek szerszej akcji w obawie przed represjami i rozlaniem się walk na całe miasto. Porucznik musiał włożyć sporo wysiłku w przekonanie tych ludzi, że możliwe jest takie poprowadzenie działań, by nie spowodować ogólnokrajowej detonacji.

- Czy mogę zatem rozumieć, że panowie ostatecznie akceptujecie cel operacji? - zapytał.

Grot spojrzał na swoich podkomendnych, którzy skinęli bez wahania głowami.

- Ma pan moją akceptację. Niniejszym wydaję rozkaz do rozpoczęcia akcji.

- Tak jest. Niezwłocznie przystąpię do wykonania zadania.

- Teraz punkt najważniejszy. - Rowecki spojrzał na zegarek.

Mieli nieco ponad pół godziny.

- Tak jest. Otrzymałem informację, że Amerykanie wylądowali szczęśliwie i znajdują się już na terenie Warszawy. Moi ludzie powinni dostarczyć ich tutaj w umówionym terminie.

- Świetnie. - Komendant nadal przechadzał się po pokoju.

Najwyraźniej zarówno Grot, jak i niedawno spotkany Ponury sprawniej myśleli i kalkulowali, gdy nie siedzieli w miejscu.

Wojtyński pomyślał, że jeśli dalej będzie w ten sposób dobierał rozmówców, wkrótce nabawi się urazu szyjnego odcinka kręgosłupa. - Powiem panu, że ogromnie dużo wysiłku kosztowało mnie przekonanie Londynu, aby zostawili nam negocjacje w ręku. Nalegali na rozmowy w Londynie, a w ostateczności w Warszawie, ale wyłącznie w obecności i przy aktywnym udziale przedstawiciela rządu. Nie mówiąc już o tym, że w związku z niedawnym odkryciem grobów polskich oficerów na terenie Rosji nasze władze mają teraz kłopoty z Sowietami i Naczelny Wódz bardzo naciskał, aby rozmowy z Amerykanami przełożyć na bardziej sprzyjający moment. Właściwie co do terminu dzisiejszego spotkania postawiłem go przed faktem dokonanym.

- Bardzo dziękuję za ten wysiłek, panie generale. Nie będzie niestety właściwszego momentu. My jesteśmy teraz gotowi, a Amerykanie dojrzeli do rozmów. - Wojtyński ani słowem nie skomentował sprawy Katynia. Już dawno doszedł do wniosku, że nie chce zaprzętać swojej uwagi sprawami, na które nie miał najmniejszego wpływu. Nie znaczy to, że w tym konkretnym przypadku nie podjął pewnych działań. W styczniu czterdziestego roku przekonał Roweckiego, aby wysłać rządowi meldunek szeroko objaśniający możliwe zamiary Sowietów względem pojmanych na wschodnich terenach Rzeczypospolitej jeńców. Być może jakieś działania dyplomatyczne podjęto, ale ani alianci zachodni, uwikłani w rozgrywkę dyplomatyczną wokół Finlandii, nie kwapili się zbytnio do pomocy; ani polski rząd nie miał w tej grze zbyt wielu atutów. Wojtyński podejrzewał, że skutki tych działań będą zerowe, w tym sensie, że Sowietci i tak podejmą decyzję stosownie do swoich zamiarów, nie oglądając się na czynniki zewnętrzne. Dalszy rozwój wypadków pokazał niestety, że miał rację.

Przypominał sobie wielokrotne tyrady Wiecheckiego, który pomstował na ich dawnego przełożonego, podpułkownika Grobickiego. Grobicki swego czasu, na początku wojny, spotkał się z marszałkiem Rydzem-Śmigłym. Na spotkaniu tym omawiano różne rzeczy, nie padła jednak rada co do konieczności ogłoszenia stanu wojny z Sowietami w przypadku wkroczenia tychże na terytorium Rzeczypospolitej. Grobicki nie doradził, Rydz nie ogłosił i historia w czasie kampanii jesiennej i po jej zakończeniu tylko nieznacznie wyskoczyła z szyn. Potem wróciła na swój tor i popędziła dalej.

Nie było żadnego sensu roztrząsać tego po raz kolejny. Jałowe spory dotyczące przegranych bitew nigdy go nie interesowały. Skupił się na bieżącej chwili.

- Jak już wcześniej mówiłem, w tej kwestii, zresztą jak w wielu innych, nie ufam politykom. Londyn to jeden wielki tygiel emocji i namiętności, z pewnością nie mieliśmybyśmy gwarancji utrzymania negocjacji, a zwłaszcza ich skutków, w tajemnicy. Zaczęłyby się tarcia i waśnie stronnictw, każdy chciałby wtrącić swoje trzy grosze do wspólnego sukcesu albo w razie klęski zwać, gdzie pieprz rośnie. Nie, nie. - Porucznik pokręcił głową. - Pan ma wystarczające pełnomocnictwa do reprezentowania polskich interesów, a ja mam wiedzę, jak maksymalnie wykorzystać nasze atuty.

- Dobrze. - Rowecki w końcu usiadł. Za oknem przemknął policyjny wóz na sygnale, podnosząc na chwilę poziom adrenaliny we krwi wszystkich zgromadzonych w pokoju oficerów. - Pachnie mi to trochę buntem, ale już za późno na wycofanie się. Obiecał pan opowiedzieć nieco o naszej karcie przetargowej.

- Oczywiście. Nadszedł w końcu czas wyjaśnień. - Wojtyński uśmiechnął się lekko.

Przez z górą trzy lata umiejętnie dozowana mieszanka faktów, półprawd i aluzji dawała możliwość trzymania tych ludzi w przekonaniu o wyjątkowym znaczeniu proponowanych przez porucznika rozwiązań, o ich wynikającej z uprzedzającej wiedzy bez alternatywności, a jednocześnie pozwalała uniknąć katastrofy w razie

dostania się któregoś z nich w ręce Niemców. Toteż wielu rzeczy nie wiedzieli do dziś. - Otóż jeszcze w trzydziestym dziewiątym roku ukryłem na terenie Gór Świętokrzyskich urządzenia, dzięki którym w obecnych czasach znalazłem się zarówno ja, jak i reszta moich kolegów.

Nie mam pewności, czy po uszkodzeniach odniesionych w czasie nalotu niemieckiego urządzenia te, a właściwie pozostałości całego systemu o nazwie MDS, są jeszcze na tyle sprawne, by mogły spełniać swą pierwotną rolę. Nie o to jednak chodzi, aby przekazując MDS-a Amerykanom, umożliwić im podróże w czasie. Samo badanie technologii użytej w systemie, przy pomocy specjalistów z obsługi, którzy według mojej wiedzy udali się do Stanów Zjednoczonych i pracują na rzecz rządu amerykańskiego, stwarza możliwości skoku technologicznego, który pozwoli zakończyć wojnę w kilka miesięcy. Nie będę szczegółowo wchodził w rozważania techniczne, powiem tylko w skrócie o skutkach.

Można będzie niebywale zwiększyć precyzję ostrzału artyleryjskiego czy bombardowania - na przykład do dziewięćdziesięciu procent - a także ogromnie przyspieszyć proces decyzyjny na polu walki. Można stworzyć całą serię broni inteligentnych, samonaprowadzających się na cel. Skonstruować radary dziesięciokrotnie precyzyjniejsze od obecnych. Opracować silniki rakietowe, które pozwolą nadać myśliwcowi prędkość tysiąca lub więcej kilometrów na godzinę. Przy użyciu technologii nuklearnej można w końcu stworzyć broń o tysiąckrotnie większej mocy rażenia niż konwencjonalne, najcięższe nawet bomby.

Jeden ładunek jest w stanie zniszczyć duże miasto czy ośrodek przemysłowy.

Amerykanie zresztą, dla wiadomości panów, już pracują nad taką technologią, ale są na samym początku drogi. Podsumowując: uzyskanie możliwości zbadania emitera i urządzeń towarzyszących, zwłaszcza we współpracy z technikami z jego obsługi, pozwoli Amerykanom niezwykle przyspieszyć zakończenie wojny. Mogę nawet powiedzieć, z pewną przesadą, że system MDS stanowi klucz do panowania nad światem, i nie mówię tylko o pokonaniu Niemców. A my trzymamy ten klucz w ręku.

W pokoju po raz kolejny zaległa cisza. Oficerowie, doświadczeni i rozsądni mężczyźni, przetrawiali zasłyszane informacje. Do tej pory wiedzieli tylko, że porucznik ma w ukryciu jakieś urządzenia o baśniowych wręcz możliwościach i że fakt ten może być istotny z punktu widzenia polskich interesów. Teraz próbowali to sobie wyobrazić, co nie było łatwe. Zostali ukształtowani przez poziom techniki z lat dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku.

- Chce pan im przekazać urządzenie teraz? - zapytał Pełczyński. Jak i pozostali uznał, że nie będzie roztrząsał szczegółów technologii. Przyjął po prostu narzuconą im przez Wojtyńskiego wizję. - To nie byłoby właściwe.

- Oczywiście. Sytuacja jeszcze do tego nie dojrzała. Z naszego, polskiego punktu widzenia rzecz jasna.

- Jak pan uzasadni zwłokę naszym sojusznikom?

Wojtyński zastanowił się nad odpowiedzią. Bez wątpienia uważał ją za kluczową kwestię w rozmowach z Amerykanami.

- Nie będzie łatwo, przyznaję. Obliczam, że rozpracowanie użytych w tej technologii rozwiązań i wdrożenie ich do własnych celów zajmie co najmniej pół roku, może osiem miesięcy. Jeżeli Amerykanie otrzymaliby emiter teraz, z nowymi technologiami byłiby gotowi przed lądowaniem we Francji, co przypuszczalnie uczyniłoby inwazję zbędną.

Mogliby szybko zakończyć wojnę. Nam się to zupełnie, przepraszam za sformułowanie, nie opłaca. Sowieci będą już w Polsce, a Amerykanie w Anglii, może we Francji. W obliczu kapitulacji Niemiec wątpię, by zechcieli walczyć dalej o nasze interesy. Natomiast jeżeli oddamy urządzenie za nieco ponad rok, mniej więcej równo z

wybuchem powstania powszechnego, będzie to najbardziej korzystne dla naszych interesów, a Amerykanie będą jeszcze mieli możliwość wykorzystania technologii na początku czterdziestego piątego roku. Musimy ich przekonać, że i tak zyskają, przede wszystkim jeśli chodzi o powojenny układ sił.

- Pan porucznik ma absolutnie rację, nie jesteśmy gotowi, a właściwie nie tyle my, ile sytuacja ogólna - powiedział Bór. - Pomoc, którą chcemy wynegocjować, musi nadejść w momencie, który jest dogodny z punktu widzenia Polski do zbrojnego odzyskania niepodległości. Tylko wtedy pojawi się szansa, że zajmiemy Warszawę wraz z jakimś kawałkiem terytorium, zainstalujemy w niej legalne władze i powitamy Sowieców jako gospodarze, dysponując kilkuset tysięczną armią Wojska Polskiego. Amerykanie i Sowieci będą się z nami liczyć, jeśli tu, w kraju, za naszymi argumentami będzie stała realna siła wojskowa. Jeżeli damy urządzenie Amerykanom teraz, oni wykorzystają je do swoich celów, my natomiast nie będziemy mieli jakiegokolwiek gwarancji, że obiecana pomoc przyjdzie we właściwym dla nas momencie.

- To oczywiste. - Rowecki uśmiechnął się. Ten człowiek czasami okropnie go irytował. Pomimo wielkiego taktu zbyt często nie udawało mu się uniknąć dydaktycznego tonu. Zdarzało mu się po prostu zapominać, do kogo mówi.

- Tak, przepraszam - zreflektował się Komorowski. Mimo wszystko potrafił czasem dostrzegać własne błędy.

- Jesteśmy żołnierzami, ale politykę musimy prowadzić na bieżąco. - Grot znowu wstał. Podeszedł do okna i przez chwilę obserwował ruch uliczny. - Nie mam specjalnych złudzeń co do postępowania naszych sojuszników. Zawiedli w trzydziestym dziewiątym, zawiedli w czterdziestym, prowadzą przede wszystkim swoją grę. Wiem, że im będziemy silniejsi, tym większe mamy szanse na wywalczenie niepodległości. Łamię sobie nad tym głowę od samego początku konspiracji. Mamy takie położenie geograficzne, że zawsze staliśmy i nadal stoimy na polu starcia dwóch potęg. Nie myślał pan przypadkiem... - zawahał się - że moglibyśmy wykorzystać urządzenia, o których nam pan opowiada, do własnych potrzeb? Skoro dają tak niebywale możliwości, po co nimi handlować? Stwórzmy zespół techników i opracujmy te nowatorskie bronie. Uczynimy naszą armię niezwycięzoną. Nie będziemy się musieli wtedy naprawdę na nikogo oglądać.

Wojtyński nie był pewien, czy generał mówi poważnie. Z tonu głosu nie dało się tego wywnioskować, a Rowecki nadal był odwrócony tyłem do pozostałych uczestników narady.

- Analizowałem to zagadnienie - zaczął ostrożnie porucznik. Bór i Grzegorz wpatrywali się w niego z wielką uwagą. Rzucona przez Grot możliwości była niezwykle pociągająca. - Wszyscy specjaliści z obsługi, z wyjątkiem jednego, którego akurat mam w ręku, są poza naszym zasięgiem. Polscy naukowcy, którzy byliby ewentualnie do dyspozycji, nie mają odpowiednich kwalifikacji, nie ten poziom zaawansowania. Rezultaty można osiągnąć tylko wtedy, kiedy połączy się wszechstronną wiedzę naukową z czasów obecnych z poziomem nauki z moich czasów. Druga sprawa to możliwości organizacyjne. Do takich badań i eksperymentów potrzebne są laboratoria badawcze, ogromne zaplecze surowcowe, poligony doświadczalne. Nie, w warunkach konspiracji niemożliwe jest twórcze wykorzystanie technologii MDS-a. Poza jednym wyjątkiem... - zawahał się. Nie był pewien, czy chce im to zdradzać.

- Jakim? - Grot przyglądał mu się uważnie.

- Technik, którego mam w ręku, mógłby, pod pewnymi warunkami i przy niebywałym szczęściu, skonstruować jeden egzemplarz bomby atomowej. Wykorzystałby część systemu. Byłby to ładunek o mocy kilkunastu kiloton, czyli kilkunastu tysięcy ton dynamitu. Teoretycznie byłoby możliwe, abyśmy taki ładunek wytworzyli i umieścili na przykład w Berlinie, po czym zdetonowali go.

- A zatem dlaczego tego nie robimy? - Na twarz Pelczyńskiego wypełził rumieniec. Być może pułkownik starał się sobie wyobrazić stolicę najzacieklejszego wroga obróconą w kupę gruzów.

- Ponieważ skutkiem takiej eksplozji byłby co najmniej milion ofiar. Owszem, zginęłoby sporo hitlerowskich dygnitarzy, jeżeli dobralibyśmy odpowiedni moment, może nawet i sam Hitler, ale w większości zginęłyby kobiety, dzieci, osoby starsze i tak dalej. Czy którykolwiek z panów chciałby wziąć na siebie odpowiedzialność za ludobójstwo?

- Na pewno nie. - Rowecki wstał ponownie. - My nie wojujemy w ten sposób. To, co pan mówi, jest kuszące, ale odpada ze względów moralnych. Ofiary zrównałyby się z katami. Nie, nie. Wykluczone.

- Też mi się tak wydaje. Dlatego nie rozważałem takiej koncepcji. Wspomniałem o niej, bo uważam że musicie mieć, panowie, pełen obraz sytuacji, ale zgadzam się, że nie powinniśmy nawet próbować. Natomiast istnieje wariant pośredni i nawet podjąłem już w tym kierunku pewne kroki organizacyjne.

- Mianowicie?

- Nie musimy od razu iść na całość. Teoretycznie możliwe jest skonstruowanie ładunku o znacznie mniejszej mocy, dajmy na to jednej kilotony, i wystrzelenie go z moździerza na przykład na siedzibę Hitlera w Wilczym Szańcu. Operacja wymagałaby niesłychanej precyzji i bardzo dokładnych danych wywiadowczych, ale jest teoretycznie wykonalna. Pozostaje tylko pytanie, czy negatywne skutki takiej akcji, na przykład represje, nie przyniosą więcej szkód niż zysków.

- Gra jest warta ryzyka - powiedział Grot. - Usunięcie Hitlera wraz z jego świtą, prawdopodobnie z istotną częścią generalicji, może kompletnie zmienić sytuację polityczną na świecie. To jest bardzo kusząca możliwość, ale rozumie pan, że muszę ją przedyskutować ze swoimi przełożonymi. Proszę czynić przygotowania organizacyjne, ale nie rozpoczynać operacji bez mojego wyraźnego rozkazu.

- Tak jest - odparł Wojtyński. Pomyślał, że taka akcja byłaby swego rodzaju ukoronowaniem jego wojskowej kariery.

Bór spojrzał na zegarek.

- Goście zaraz powinni tu być. - Widać było, że coś go nurtuje. - Chciałbym pana jeszcze o coś zapytać przy okazji poprzedniego tematu. Urządzenia do przenoszenia w czasie nie da się wykorzystać militarnie. Zgoda. Ale czy nie myślał pan o tym, by je samodzielnie uruchomić? Zabrać się z kolegami do pana epoki?

- Myślałem. - Wojtyński nie dał po sobie poznać zaskoczenia. - Te same wnioski. Brak możliwości technicznych. Ja mam tylko emiter bez zasilania w energię elektryczną i bez wiedzy potrzebnej do uruchomienia czy dokonania niezbędnych napraw.

- Szkoda. - W głosie generała zabrzmiał prawdziwy żal. - Mógłby pan polecić do macierzystej epoki i przywieźć stamtąd kilka tych nowoczesnych samolotów, o których pan nam kiedyś opowiadał.

Wojtyński już zbierał się do odpowiedzi, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Była punktualnie jedenasta.

5

Porucznik Leszek Jamróz, dowódca oddziału ochrony spotkania, miał do dyspozycji siedemdziesięciu uzbrojonych po zęby, chłodnych i profesjonalnych żołnierzy tworzących kilka współpracujących ze sobą zespołów. Bliższą i dalszą okolicę ulicy Twardej patrolowały dwie trzyosobowe sekcje drużyny wywiadowczo-obsługowej plutonu kobiecego pod osobistym dowództwem Wali oraz dwanaście dwu- i trzyosobowych patroli bojowych ubranych po cywilnemu. Licząca ośmiu ludzi sekcja snajperów zajmowała stanowiska na dachach kilku sąsiednich budynków.

Oddział bezpośredniego zabezpieczenia pozostawał w gotowości bojowej w mieszkaniu na parterze budynku Twarda trzydzieści sześć. Odwód stanowił oddział ewakuacyjny, mający na wyposażeniu dwa policyjne mercedesy i ciężarówkę, przebrany w mundury gestapo i SS oraz dysponujący oryginalnymi niemieckimi dokumentami. Sekcja wywiadu elektronicznego, znajdująca się na Mokotowie, w kwaterze głównej Wojtyńskiego, tak zwanym Obiekcie Numer Jeden, była wpięta w niemiecką sieć łączności przewodowej i miała za zadanie informować o wszystkich ruchach Niemców, które uda się wychwycić z telefonicznych meldunków. Miała także na nasłuchu cały nieprzyjacielski ruch w eterze.

Mobilne stanowisko dowodzenia Jamroza zostało zainstalowane w zakrytej, blaszanej furgonetce pomalowanej w barwy Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Porucznik dysponował nowoczesną siecią łączności umożliwiającą sprawowanie pełnej kontroli nad wszystkimi sekcjami ochrony.

Wojtyński, zdając sobie sprawę z wagi operacji, zezwolił na użycie zarówno oryginalnej broni Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, jak i będących owego czasu na jego wyposażeniu środków łączności bezpośredniej.

Na ulicach panował normalny ruch, Niedziela Palmowa toczyła się swoim zwykłym, okupacyjnym torem.

6

Członkowie specjalnego zespołu inwigilacyjnego, dwaj mężczyźni i kobieta, tak długo czytali dokładny opis celu, a także wpatrywali się w sporządzony ołówkiem, ale oddający wiernie wszystkie detale portret, że byli w stanie rozpoznać tego mężczyznę niemal z zamkniętymi oczami. Dwa tygodnie temu, kiedy rozpoczynali inwigilację, posiadali dość ogólne informacje, w jakim rejonie ich cel może się znajdować. Dopiero dziś rano, gdy wychodzili na codzienny patrol, otrzymali dokładniejsze dane - rejon przebywania celu ograniczono do kilku przecznic. Szczęście uśmiechnęło się do nich na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej. Kobieta dostrzegła Wojtyńskiego w tłumie i dyskretnie dała znak swoim towarzyszom. Od tamtej pory szli za celem krok w krok, używając wszystkich znanych im technik maskowania inwigilacji. Obserwowali jego wejście w bramę kamienicy przy Twardej trzydzieści sześć.

Teraz czekali. Byli idealnie wtopieni w tłum. Żaden z członków ochrony nie zwrócił na nich uwagi.

7

Hanemann zatrzymał się. Coś mu się nie podobało. Coś odbiegało od zwykłej rutyny.

Rozejrzał się uważnie w taki sposób, by nie zwracać na siebie uwagi. Umiał wychwycić nawet najmniejszą zmianę nastroju ulicznego tłumu, a także większą niż zwykle nerwowość czy nietypowe zachowanie pojedynczych osób.

Pracował na ulicy już drugi rok, Warszawa nie miała przed nim tajemnic, na czele z rejonem, na terenie którego obecnie się znajdował. Rzucił go tu rozkaz szefa, nakazujący obserwację sporego fragmentu jednej z warszawskich dzielnic. Szef dość ogólnie poinformował go, czego ma szukać i na co zwracać uwagę. No więc Hanemann od rana chodził i zawracał. W końcu nabrał podejrzeń, że znalazł to, czego szukał.

Coś jest nie tak? Oczywiście. Od kilku minut w bramie kamienicy stoi byle jak ubrany facet. Czyta gazetę. Niby nic niezwykłego. Tyle tylko, że jasne, kwietniowe słońce świeci mu prosto w oczy.

Wywiadowca przyspieszył kroku i przeszedł na drugą stronę ulicy. Wszedł do pobliskiej knajpki i zajął miejsce przy stoliku. Bramę widział doskonale.

Czuł, że wpadł na trop.

Dwaj siedzący obok młodzi mężczyźni przyjrzeni mu się przelotnie, ale po chwili wrócili do rozmowy.

Kazakowcew czekał w napięciu na pierwsze meldunki. Miał przeczucie - a już dawno stwierdził, że przeczucia z reguły go nie myliły - że operacja wkracza w decydującą fazę.

Kaliszuk przed godziną opuścił konspiracyjny lokal i wraz ze swoimi ludźmi ruszył w drogę. Pułkownik mógł zatem skupić się na tropie warszawskim.

Kontakt Numer Jeden milczał, ale Kazakowcew był niemal pewien, że jeszcze dziś się odezwie.

Kontakt Numer Dwa poprzez skrzynkę kontaktową otrzymał precyzyjne polecenia i Zubow meldował, że zostały odebrane. Kazakowcew wieczorem spodziewał się raportu.

Kaliszuk miał głowę na karku i szczęście. Z reguły realizację zadań kończył pełnym sukcesem. Kazakowcew wierzył w niego, był pewien, że wraz ze swoimi ludźmi może wykonać podstawową i najważniejszą część operacji „Jutrzenka”.

Pułkownik zamknął oczy. Musiał zachować chłodną głowę.

Żadnych marzeń, żadnego wybiegania do przodu. Gdy operacja „Jutrzenka” zakończy się powodzeniem, przyszłość stanie się najbardziej kolorowym snem, haustem powietrza dla pozbawionych tchu płuc, porannym klinem dla alkoholika na siedmioletnim kacu.

Przyszłość upaja i podnieca, dlatego nie można o niej myśleć. By stała się ciałem.

Przesłuchanie rozwijało się planowo, Spilker był w znakomitym humorze. Ören wyraźnie się rozkręcał. Opowiedział swoją historię: jak został ranny trzeciego września trzydziestego dziewiątego w tym samym nalocie, podczas którego został uszkodzony MDS. Jak kurował się długo i z oporami wracał do zdrowia. Jak opiekowali się nim wyznaczeni przez kapitana Wójcika żołnierze. Po kapitulacji nowy dowódca oddziału, porucznik Wojtyński, osobiście przydzielił mu konspiracyjny lokal stanowczo zabraniając wychodzenia na miasto. (Nie dbał o ciebie, durniu, dbał, żebyś nie wpadł w nasze ręce, bo zdaje sobie sprawę, jaki jesteś cenny, pomyślał z rozbawieniem Hauptsturmführer). Jak coraz bardziej zaczęła mu ciążyć samotność, tęsknota za rodziną i monotonia życia w ukryciu. Bywały całe tygodnie, gdy nie miał się do kogo odezwać, żołnierz batalionu dostarczający do małego mieszkanka zlokalizowanego w Śródmieściu pożywienie nie mówił po angielsku i najwyraźniej unikał jakichkolwiek, nawet niemych, prób kontaktu.

Spilker stopniowo przestawał go słuchać. O członkach Oddziału, a zwłaszcza o jego dowódcy, Amerykanin (Żyd, a dopiero potem Amerykanin. Spilker jak zawsze starał się być precyzyjny) nie mógł mu w zasadzie powiedzieć niczego istotnego, bo Wojtyński zadbał, by nie miał niczego istotnego do powiedzenia. Pośłani do mieszkania ludzie Huptsturmführera nie znaleźli w nim niczego, co miałoby jakąkolwiek wartość. Właścicielka według informacji sąsiadów znajdowała się w szpitalu, całość sprawiała wrażenie miejsca nudnego i opuszczonego. Spilker kazał trzymać kocioł, ale wyglądało na to, że się spóźnił. Przeciwnik z pewnością już wiedział, że mieszkanie jest spalone.

Jednak rozczarowanie szybko ustąpiło i ponownie zamieniło się w rosnące z każdą chwilą zaciekawienie. Hauptsturmführer zdał sobie sprawę, że Ören jest cenny z zupełnie innego powodu, niż-dotychczas sądził. Będąc wytrawnym policjantem, znającym na wylot techniki przesłuchań, Spilker z półsłówek, niedomówień i niejasnych aluzji wyciągnął wniosek, że jego gość stanowi jedno z kluczowych ogniw obsługi Tej Piekielnej Machiny Zmieniającej Rzeczywistość, czyli, według nomenklatury Amerykanina, Ruchomego Sytemu Obrony,

z angielska zwanego MDS-em, a zatem posiada wiedzę techniczną i umiejętności z punktu widzenia interesów Niemiec wprost bezcenne.

Spilker błyskawicznie zmienił priorytety. Cel taktyczny, którym było zlikwidowanie Oddziału i zapewnienie spokoju w podległym mu rejonie - żywił przekonanie, że po takim ciosie Armia Krajowa długo by się nie podniosła, więc może nie do końca był to cel taktyczny, raczej taktyczno-operacyjny - został zastąpiony celem strategicznym, czyli szansą - tylko szansą, ale czyż to nie była rzecz, dla której warto poświęcić doraźne cele? - osiągnięcia przez III Rzeszę tak ogromnej przewagi nad wszystkimi wrogami, że zwycięskie zakończenie wojny stałoby się nie tylko możliwe, ale leżące wręcz w zasięgu ręki. Ba, stałoby się możliwe panowanie ponad całym światem, rozciągnięcie nad nim narodowosocjalistycznych idei, szybka likwidacja Żydów, bolszewików i reszty elementów w budowie tegoż nowego świata przeszkadzających. Przy tym wszystkim nie bez znaczenia był fakt, że Führer z pewnością nie zapomniałby o człowieku, który umożliwił tak wspaniały zwrot w działaniach wojennych. O Hauptsturmführerze Alfredzie Spilkerze, skromnym szefie Sonderkommando numer IV.

Nie słuchając już w ogóle zarumienionego na twarzy Michaela Örena, bohater przyszłych wydarzeń sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Rudi - powiedział cichym, uprzejmym głosem. Nie zwrócił uwagi na panikę malującą się na twarzy więźnia.
- Pozwól do nas. Mam dla ciebie zadanie. Będziesz musiał wnieść się na wyżyny swoich umiejętności.

10

Drzwi otworzył Wojtyński jako najmłodszy stopniem i poniekąd gospodarz spotkania. Mniej więcej wiedział, czego może się spodziewać, toteż mężczyzna stojący w progu niczym go nie zaskoczył. Około pięćdziesiątki, szpakowaty, szczupły, o twarzy wyrażającej zdecydowanie i siłę charakteru. Na twarzy uśmiech, najwyraźniej wymuszony sytuacją. Oczy zimne. Ubiór źle dopasowany i źle dobrany, każdy, nawet trzeciorzędny szpicel był w stanie wyczuć, że ta garderoba nie powstała w Polsce i sporo mówi o właścicielu. Najwyraźniej specjaliści z OSS nie mieli bladego pojęcia o warszawskich realiach wiosny tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Co zresztą Wojtyńskiego nie zaskoczyło. Zaskoczyłoby go, gdyby było inaczej.

O klasie jego ludzi świadczył fakt, że gość na ten swój idiotyczny, amerykański garnitur miał narzucony całkiem swojski, złachany prochowiec, wyraźnie pochodzący z któregoś z warszawskich targowisk. Wiechecki, odpowiedzialny za przyjęcie gości i bezpieczne przetransportowanie ich na miejsce konferencji, miał widać takie samo zdanie na temat kompetencji przygotowujących wyprawę specjalistów amerykańskiego wywiadu jak jego przełożony, dlatego zaopatrzył gości przynajmniej w jakiś element maskujący.

Tłumiąc uśmiech, porucznik cofnął się. Przybysz przekroczył próg i znalazł się w przedpokoju. Wojtyński szybkim spojrzeniem omiótł klatkę schodową - to był odruch, zresztą bez sensu, jego ludzie byli z pewnością na stanowiskach i niepożądanych gości raczej trudno było się spodziewać - zamknął drzwi i dopiero wtedy wyciągnął rękę na powitanie.

- Porucznik Janusz Wojtyński, bardzo mi miło - powiedział swoją niezbyt może dobrze akcentowaną, ale sprawną angielszczyzną.

- Generał Morgan Travis. Cieszę się, że mogę pana poznać - odparł gość, w widoczny sposób oddychając z ulgą.

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny musiały być dla niego niezwykle stresujące. Najwyraźniej cieszył się, że dopłynął do portu. Źle się czuł w cywilnym ubraniu. Źle się czuł w tym mieście. Najprawdopodobniej źle się czuł gdziekolwiek poza swoim gabinetem.

- Proszę. - Porucznik wskazał ręką w głąb mieszkania.

Travis wszedł do pokoju. Na jego widok siedzący przy stole oficerowie podnieśli się. Przez chwilę zarówno gość, jak i gospodarze taksowali się wzrokiem, jakby wzajemnie rozpoznając swoje zamiary.

Wojtyński dał wybrzmieć tej chwili, po czym dokonał krótkiej prezentacji.

- Bardzo mi miło panów poznać. Muszę przyznać, że ogromnie panów podziwiam. - Travis odezwał się pierwszy.

Z konieczności funkcję tłumacza na razie pełnił Wojtyński. Przekładał angielskie zdania powoli, starając się w pełni oddać ich treść i sens.

- Pracujecie w tak trudnych warunkach już tyle lat, a wasze osiągnięcia są imponujące.

- Ma pan rację. - Rowecki patrzył uważnie na Amerykanina. - Stawiamy opór najdłużej. I ponosimy największe ofiary.

- Wasz wysiłek jest godzien najwyższego szacunku.

Zabrział kolejny dzwonek do drzwi. Wojtyński bez słowa poszedł do przedpokoju. Za drzwiami stało dwóch mężczyzn, starszy i młodszy. Porucznik obserwował ich przez chwilę przez wizjer, po czym otworzył drzwi. Przybysze weszli do środka.

Na scenę wkroczyli dwaj ostatni aktorzy: adiutant Trávisa, pułkownik Mitchell, oraz tłumacz, a jednocześnie członek obstawy, sierżant Gawronsky.

Przedstawienie mogło się zacząć.

11

Zespół inwigilacyjny czekał. Wszyscy jego członkowie zauważyli wchodzących w bramę mężczyzn, w których na kilometr można było rozpoznać nietutejszych. Towarzyszyli im młodzi mężczyźni o zdecydowanych ruchach i czujnych, rzucanych ukradkiem na boki spojrzeniach.

Trop był tak gorący, że niemal parzył.

12

Hanemann mieszał łyżeczką rudawą wodę noszącą dumne miano herbaty i obserwował teren. Krzywa i brudna ulica była zatłoczona przechodniami, wozami konnymi, riksami i samochodami ciężarowymi.

Wywiadowca po godzinie obserwacji wychwycił już pewien rytm tego miejsca. Mężczyzna z bramy zniknął, ale w jego miejsce pojawił się wóz konny, który stanął dwadzieścia metrów dalej. Woźnica, najwyraźniej pijany i równie brudny jak chabeta, którą powoził, klął głośno i próbował naprawić hamulec rozklekotanego wehikułu. W sukurs przyszedł mu inny wozak, w równym stopniu zdradzający objawy upojenia alkoholowego. Przeplatana przekleństwami dyskusja stawała się coraz bardziej ożywiona, w końcu przerodziła się w kłótnię. Przechodzący obok patrol żandarmerii spojrzał na tę scenę obojętnie i poszedł w swoją stronę, nawet nie zwolniwszy kroku.

Jeszcze dalej stały dwie młode kobiety i oglądały buty z najnowszej kolekcji ulicznego straganiarza. Handlarz negocjował z dziewczynami, jednocześnie pokrzykując na kłócących się wozaków, bo swoimi wrzaskami zakłócali mu prowadzenie interesu.

Pod bramę niedalekiej fabryczki podjechała ciężarówka i dwukrotnie zatrąbiła.

W nagłym przeblysku zrozumienia Hanemann dostrzegł znacznie więcej, niż tylko uroczę w swoim kolorystyce scenki z życia codziennego. Dostrzegł całość. A przynajmniej duży fragment całości.

Wstał, rzucił na stolik parę drobnych monet i wyszedł. Musiał się pilnie dostać do najbliższego telefonu.

Formalności zajęły tylko chwilę. Travis wyciągnął z kieszeni niewielkie pudełeczko wyglądające jak paczka papierosów, które otworzył według ściśle określonej sekwencji czynności. Gdyby pomylił się w choć jednym ruchu, zawartość pudełka uległaby błyskawicznemu zniszczeniu. Wyjął złożoną kartkę papieru.

W dwóch językach, polskim i angielskim, sformułowano tam pełnomocnictwo, upoważniające generała porucznika Morgana Jeffersona Trvisa do prowadzenia w imieniu rządu amerykańskiego negocjacji z władzami polskimi dotyczących „*wybranych zagadnień z zakresu dwustronnej współpracy*”.

Dokument podpisany został przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej Franklina Delano Roosevelta.

Wojtyński uważał zawarte w pełnomocnictwie sformułowania za typowo dyplomatyczny chwyt, którym można uzasadnić wszystko. Równie dobrze może być mieczem, jak i tarczą. Zauważył jednak, że choć starsi polscy koledzy po fachu starali się zachować obojętne oblicza, ten mały karteluszek wywarł duże wrażenie.

Być może zaczęli dostrzegać stojącą przed nimi historyczną szansę, o której tyle godzin z porucznikiem przegadali, a która teraz mogła przekuć się w czyn. W zbawienny dla kraju konkret.

- Przede wszystkim chciałbym bardzo podziękować panu generałowi za przybycie. - Rowecki ochłonął pierwszy i zabrał głos jako gospodarz spotkania. - Zdajemy sobie sprawę, ile trudów musiało pana i pana kolegów kosztować dotarcie tutaj.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie. Przy okazji muszę dodać, że w istocie nie obyło się bez przygód. Podczas skoku omal nie wylądowałem w niemieckim obozie jenieckim. - Generał uśmiechnął się, a jego niebieskie, niemal granatowe oczy pojaśniały.

Wszyscy zgromadzeni w pokoju roześmiali się uprzejmie. Nic tak nie rozładowuje napięcia jak mroząca krew w żyłach przygoda zakończona happy endem.

- Życie w Polsce pełne jest niebezpieczeństw. - Rowecki pokiwał głową, poważniejąc. - Miał pan tylko małą próbkę tego, z czym mamy na co dzień do czynienia.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Mam nadzieję, że zarówno wy, panowie, jak i rząd, który reprezentuję, jesteście w stanie przyczynić się do zmiany tego stanu rzeczy.

Gładko, pomyślał Wojtyński. Za gładko. I nie pomylił się.

- Po pierwsze, jeśli pan generał pozwoli, chciałbym w imieniu mojego rządu wygłosić krótkie oświadczenie. - Travis nie zmienił wyrazu twarzy, ale chmury nadeszły. Wojtyński, siedząc dokładnie naprzeciwko niego, widział to bardzo wyraźnie. Na wojnie często stosuje się tę taktykę, szybki atak pozbawiony przygotowania artyleryjskiego, by nie alarmować przeciwnika i nie dać mu czasu na przygotowanie obrony. - Chciałbym z całą mocą zaznaczyć, że wyłączną i jedyną odpowiedzialność za powstanie zaistniałej sytuacji ponosi strona polska. To jej bowiem przedstawiciele dokonali sabotażu, zmieniając oprogramowanie - dziwnie brzmiał ten wyraz w ustach człowieka urodzonego w dziewiętnastym wieku, widać było jednak, że starannie odrobił lekcje - w należącym do rządu Stanów Zjednoczonych systemie urządzeń o nazwie MDS, wskutek czego instalacja ta zadziałała wadliwie i niezgodnie z przeznaczeniem. Podkreślam: MDS został przez amerykańskich naukowców zaprojektowany do zmiany sytuacji na polu walki, a nie do dokonywania korekt historycznych. Z całą stanowczością stwierdzam zatem, że odpowiedzialność za obecny stan rzeczy ponosi strona polska.

Stwierdzenie to zawisło w powietrzu, pozwalając ulicznemu szumowi zapanować na chwilę w pokoju. Rowecki robił się coraz bardziej czerwony na twarzy. Wojtyński poczuł ucisk w dole brzucha i mrowienie sunące od żołądka ku górze.

- Po drugie, pragnę powiedzieć, że nie jestem upoważniony do prowadzenia rozmów na tematy polityczne. - Travis mówił pewnie, spokojnym tonem, jakby mając stuprocentowe przekonanie, że panuje nad sytuacją. Czuł stojącą za nim siłę. - Uprzedzając panów ewentualne prośby, pragnę przekazać, że rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej robi wszystko, co w jego mocy, aby wyjaśnić sprawę polskich oficerów, których ciała odkryto niedawno na terenie Rosji i zidentyfikować sprawców tego ohydneho mordu. Rząd mój jednak nie będzie podejmował żadnych działań, które mogłyby zakłócić nasze stosunki z rządem Związku Sowieckiego, jak panowie wiecie, utrzymującego główny ciężar prowadzenia wojny w Europie. Nie jestem także upoważniony do rozmów na temat granic Polski ani, podkreślam z całą mocą, na inne tematy polityczne. Moim zadaniem jest omówienie kwestii technicznych i organizacyjnych związanych z przetransportowaniem do Stanów Zjednoczonych należących do amerykańskiego rządu urządzeń technicznych. Taka jest moja rola. Mam nadzieję, że jasno określiłem stanowisko mojego rządu.

Wojtyński w gruncie rzeczy spodziewał się czegoś takiego, ale poczuł, całkowicie niezgodnie ze swoimi intencjami i żelazną wolą, że panoszący się w jego wnętrzu potwór właśnie wychodzi na zewnątrz. Wstał gwałtownie, krzesło z trzaskiem upadło na ziemię.

- Jeżeli pan generał pozwoli, chciałbym odpowiedzieć - oznajmił, zanim Rowecki zdołał otworzyć usta. Zaczął mówić, nie czekając na pozwolenie. Dopiero po chwili zorientował się, że właściwie krzyczy. - Pan myśli, że to zabawa? - zwrócił się do Trávisa. - Pan myśli, że zawsze możecie rozgrywać te swoje gówniane gierki? Że możecie liczyć się tylko z silnymi, a słabych i bezbronnych mieć w dupie? Że świat będzie patrzył z podziwem na wasz dyktat? Wy nie macie pojęcia, jak wygląda wojna tu, w sercu Europy. Jak trzydziestomilionowy naród codziennie krwawi, walcząc o życie. Walcząc z dwoma wrogami, bo naszym przekleństwem jest zajmowanie terytorium pomiędzy potężnymi sąsiadami, których interesy są zawsze sprzeczne z naszymi i które zawsze swoje interesy chcą realizować kosztem naszych interesów. Nie macie o tym pojęcia, bo nic was to nie obchodzi. Ale dla nas to nie jest gra, panie generale Travis. Dla nas przegranie tej walki, nawet jeśli wam, światowemu mocarstwu będzie się wydawało, że ją wygraliście, jest wyrokiem śmierci. Mogiła tego narodu. Więc niech mi pan nie opowiada, że nie ma pan pełnomocnictw do rozmów z nami i o naszej odpowiedzialności za zaistniałą sytuację, bo, proszę wybaczyć, nigdy nie słyszałem podobnych bzdur.

Gawronsky skończył tłumaczyć. W trakcie tej tyrady Travis czerwieniał, przybierając stopniowo barwę szkarłatu. Wbiiał wzrok w Wojtyńskiego, jakby nie dowierzał własnym uszom. Niebieskie oczy przybrały barwę ołowiu. Porucznik wytrzymał spojrzenie.

- Panie poruczniku, bardzo proszę o powściągnięcie języka. - Rowecki, również lekko purpurowy, uderzył otwartą dłonią w stół. Lekko, ale i tak wszyscy podskoczyli. Spojrzał ostro na Wojtyńskiego. Wstał. - Bardzo przepraszam za ten wybuch, panie generale. Nie spotkaliśmy się tu po to, by się wzajemnie obrażać. Mamy do załatwienia konkretne sprawy i nie jest w niczym interesie prowadzenie rozmów w atmosferze oskarżeń i nerwowości. - Przerwał na moment, by jego słowa dotarły do reszty i choć trochę ostudziły atmosferę. - Szkoda, że tak bardzo akcentuje pan désintéressement sprawami polityki - kontynuował Grot. - Jak pan wie, nasza sytuacja nie jest łatwa i musimy liczyć na pomoc sojuszników. Niech pan pamięta, że Sowieci zajęli ponad połowę naszego terytorium na podstawie porozumienia z Niemcami, nie było to zatem nic innego jak bandycki i podstępny rozbiór Polski. Sowieci uznali następnie, że status quo jest obowiązującym stanem prawnym. Czy mamy zatem nie upominać się o nasze granice? Mamy nie interesować się losem milionów ludzi, którzy przez

dwa lata przebywali pod sowiecką okupacją? Mamy się nie troszczyć o los tysięcy oficerów i setek tysięcy żołnierzy? Czy pan by się nie troszczył?

- Ależ... panie generale, proszę nie odbierać tego, co powiedziałem, jako obojętności na wasze sprawy. - Travis wyglądał na zakłopotanego. Może w istocie był zakłopotany. Jednak mówił tylko do Grota, udając, że Wojtyńskiego i pozostałych Polaków nie dostrzega. - Nie znaczy to, że mój rząd nie interesuje się Polską. Przeciwnie, uważamy was za jednego z najważniejszych sojuszników, widzimy ogromny wysiłek, który Polska dokonuje na wszystkich frontach, łącznie z tym najważniejszym, tu, w kraju.

Śliski jak wąż, pomyślał Wojtyński. Powinien być politykiem. Rowecki ma rację. Trzeba rozegrać to raczej na spokojnie.

- Po prostu mówię o tym - ciągnął Travis tonem usprawiedliwienia - że nasze rozmowy dotyczące MDS-a nie powinny mieć aspektu politycznego, bo to są dwie zupełnie różne rzeczy. Podkreślam: jesteście naszym sojusznikiem i traktujemy was po partnersku. Rozmowy z Sowietami są trudne, ale będziemy wam pomagać z całych sił. Jednak sytuacja strategiczna wymaga jedności działania i dlatego musimy zachować poprawne stosunki ze wszystkimi naszymi partnerami.

Więc nie zrobimy niczego, co by mogło go zakłócić. A jakaś tam Polska na pewno nie jest warta utraty zaufania Wujka Joego, dokończył w myślach Wojtyński.

Znowu zapadło milczenie.

- Wróćmy do sedna sprawy - zaproponował Travis ugodowym tonem. - Chciałbym omówić kwestię przekazania w nasze ręce urządzeń systemu MDS. Pragnę oświadczyć, iż jesteśmy w stanie w ciągu kilku tygodni zorganizować przyjazd grupy naszych ludzi do Polski. Grupa odbierze ten cenny ładunek z waszych rąk. Po stronie polskiej leżałoby przetransportowanie urządzeń w miejsce, gdzie mógłby wylądować samolot oraz zabezpieczenie lądowania i startu. Chcę podkreślić, że szybkie przekazanie tych urządzeń leży w najlepiej pojętym interesie naszych krajów i niewątpliwie przyczyni się do umocnienia...

Teraz już nawet Grot stracił cierpliwość.

- Panie generale - przerwał Travisowi w pół zdania. - Stany Zjednoczone są największą potęgą przemysłową świata, prawda?

- Owszem. Nasz potencjał jest spory i rośnie z każdym dniem - odparł z wahaniem.

Wszelkie zmiany tematu traktował nieufnie.

- A zatem, na obecnym etapie wojny, wie pan dobrze, że jesteście w stanie ją wygrać nawet bez pomocy Związku Sowieckiego.

- Powiedzmy...

- Różnica potencjałów, panie generale. Na końcu zawsze przycięż wygrywa ekonomia. Niemcy duszą się z braku surowców. Podobnie Japonia. Jesteście w stanie załatwić sprawę z Anglikami, bez Sowietów. Potrwa to może jeszcze kilka lat, będą miliony ofiar, ale rezultat może być tylko jeden.

- Do czego pan zmierza?

- Ale prawdą jest także, że jesteście największą demokracją na świecie - stwierdził Rowecki, jakby całkiem nie a propos.

- Owszem. Ale nie widzę związku...

- Och, drogi panie generale, widzi pan, nawet jeżeli dostrzega pan tylko to, co na powierzchni. Mówię, że jesteście największą demokracją na świecie. Co to znaczy? Ano znaczy to tyle, że musicie się liczyć z własną opinią publiczną. Musicie jej schlebiać i ulegać jej nastrojom, bo od tego zależą wyniki wyborów. Czyż nie tak?

- Mechanizmy demokracji są znane.

- Owszem. Właśnie dlatego o nich mówię. Prowadzicie wojnę. Ponosicie straty. Przez pierwsze pół roku Japończycy upokarzali was, poczynawszy od Pearl Harbor, zresztą tej klęski nie rozumiem, bo przecież byliście uprzedzeni o dacie ataku. Niemcy w Afryce dali wam się także mocno we znaki. Wasze społeczeństwo wie o tym bardzo dobrze i nie sądzę, aby było zachwycone. A sytuację zaogniają jeszcze wszelkiego rodzaju izolacjoniści, którzy krzyczą, że ta wojna to wewnętrzny problem Europy i jeżeli już musicie walczyć, trzeba skupić się na Japonii.

Travis doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Prezydent kładł mu to do głowy przy każdej okazji. Rozmowa przestała iść po jego myśli. Po początkowym frontalnym ataku był przekonany, że ma tych ludzi w garści. Teraz widać było, że generał Grot starannie odrobił pracę domową.

Travis poniewczasie przypominał sobie starą zasadę Napoleona, który twierdził, żeby nigdy a priori nie traktować swoich przeciwników jako głupszych od siebie, chyba że się o tym można przekonać osobiście.

- Nie przyjechałem tu dyskutować o mechanizmach demokracji w moim kraju. Do czego pan zmierza? - zapytał ostro.

- Do sedna sprawy. Do istoty. - Rowecki wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Być może nie było to jego intencją, ale postawił Travisa w niewygodnym położeniu, fundując mu dyskomfort ciągłego obracania głowy. Zyskał punkt przewagi. - Proszę sobie wyobrazić sytuację, gdy pański prezydent wygłasza transmitowane na cały kraj orędzie do narodu, w którym oświadcza, że posiadał możliwość zakończenia wojny w trzy miesiące, i to przy minimalnych stratach. Że może zapewnić Ameryce powojenne panowanie nad światem, umożliwić ekonomiczną ekspansję na niespotykaną dotychczas skalę. Że wpływy demokracji rozszerzą się i umocnią na całej kuli ziemskiej, a Związek Sowiecki ulegnie osłabieniu, a już na pewno przestanie stanowić śmiertelne zagrożenie dla Wolnego Świata. Czy społeczeństwo nie poparłoby go?

Pytanie było retoryczne i Rowecki nawet nie przerwał dla zaczerpnięcia oddechu.

- Poparłoby. A jaką cenę byłoby w stanie zapłacić za uzyskanie takiej technologicznej przewagi?

To pytanie również było retoryczne.

- Ponieważ pan milczy, odpowiem za pana i myślę, że się pan ze mną zgodzi. Każdą. Posiadanie wszechmocnego oręża jest warte każdej ceny możliwej do zapłacenia, panie generale Travis.

Amen, pomyślał Wojtyński. Nie będzie mu się dobrze negocjowało z jajami przybitymi do ściany.

14

Ören załamał się po piętnastu minutach. Rudi nawet nie zdążył się spociec, a podłoga i ściany były w niemal nienaruszonym stanie. Protokolant ledwie nadązał z pisaniem, a tłumacz miał czasami kłopoty ze zrozumieniem rwącego potoku słów. Już po chwili gestapowcy zyskali stuprocentową pewność, do tej pory będącą tylko podejrzeniem, że człowiek, którego mają przed sobą, nie jest cennym tropem mogącym doprowadzić ich do ludzi z AK. Nie jest nawet technikiem, który może im opowiedzieć o zasadach konstrukcji emitera pola siłowego.

Człowiek ten bez wątpienia stanowi klucz do zwycięstwa.

Protokolant zadzwonił po Spilkera i od tej pory pytania stały się bardziej systematyczne. Wiele kwestii było dla Niemców kompletnie niezrozumiałych, więc Ören tłumaczył bardzo wolno zawilości swojej dziedziny. Opowiedział dokładnie o roli, jaką pełnił w oddziale obsługi MDS-a, i z maksymalną precyzją opisał urządzenie, którego był opiekunem.

Scharakteryzował jego sposób działania oraz, na wyraźne żądanie Spilkera, przedstawił pogląd, w jaki sposób zawarte w nim rozwiązania mogłoby przysłużyć się III Rzeszy.

Po dwóch godzinach nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że człowiek ten, ze swoją wiedzą i żywym, naukowym umysłem, jest wprost bezcenny. Niestety, niejasną kwestią pozostawało, gdzie można znaleźć owo urządzenie. Ören wyraził nawet przypuszczenie, że zostało zniszczone w czasie tego samego nalotu, podczas którego odniósł rany. Spilker nawet był skłonny mu uwierzyć. Znał Wojtyńskiego na tyle, by wiedzieć, iż porucznik nie zdradził technikowi położenia schowka właśnie z powodów, które zaistniały w dniu dzisiejszym, a mianowicie znalezienia się Michaela Örena w rękach gestapo.

Nie było sensu tłuc faceta dalej. Spilker zdecydował o wzięciu go pod specjalną opiekę. Przydzielono mu ten sam pokój, w którym spędził noc, oraz wyznaczono strażnika mającego za zadanie nie spuszczać z niego oka. Po jakimś czasie przy więźniu zjawił się uśmiechnięty lekarz i zaczął fachowo łątać jego nieco nadszarpnięte zdrowie.

Spilker poszedł do swojego gabinetu, zakazał sekretarce jakiegokolwiek zawracania głowy, chyba że dzwoniłby bezpośredni przełożony, SS-Obergruppenführer Krüger z Krakowa, po czym zaczął pisać raport, swój raport, zbierający w jedną całość wszystkie dotychczas uchwycone nici śledztwa. Przeczytał ostatnie meldunki Hanemanna, spojrzał na sprawę z szerokiej perspektywy i natychmiast zorientował się, że stoi przed ogromną szansą ustrzelenia dwóch kaczek jedną kulą: zdobycia dla III Rzeszy Wunderwaffe, prawdziwej Wunderwaffe, broni, która pozwoli zrealizować niemieckie marzenia, nie zaś kolejnego wytworu propagandy fabrykowanej w ministerstwie kierowanym przez skądinąd godnego podziwu doktora Josepha Goebbelsa oraz, po drugie, zlikwidowania znacznej części Oddziału wraz z jedną z siedzib i magazynami.

W tym czasie Rudi, porządny i systematyczny jak zawsze, sprzątał swoje miejsce pracy, protokolant udał się do kantyny, gdzie zdecydował się na podwójną porcję koniaku - dość podławego, trzeba przyznać, znacznie odbiegającego jakością od tego serwowanego obok, w kantynie oficerskiej - tłumacz natomiast wyszedł z budynku. Gdy dosięgło go słońce i owionął wiosenny wiatr, dotarło do niego w pełni, czego był świadkiem przez ostatnie trzy godziny i jaką to może mieć wartość. Poczuł podniecenie. Nie, nie tym, że jego ojczyzna może wygrać wojnę i zniszczyć swoich wrogów. Już od dawna czuł obrzydzenie do tego, co dzieje się dookoła, do ideologii, zacietrzewienia i żądy sukcesu. Pragnął już tylko jednego, mianowicie świętego spokoju, a już najlepiej smakowanego w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi państwie na końcu świata, na przykład w Ameryce Południowej. Do niedawna nie myślał o tym konkretnie. By zrealizować swój cel, musiałby posiadać odpowiednie środki, a tłumacz w tym zakresie miał bardzo ograniczone możliwości. Jednak kilka miesięcy temu, jakby na zawołanie, pojawiła się szansa. W restauracji nur für Deutsche, w której zwykł był jadać w sobotnie wieczory, zagadnął go jakiś człowiek. Tłumacz nie szukał towarzystwa, więc odpowiedział niechętnie. Niezrażony tym natręt zaczął snuć pewną, dość pieprzną historyjkę. Tłumacz, zanim się zorientował, zaczął słuchać z ogromnym zainteresowaniem. Umówili się na następny raz, potem jeszcze i jeszcze. Podczas tych spotkań, nie wiedzieć jak i kiedy, gestapowiec zdradził nieznajomemu większość swoich frustracji, a także niektóre z sekretnych pragnień. Rozmówca wykazywał współczucie, sympatię i zrozumienie. Podczas kolejnej

rozmowy zaproponował tłumaczowi pieniądze w zamian za przekazywanie pewnych informacji, ponieważ, jak dowodził, polityka jest rzeczą niemającą większego znaczenia, w odróżnieniu od realizacji marzeń, a zaproponowane środki pozwolą niewątpliwie wejść na drogę tychże upragnionych spełnień.

Suma była znaczna, więc tłumacz błyskawicznie przełamał w sobie opór. W ten sposób został stałym informatorem GRU o kryptonimie operacyjnym Kontakt Numer Dwa.

Teraz spieszył się. Zdawał sobie sprawę, że zdobył wiedzę, która jest warta znacznie więcej, wielokrotnie więcej od wszystkich dotychczas przekazanych kontrahentowi informacji razem wziętych. Toteż przez głowę przechodziły mu różne sumy, jedna bardziej fantastyczna od drugiej. Czuł przez skórę, że mocodawcy nie będą się targować, zapłacą tyle, ile zażąda. Inna sprawa, że jeżeli Sowieci zdobędą to, za co zapłacili, świat wkrótce nie będzie w niczym przypominał obecnego. Tłumacz nie dbał o to. Wierzył w moc pieniądza, potężną, niezniszczalną moc, która ochroni go przed wszelkimi nieszczęściami. Gdy zaszyje się gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, z taką sumą - albo inną, jeszcze w myślach nie zaakceptował ostatecznej wysokości - żadna sowiecka rewolucja nie będzie mu straszna.

Tak myśląc, wkroczył do kawiarni na Nowym Świecie, rzucił barmanowi monetę i podszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Wykręcił numer. Po trzech sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo? Czy to mieszkanie państwa Kwaciszewskich? - zapytał po polsku.

- Niestety, to pomyłka - odparł męski głos uprzejmym tonem.

- Pomyłka? Czy to numer 234-13?

- Nie. 234-14.

- Rozumiem. Dziękuję.

Jego pozaetatowi mocodawcy zostali powiadomieni. Stawią się na spotkanie w ciągu najbliższej półgodziny.

15

- Chcę powiedzieć bardzo wyraźnie: emiter pola siłowego jest w naszych rękach i nie prześlemy go wam bez spełnienia pewnych, ściśle określonych warunków - ciągnął Rowecki spokojnym tonem, nie zwracając uwagi na poczerwieniałą twarz Trávisa. Sąsiadujący z nim przez ramię pułkownik Mitchell także nie wyglądał najlepiej. Szczerze mówiąc, wyglądał na bliskiego apopleksji. - Bardzo zależy nam na współpracy z wami, ale jako polscy żołnierze musimy mieć na uwadze przede wszystkim interes Polski. Czy możemy przystąpić do omówienia warunków zwrotu emitera?

Pytanie toczyło się jeszcze przez ciszę, gdy Travis wybuchnął:

- To skandal! - Nadal był czerwony na twarzy, może nawet jeszcze bardziej niż przed chwilą. - Mówimy o własności rządu amerykańskiego! To urządzenie należy do nas! Znalazło się na waszym terenie tylko dlatego, że wasi ludzie przy nim manipulowali...

- Panie generale, nalegam, aby się pan uspokoił. - Wojtyński miał wrażenie, że Grota zaczęła w pewien sposób bawić ta rozmowa. Być może poczuł się jak myśliwy polujący na lisa. - Nie mogę brać odpowiedzialności za czyny, nawet jeżeli ich sprawcy są kolegami po fachu, które zostaną dokonane za sześćdziesiąt lat. Ja z manipulacjami przy emiterze nie mam nic wspólnego. Tu obecny porucznik Wojtyński także. My po prostu gramy takimi kartami, jakie los nam dał do ręki.

Umilkł. W pokoju słyhać było tylko sapanie Trávisa, wyraźnie toczącego wewnętrzną walkę. Miał wyraźny rozkaz wykonania zadania. I choć prowadził tę rozmowę według jasno wyrażonych wskazówek prezydenta, czuł, że po złym początku - z Polakami tak nie można, teraz widział to wyraźnie - idzie mu coraz gorzej.

Zepchnęli go do obrony, i to coraz bardziej rozpaczliwej. A brutalna szczerość generała Grota nie pozostawiała żadnych złudzeń co do dalszego przebiegu spotkania.

- Słucham. Jakie to warunki? - powiedział głucho. Zdołał się w końcu opanować.

- Na początek dwa słowa wyjaśnienia. Polska znajduje się w bardzo trudnym położeniu. Całe nasze terytorium jest pod okupacją niemiecką. W związku z przewidywanym rozwojem sytuacji wojennej - położył wyraźny akcent na słowie „przewidywanym” - najprawdopodobniej okaże się, że Niemcy zostaną z naszego kraju wypchnięci przez Sowietów, a nie przez wasze wojska.

Taki scenariusz jest sprzeczny z naszym interesem narodowym, ponieważ zamienimy jednego okupanta na drugiego i utracimy niepodległość na wiele dziesięcioleci. Jediną szansą jest dobrze zaplanowany i skoordynowany wybuch powstania powszechnego. Musi dokonać się to w chwili, gdy Armia Czerwona zbliży się do granic Rzeczypospolitej, a armia niemiecka będzie już osłabiona. Przy tym jasne jest, że mimo wszystko Niemcy stanowić będą sporą siłę, a Sowietom taki scenariusz nie będzie w smak. O co więc nam chodzi? Wyzwolenie Warszawy wraz z jakimś znaczącym kawałkiem terytorium stworzy możliwość zainstalowania rządu i legalnych władz, zanim Sowietci wkroczą na nasze tereny. To jest nasze założenie operacyjne. I tu dochodzimy do ceny za emiter. Oto ona: uzbrojenie dla pół miliona żołnierzy, przybycie z Zachodu wszystkich naszych jednostek lądowych i lotniczych oraz most powietrzny z zaopatrzeniem. Uznanie granic przedwojennych jako obowiązujących. Zagwarantowanie dwustronnym traktatem niezawisłości Polski.

Travis popatrzył z niedowierzaniem na Mitchella, po czym zaśmiał się nerwowo.

- Panie generale, z całym szacunkiem, to zbyt fantastyczny plan. Jak pan sobie wyobraża przekazanie takiej ilości sprzętu? Przecież, poza Anglią, nie mamy baz w Europie. Jesteśmy uwikłani w ciężkie walki z Japończykami, więc nasze możliwości są ograniczone.

- Niech pan nie żartuje. Wasze możliwości są nieograniczone. Uszczknijcie coś z transportów dla Sowietów. Nas by w pełni urządziło pięć procent tego, co im przekazujecie. - Rowecki uśmiechnął się złośliwie.

Oblicze Travisa ponownie zaczęło przybierać barwę szkarłatu.

- Mogę mówić tylko o tym, co wiąże się z kwestią emitera - wrócił do dawnej śpiewki.

- W takim razie tracimy czas - po raz pierwszy od swojego wybuchu na początku rozmowy odezwał się Wojtyński. Był już zupełnie spokojny. Może dlatego jego słowa miały moc armatniego wystrzału. - Proszę przekazać swojemu rządowi, żeby przysłał tu kogoś, kto może rozmawiać o wszystkich kwestiach.

- Jest pan bardzo pewny siebie. - Generał Travis przyjrzał się Wojtyńskiemu jakby był jakimś niezwykle rzadkim okazem zoologicznym. Postanowił puścić mimo uszu obraźliwy sens wypowiedzianego przed chwilą stwierdzenia.

- Nie. Jestem pewien swoich argumentów, a to dwie zupełnie różne rzeczy. - Spojrzał przelotnie na Grota, Bora i Grzegorza. - My jesteśmy pewni naszych argumentów.

- Może pan to traktować jako arogancję, ale naprawdę wiemy, o czym mówimy - wpadł mu w słowo Grot. - Jestem pewien, że zdaje pan sobie sprawę, jak potoczą się losy świata podczas wojny i po niej. Jak się mogą potoczyć. My mamy nieszczęście znajdować się między dwoma wrogimi potęgami. Wy i Anglicy jesteście jedynymi, którzy mają odpowiednią siłę, by się im przeciwstawić, próbować ułożyć losy powojennego świata w taki sposób, aby wpływy totalitaryzmów, podkreślam totalitaryzmów, zostały zlikwidowane albo osłabione tak bardzo, że nie będą stanowić realnego zagrożenia, a po jakimś czasie obeschną jak drzewko bez wody. Zarazem zapewniam pana, że Polska zawsze stanie po stronie wolności, przeciw dyktaturze. Dlatego warto mieć w Polsce

sojusznika, możliwie najsilniejszego. My już mamy taką cechę narodową, że dotrzymujemy zobowiązań, nawet jeżeli nam się to nie opłaca. Gdy pan spojrzy na sprawę chłodno, dojdzie pan do wniosku, że nasze propozycje nie są wcale wygórowaną ceną za posiadanie lojalnego sojusznika w walce z Hitleryzmem i komunizmem, za zadanie ciosu nie tylko Niemcom, ale również Stalinowi, być może śmiertelnego ciosu. Dobrze pan wie, że komunizm bez podbojów nie może istnieć. Podbój, aneksja, rabunek stanowi jego sens i warunek istnienia. A wasze technologie dają wam w takim momencie, że zdążycie z nich zrobić użytek, zakończycie szybko wojnę i unikniecie strat. I tak przecież nie planujecie inwazji w Europie w tym roku, prawda? - Uśmiechnął się leciutko.

Wszyscy znajdujący się pokoju Polacy pokiwali z satysfakcją głowami, Travis natomiast doszedł do wniosku, że może jednak jest coś do ugrania.

- To bardzo interesujące, co pan mówi - odezwał się po chwili namysłu. - Ciekawy punkt widzenia. Niewątpliwie starannie przemyślany. I sądzę, że macie panowie rację w wielu kwestiach. Musicie jednak pamiętać, że wasz kraj i ten teatr wojny jest tylko jednym z zadań, którymi zajmuje się mój rząd. W tym momencie dziejowym nie leży w naszym interesie drażnienie rosyjskiego sojusznika. Mimo wszystko jestem skłonny ustosunkować się do waszych argumentów, jednak muszę poruszyć jeszcze jedną kwestię. Otóż z moich informacji wynika, iż w waszych rękach jest kompletny system, no, powiedzmy, przy uwzględnieniu powstałych wskutek bombardowania uszkodzeń. Zatem mówimy z jednej strony o emiterze pola siłowego, oprogramowaniu, komputerach i wszystkich pozostałych technicznych rzeczach, z drugiej zaś o źródle zasilania... - Zawiesił na chwilę głos. Bez potrzeby. Wojtyński nie miał najmniejszych wątpliwości, że rozmowa dojdzie i do tego punktu. - ... czyli o reaktorze atomowym oraz o inżynierze, który znajduje się w waszych rękach, a który jest specjalistą w dziedzinie fizyki atomowej.

16

Konfident stał przy kontuarze w pomieszczeniu recepcyjnym i dyskretnie rozglądał się dookoła. Otoczenie sprawiało typowe wrażenie, ale rozkaz wyraźnie mówił, czego ma szukać. No więc rozglądał się i szukał.

Od ósmej rano siedział przy telefonie i na krok się nie ruszał. Telefon zadzwonił w końcu po kilku nudnych godzinach oczekiwania, zdyszany męski głos warknął kilka zdań wyjaśnień, po czym wydał polecenie. Mężczyzna poderwał się, wybiegł na ulicę, gwizdnął na riksę i po czterdziestu minutach znalazł się w opisaney przez rozkazujący głos ze słuchawki okolicy.

Wylegitymował się człowiekowi stojącemu za ladą i opisał, czego chce. Tamten potraktował prośbę poważnie, zniknął na chwilę, po czym pojawił się w towarzystwie innego człowieka, starszego, zażywnego i z wąsem, który przedstawił się jako kierownik fabryki. Konfident głośno wyraził chęć zamówienia dużej partii towaru. Wąsacz uśmiechnął się uprzejmie i oświadczył, iż taki asortyment nie jest niestety w jego fabryce produkowany. Konfident wyciągnął z kieszeni kartkę - była to kopia oryginalnego dokumentu przekazanego mu wczoraj wieczorem przez jego przełożonego - a mówiąc bliżej, specyfikację identycznego towaru, wykonanego przez firmę Stamm Werke, GmbH kilka miesięcy temu. Wąsacz zdziwił się, przez chwilę studiował dokument, po czym stwierdził, że musiało zajść jakieś nieporozumienie. W firmie był zatrudniony od niedawna i najwyraźniej przeoczył fakt, że przełożeni postanowili zmienić rodzaj produkcji. Konfident właściwie go nie słuchał. Wąsacz plątał się w zeznaniach, co być może było już jakimś punktem zaczepienia, ale nie to pochłaniało uwagę gościa. Po dziedzińcu, którego fragment widać było przez okno pomieszczenia recepcyjnego, kręciło się sporo ludzi, wykonujących rozmaite prace. Jeden z nich, snujący się dla odmiany bez celu i bez wyraźnego powodu, przykuł uwagę konfidenta.

Coś się nie zgadzało, coś nie dawało mu spokoju.

Brama co chwila otwierała się i zamykała, wpuszczając i wypuszczając samochody ciężarowe. Fabryka pełną parą pracowała na rzecz niemieckiej gospodarki wojennej.

Nagle konfident poczuł dreszcz. Przerwał w pół zdania uprzejmemu kierownikowi, pożegnał się i wyszedł. Przekroczył bramę, skręcił w prawo i spiesznym krokiem poszedł w stronę ulicy Żytniej.

Hanemann widział go doskonale. Dopił trzecią już tego dnia herbatę i poszedł za nim.

17

Człowiek do tej pory znany Kazakowcewowi tylko jako operacyjny pseudonim zmaterializował się w to wiosenne popołudnie i opowiadał rzeczy niepojęte. Pułkownik słabo mówił po polsku, sporo jednak rozumiał. Tym razem nie był pewien swoich umiejętności. Opowieść brzmiała jak bajka.

- Więc niech pan powtórzy jeszcze raz - poprosił Zubow. Jego polszczyzna była bezbłędna, z niemal niezauważalnym miękkim akcentem ze Wschodu.

- W rękach niemieckich jest gość z przyszłości, Amerykanin, ściślej amerykański Żyd, człowiek, którego specjalnością jest tak zwana fizyka atomowa. Jest to dziedzina nauki zajmująca się najpotężniejszym na świecie rodzajem energii. Ten człowiek umie skonstruować bombę wiele tysięcy razy przekraczającą tradycyjny tonaż bombowy. Oprócz tego we wrześniu trzydziestego dziewiątego był inżynierem nadzorującym źródło zasilania systemu o nazwie MDS, czyli maszyny, która oprócz licznych możliwości miała również i tę, że pozwalała odbywać podróże w czasie. Jej źródłem energii był tak zwany reaktor atomowy, czyli urządzenie zdolne wytworzyć olbrzymie ilości energii, na przykład elektrycznej. Ma wymiary metr na metr na dwa, a moc jak kilka elektrowni. Ten Amerykanin twierdzi, że urządzenie to znajduje się na terenie Polski. Nie wie gdzie. Spilker go mocno przycisnął, myślę, że ten człowiek mówi prawdę.

W pokoju zapadła cisza. Kazakowcew zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

W aktach operacji „Jutrzenka”, które czytał w gabinecie Szefa kilka miesięcy temu, była mowa o urządzeniach technicznych do odbywania podróży w czasie. W momencie, kiedy ten piekielny oddział z przyszłości pojawił się na scenie dziejów, GRU ściśle współpracowało z Niemcami, a w sytuacjach, kiedy Niemcy próbowali zatajać jakieś informacje, radziło sobie doskonale dzięki rozbudowanej siatce szpiegowskiej ulokowanej we wszystkich newralgicznych miejscach niemieckiej struktury władz cywilnych i wojskowych, Sztabu Generalnego nie wyłączając. Toteż IV Zarząd wiedział, co się stało z korpusem Hoepnera i innymi niemieckimi jednostkami na froncie zachodnim niemal tak szybko jak sami Niemcy.

Pomysł operacji „Jutrzenka” narodził się dawno, w styczniu roku czterdziestego. Towarzysz Stalin osobiście interesował się tą sprawą, nakazując za wszelką cenę ściągnąć do ZSRS zarówno urządzenia składające się na system, jak i ludzi umiejących go obsługiwać. Początkowo nic nie zapowiadało szybkiego sukcesu, informacje były dość ogólne, nie można było żadną miarą dowiedzieć się czegokolwiek o miejscu przechowywania urządzeń ani zlokalizować ludzi. Gdy Hitler napadł na Związek Sowiecki, operacja „Jutrzenka” w ogólnym bałaganie zginęła z listy priorytetów. Dopiero po bitwie pod Moskwą, gdy sytuacja na frontach została jako tako opanowana, Szef z nową energią zaczął odtwarzać siatki nielegalnych, agentów i zwykłych kapusiów. Po jakimś czasie agent - znany pod kryptonimem Kontakt Numer Jeden - doniósł, że znalazł się bardzo blisko źródła informacji na temat technologii MDS-a. Szef poczuł, że misterna gra, którą prowadził już od kilku lat, zaczyna przynosić efekty.

Jednak w aktach operacji „Jutrzenka” nie było mowy o technologii atomowej.

Kazakowcew poczuł dreszcz. Ogarnęło go tak wielkie podniecenie, że niemal odczuwał fizyczną rozkosz. Gotów był przenosić góry. Ale głowa pozostała chłodna. Musiał wybrać cel zasadniczy. Zadał kilka pytań, upewnił się, że wszystko zrozumiał. Nim Niemiec skończył powtarzać najważniejsze kwestie, miał w głowie gotowy plan działania oraz wniosek, który musiał jak najszybciej przekazać Szefowi.

- Pozostaje sprawa mojego wynagrodzenia - powiedział na koniec Kontakt Numer Dwa. Nie był w stanie ukryć drżenia rąk. - Daję wam możliwość wygrania wojny. To jest sporo warte.

- Owszem - przytaknął Kazakowcew, choć słuchał jednym uchem. - Sporo...

- Myślę, że milion dolarów... - Gdy liczba w końcu padła, Niemiec przestraszył się.

Pomyślał, że zrobił ogromny błąd. Trzeba było zadowolić się tym, co jego dobroczyńcy mu zaproponują.

Kazakowcew spojrzał na niego przeciągle i pomyślał, że nie jest mu najwyraźniej znany rosyjski aforyzm „tiszje jediesz, dalsze budiesz”. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. Sięgnął do stojącej obok teczki i wyciągnął z niej niewielką kopertę.

- Zgoda. Dostanie pan milion dolarów. Po wykonaniu zadania - odrzekł, patrząc Niemcowi prosto w oczy. Choć po polsku mówił słabo, tamten zrozumiał go bardzo dobrze. Nie był jednak pewien, czy dobrze usłyszał. - Tu jest zaliczka. Pięćdziesiąt tysięcy. - Wyciągnięta ręka wisiała przez chwilę w powietrzu, Niemiec w końcu wziął kopertę. Zajrzał do środka. Równo ułożone banknoty. Pięćdziesiątki i setki. Jego plany zaczęły stawać się realne.

- Jakiego zadania? - zapytał. - Przekazałem wam informacje. Nic więcej nie wiem.

- Nie do końca. Nie do końca. Na razie powiedzieliście A. Teraz trzeba powiedzieć B.

- To znaczy?

- Proszę posłuchać. - Kazakowcew pochylił się ku Niemcowi i mówił przez następnych dziesięć minut.

18

Wojtyński spojrzał na siedzącego obok Grota, który nieznacznie skinął głową.

- O pańskim rodaku możemy rozmawiać - powiedział porucznik po chwili. - Nasze zastrzeżenia dotyczą systemu MDS.

- A reaktor?

Porucznik westchnął. Obawiał się, że zostanie źle zrozumiany.

- Z reaktorem jest pewien problem. Byłbym nawet skłonny wam go przekazać, ale obawiam się, że niestety jest uszkodzony.

- Och, proszę się nie martwić. Naprawimy.

- Nie o to chodzi. Uszkodzenie urządzenia mającego jako źródło zasilania energię atomową jest bardzo niebezpieczne. Może powodować promieniowanie, którego skutki są śmiertelne. Nieuleczalne.

- Śmiertelne? - Travis w istocie chyba mu nie uwierzył.

- Myślę, że lepiej by to panu wytłumaczył specjalista w tej dziedzinie, o którym pan wspomniał. Przebywa w Warszawie. Mogę kazać go wezwać.

Travis nieznacznie odetchnął. Uznał, że w murze uczyniony został wyłom. I że wystarczy na dzisiaj. Popatrzył na Mitchella, poszeptali chwilę między sobą.

- Proponuję, abyśmy na tym zakończyli pierwszą turę rozmów - powiedział. - Zapewne rozumieją panowie, że musimy się skontaktować ze swoimi przełożonymi.

- Oczywiście. - Rowecki uśmiechnął się. Ziarno zostało zasiane. - Nasi ludzie odwiozą panów na kwatere. Rozumiem, że dysponujecie panowie środkami łączności?

- Tak. Nawiążę kontakt niezwłocznie, ale uzyskanie odpowiedzi trochę potrwa. Sądzę, że możemy się umówić na jutro rano.

- Jutro? - Tym razem to Rowecki rzucił przelotne spojrzenie na porucznika. Ten nieznacznie wzruszył ramionami. - W porządku. Zatem jutro. Powiedzmy o dziesiątej.

- Dziękuję za dzisiejsze spotkanie. Zaszczycem było poznanie panów.

- Dla nas również.

Wszyscy wstali. Travis, Mitchell i Gawronsky pożegnali się i wyszli trzema różnymi wyjściami. Wojtyński po kolei odprowadzał ich do drzwi.

Po chwili wrócił do głównego pokoju. Oficerowie prowadzili ożywioną dyskusję. Wojtyński stanął na baczność.

- Panie generale, melduję, że jutro nie będę mógł uczestniczyć w spotkaniu z generałem Travisem. Moja obecność jest niezbędna podczas akcji w getcie.

- Pana obecność jest niezbędna tutaj. Proszę zdać dowodzenie swojemu zastępcy. - Grot najwyraźniej miał już wyrobione zdanie na temat priorytetów.

- Ale...

- To rozkaz. Potrzebuję pana tutaj podczas finalizowania rozmów.

- Tak jest. Zatem będę jutro za kwadrans dziesiąta. A teraz, jeżeli pan generał pozwoli, chciałbym się odmeldować.

- Proszę iść. Dziękuję panu. Myślę, że wspólnymi siłami osiągniemy cel.

- Mam nadzieję. Do widzenia panom.

Włożył płaszcz i wyszedł. Gdy znalazł się na dole, po drugiej stronie ulicy dostrzegł Zosię. Z najwyższym trudem powstrzymał się przed pomachaniem jej. Zły i zażenowany ruszył szybkim krokiem przed siebie.

Dziesięć minut później i dwie przecznice dalej siedział w policyjnym mercedesie, który ruszył z rykiem silnika, ledwie za porucznikiem zamknęły się drzwi.

19

Grupa inwigilacyjna straciła Wojtyńskiego z oczu, gdy wsiadał do auta. Będący do dyspozycji grupy samochód wraz z kierowcą czekał daleko, dwie ulice dalej, więc pogoń była niemożliwa, ale szef pomyślał, że nic nie szkodzi. I tak dowiedzieli się dość. Odwołał swoich ludzi i cała trójka niespiesznym krokiem poszła w kierunku mieszkania stanowiącego bazę operacji.

20

- Przysięgam. Na terenie fabryki widziałem mężczyznę, którego pamiętam z trzydziestego dziewiątego. Był żołnierzem tego dziwnego oddziału, który rozbił wasze... nasze... dywizje pancerne.

- Jesteś pewien?

- Jak tego, że pana widzę przed sobą.

- Może się mylisz.

- Nie myślę się. Takich rzeczy się nie zapomina. Wtedy się bałem, może dlatego zapamiętałem wszystko.

- Gdzie go widziałeś?

- Miałem wtedy gospodarstwo rolne w okolicach Miedzna. Oddział kwaterował niedaleko. Przychodzili do mnie po mleko. Ten człowiek był u mnie dwa razy. Rozmawiałem z nim.

Hanemann spojrział na konfidenta z odrazą. Choć pracowali razem już ponad rok i kapuś oddał sporo przysług niemieckiemu aparatowi ścigania, wywiadowca miał pewność, że ta nędzna kreatura podpisała volkslistę ze względów koniunkturalnych, by chronić własną skórę, a Polaków, przedstawicieli narodu, wśród którego się przecież wychował i dorobił majątku, pomaga łapać wyłącznie ze względów finansowych. Inna sprawa, że robi to niezwykle sprawnie.

Ale Rzesza i Führer w gruncie rzeczy nie potrzebują takich ludzi. To Judasz. Zdarzy się okazja, to zdradzi i nas. Po wszystkim trzeba się go pozbyć, pomyślał wywiadowca.

Na razie skupił się na istocie informacji. Jego własne podejrzenia wraz z obserwacją konfidenta składały się w logiczną całość. Owszem, uruchomienie akcji sprawdzenia inkryminowanej posesji niesie ze sobą ryzyko trafienia w próżnię, ale mimo wszystko, zdaniem Hanemanna, gra była warta świeczki. Był pewien, że szef podzieli tę opinię.

- Dobrze się spisałeś. - Klepnął w ramię konfidenta. - Idź i obserwuj dalej, tylko uważaj, żeby cię nie zauważyli. Po południu zamelduj.

- Tak jest. - Volksdeutsch zrobił gest, jakby chciał zaszutować, ale Hanemann machnął niecierpliwie ręką i szybkim krokiem poszedł w stronę Górczewskiej. Jeżeli akcja ma być uruchomiona, przygotowania muszą zacząć się już teraz.

Ani on, ani idący w przeciwną stronę konfident nie zauważyli, że stojąca kilkanaście metrów dalej Maria, zdawałoby się, pochłonięta bez reszty czyszczeniem chusteczką poplamionego przez nieuważnego kierowcę płaszcza, przygląda się im uważnie i zapamiętuje każdy szczegół.

A przede wszystkim twarze.

21

Batalion miał na wyposażeniu dwa oryginalne policyjne mercedesy zdobyte podczas jednej z akcji w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym. Zostały poddane przez ludzi Sawickiego pewnym istotnym modyfikacjom, po których tylko zewnętrznie przypominały oryginały. Moc silników, w stosunku do fabrycznej, zwiększono niemal dwukrotnie, zawieszenie przekonstruowano w celu gruntownego wzmocnienia, pewne elementy nadwozia ochroniono pancerzem, a w szeregu zrobionych we wnętrzach schowków ukryto prawdziwy arsenał.

Za kierownicą jednego z tych cudów techniki siedział najlepszy kierowca w oddziale, były operator GROM-u, obok, na siedzeniu pasażera, zajmował miejsce dowodzący akcją osłony spotkania porucznik Leszek Jamróz. Wojtyński był przekonany, że wszystko do tej pory idzie gładko, ale jedno spojrzenie na zastępcę poinformowało go, że grubo się mylił.

- Ören wpadł - zaczął Jamróz, ledwie dowódca zajął miejsce z tyłu, a kierowca ruszył z piskiem opon.

W istocie, to była fatalna wiadomość.

- Kiedy? - Porucznik z najwyższym trudem zdołał zachować spokój. Ostatnio coraz więcej rzeczy go irytowało.

- Wczoraj wieczorem.

- Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

- Sam się dowiedziałem pięć minut temu. Stańczak przed półgodziną. - Ochrona Örena podlegała kompetencjom Stańczaka.

- Co się stało? - To nie było pytanie, warknięcie raczej. Trudno się mówi przez zaciśnięte zęby.

- Pech. Starsza pani wyszła po sprawunki. - To wyrażenie, jak i wiele innych używanych przez ludzi stąd, zawsze bawiło Jamroza. Teraz nie było mu jednak do śmiechu.

Starsza pani była gospodynią i opiekunką Amerykanina, godną zaufania, niezwykle przyjazną i oddaną sprawie osobą. - I wtedy policja zrobiła nalot na kamienicę naprzeciwko, tam, gdzie siedzi ochrona. Podobno Niemcy mieli cynk o jakiejś drukarni. Obstawili chałupę, ochrona musiała się zwinąć tylnym wyjściem. Kurewskim przypadkiem właśnie wtedy Ören wybrał się na spacer. Wyszedł ze swojej bramy i wpadł prosto na Niemców. Gospodyni po dwóch godzinach wróciła, nikt jej nie zatrzymywał. Zasłabła, gdy przekreślała klucz w zamku. Kolejny zastrany przypadek. Sąsiedzi odwieźli ją do szpitala. Nadal podobno nie odzyskała przytomności. Niemcy obstawiali ten budynek naprzeciwko przez całą noc i sprawdzali mieszkańców. Podobno było sporo aresztowań. W końcu się zwinęli. Wtedy do mieszkania Örena poszedł dyżurny z ochrony. I zastał kocioł. Całe szczęście zdołał się wycofać. Dał znać.

- Wiemy, co się stało z Örenem?

- Podczas zatrzymania zaczął coś wrzeszczeć po angielsku. W pobliżu był człowiek Spilker. Przejął go od żandarmów i zawiózł do kochanego Hauptsturmführera.

Wojtyński spojrzał na niego zdumiony.

- Spilker nie zajmuje się Żydami.

- Takimi się zajmuje. Zdaje sobie sprawę, kogo złowił.

- Jakim cudem wpadł na to tak szybko?

- Policyjny nos. Możliwe też, że coś przy nim znalazł, Stańczak ci więcej powie. Nasz gestapowski przyjaciel zdołał już z niego sporo wyciągnąć. Jeżeli jeszcze do tego znajdzie reaktor...

- Nie chrań! - Wojtyński machnął ręką, z trudem opanowując wściekłość. Reaktor razem z Örenem stanowili główną kartę negocjacji. Travis nie uwierzy, że aresztowanie fizyka to zwykły zbieg okoliczności.

Porucznik zastanawiał się intensywnie nad sytuacją, próbował na nowo ułożyć pionki na szachownicy.

- Nam bezpośrednio nie zagraża. Nic o nas nie wie - powiedział Jamróż.

- Nie o to chodzi. Musimy się zorientować w możliwościach odbicia tego palanta. Bez względu na koszty.

- Będzie ciężko. Spilker na pewno pozatraskiwał wszystkie okiennice.

- Jasne. To jednak nie znaczy, że wyciągnięcie faceta jest niemożliwe. Jeżeli okaże się naprawdę niemożliwe, trzeba go zlikwidować. - Powiedział to lekko, jakby mówił o pogodzie.

Jamróż znał dowódcę jednak na tyle, by wiedzieć, że wygłaszanie takich sądów, a zwłaszcza egzekwowanie idących za nimi decyzji, nigdy nie przychodziło mu łatwo.

- Cholera... - Był obowiązkowym człowiekiem, kompetentnym oficerem liniowym i podobnie jak porucznik miał wystarczającą wiedzę i wyobraźnię, by ogarnąć całość sytuacji operacyjnej. I doskonale zdawał sobie sprawę, w jakie kłopoty się wpakowali.

- Kurwa mać! - wybuchnął Wojtyński. Było to tak niespodziewane, że pozostali pasażerowie samochodu podskoczyli na siedzeniach. Nigdy wcześniej dowódcy takie rzeczy się nie zdarzały. Coś musiało działać mu ostatnio na nerwy. - Co za pieprzony dureń. Tyle razy kładłem mu do głowy, żeby nie wychodził z domu. Z jego wyglądem wpadka była kwestią pięciu minut.

- Pękł - odpowiedział Jamróż, choć nie spodziewał się, że dowódca oczekuje odpowiedzi. - Nie wytrzymał w zamknięciu.

- Idiota. Nie słyszał o Holokauście?

- To oderwany od rzeczywistości naukowiec. Może nie uważał na historii. Ochrona meldowała Stańczakowi, że ostatnio schudł i narzekał bardziej niż zwykle. Stańczak starał się umilać mu jakiś czas, podrzucał tony książek, w Warszawie chyba nie ma już ani jednej po angielsku, której by nie przeczytał, sam gadał z nim godzinami, dawał jakieś teoretyczne zadania do opracowania. Ale gościu w końcu nie wytrzymał i wyszedł się przewietrzyć. Był na skraju załamania.

Mercedes zatrzymał się. Dojechali na miejsce. Masywna, drewniana brama pchana niewidzialną siłą zaczęła się uchylać.

- Dobra. - Porucznik już się uspokoił. Sam myślał o sobie z niesmakiem. Dawniej tak się nie zachowywał. - Amerykanina trzeba wyciągnąć bez względu na cenę, i to jeszcze dziś. Jeżeli Spilker zamelduje swojemu szefowi o tym, kogo ma w rękę, Ören jutro będzie w Berlinie. A tam już jesteśmy za krótko.

Samochód wtoczył się na teren posesji. Otoczona utrzymanym w nienagannym porządku ogrodem willa znajdowała się przy ulicy Różanej na Mokotowie i stanowiła kwaterę główną sztabu batalionu. Była jednym z elementów kompleksu kilkunastu budynków, w których oprócz kwater mieściła się także fabryczka broni - w przemyślnie wykonanych podziemnych pomieszczeniach, fachowo zamaskowanych przed niepożądanymi spojrzeniami - oraz rozległe magazyny amunicji i sprzętu wojskowego. Rejon ten nazwano Obiektem Numer Jeden. Ochrona liczyła o dziesięciu żołnierzy więcej niż w przypadku Obiektu Numer Dwa.

Wysiedli. Odpowiedzieli pozdrowieniem przęcającemu się na ich widok wartownikowi, po czym szybko weszli na pierwsze piętro. Stańczak, Borek, Wiechecki i Sawicki już czekali. Odprawa mogła się zacząć. I zaczęła się pięć sekund po przekroczeniu progu przez Wojtyńskiego.

- Słyszałem złe wieści. Wiemy coś więcej? - zapytał.

- Gnój śpiewa jak skowronek. Nawet go za bardzo nie musieli przyciskać. Spilker obiecał mu złote góry, koleś to kupił i mamy niezły pasztet. - Stańczak wpatrywał się w niego ponuro, sprawiając wrażenie, jak zwykle zresztą, że sprawa ta w ogóle go nie interesuje. Co nie było prawdą.

- Nawet lepszy niż myślisz. - Wojtyński usiadł na krześle. Starał się zacząć myśleć. - Pan Ören jest mi niezwykle potrzebny. Jak byś zorganizował akcję odbicia?

- Sprawa jest świeża, miałem mało czasu. Mój człowiek u Spilkera ma ograniczoną swobodę ruchów. Sam na pewno nie da rady.

- A zatem wiemy, czego się nie da. Akcja zbrojna?

- Myślałem o tym. Możemy spróbować. Nie wcześniej niż jutro.

- Dziś.

- Dziś nie da rady. Mam sporo rzeczy do ustalenia. Spilker zarządził totalne pogotowie. Budynku pilnuje pluton SS z ciężką bronią. Musiałbym go szturmować na chama i zaraz by się zleciało pół miasta. A na jakąś bardziej misterną akcję muszę mieć czas.

- Dobrze. - Wojtyński wiedział, że nalegania nic nie dadzą. Gdyby była możliwość odbicia Örena natychmiast, Stańczak siedziałby już w samochodzie zmierzającym w stronę siedziby Sonderkommando. - Opracuj plan. Bierz tylu ludzi, ilu potrzeba.

- Tak jest. - Stańczak nawet nie mrugnął okiem. Robili razem już różne rzeczy, ale napaść na siedzibę najniebezpieczniejszego z przeciwników niosła ze sobą większe niż zwykle ryzyko. No cóż, to zawsze był taniec na linie.

- Druga sprawa. Jutrzejsza akcja w getcie. - Przyzwyczajali się już do tego, że na naradach z Wojtyńskim można w każdej chwili spodziewać się zmiany tematu, być poproszonym o zreferowanie jakiegoś zagadnienia albo o wygłoszenie opinii. Wiechecki poruszył się, ale to Jamróz zabrał głos.

- Przygotowania są zakończone - zaczął cichym głosem. On się chyba nigdy nie denerwuje, w przeciwieństwie do mnie, pomyślał Wojtyński, obserwując spokojne ruchy porucznika. - Żydzi mają około pięciuset bojowców z dwóch organizacji: Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiego Związku Wojskowego. Z meldunków wynika, że nie ma między nimi koordynacji ani współpracy. AK dostarczyła jednym i drugiem trochę broni, amunicji i granatów, ale to jest uzbrojenie może dla stu ludzi. Zresztą nie sądzę, żeby więcej miało jakieś przeszkolenie czy doświadczenie wojskowe.

- Dobrze. - Wojtyński skinął głową. - Tunel gotowy?

- Tak jest. Możemy nim przeprowadzić w ciągu godziny stu ludzi, z pełnym uzbrojeniem i amunicją. Nawiasem mówiąc, inni też kopią. Tuneli jest sporo.

- Punkty ewakuacyjne?

- Z tym był największy problem, ale jakoś udało się to związać do kupy. Mamy przygotowanych kilkunastu przewodników z samochodami ciężarowymi i osobowymi.

- Ile osób możemy przyjąć?

Jamróz zawahał się. Reszta milczała ponuro.

- Tysiąc dwieście. Na upartego tysiąc pięćset.

Wojtyński podniósł brew. Same niespodzianki tego dnia.

- Określili potrzeby na dwa i pół tysiąca. Minimum.

Borek poczerwieniał.

- Były kłopoty z rodzinami - przyszedł w sukurs porucznikowi. - Nie udało się znaleźć tylu chętnych. Cholerne ryzyko. Wielu ludzi nie chce się narażać dla...

- To są obywatele polscy. - Wojtyński nieznacznie podniósł głos. To też go zdziwiło. W kontaktach z podwładnymi nigdy wcześniej tego nie robił.

- Mnie tego nie tłumacz. - Jamróz wzruszył ramionami. - Szukaliśmy bardzo dokładnie. Komendant Główny przydzielił kilkanaście osób tylko do poszukiwań. Uruchomił Żegotę. Pomaga nam ta babka, Sendlerowa. Dzisiaj mamy możliwość ewakuacji tysiąca pięciuset osób. Na wcisk. Nie zapominaj, że oprócz dzieci ewakuujemy też dwie setki opiekunek, a wszystko razem musimy zrobić w dwa dni.

Chwilę trwało milczenie, w końcu Wojtyński odezwał się cichym głosem:

- Tomasz, weźmiesz dwa plutony, niech ci Gintowt da paru saperów do pomocy, i w ciągu tygodnia przygotujesz ziemianki na tysiąc osób w Lasach Chojnowskich i Kabackich. I w Kampinosie.

- Bierzymy wszystkich? - zapytał Sawicki. Sprawiał wrażenie nieobecnego, ale Wojtyński był pewien, że słucha ze zwykłą uwagą.

- Bierzymy. Jeżeli będzie trzeba, weźmiemy nawet więcej.

Ton porucznika nie pozostawiał wątpliwości. Wszyscy uznali temat za omówiony. A zwłaszcza Sawicki.

- Kiedy możemy przetransportować broń?

- Dziś w nocy - podjął Jamróz. - Sto pistoletów maszynowych, sześć MG-42, dwadzieścia pistoletów, pięć karabinów snajperskich, siedemdziesiąt zwykłych, tysiąc naboí na lufę, pięć tysięcy granatów. Myślałem jeszcze o RPG...

- Zapomnij. Nie ma mowy. Daj im pancerfausty.
- A nie za wcześnie? Niemcy jeszcze ich nie wprowadzili do obiegu.
- Mniejsza z tym. Daj im, powiedzmy, trzydzieści sztuk. Ludzie w pogotowiu?
- Tak jest.
- Mają się znaleźć na Okopowej przed godziną policyjną. Małymi grupkami. Przekaż ich Dużemu pod komendę. Ja mam jeszcze dwa spotkania. Potem wydaję rozkaz przetransportowania sprzętu. I, o ile się dogadam, także pierwszą partię ludzi w odwrotną stronę.
- Właściwie dlaczego nie mogliśmy zacząć ewakuacji miesiąc temu? - zapytał Jamróż.
- Jakoś zawsze ten temat umykał ich uwadze.
- Tak naprawdę już się zaczęła. Przecież nie tylko my działamy. Ale jest problem psychologiczny. Matki nie chcą się rozstawać z dziećmi... - Zawahał się.
- I opóźniają, jak mogą - dokończył za niego porucznik.
- No. Nie dziwię im się. Nie mam dzieci, ale potrafię sobie wyobrazić, co czuje matka, jak musi oddać dziecko obcym ludziom...
- Wątpię - mruknął Sawicki jakby do siebie, ale wszyscy go usłyszeli.
- Wojtyński chciał coś odpowiedzieć, zrezygnował jednak. Poczł mrowienie w żołądku. Znał siebie i wiedział, że to nie jest dobry moment na udzielanie jakichkolwiek ripost.
- No dobrze. Jakub?
- Wszystko gotowe. Grupy na pozycjach. Ruszam skoro świt.
- W porządku. Teraz pan generał na tapetę. - Znowu zmiana tematu. - Co o nim wiemy?
- Ma stopień SS-Brigadeführera, czyli po naszymu generała brygady - po raz pierwszy odezwał się Wiechecki. Cedził słowa powoli, zaglądając co jakiś czas do notatek. Znając go, można było być pewnym, że jest tam wszystko, co potrzebne. - Wcześniej był we Lwowie. Wprawiał się tam w eksterminacji Żydów...
- Nie pytam o jego CV. Znam je na pamięć. - Wojtyński zmrużył oczy. - Pytam, co to za człowiek.
- Fanatyk.. Bezkrytycznie wierzy w Adolfa Hitlera i narodowy socjalizm. Typ raczej policjanta niż żołnierza. Imponuje mu esesmański blichtr, wierzy w hierarchię, zna swoje miejsce w szeregu. Jednocześnie jest spragniony zaszczytów i władzy. Zdecydowanie chce się piąć wyżej. Jak bym miał go krótko określić, powiedziałbym: służalczy i butny. Przy tym dość ograniczony umysłowo.
- Stosunek do Żydów?
- Ideologiczny. Uważa ich za podludzi.
- Jamróż parsknął z niedowierzaniem.
- Poważnie. Nie ma się z czego śmiać.
- Nie śmieję się, tylko mi się wierzyć nie chce.
- Mnie też nie. - Wojtyński kiwnął głową. - Ale znajdujemy się w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku i za przeciwnika mamy faceta, który wierzy w takie rzeczy. Mów dalej - zwrócił się do Wiecheckiego.
- Moim zdaniem od strony wojskowej jest słaby, ale mimo wszystko lepszy od von Sammerna i znacznie twardszy jako człowiek. Będzie miał do dyspozycji dobrych żołnierzy.
- O ile wszystko potoczy się tak, jak to pamiętamy.
- To był ich stały dylemat. Każdego dnia zmieniali bieg historii znanej z podręczników, przynajmniej na swoją, taktyczną skalę. Czasami wpływali na wydarzenia w bardziej ogólnym sensie - jak wtedy, gdy kilka miesięcy

temu kula kalibru dwanaście i siedem dziesiątych milimetra przerwała żywot okrutnego władcy Generalnego Gubernatorstwa Hansa Franka. Przysłany z Berlina następca był już znacznie bardziej powściągliwy w zarządzaniu represji wobec Polaków. Jednak nie mieli wpływu na sytuację strategiczną ani na decyzje Niemców w sprawach kluczowych z ich punktu widzenia.

- Moim zdaniem potoczy się. Obserwacja informowała, że pan generał już się zameldował na kwaterze. Cichutko, bez rozgłosu, tak jak mu Himmler kazał. A informatorzy donoszą o przygotowaniach wojskowych na mieście.

- Łapówka?

- Nie zadziała. On jest przeżarty ideologią. Wierzy w wyższość rasy nordyckiej. Wierzy w misję cywilizacyjną Niemców na Wschodzie i wierzy, że Żydów należy zlikwidować. Nie odstąpi od tego dla pieniędzy.

- Okej. Można go zastraszyć?

- Można spróbować, ale moim zdaniem to będzie trudne. Jak go za bardzo przyciśniesz, poleci na skargę do Hahna, dostanie wzmocnioną ochronę i będzie wszystkim dowodził z Szucha.

- Nie. - Porucznik pokręcił głową. - Walki będą miały taki charakter, że trzeba reagować na miejscu. Nawet przy naszych środkach łączności byłoby trudno dowodzić na odległość. Może z helikoptera. Nie, nie. Pan generał ruszy tyłek i będzie ze swoimi oddziałami. Zgadza się, dostanie więcej ochroniarzy, ale poradzimy sobie.

- Ale co mu chcesz zaproponować? On nie ma pola manewru. Jak nie uderzy, Himmler go zdejmie i da kogoś innego.

- Może da. A może nie. - Wojtyński uśmiechnął się półgębkiem. - Zostawmy to na razie. Mam jakiś pomysł, muszę go przemyśleć. Na mnie już czas. - Wstał i przyglądał wygniecione ubranie. - Coś jeszcze?

- Mhm - mruknął Stańczak. Jego lakoniczność przewyższała nawet lakoniczność Wojtyńskiego, choć nie była to łatwa sztuka. Pokazał na pozostałych. Zrozumieli bez pudła, pożegnali się szybko i wyszli. Przez te cztery lata nauczyli się jednego. Jeśli czegoś nie musieli wiedzieć, po prostu tego nie wiedzieli. - Nie jestem pewien na sto procent, ale myślę, że ktoś się koło nas kręci.

- Kręci? - Choć Wojtyński lubił bardziej precyzyjne komunikaty i nie był zadowolony z takiego ujęcia tematu, uśmiechnął się nieznacznie na widok Stańczaka przykładającego ucho do drzwi i sprawdzającego, czy są dobrze zamknięte.

- Koło ciebie, konkretnie. Mam niemal pewność, że jesteś śledzony.

Na twarzy Wojtyńskiego nie dało się nic wyczytać, ale był zaniepokojony. Stańczak znał go na tyle, by to dostrzec. A on znał na tyle Stańczaka, by wiedzieć, że traktuje swoje obowiązki śmiertelnie poważnie i nie zawracałby mu głowy niesprawdzonymi poszlakami.

- Przez kogo? Od jak dawna?

- Od jak dawna, nie wiem. Twoja ochrona zauważyła ogony dziś, jak wychodziłeś z narady.

- Ogony?

- To właśnie jest trochę niepokojące. Moi ludzie zauważyli trzy osoby. Dwóch facetów i kobietę.

- Interesujące.

- Owszem. Babka całkiem ładna, chociaż sztucznie postarzona i oszpecona. Ale cała trójka zachowywała się w taki sposób, że nadal nie jesteśmy pewni, czy naprawdę robią to, co robią. Zmieniali się, lawirowali, czasami

jedno z nich szło przed tobą i skręcało w drugą stronę. Zachowywali się profesjonalnie, to zawodowcy. Zresztą najlepszy dowód, że niczego nie zauważyłeś. Potem wsiadłeś w samochód i zniknąłeś. Nie gonili cię.

- Poszliście za nimi?

- Owszem. Zorientowali się. Każde z nich poszło w swoją stronę, najpierw zgubiliśmy ją, a potem obu kolegów. Była łapanka, musieliśmy się wycofać.

- Na kogo wyglądają?

- Na nikogo. To jest właśnie najlepsze. Dwóch misterów nobody i jedna panna nikt. Uroda, wzrost i ubrania całkowicie anonimowe.

- Przywlokłem ich tutaj za sobą?

- Nie. Prawie na pewno nie. Na ostatnim odcinku byłeś czysty. Oni zajęci byli gubieniem nas. Przed chwilą dostałem meldunki.

- Co myślisz?

- Myślę, że to realne zagrożenie. Powinieneś zniknąć na jakiś czas.

- Nie mogę. Za dużo rzeczy się dzieje.

- Z całym szacunkiem, możemy dać sobie radę bez ciebie. Dobrze nas wyszkoliłeś.

- Wiem. Nie o to chodzi. - Porucznik zamyślił się na moment. Spojrzał na zegarek. - Dziś już wiele nie zwojujemy. Zrobimy tak... Stańczak pochylił głowę i skrupulatnie notował w pamięci kolejne punkty planu.

22

Po piętnastu minutach Wojtyński siedział w samochodzie, który kierował się w stronę ulicy Okopowej.

- Przyjedziecie po mnie za... - spojrzął na zegarek. Była czwarta po południu - ...godzinę. O piątej. Może chwilę się spóźnię, ale nie sędzę, że więcej niż piętnaście minut. Wysiadł, wzbudzając popłoch przechodniów. Był po cywilnemu, ale długi skórzany płaszcz z filmowo postawionym kołnierzem i ostre spojrzenie błękitnych oczu warszawiakom kojarzyło się jednoznacznie. Wojtyński mógłby jeździć chłopską furmanką, a nie samochodem z policyjnymi oznakowaniami, a i tak ludzie na jego widok przemykaliby pod ścianami lub przechodzili na drugą stronę ulicy. Co najważniejsze, licznym patrolom niemieckim porucznik kojarzył się w identyczny sposób. Mocne, oryginalne papiery i bezbłędna niemczyzna uszczelniały ten kamuflaż i powodowały, że porucznik, choć był obok Komendanta Głównego Armii Krajowej najbardziej poszukiwanym przez Niemców człowiekiem w Generalnym Gubernatorstwie, poruszał się po warszawskich ulicach w miarę swobodnie, choć zawsze z obstawą, korzystając tylko z lekkiej charakterystyki.

Mercedes odjechał, a porucznik zapukał do bramy. Po chwili odrzwia uchyliły się. Człowiek, który w nich stanął, miał trzydzieści kilka lat, krótko przystrzyżone wąsy, czujne spojrzenie i rękę ukrytą głęboko w kieszeni płaszcza. Omiótł wzrokiem ulicę i cofnął się. Wojtyński przekroczył próg. Brama zamknęła się ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów.

Posesja przy ulicy Okopowej dwanaście została kupiona przez ludzi Wojtyńskiego pół roku temu z myślą o akcji w getcie. Porucznik nie był do końca pewien, jak potoczą się losy tych nieszczęsnych ludzi stłoczonych ponad zwykłą miarę pomiędzy ulicami Bonifraterską, Leszno, Okopową i Stawki, ale był pewien, że tak czy inaczej Niemcy będą chcieli dokonać ostatecznej masakry, „ostatecznego rozwiązania” według ich terminologii. Nie było w mocy porucznika przeciwstawienie się walcowi zagłady czy zlikwidowanie przyczyn, dla których Niemcy pchali się w szaleństwo. Ludzie Wojtyńskiego, podobnie zresztą jak wielu innych, robili, co mogli i co nie niosło ze sobą ryzyka przedwczesnego wybuchu konfliktu zbrojnego na szeroką skalę. Łagodzili skutki.

Wyprowadzali ludzi poza teren getta, umieszczali wśród polskich rodzin, przerzucali do lasu. Teraz moment ostatecznej rozprawy nadchodził, nawet co do dnia zgodny z datą, o której opowiadał im Wiechecki. Walec historii toczył się powoli, ale konsekwentnie.

Wojtyński szarpał za kierownicę, powodował, że walec czasami zbaczał nieco z kursu, czasem zwalniał lub przyspieszał, ale i tak podążał w sobie tylko znanym, z góry obranym kierunku. Posesja przy Okopowej miała być jednym z czynników spowalniających bieg walca. Był to niewielki teren z kilkoma ceglanymi budynkami, w których ongiś mieściła się fabryczka obuwia, obecnie zaś ludzie Wojtyńskiego uruchomili na jej terenie warsztat naprawy samochodów. Decyzja ta spowodowała, że okoliczni mieszkańcy przyzwyczaili się do ciągłego ruchu, zarówno ciężarówek, jak i samochodów osobowych. W rzeczywistości posesja miała zupełnie inne przeznaczenie. Drążony od kilku miesięcy tunel, mający swój początek w jednym z warsztatowych budyneczków, biegł pod Okopową, przecinając ją w poprzek, po czym przechodził pod murem getta. Wylot zlokalizowany był blisko pięćdziesiąt metrów za murem, w piwnicy jednej z kamienic przy Smocznej. Dowodzący akcją budowy rotmistrz Jan Ekiert, pseudonim Duży, jedyny oficer stąd, jakiego Wojtyński przyjął do oddziału, aż promieniał z zadowolenia. Zadanie wykonał perfekcyjnie, całą akcję udało się utrzymać w tajemnicy, no i zdążył na czas.

Wojtyński po raz kolejny przekonał się, że postawienie na tego człowieka było dobrym wyborem. Ucisnął podaną dłoń i wysłuchał krótkiego meldunku. Łączność z bojownikami po drugiej stronie muru została nawiązana, zgodnie z umową Wojtyński był oczekiwany dokładnie za piętnaście minut.

Rozejrzał się. Pusto. Dziwnie pusto. Niedziela. Warsztat był nieczynny, ale porucznik miał nieodparte wrażenie, że to nie o to chodzi. Świat jakby zastygł w oczekiwaniu. Jakby zastanawiał się, skąd w ludziach tyle emocji, przemocy i zła. Tyle nienawiści.

Otrząsnął się. Musiał się skupić, a częste napady dekoncentracji, złości czy rozmarzenia tylko przeszkadzały.

Weszli do budynku. Pierwszy pokój był niewielki, ciemny i brudny. Drzwi. Po nich następny pokój, mniejszy. Następne drzwi, za nimi betonowe schody w dół. Piwnica. Rotmistrz nacisnął niewidoczny przycisk i zawalona różnymi gratami półka, o wadze na oko przekraczającej możliwości przesunięcia jej nawet przez najsilniejszego mężczyznę, odsunęła się z lekkim szumem na bok. Ukazało się wybetonowane wejście. Duży pstryknął włącznikiem i blask rozmieszczonych w regularnych odstępach żarówek rozświetlił ciemność. Lekko opadający w dół tunel był wystarczająco wysoki i szeroki, aby dwie wyprostowane osoby mogły maszerować obok siebie.

- Niech pan prowadzi - powiedział Wojtyński. To rotmistrz był tutaj gospodarzem.

- Z przyjemnością. Tędy. - Wskazał ręką, jakby były co najmniej dwie drogi do wyboru.

Wrażenie przestronności korytarza minęło po kilku krokach. Szybko zaczęło się robić duszno.

Wojtyński nie był specjalnie wrażliwy na ciasnotę, nie miał klaustrofobicznych odruchów, ale pomyślał sobie o przyszłych użytkownikach tunelu i żał mu się zrobiło tych ludzi. Śmiertelnie przerażonych, brnących wśród płaczu i huku dziejącej się nad nimi apokalipsy. Przeżywających - każdy swoje i po swojemu - zstąpienie do piekieł. A jeżeli do tego wysiadzie prąd, w tunelu pojawi się dym i zacznie naprawdę brakować powietrza...

Marsz nie trwał długo. Niecałych dwieście metrów to kilka minut nawet wolnym krokiem. Dla silnych i wyćwiczonych mężczyzn tyle, co nic.

Doszli do masywnych, obitych stalową blachą drzwi. Ekiert zapukał. Dwa razy. Przerwa. Jeszcze dwa. Po chwili powtórzył tę sekwencję. Wojtyński domyślał się, że są obserwowani przez ukryty w ścianie wizjer. Szczęknięła zasuw, po niej druga i drzwi powoli otworzyły się.

Stanął w nich wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnej, nieogolonej od kilku dni twarzy. Przez dłuższą chwilę po prostu stał i przyglądał im się uważnie. Choć Wojtyński spotkał się z nim miesiąc temu, gdy po raz pierwszy dotarł do przyszłych powstańców, mężczyzna był czujny jak łasica i nieufny. Wojtyński doskonale to rozumiał.

- Porucznik Janusz Wojtyński - powiedział. Na samym początku konspiracji doszedł do wniosku, że nie będzie używał pseudonimu, a teraz na wszelki wypadek postanowił się przypomnieć przedstawicielowi gospodarzy.

- Rotmistrz Duży - dodał nieco przytłumionym głosem towarzyszący mu oficer.

Chwilę trwało milczenie. Mężczyzna skończył lustrację, spojrzał ponad ich głowami w głąb tunelu i skinął głową. Przeszli przez drzwi, które tuż za nimi zatrzęsnęły się z głuchym hukiem. Ponownie zgrzytnęły zasuw. Z mroku piwnicy wysunął się następny ciemnooki mężczyzna dzierżący w muskularnych dłoniach pistolet maszynowy sten. Natomiast człowiek, który im otworzył, trzymał w ręku, zupełnie się z tym nie kryjąc, pistolet niedwuznacznie wycelowany w stronę przybyszów. Wojtyński uśmiechnął się uprzejmie, tamci zreflektowali się. Broń zniknęła pod płaszczami.

- Poprowadzę - powiedział szczupły.

Przeszli przez piwnicę, ciemną i śmierdzącą, pokonali schody i znaleźli się na ulicy.

Była niedziela, dzień wolny, nie obowiązywał zatem zakaz przebywania na ulicy w godzinach pracy. Jednak ruchu prawie nie było. Gdzieś tylko w oddali przemknął przez chodnik jakiś spóźniony przechodzień, przysiadł w rynsztoku wychudzony mały żebrak, zastukały o bruk podkute buty patrolu żydowskiej policji, wybuchnął śmiech Niemców palących papierosy przed jednym z niezliczonych „szopów” - warsztatów produkujących na rzecz gospodarki wojennej III Rzeszy.

Jakieś niewytłumaczalne, złowrogie napięcie wisiało w powietrzu.

Wojtyński myślał, że za drugim razem będzie mu łatwiej, ale widok getta i jego nielicznych mieszkańców, widok żebrzących, sinych i wydętych z głodu dzieci, widok nędznie ubranych ludzi, czekających chyba tylko na wyzwolenie z tej męki przez śmierć, podziałał na niego tak samo silnie jak miesiąc temu.

Szli szybkim krokiem, facet z pistoletem prowadził, a ten ze stenem zamykał pochód, czujnie rozglądając się na boki. Mieli powody do obaw. Przebywanie w getcie ludzi bez ważnej przepustki z „aryjskiej” strony było tak samo niebezpieczne, jak przebywanie Żydów poza murem. Zawsze gotów był się znaleźć gorliwy informator, by donosem kupić dodatkową szansę na przeżycie.

Obyło się bez przygód. Weszli do okazałej kamienicy przy Miłej osiemnaście. Przewodnik, ten z pistoletem, wyciągnął z kieszeni czarne opaski i przepaszając się uśmiechnął. Obaj oficerowie dali sobie bez protestu zawiązać oczy. Lekko pociągnięci za ręce, ruszyli. Czuli, że skręcają, pokonali kilka schodów w górę, skrzypnęły jakieś drzwi, deski pod stopami ugięły się, potem zaszurali nogami o beton. Zeszli w dół, może trzydzieści stopni. Zgrzytnęły zamki. Owionął ich zapach piwnicznej wilgoci pomieszany z gotowanym jedzeniem i wonią wielu ludzi zgromadzonych na niewielkiej przestrzeni. Stanęli. Opaski zdjęto.

Wojtyński zamrugał i rozejrzał się. Stał pośrodku obszernego pomieszczenia o betonowych ścianach. Z sufitu zwisała się lampa na długim sznurze umieszczona dokładnie nad dużym, drewnianym stołem. Leżała na nim mapa przedstawiająca teren getta. Z dokładnie zaznaczonymi granicami wytyczonymi wysokim na trzy metry murem, oficjalnymi bramami, spodziewanymi kierunkami natarć niemieckich. I tunelami.

Pomieszczenie zostało wykonane z dużą biegłością inżynierską i najwyraźniej stanowiło fragment większej całości. Masywne drzwi oddzielały je od dalszych pomieszczeń. Wiechecki opowiadał mu o tym nieco. Znajdowali się w bunkrze dowodzenia ŻOB-u. Całe getto usiane było przeszło sześcioma setkami podobnych bunkrów połączonych ze sobą kilometrami sekretnych korytarzy. Ludzie z rozpaczyny potrafili się zdobywać na nieprawdopodobne rzeczy.

Stojący przy stole wysoki mężczyzna, którego Wojtyński również spotkał już przedtem, skinął przyjaźnie głową. Był przywódcą ŻOB-u i przyszłego powstania. Na poprzednim spotkaniu przedstawił się pseudonimem Malachi. Wiechecki powiedział, że pod tym mianem kryje się człowiek o nazwisku Mordechaj Anielewicz. Pozostałych dwóch ludzi stojących przy stole Wojtyński widział pierwszy raz w życiu.

- To porucznik Wojtyński z AK - rzucił w stronę towarzyszy Anielewicz.

- Rotmistrz Duży - przedstawił się Ekiert.

- Jurek - powiedział niższy z pozostałej dwójki.

Ach, więc to jest słynny Arie Wilner, pomyślał porucznik.

Trzeci uczestnik spotkania mruknął coś niewyraźnie, brzmienie tego pseudonimu nic Wojtyńskiemu nie mówiło. Ale nie miał czasu na roztrząsanie tego.

- Chciałbym potwierdzić, że według moich informacji jutro o godzinie szóstej rano rozpocznie się akcja ostatecznej likwidacji getta - powiedział. - Oddziały SS i policji uderzą od strony Nalewek, Zamenhofa i Miłej.

Zapadła cisza. Trzej bojownicy spodziewali się czegoś takiego, ale być może mieli nadzieję, że ten moment jeszcze nie nadszedł. Że jeszcze pozostaje coś innego, cokolwiek poza straceńczą walką. W końcu Anielewicz westchnął głęboko i powiedział:

- Wiedzieliśmy, że w końcu to zrobią. Nie mieliśmy wątpliwości.

- Tak. Planują zakończyć akcję w ciągu trzech dni.

Oczy Wilnera błysnęły.

- Niedoczekanie ich - warknął. - Bardzo się postaramy, żeby im ta cała akcja stanęła kością w gardle. I na pewno zabawa potrwa dłużej.

- Naszym celem powinno być w istocie przedłużenie walki. Zyskanie czasu ze względu na zadanie, które postawiliśmy przed sobą. - Wojtyński zdecydowanie wołał sprowadzić rozmowę na tematy taktyczne.

Tak naprawdę nie wiedział, jak się zachować wobec tych ludzi. Przyszło mu do głowy, że być może czują się oni podobnie jak Leonidas czekający ze swoimi Spartanami na armię Kserksesa w wąwozie Termopile, ale to była tylko daleka asocjacja.

- Zadanie! - Wilner prychnął pogardliwie, jakby czytając myśli porucznika. - Co z tego, że uratujemy trochę dzieciaków? Czy one tam - machnął ręką gdzieś poza mur - mają dużo większe szanse? Czy nie lepiej zginąć w walce?

- Jurek, uspokój się. Ocalimy tylu, ilu się da. Jeżeli tysiąc albo dwa przeżyje wojnę, to już będzie wielka rzecz. Będzie jakaś nadzieja... A my... Oni chcą z nas zrobić niewolników, których się zabija po zużyciu. Więc my po prostu pokażemy, że możemy walczyć i umrzeć jak ludzie, a nie jak niewolnicy - odezwał się ten trzeci schrypniętym, niskim głosem. Nie było w tym głosie zrezygnowania, rozpaczyny czy patosu. Tylko suche stwierdzenie faktu. I determinacja.

Anielewicz położył Wilnerowi rękę na ramieniu.

Wojtyński czuł się winny jak jeszcze nigdy dotąd.

- Wiem. Przepraszam - powiedział po chwili Jurek. Już oddychał normalnie. - Macie rację. Trzeba uratować tyle tych dzieci, ile się da. A my... nie oszukujmy się... - Spojrzał na swoich towarzyszy. - My nie będziemy ratować życia. Żaden z nas żywy z tego nie wyjdzie. My uratujemy ludzką godność.

Wojtyńskiemu i Dużemu pozostało tylko skłonić głowę przed takim stwierdzeniem.

- Ustalmy konkrety. - Anielewicz pierwszy się otrząsnął.

Wszyscy nieznacznie odetchnęli.

- Tak będzie najlepiej. - Wojtyński zebrał myśli i pochylił się nad mapą. - Uderzenie niemieckie ruszy o szóstej rano z dwóch stron. Od Nalewek i od Zamenhofs. - Wskazał ręką na mapie. - W akcji początkowo będzie brało udział około dziewięciuset ludzi uzbrojonych w ciężką broń piechoty, wspartą kilkoma pojazdami pancernymi. Opracowałem koncepcję obrony rozegranej w kilku fazach. Czy mogę ją przedstawić?

- Może pan. Ale najpierw chciałem zadać pytanie - odezwał się schrypnięty. Patrzył na Wojtyńskiego spod przymrużonych powiek. - Pan chce nam pomóc, tak?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Wprowadzę do walki stu swoich ludzi, którzy wzmocnią obronę, a także, zgodnie z ustaleniami, przekażę wam broń dla dwustu waszych bojowników.

- A po ewakuacji dzieci?

- Moi ludzie wycofają się.

- I zostaniemy sami?

Zapadła cisza, jeszcze cięższa niż przedtem. Trzej przywódcy po prostu stali i patrzyli, a Wojtyńskiemu dotychczasowe poczucie winy wydało się dziecinną igraszką.

- To było oczywiste od początku - za porucznika odpowiedział Anielewicz. Miał wśród tej trójki zauważalny autorytet. I był w stanie przeforsować swoje zdanie. - AK nie wywoła powstania z naszego powodu. Pomoc jest i tak bardzo duża.

- Moim zadaniem jest rozwiązać ten problem od strony wojskowej. - Wojtyński jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak źle. Nie miał w zwyczaju uchylać się od odpowiedzialności i od konsekwencji swoich decyzji, ale ta sprawa go przerosła. - Decyzja o skali pomocy zapadła na najwyższym szczeblu.

- To zrozumiałe. - Zachrypnięty przyglądał się porucznikowi z ciekawością naukowca. - Pana rola jest inna.

- Moją rolą jest przeprowadzenie ewakuacji i zadanie Niemcom jak największych strat.

- To i tak bardzo dużo. - Anielewicz spojrzał na swoich towarzyszy, a oni kiwnęli głowami. - Niech pan nam opowie o szczegółach operacji.

- Otóż...

Wojtyński zaciął się tylko przez kilka pierwszych zdań. Potem poczuł się pewniej.

Ekiert brał już kilkanaście razy udział w odprawach prowadzonych przez swojego szefa i zawsze podziwiał go za precyzję sformułowań, oryginalne rozwiązania taktyczne i skuteczność. Porucznik umiał narzucić przeciwnikowi swoją wolę, zmusić do gry według nut podstawionych przez nieprzewidywalnego dyrygenta. Nigdy nie postępował tak, jak wróg się spodziewał, za to umiał zepchnąć go do narożnika i zadać śmiertelny cios.

Planując operację w getcie, miał do czynienia z klasyczną walką miejską toczoną niewielkimi siłami przeciwko znacznie liczniejszemu przeciwnikowi. Założył więc maksymalną mobilność niewielkich grup

bojowych, szybko przemieszczających się pomiędzy zawczasu przygotowanymi stanowiskami, dysponującymi dużą siłą ognia i mającymi zdolność pojawiania się na tyłach przeciwnika. Obrona miała być wspierana przez kilka grup dywersyjnych działających poza murami. Celem nie była obrona jakiegoś konkretnego punktu czy linii oporu. Celem było zniszczenie siły żywej nieprzyjaciela, zadania mu takiej ilości strat nieodwracalnych, aby zrezygnował z walki lub przynajmniej nie przejawiał do niej większej ochoty. By uświadomił sobie, że *Grossaktion* nie może być zrealizowana według pierwotnych założeń ze względu na zbyt wysoką cenę i by zaczął odczuwać skutki polityczne takiego niepowodzenia. Jednak celem głównym było kupienie czasu potrzebnego na przeprowadzenie ewakuacji.

Wojtyński mówił przez pięć minut, reszta słuchała w milczeniu. Widać było, że są pod wrażeniem.

- Bardzo starannie pan to przemyślał. - Anielewicz cmoknął z podziwem. - Nie jestem tylko pewien, czy mamy siły wystarczające do prowadzenia takiej walki.

- Zgodnie z naszą poprzednią rozmową przygotowałem broń dla dwustu ludzi. Oprócz tego jutro o godzinie piątej rano, o ile taka będzie wasza wola, pojawi się w getcie stu moich żołnierzy. Są dobrze wyszkoleni i wiedzą, co mają robić. Pan rotmistrz Duży będzie dowodził oddziałem. O ile na to się zgodzicie, mógłby także objąć dowództwo nad waszymi ludźmi, wtedy system dowodzenia byłby jednolity. Do jutra rana mamy czas, by wszystkich ludzi rozmieścić i godnie Niemców przywitać. - To ostatnie zdanie zabrzmiało trochę jak z Sienkiewicza, ale zgromadzeni w pomieszczeniu mężczyźni pokiwali głowami.

- Przyjmujemy pomoc. I bardzo dziękujemy. Kwestię dowodzenia przemyślimy.

- Proszę nie dziękować. Panowie na moim miejscu zrobilibyście to samo. Nie było nic więcej do dodania. Anielewicz wyciągnął dłoń, a Wojtyński uściśnął ją mocno.

23

Droga powrotna na drugą stronę muru zajęła pięć minut. W tym czasie Wojtyński mówił niemal bez przerwy, wydając rotmistrzowi szereg poleceń dotyczących jutrzejszego starcia, przetransportowania broni dla powstańców, przerzucenia na teren getta grupy szturmowej batalionu oraz rozpoczęcia ewakuacji pierwszej, wybranej grupy dzieci. Ekiert był dumny i przejęty. To była pierwsza akcja bojowa, w której miał dowodzić całkowicie samodzielnie.

Wojtyński nie miał wątpliwości, że rotmistrz poradzi sobie z zadaniem. Ten pełen entuzjazmu przedwojenny oficer kawalerii przyszedł do niego z otwartą głową i masą złych nawyków. Z ogromnym samozaparciem przeszedł szkolenie, zdał egzamin z jedną z najwyższych lokat i od tej pory wielokrotnie udowodnił, że decyzja Wojtyńskiego była słuszna. Toteż porucznik pożegnał się z nim bez specjalnych obaw.

Wsiadł do samochodu i po chwili znalazł się poza posesją. W aucie siedział Wiechecki i dwóch operatorów GROM-u - żołnierzy, do których kompetencji Wojtyński miał największe zaufanie. Wszyscy ubrani byli podobnie do porucznika, w sposób charakterystyczny dla cywilnych gestapowców: w garnitury, białe koszule i skórzane płaszcze. Wojtyńskiemu taki ubiór zawsze wydawał się nieco komiksowy, ale już jakiś czas temu przekonał się, że w istocie gestapowcy czasami tak się noszą, przebranie spełniało więc swoją rolę. Najwyraźniej nie wszystko, co pokazywano na temat Niemców w powojennych filmach, było kłamstwem.

- Jest? - zapytał.

- Jest - odparł Wiechecki, odwracając się w jego stronę. - Od dwóch godzin.

- Sam?

- Sam.

- Dzwonił gdzieś?
- Nie. Do niego dzwoniłono...
- Wojtyński uśmiechnął się pod nosem.
- Z Berlina - dokończył za Wiecheckiego.
- Tak jest.
- Fantastycznie.
- Naprawdę chcesz to zrobić?
- Owszem.
- Cholerne ryzyko.
- Nie takie wielkie. Ubezpieczycie mnie.
- Możemy się okazać za krótkcy.
- Wy? Nie wierzę.
- Nie chodzi o nas. Chodzi o ciebie.
- Wiem.

Siedzący obok komandos nie odzywali się, ale zdawali się podzielać zdanie porucznika. Nie chodziło o życie - zdążyli je narazić w dziesiątkach mniej czy bardziej brawurowych akcji - ale o ryzyko. A właściwie o proporcję ryzyka do możliwych do osiągnięcia rezultatów. Gra zawsze powinna się opłacać. Czy tym razem też tak będzie?

Wątpliwe. Co gorsza, porucznik myślał podobnie. On również nigdy nie wahał się narazić życia - miał poza tym szczęście, co już dawno zauważył - kiedy to było naprawdę niezbędne. Nie sądził, że tak jest i tym razem. Z drugiej strony czuł, że gdyby nie podjął tej próby, miałby sobie coś do zarzucenia. Czułby się nie w porządku wobec... historii? Towarzyszy broni? Polski?

Samochód toczył się gładko przez plac Trzech Krzyży. Ruch był niewielki, świąteczny, zresztą i tak wszyscy ustępowali im z drogi. Kamuflaż policyjny, czy ogólniej niemiecki, wymyślony i zorganizowany na początku ich konspiracyjnej odysei, działał bezbłędnie.

Wjechali w Aleje Ujazdowskie. Kierowca zwolnił. Po obu stronach ulicy zaczęły się piękne zabytkowe kamienice przedwojennego salonu Warszawy. Niemal bez wyjątku zajęte przez Niemców. Mieszkania dygnitarzy, urzędy, placówki wojskowe.

Skręcili w prawo, w jedną z bocznych uliczek. Samochód potoczył się jeszcze parę metrów i stanął.

Wojtyński, Wiechecki i jeden z komandosów wysiedli. Wiechecki pomyślał, że dzięki tym długim skórzanym płaszczom wyglądają trochę jak postacie z „Matrixa”, co zresztą nie powinno wzbudzać podejrzeń Niemców, którzy nie mieli szans poznać tego dzieła filmowego. Przeszli przez ulicę. Kierowca w tym czasie, nie wyłączając silnika, sięgnął pod siedzenie, wyjął krótkofalówkę, z dyndającą na cienkim kabelku słuchawką i mikrofonem, wcisnął małą membranę w ucho i postawił kołnierz płaszcza. Od tej chwili miał łączność z członkami grupy, którzy dysponowali identycznymi krótkofalówkami. W specjalnym schowku pod podłogą, który mógł otworzyć jednym ruchem, zwalniając kciukiem ukryty zatrzask, spoczywał karabin beryl z umocowanym pod lufą granatnikiem pallad, dwa pistolety maszynowe heckler&Koch, MP-5 oraz pokaźny zapas amunicji i granatów. Także Wiechecki i komandos z obstawy wyposażeni byli w ukryte pod płaszczami identyczne pistolety maszynowe, pistolety glock z tłumikami i granaty obronne. Porucznik czuł w kaburze pod pachą ciężar używanego od początku wojny ulubionego glocka 17.

Byli gotowi na małą wojnę. W razie potrzeby nie zawahaliby się nawet jej wywołać.

Wojtyński wraz z dwójką towarzyszy weszli do budynku i znaleźli się w obszernym, luksusowo wykończonym holu. Wyłożone marmurem schody prowadziły na górę, w gotowości czekała także widoczna za kryształową szybą winda. Nieco z boku ustawiono ogromne biurko, za którym siedział młody człowiek w mundurze SS. Biurko, poza stojącymi z boku telefonem i niewielką lampką, było całkowicie puste. Żołnierz, zatopiony w lekturze „Völkicher Beobachter”, na widok wchodzących mężczyzn poderwał głowę.

Wojtyński podszedł do wartownika.

- Gestapo - powiedział pewnym, władczym tonem. To zawsze działało. Położył na biurku legitymację. Żołnierz nawet na nią nie spojrzał. Stał na baczność. - Czy Otto von Weizsecker jest u siebie?

- Nie - wyjął strażnik. - Powiedział, że wróci około ósmej.

Wojtyński wiedział o tym doskonale.

- Szkoda. Ale trudno. Mamy nakaz rewizji. - Położył przed oszołomionym esesmanem kolejny papierek. Tym razem Niemiec rzucił na niego okiem. Być może zdołał nawet przeczytać nagłówek. - Nie zajmie to dużo czasu. Pierwsze piętro, tak?

- Ale klucze...

- Nie martwcie się, Rottenführer. Poradzimy sobie.

Porucznik odwrócił się na pięcie, skinął na Wiecheckiego i obaj niespiesznym krokiem ruszyli w stronę schodów. Komandos z obstawy spojrzał na strażnika beznamiętnym wzrokiem, usiadł na stojącej pod ścianą sofie, wyciągnął zza pazuchy gazetę - również „Völkicher Beobachter”, ale, co zauważył zdenerwowany esesman, miętoszający w rękach swój sfatygowany egzemplarz, znacznie nowszy numer - i zagłębił się w lekturze. Miał stąd widok zarówno na klatkę schodową, jak i na wejście. Skonsternowany strażnik z rozmachem usiadł na krześle i po prostu patrzył przed siebie.

Zapadła utkana nudą cisza.

24

Tłumacz nigdy w życiu nie przeżył tak szarpiącego nerwy popołudnia. Gdy usłyszał rewelacje przekazywane przez Michaela Örena, poczuł podniecenie. Los dawał mu do ręki towar wart fortunę. Potem odczuwał strach, jak zawsze, gdy wynosił na zewnątrz tajemnice na sprzedaż.

Targały nim wątpliwości, gdy zastanawiał się nad sumą, którą by chciał uzyskać za swoje informacje, a którą jego handlowi kontrahenci byliby w stanie zapłacić. Kiedy w końcu suma została zaakceptowana i na dodatek poparta zaliczką - już ta kwota sama w sobie pozwoli mu nieźle żyć przez parę lat, i to nawet przy uwzględnieniu wojennej inflacji - poczuł ulgę zmieszaną z euforią. Jednak minutę później, gdy pułkownik Kazakowcew - tłumacz oczywiście nie znał tego nazwiska i nawet nie przyszło mu do głowy, by o nie zapytać - wymienił warunek, pod którym zobowiązał się przekazać Niemcowi brakujące dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, tłumacz zaprotestował stanowczo, twierdząc, że zdecydowanie przekracza to jego możliwości.

Pułkownik jednak nalegał i w końcu udało mu się Niemca przekonać. Zadanie kończące akcję miało być wykonane niezwłocznie, pieniądze przekazane jeszcze tego samego wieczoru, a potem tłumacz może wyjeżdżać do Niemiec, Szwajcarii albo nawet na koniec świata, jeśli wola. Niemcowi przemknęło nawet przez głowę, aby zwać bez wykonania zadania i z zaliczką w kieszeni, ale Kazakowcew, jakby czytając w jego myślach, pogroził mu żartobliwie palcem i już wcale nieżartobliwym tonem stanowczo odradził takie rozwiązanie, z tego mianowicie powodu, że reprezentowana przez niego instytucja nigdy - to słowo specjalnie podkreślił,

zatrzymując się na nim i przeciągając zgłoski - nie wybacza takich rzeczy i zawsze - tu padł kolejny akcent - karze odpowiednio ludzi, którzy ją zawiedli.

Tłumacz dawno tak gorliwie nie przytakiwał czyims argumentom.

Wyszedłszy na ulicę, nieco się uspokoił, w każdym razie na tyle, aby zacząć myśleć. Doszedł do wniosku, że plan zleceniodawców, jakkolwiek szalony i z pozoru nierealny, ma jakieś, niewielkie co prawda, ale zawsze, szanse powodzenia. Tłumacz należał do wąskiego kręgu najbardziej zaufanych ludzi Hauptsturmführera Spilkera, w siedzibie Sonderkommando miał nieograniczony dostęp zarówno do wszystkich pomieszczeń, jak i do ludzi, więźniów nie wyłączając. Jego rola nie sprowadzała się tylko do tłumaczenia, często sam przesłuchiwał więźniów, próbując wydobyć z nich różne dodatkowe informacje. Jego angielszczyzna była dodatkowym atutem, przede wszystkim mówił świetnie po polsku i szczerze mówiąc, zanotował na swoim koncie kilka sukcesów, za które szef zresztą parokrotnie go pochwalił.

Tak, może zatem nawet dożyje wieczora.

Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się w gabinecie, który dzielił z protokolantem-maszynistą. Pogadali chwilę o rewelacjach Örena, jakby mówili o wczorajszej pogodzie, po czym tłumacz udał się do pokoju więźnia.

W otwartych drzwiach stał strażnik i znudzonym wzrokiem obserwował muchy na ścianie. Ören leżał na łóżku i czytał. Tłumacz upewnił się, czy niczego mu nie brakuje, po czym burkliwym tonem zapytał strażnika, dlaczego więzień nie otrzymał jeszcze podwieczorku. Strażnik wrzucił ramionami. To nie jego działka, on tu tylko pilnuje.

Tłumacz, klnąc pod nosem, zszedł do kuchni, osobiście dopilnował kucharza podczas robienia kanapki i przy wyborze jabłka, a także sam zamieszał herbatę. Ustawił posiłek na tacy i nawet nie podziękowawszy, poszedł z powrotem. Kucharz nie zwrócił na incydent uwagi. Tłumacz zawsze zachowywał się jak ostatni cham.

Po drodze, trzymając tacę jedną ręką, gestapowiec sięgnął do kieszeni. Wyciągnął stamtąd małą fiolkę wypełnioną przezroczystym płynem. Balansując na granicy wywrócenia tacy, jedną ręką odkorkował buteleczkę i szybkim ruchem wlał zawartość do herbaty. Płyn był bezwonny i bez smaku. Miał spowodować kilkugodzinną zapaść o objawach bliźniaczo podobnych do zawału serca.

Tłumacz minął znużonego strażnika i wszedł do pokoju. Postawił tacę na stoliku obok łóżka Amerykanina i zagadał do niego przyjaźnie. Ören podniósł się, oczy mu rozbłyły na widok jedzenia. Gawędzili niespiesznie - tłumacz starał się być naprawdę miły - a więzień wymiatał wszystko do ostatniego okruszka. Gdy zaczął pić herbatę, tłumacz wstrzymał oddech, ale najwyraźniej Kazakowcew dobrze wiedział, o czym mówi, bo Amerykanin opróżnił szklankę kilkoma szybkimi łykami, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem.

Rozmowa toczyła się dalej. Ören odpowiadał żywo, jednak po kilku minutach zaczął coraz bardziej blednąć. Odpowiedzi stały się rzadkie i nieskładne. W pewnym momencie więzień złapał się za klatkę piersiową, krzyknął:

- Matko! - i zwałił się na ziemię.

W spokojny dotychczas budynek Sonderkommando jakby piorun strzelił. Tylko strażnik stał niczym wkopany w ziemię, reszta zmieniała się jak w kalejdoskopie. Tłumacz ryczał na cały głos, domagając się lekarza, po korytarzu biegali skonsternowani funkcjonariusze, przekrzykując i potrącając się wzajemnie. Ktoś włączył sygnalizację alarmową i dźwięk dzwonek nie pozwalał usłyszeć własnych myśli. Jako że szef, który nigdy w takich sytuacjach nie tracił głowy, znajdował się poza budynkiem, mając niezwykle ważne i rokujące nadzieję na obfity połów spotkanie z Scharführerem Hanemannem, chaos potęgował z minuty na minutę. Tłumacz starał się

przejąć dowodzenie. Przybyłemu z rozwianym włosom lekarzowi, który rychło stwierdził u więźnia atak serca, nakazał niczego nie ruszać, a zastygłemu z przerażenia strażnikowi, całkowicie w tych okolicznościach zbędnemu, rozkazał zorganizować i podstawić pod wejście samochód ciężarowy oraz wezwać - na jednej nodze, do cholery - dwóch ludzi z noszami. Lekarzowi oświadczył, że więzień ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa Rzeszy, więc niezwłocznie należy go odwieźć do szpitala.

Roztrzęsiony i pobladły medyk, nie chcąc brać odpowiedzialności za bardzo prawdopodobną śmierć tak ważnego więźnia, skwapliwie się zgodził. Jak widać zasada, którą pragmatyczni Amerykanie nazwą jakiś czas po wojnie CYA (Cover Your Ass), czyli Chroń Swoją Dupę, nie była obca nawet pełnym poświęcenia i przywiązania do narodowosocjalistycznych idei pracownikom Sonderkommando.

Samochód podjechał pod wejście do budynku kilka minut po ogłoszeniu alarmu.

Jednocześnie w pokoju Örena zjawili się dwóch żołnierzy z noszami. Ostrożnie, według ścisłych poleceń lekarza, przenieśli pojękującego Amerykanina na nosze, po czym szybkim krokiem udali się na dół.

Nosze zostały ostrożnie umieszczone na ciężarówce, lekarz zajął miejsce obok chorego, a tłumacz wskoczył na siedzenie pasażera. Samochód ruszył. Nie mieli przed sobą dalekiej drogi, do Szpitala Ujazdowskiego było najwyżej pięć minut jazdy.

Gdy wjeżdżali na rozległy teren szpitala, ukrytego wśród wiekowych drzew, nawet nie usłyszeli pierwszego strzału.

25

SS-Brigadeführer Jürgen Stroop, rozgrzany po biczach i masażach wodnych, wycierał się wielkim, włochatym ręcznikiem. Przebywał w tym pomieszczeniu od ponad pół godziny i czynił to z prawdziwą przyjemnością. Łazienka wyposażona była z niezwykle przepychem, nowocześnie, bogato i gustownie.

Zamontowano w niej ogromną wannę, kilka rodzajów pryszniców i inne utensylia niezbędne do osiągnięcia maksymalnego zadowolenia użytkownika. Stroop był zmuszony przyznać, przed samym sobą co prawda, nikomu innemu, może z wyjątkiem ukochanej Mutti, by tego nie powiedział, że takiego wystroju nie widział nawet w Niemczech, choć zdarzało mu się bywać w niezwykle bogatych domach wysokich partyjnych dygnitarzy. Pokryte chromem armatury oraz elegancka, stonowana glazura świetnie komponowały się z delikatnym zapachem szamponu i wysokiej jakości męskich perfum.

Stroop przejrzał się w lustrze, przyglądził ręką krótko obcięte, przyprószone siwizną włosy. Spojrzał sobie głęboko w oczy i spodobało mu się to, co zobaczył. Twardość, zdecydowanie, charakter. Wiedza. Umiejętności. Niezlomność.

Tak, zdecydowanie stworzony był do wyższych celów.

Sięgnął po ustawiony na marmurowym blacie kieliszek koniaku. Wypił niewielki łyk, smakując językiem wyborny alkohol. Znowu spojrzał w lustro i uśmiechnął się. Jestem w siódmym germańskim niebie, pomyślał. Dookoła szaleje wojna, znajduję się w jednym z najbardziej niebezpiecznych, bandyckich miast w Europie, a mimo to czuję się świetnie.

Włożył szlafrok w czarno-białych kolorach SS i wyszedł z łazienki.

Reszta przestronnego, gustownie urządzonego apartamentu zlokalizowanego na pierwszym piętrze pałacyku przy alei Róż pod numerem drugim, poziomem wyposażenia i elegancji dorównywała łazience. Marmury, dębowy parkiet, wysokie, widne pomieszczenia - wszystko to tylko wzmacniało dobry humor generała.

Stroop przeciął krótki korytarzyk i wszedł do salonu, z którego rozpościerał się widok na jedną z najbardziej reprezentacyjnych ulic Warszawy - Aleje Ujazdowskie, a gdy nieco się wychyliło i spojrzało w prawo - na ogromny, imponujący delikatną wiosenną zielenią park - Łazienki. Generał z niedowierzaniem pokręcił głową. Nie bardzo mógł uwierzyć, że ten naród, naród podludzi, był zdolny do zaprojektowania i zbudowania tak pięknego kawałka miejskiego krajobrazu.

- Przed wojną były jeszcze piękniejsze - odezwał się głos za jego plecami, jakby czytając w myślach SS-Brigadeführera.

Generał odwrócił się tak gwałtownie, że szlachetny trunek wylał się z trzymanego w ręku kieliszka i rozprysnął po podłodze.

Pod ścianą, w wygodnym fotelu siedział nieznajomy mężczyzna. Miał na sobie długi płaszcz i czarny garnitur. Był elegancki i emanował pewnością siebie.

Rysy twarzy kryły się w półmroku.

- Kim pan jest? - powiedział Stroop nieco głośniejszy, niż zamierzał. - Co pan tu robi? Jak pan się tu dostał? - Generał był pewien, że zanim udał się do łazienki, sprawdził zamknięcie drzwi zarówno frontowych, jak i kuchennych. Stało się to nawykiem już wiele lat temu.

Nie mógł zebrać myśli.

- Mówiłem o tym, że przed wojną - nieznajomy uśmiechnął się, ignorując pytania - zanim zamieniliście to miasto w walące się ruiny, ten fragment Warszawy należał do najpiękniejszych w Europie.

- Bzdury! - Stroop poczerwieniał. Nie zamierzał wdawać się w żadne dyskusje, ale nieproszony gość uderzył w czuły punkt. - Dopiero pod naszym panowaniem to miasto i ten kraj przekształca się we fragment cywilizowanej Europy. To dopiero my, Niemcy, niesiemy tu postęp.

- Ciekawe. - Mężczyzna po niemiecku mówił bezbłędnie, choć prawie na pewno nie był Niemcem. Kim zatem był, do diabła? - Nie to, co pan mówi, bo uważam takie poglądy za stek ideologicznych bzdur, ale że pan wygłasza je z przekonaniem. Rozstrzeliwujecie ludzi, burzycie domy, zabranianie normalnej ludzkiej aktywności, a pan to nazywa postępem?

- Pan nie rozumie... - Stroop jeszcze bardziej poczerwieniał i jeszcze bardziej podniósł głos.

- Ależ drogi Stroop. - Generał drgnął. Tylko dwie osoby na świecie, osoby godne najwyższego szacunku i uwielbienia, zwracały się do niego w ten sposób. I przybysz z pewnością nie był żadną z nich. - Rozumiem więcej, niż się panu wydaje. Wiem więcej, niż się panu wydaje. Umieć mianowicie przepowiadać przyszłość. - Mężczyzna ponownie się uśmiechnął, ale oczy pozostały zimne.

Wzrok generała przyzwyczaił się już nieco do panujących w pokoju ciemności, więc zaczął nieco lepiej dostrzegać szczegóły. Oczy tego człowieka były oczami zabójcy.

SS-Brigadeführera Jürgena Stroopa, przyszłego dowódcę sił bezpieczeństwa Rzeszy na Dystrykt Warszawski, przeszedł dreszcz. Przez głowę przemknęła mu przelotna myśl, którą odgonił w panice, że nie wyjdzie z tego spotkania żywy.

Uspokoić rozedrgane myśli. I ciało. Oto cel, któremu warto poświęcić uwagę.

- To my tworzymy przyszłość. Codziennie wykuwamy pod nią fundamenty. Nasze działania przejdą do historii. Natomiast nadal nie wiem, jak pan się tu dostał i co pan tu robi. - Ucieszył się, słysząc w swoim głosie to, co chciał usłyszeć.

Kamienną powagę. Zdecydowanie. I dumę.

- Jak się dostałem, to zupełnie nieistotne. - Nieznajomy machnął ręką. - Co do meritum naszej dyskusji, muszę się z panem zgodzić. W istocie działania zarówno pańskie, jak i pańskich kolegów po fachu przejdą do historii. Nie wiem tylko, czy byłby pan zadowolony, czytając o sobie powiedzmy za pięćdziesiąt lat. Świat bardzo się zmieni. Dla pana i podobnych panu fanatyków nie będzie w nim miejsca. Znikniecie wy, znikną również wasi pobratymcy ze wschodu. - Wskazał za Wisłę. - Jedyni, którzy dorównują wam w sposobach eksterminacji ludzi, a nawet całych warstw społecznych czy narodów, które uznajecie za szkodliwe lub zbędne.

- Milczeć! - ryknął Stroop. Nie zrozumiał wszystkich uwag nieznajomego. Nie mógł się jednak opanować. - Jak pan śmie porównywać nas do tych bolszewickich barbarzyńców....

- Och, nie widzę między wami specjalnych różnic. - Przybysz zdawał się nie zauważać wybuchu gospodarza. Założył nogę na nogę, wierzchem dłoni wyrównał kant spodni. - Zarówno im, jak i wam wydaje się, że możecie narzucić swoje chore ideologie całemu światu, a świat ma obowiązek się podporządkować. Ale wie pan co? Nie przyszedłem tutaj na światopoglądowe pogawędki, choć muszę przyznać, że nasza rozmowa robi się bardzo interesująca. Przyszedłem z pewną prośbą. Gdyby zechciał pan uzupełnić koniak w kieliszku, usiąść w fotelu i skupić się na tym, co mam do przekazania, byłbym niezmiernie zobowiązany.

Stroop oddychał głęboko jeszcze przez chwilę, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Właściwie ten człowiek miał rację. Wysokiemu przedstawicielowi sił bezpieczeństwa III Rzeszy nie przystoја demonstracje zdenerwowania. Generał rozejrzał się, jakby widział to wnętrze po raz pierwszy w życiu, podszedł do obszernej dębowej komody, nalał sobie podwójną porcję koniaku i usiadł w fotelu naprzeciwko nieproszonego gościa.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że co do joty wypełnił jego polecenia.

- Jak tam żona Kathe? Olaf? Renate? Zdrowi? Jak im się żyje w Detmoldzie? - zapytał nieznajomy zniecierpliwiony, nie zmieniając tonu.

Stroop miał wrażenie, że śni. Nie był w stanie wykrztusić słowa.

Jednak przybysz natychmiast przeszedł do dalszych punktów swojego wystąpienia. I dalszy ciąg był niemal jeszcze gorszy.

- Wiem, że został pan mianowany, jeszcze nieoficjalnie, dowódcą sił bezpieczeństwa dystryktu. Z tą decyzją pana przełożonych całkowicie się zgadzam. Hrabia von Sammern-Frankenegg nie dorósł do zadań, które przed nim postawiono.

Nikt, poza Heinrichem Himmlerem, którego specjalnym, osobiście wydanym rozkazem generał został powołany na wspomniane przez przybysza stanowisko, oraz szefem warszawskich sił bezpieczeństwa, a także generałem Krügerem w Krakowie, nie miał prawa jeszcze o tym wiedzieć.

W pokoju jakby zaczynało brakować powietrza.

- Z góry uprzedzając pana pytania, dodam, iż jestem szczegółowo poinformowany o planach Grossaktion i pana w niej roli. Wiem, kiedy chcecie uderzyć, gdzie i jakimi siłami. Liczcie się z oporem, ale plan zakłada, że akcja potrwa maksimum trzy dni.

Po pełnej grozy sekundy, kiedy Stroopowi wydawało się, że nie będzie w stanie wykonać najmniejszego ruchu, niemal szczupakiem rzucił się do przodu w stronę leżącego na kanapie pasa z pistoletem. Dopadł go, wyszarpnął broń z kabury, trzask bezpiecznika zabrzmiał złowroźnie w eleganckim wnętrzu, mieszając się w powietrzu z brzękiem rozbitego o ścianę kieliszka...

W pistolecie P 08, znanym powszechnie pod nazwą parabellum, brak było magazynka.

Generała, doświadczonego strzelca, poinformowała o tym waga broni. Spojrzał w stronę rękojęści i podejrzenie zamieniło się w bolesną pewność. Stroop w panice przeniósł spojrzenie w stronę stojącego na komodzie, tuż obok karafki z koniakiem, telefonu.

Przybysz pokręcił głową. To był jedyny ruch, który wykonał do tej pory.

- Obawiam się, że po drugiej stronie linii nie ma nikogo, kto mógłby panu w tej chwili pomóc. Proszę posłuchać i stanowczo nalegam, aby zrobił pan to bardzo uważnie. - Głos mężczyzny stwardniał. Generał miał wrażenie, że słyszy brzęk stali. - Odwoła pan jutrzejszą akcję. Swoim przełożonym zamelduje pan, że sytuacja nie dojrzała jeszcze do ostatecznego rozwiązania, należy więc podjąć pewne przygotowania, które zajmą tydzień. W tym czasie nie będzie pan w ogóle ingerował w to, co dzieje się w getcie i wokół niego. Żadnych represji wobec Żydów, Polaków, nikogo. Za tydzień może pan zaczynać, wedle uznania. To, co powiedziałem, nie podlega żadnym negocjacjom ani zmianom. Siedem dni spokoju. W przeciwnym razie zarówno pan, jak i pańska rodzina nie dożyjecie jutrzejszego wieczora. Przy okazji - moje nazwisko Wojtyński. Sugeruję, aby zapytał pan warszawskich kolegów z gestapo, czy kiedykolwiek nie spełniłem warunków ultimatum. Na pewno potwierdzą, że wywiązuję się z obietnic i zawsze realizuję groźby. To tyle. Przepraszam, że przyszedłem bez zaproszenia i zająłem tyle czasu. Proszę mnie nie odprowadzać do wyjścia. Trafię.

Przybysz wstał i wyszedł z pokoju.

SS-Brigadeführer Jürgen Stroop nawet nie usłyszał trzaśnięcia drzwi.

26

- Panie poruczniku, mówię zupełnie poważnie.

- Ależ Mario, ja też mówię poważnie. Tyle razy prosiłem, żebyś mówiła mi po imieniu. Zaraz się zajmujemy konfidentami i szpiegami, ale najpierw chciałbym wiedzieć, co sądzisz o mojej propozycji.

- Możemy porozmawiać tutaj.

- Tutaj? - Zellman rozejrzał się, jakby widział to miejsce pierwszy raz w życiu. - Tutaj kręci się mnóstwo ludzi, nie ma żadnej dyskrecji. A kawiarnia jest raptem dwieście metrów stąd.

Dziewczyna wahała się. Porucznik był przystojny, miał w sobie chłopięcy czar i patrzył na nią w sposób, który interpretowała jako uwielbienie. To jej imponowało, nie ma co ukrywać, ten dowcipny i dobrze wychowany mężczyzna - nie to co inni - podobał jej się. Z drugiej strony miała w sobie silnie zakodowane poczucie obowiązku i niechęć do mieszania spraw służbowych z prywatnymi.

- Przecież nie robimy nic niewłaściwego. Znikniemy na pół godziny - kontynuował, wyczytując rozterki z jej twarzy. - Właściwie będziemy mieli całą okolicę na oku, ta kawiarnia jest przy głównej ulicy. Nic złego nie może się stać.

Patrzył na nią z takim natężeniem, że w końcu podjęła decyzję.

- No dobrze. Jutro o dziesiątej. Na pół godziny, nie więcej. - Uśmiechnęła się.

Nie mogła uwierzyć, że to robi.

- Wspaniale. A zatem jesteśmy umówieni. - Zellman był w siódmym niebie. Już niemal widział się z tą dziewczyną w łóżku. - Teraz opowiedz mi o tym konfidentcie.

27

Hauptsturmführer Alfred Spilker przybył do Szpitala Ujazdowskiego na miejsce mniej więcej czterdzieści minut po pierwszych strzałach. Ciężarówka nadal stała przy wjeździe, przekrzywiona na bok, z niemal kompletnie strzaskaną szoferką i przestrzelonymi oponami.

Kierowca opierał się skrwawionym czołem o kierownicę, tłumacz, Scharführer Schafer, niemal wypadł z szoferki na ziemię. Wpakowano w niego kilkanaście kul, zabójca musiał podejść naprawdę blisko, kilka ran głowy wskazywało na to, że strzały padły z odległości nie większej niż metr, najprawdopodobniej z pistoletu, o czym świadczyły rozrzucone dookoła łuski. Na platformie ładunkowej w dziwacznej skurczonej pozycji leżał lekarz. Szpitalny kitel tylko miejscami zachował oryginalną barwę.

W kącie leżały porzucone, skrwawione nosze.

Na miejscu był już śledczy z ekipy Spilker, Hohner, po okolicy kręciło się kilkunastu żandarmów, granatowych policjantów i gestapowców. Wyły syreny policyjnych aut. W dół, w stronę Powiśla, na pełnym gazie pomknęły dwie ciężarówki wypchane wojskiem aż po dach.

- Co tu się stało? - warknął Spilker.

Miał złe przeczucia. Rozwalony wóz należał do jego ludzi.

- Przy wjeździe na teren szpitala ciężarówka została ostrzelana. - Hohner miał denerwujący zwyczaj przeciągania sylab, mówienia w sposób rozwlekły i nieznośnie pedantyczny. Odznaczał się jednak policyjnym nosem niczym najlepszy pies tropiący. Spilker nie lubił go, ale cenił za zawodowe umiejętności. - Bandytów było co najmniej czterech. Raczej pięciu. Uderzyli bezpośrednio z chodnika, z najbliższej odległości. Co najmniej jeden z napastników miał broń maszynową. Niemiecką. Cała akcja nie trwała dłużej niż pół minuty. Może minutę.

- Świadkowie?

- Rozmawiałem z żandarmami, którzy na odgłos strzelaniny przybiegli na miejsce i w odróżnieniu od tych - wskazał na kilka leżących na chodniku ciał w szarzielonych mundurach - zdołali przeżyć. Zauważyli ludzi uciekających w stronę Górnośląskiej. Nieśli kogoś.

- Rannego?

- Nie... - Hohner zawahał się.

- A kogo? - Spilker przypatrywał mu się uważnie. Śledczy wyraźnie nie chciał skończyć zdania. - A co właściwie tu robi moja ciężarówka i moi ludzie?

- Herr Hauptsturmführer, widzę, że nic pan nie wie... - Hohner zdecydowanie nie chciał być tym, który wprowadzi szefa w istotę sprawy.

- Mów, do cholery. Co to za ciuciubabka!? - wybuchnął Spilker.

- Ten pana specjalny więzień... miał zawał serca...

- Co?

- Zawał serca. Nagle w swoim pokoju upadł na ziemię i stracił przytomność. Lekarz zdecydował, że trzeba natychmiast do szpitala...

- Scheisse, verfluchte scheisse! - Spilker na własnej skórze odczuł prawdziwość powiedzenia o oczach zachodzących mgłą. Jednocześnie myślał całkiem jasno. Hohner nie musiał nic mówić. - Więc został porwany, tak?

- Tak jest. Napastnicy go uprowadzili.

Wielki plan właśnie się zawalił. Szef Sonderkommando poczuł mróz zżerający go od środka.

- Jaki zawał?! Widziałem go dwie godziny temu. Zdrowego jak ryba - wycedził przez zaciśnięte zęby. Zdawał sobie sprawę, że pytanie jest bez sensu. Co miało się stać, już się stało.

- Nie umiem powiedzieć. Podobno miał zapaść.

- A co tu robi Schäfer?
- Był przy tym, jak ten Żyd zasłabł. Potem przyjechał z lekarzem i z więźniem.
- Po co?
- Nie wiem.

Spilker za wszelką cenę starał się uspokoić. Syreny nadal wyły, miał nawet wrażenie, że słyszy odległą strzelaninę. Nie sprzyjało to koncentracji.

- Zarządzono pościg za napastnikami?
- Natychmiast. Einsatzkommando przyjechało po kilku minutach. Przeczesują domy poniżej. Postawiłem na nogi całą policję w Śródmieściu.
- I co?
- Na razie nic. Porywacze przypadli.
- Postaw na nogi całą policję w Warszawie. Rozumiesz? Całą! W razie czego powołaj się na Obergruppenführera Krügera. Ten Żyd musi się znaleźć! - Ostatnie słowa, ku swojemu rozczarowaniu, znów wykrzyczał Hohnerowi prosto w twarz.

28

- A panna Zofia, odkąd do nas zawitała, to jakby słońce rozświetliło nasze życie. - Gospodarze powtarzali te słowa tak często, że dziewczyna była w stanie wyrecytować je nawet obudzona w środku nocy. Nie bardzo mogła sobie uświadomić, dlaczego akurat teraz sobie o tym przypominała. Starsi państwo, jej opiekunowie i dobroczyńcy od lat blisko dwóch, wyjechali na kilka dni. Obiecali wrócić dopiero przed świętami, więc na razie Zosia miała całe, liczące cztery pokoje mieszkanie do swojej wyłącznej dyspozycji. Oglądała piękne, stylowe meble, półki uginające się od książek, wiszące na ścianach portrety przodków - żadne ważne wydarzenie historyczne na przestrzeni ostatniego stulecia nie obyło się bez udziału antenatów pana lub pani domu - i zastanawiała się, w jaki sposób odwdzińczy im się za wszystko, co dla niej do tej pory zrobili.

Nie były to wesołe myśli, ale odgoniła je.

Czajnik zaczął właśnie syczeć na kuchennej blasze, gdy rozległo się zdecydowane, choć dyskretne pukanie. Po chwili usłyszała jeszcze dwa równie ciche uderzenia. Przebiegła przez hol wejściowy i otworzyła drzwi. Stojący w nich mężczyzna był sporo wyższy od niej, miał na sobie garnitur i długi, rozpięty skórzany płaszcz sięgający połowy łydki. Ciemne, krótko ostrzyżone włosy, błękitne, niemal turkusowe oczy, krótki wąsik nadawały tej twarzy przykuwający uwagę charakter.

Zosia pomyślała, że każdy krok tego człowieka, jednego z najbardziej poszukiwanych przestępców w Generalnym Gubernatorstwie, stanowi nieobliczalne ryzyko, co jeszcze bardziej utwierdziło ją w przekonaniu, że musi postarać się o zapewnienie mu choć odrobiny poczucia bezpieczeństwa i komfortu. I ciepła. By choć na chwilę oderwał się od rzeczywistości za oknem.

Mężczyzna uśmiechnął się. Zerknął w dół, potem wzdłuż schodów prowadzących na górę, po czym przekroczył próg mieszkania. Starannie zamknął obie zasuw.

- Nie mogłam się doczekać - powiedziała nieco schrypniętym głosem, gdy się odwrócił ku niej.
- Ja też - odparł Wojtyński.

29

- Powtarzam panu, Herr Sturmbannführer, ten człowiek był u mnie w mieszkaniu i groził mi.

- Herr Brigadeführer, już wysłałem do pana moich najlepszych ludzi. Za chwilę powinni być na miejscu. Proszę do tej pory nikomu nie otwierać. Ma pan broń? - Szef policji bezpieczeństwa dystryktu warszawskiego dr Ludwig Hahn z chaotycznej i przerywanej wybuchami wściekłości opowieści w pierwszej chwili niewiele mógł zrozumieć. Gdy już wyłowił z niej to, co istotne, był naprawdę mocno poruszony usłyszczanymi przed chwilą rewelacjami.

- Oczywiście. Trzymam nabity pistolet w ręku. - Stroop nieco się uspokoił, choć nadal mówił podniesionym głosem. - Wiedział o mnie rzeczy, których na pewno nie powinien wiedzieć.

- Herr General, ja na pewno nikomu nie mówiłem, gdzie pan mieszka. W ogóle w Warszawie nikt nie zdaje sobie sprawy z pańskiej obecności. To jest informacja poufna. Tylko Obergruppenführer Krüger i ja o tym wiemy.

- I Reichsführer.

- Oczywiście. Reichsführer też.

- A pomimo to ten terrorysta, ten bandyta znał adres. W ogóle sprawiał wrażenie człowieka, który dużo wie. Za dużo.

- Czy domyśla się pan, kim był? Polak?

- Być może, choć mówił po niemiecku doskonale. Powiedział, że nazywa się Wojtyński.

Po drugiej stronie linii zapadło milczenie. Jak na gust SS-Brigadeführera Jürgena Stroopa stanowczo zbyt długo.

- Hahn, jest pan tam?

- Jestem, panie generale.

- Co pana tak zatkało?

- Widzi pan, Herr General, to nie takie proste. - Hahn myślał intensywnie. - Musimy się spotkać. Przyjadę do pana.

- Nie. Ja przyjadę do pana. Tu nie jest bezpiecznie. Tuż po wyjściu tego bandyty niedaleko wybuchła strzelanina. To jest bandyckie, zdecydowanie bandyckie miasto.

- To dla mnie nie nowość, Herr Brigadeführer. Rzeczywiście najlepiej będzie, jak pan przyjedzie do mnie. Proszę poczekać na moich ludzi. Oni pana bezpiecznie przewiozą na Szucha.

- Niech się pospieszą, do cholery!

Sekundę później ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

30

Michael Ören budził się długo i długo nie mógł sobie przypomnieć, co się właściwie stało. Pamiętał, że był w tym przeklętym pokoju, czytał książkę, potem przyszedł do niego ten Niemiec, który uczestniczył w przesłuchaniu i mówił po angielsku, a potem... Właściwie już nic. Jakies niewyraźne obrazy, ktoś krzyczał, jacyś ludzie szarpali go za rękę, ale sam nie był pewien, czy to rzeczywistość, czy może jakaś projekcja udręczonego umysłu.

Otworzył oczy, ale początkowo niewiele zobaczył. Wszystko dookoła było zamazane i nieostre. Mrugnął parę razy i mniej więcej odzyskał zdolność widzenia. Leżał na tapczanie, nawet dość wygodnym, w niewielkim pokoju. Ciężkie zasłony szczelnie zakrywały okna.

Naprzeciwko niego, na krześle, siedziała kobieta. Młoda i szczerze mówiąc, całkiem ładna. Przypatrywała mu się z troską. I nie wyglądała na Niemkę.

Ören poczuł obezwładniający, wszechogarniający przypływ nadziei.

31

Wojtyński stał przed wielką biblioteczną szafą i z podziwem patrzył na zgromadzony księgozbiór. Nawet z pobieżnego przeglądu uginających się pod ciężarem starych woluminów półek wynikało, że gospodarze mają wszechstronne zainteresowania: medycyna, filozofia, kanon literatury światowej i polskiej, historia. Książki nie wyglądały bynajmniej tylko na ozdoby. Miały używane, często wręcz zniszczone grzbiety, pożółkłe, pozaginane kartki. Ale stały w idealnym porządku.

- Twoi gospodarze muszą być niezwykle ludźmi - powiedział.

- Są jak anioły. - Zosia weszła do pokoju, niosąc na tacy dwie parujące rozkosznym aromatem filiżanki.

Była z siebie dumna. Wczoraj udało jej się zdobyć paczkę oryginalnej herbaty. Zapłaciła za nią jakąś bająską sumę, ale wiedziała, że teraz, podejmując gościa prawdziwą herbatą podaną w prawdziwej porcelanie z prawdziwym cukrem, staje na wysokości zadania. Zresztą miała nadzieję, że stanie na wysokości zadania nie tylko w kwestii poczęstunku. Bardzo jej na tym zależało.

Wojtyński odwrócił się. Dopiero teraz zauważył, jaka zmiana w niej zaszła. Miała inną fryzurę, ubrała się w nową - przynajmniej Wojtyński jeszcze jej do tej pory nie widział - kolorową sukienkę. Pachniała świeżą kąpielą. Pachniała młodością.

Gdyby porucznik Janusz Wojtyński był w tych kwestiach bardziej doświadczonym człowiekiem i umiał dostrzegać niektóre rzeczy, a potem nazywać je po imieniu, powiedziałaby, że pachniała też miłością.

Sam nie mógł sobie przypomnieć, jak się stało to, co się stało potem. Siedzieli, pili herbatę - była wyśmienita, czegoś takiego porucznik nie miał w ustach od kilku lat - rozmawiali. Potem zorientował się, że ona siedzi za blisko. Zdecydowanie za blisko, żeby nie miało to wpływu na jego zachowanie. Miało. I to bardzo.

Gdy poczuł na swoich ustach jej wargi, świat zaczął wirować. Nie bardzo wiedział, co się dzieje, dlaczego zachowuje się, a właściwie nie tylko zachowuje, ale odczuwa jak sztubak, jak czternastoletni gówniarz, który po raz pierwszy w życiu podgląda koleżanki w szkolnej przebieralni.

Gdy zanurzali się w sobie, pomyślał, że być może tak właśnie wygląda szczęście.

32

Porucznik Leszek Jamróz wszedł na teren posesji i zatrzymał się przed elegancką, dwupiętrową willą, która od z górą trzech lat była jego azylem, bazą wypadową i domem.

Uliczny ruch ustał już niemal zupełnie. Mieszkańcy tej okolicy, przed wojną dobrze prosperujący urzędnicy, nauczyciele, lekarze, krzątali się wokół swoich codziennych spraw, pomału szykując się do snu. Kolejny dzień okupacji udało się szczęśliwie przeżyć, za co wszyscy dziękowali Bogu.

W oknie willi paliło się słabe światło, ale na zewnątrz panowała cisza. Okolica sprawiała wrażenie - pozornie, porucznik wiedział o tym najlepiej - całkowicie wymarłej, nawet jak na standardy ulicy Różanej, należącej generalnie do niezbyt ruchliwych. Drużyna alarmowa stanowiąca jedną czwartą sił blisko sześćdziesięciu żołnierzy ochrony czuwała, gotowa zareagować nawet na najmniejszy niepokojący sygnał. Pozostali żołnierze plutonu grali w karty, gadali albo spali, ale porucznik był pewien, że są w stanie zająć stanowiska ogniowe w ciągu minuty od ogłoszenia alarmu. W końcu sam, we współpracy z Wojtyńskim, zaplanował wszystkie stanowiska, system wzajemnie wspierającego się ognia, rozmieszczenie ładunków wybuchowych, system ewakuacji, procedury niemal każdego możliwego do przewidzenia scenariusza akcji...

Porucznik czuł niepokój. Nie, nie ten co zwykle, wywołany napięciem towarzyszącym planowaniu i przeprowadzaniu akcji czy nieznosnym ciężarem czekania na rezultaty. Nie umiał bliżej sprecyzować źródeł swych obaw. Może zachowanie Wojtyńskiego, nerwowe i roztargnione, może wyraz jego twarzy, gdy patrzył na jedną z dziewcząt Wali, na dodatek zachowując przekonanie, że robi to niezwykle dyskretnie i nikt się niczego nie domyśla? A może przeciągające się negocjacje z Amerykanami? Tak ogromna operacja, zaplanowana jako jednorazowe wydarzenie, powtórzona potęgowała ryzyko wpadki, na niekorzyść działał już zwykły rachunek prawdopodobieństwa. Jeżeli każdemu z siedemdziesięciu członków ochrony plus niemal dziesięciu uczestników narady może się zdarzyć coś nieprzewidywalnego, to pomnożone przez dwa...

Ach, do cholery z tym!

Powoli, myśląc o kilku rzeczach jednocześnie, wszedł do willi. Minął krótki korytarz, skinął głową wartownikowi zajmującemu miejsce w kuchni, po czym wszedł na górę po skrzypiących schodach. Z jednego z pokoi dochodziły podniesione głosy, które porucznik rozpoznał bez trudu. Najwyraźniej część oficerów ścisłego sztabu Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego Armii Krajowej postanowiła rozpocząć imprezę, nie czekając nie tylko na dowódcę, ale również na jego zastępcę.

Otworzył drzwi i gwar uderzył w niego ze zdwojoną siłą.

- Naszego Jasia Wędrawniczka jeszcze nie ma? - Z rozmachem postawił butelkę na stole. Potem wyjął z kieszeni następną.

- Nie ma. - Wiechecki był w świetnym humorze. Razem z Sawickim i Borkiem zdążyli się już z jedną ćwiartką rozprawić. - Nie ma.

- A gdzie jest?

- Logiczne pytanie. Jak się człowiek dowiedział, że go nie ma, chciałby się dowiedzieć, gdzie jest, no nie? - spytał ze śmiechem.

Sawicki dla odmiany milczał ponuro, co zresztą nie było niczym nadzwyczajnym, bo on z reguły milczał ponuro.

- No więc gdzie jest? - zapytał niezrażony Jamróz. Zaczął manipulować uważnie przy korku. To był pierwszorzędnej jakości bimber, ale trzeba było niezwykle uważać przy otwieraniu butelki. Korek miał tendencje do kruszenia się i wpadania do środka.

- Cholera wie. Po akcji u pana generała kazał się zostawić na Ochocie. Powiedział, że dojedzie sam.

- Och, kurwa. Poszedł do tej laski.

- Wcale mu się nie dziwię. Niezła dupa.

- No właśnie. Niezła. W tym problem.

- Co się martwisz? Da sobie radę.

- Żeby miał do czynienia z plutonem SS, byłbym spokojny. Ale ta panna jest znacznie gorsza...

- Co ty od niej chcesz? - Do urzędujących na stole trzech kieliszków Wiechecki dostawił czwarty. Nalał, po czym wypił zawartość swojego, nie czekając na innych. - Ładna, ma ten teges z przodu i z tyłu, you know what I mean, miła, dobrze wychowana, głowa na karku, odważna...

- ... i on poza nią świata nie widzi. - Jamróz był coraz bardziej zasepiony. Dopiero teraz się zorientował, że cały czas stoi. - Za piętnaście minut zaczyna się godzina policyjna. Właściwie nie powinniśmy pić.

- Co mu tam godzina policyjna. Na takich papierach żandarmom pozostaje tylko wałnąć w dach. - Podporucznik poczerwieniał na twarzy. Alkohol szedł do głowy.

Na korytarzu usłyszeli jakiś hałas. Drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyły o ścianę. Do pokoju wpadł Stańczak.

- Dowódca jest? - Miał czerwoną twarz, dyszał ciężko.

Wiechecki z poważną miną zajął pod stół.

- Nie ma - powiedział.

- Bez wygłupów - warknął porucznik.

Był czymś wyraźnie poruszony.

- Nie ma. Sam sprawdź.

- Ma przy sobie łączność?

- Nie. Przecież wiesz. Na miasto nie bierzemy.

- Myślałem, że może choć raz złamię rozkaz.

- On? Własny rozkaz? - zdziwił się Wiechecki.

Ostatnią sylabę wypowiedział nieco niewyraźnie, jakby ją rozmazywał po ścianie.

- Karolku, co się stało? - Jamróz za dobrze znał porucznika, aby nie widzieć, że jeżeli jest czymś przejęty, sprawy idą naprawdę źle. - Siadaj.

- Muszę z nim pogadać. Mamy poważniejszy kłopot, niż nam się zdaje.

- Możesz powiedzieć?

- Mogę. Ale nie chce mi się dwa razy gadać. Poczekam, aż przyjdzie. Na razie nalejcie.

33

Wojtyński obudził się od razu przytomny.

Następną sekundę zajęło mu zorientowanie się, gdzie jest. W następnej miał już wyrzuty sumienia. Czuł jeszcze coś. Jakby... wstyd. I euforię.

Zosia siedziała w rogu łóżka - w bieliźnie, to nie były czasy, kiedy dziewczyny na pierwszej rozbieranej randce paradowały nago po pokoju - i obserwowała Wojtyńskiego, uśmiechając się od ucha do ucha. Błękitne oczy śmiały się również. Na brodzie zrobił jej się rozczulający dołek. Burza kasztanowych włosów, zwykle upiętych w grzeczny kok, a teraz puszczonej wolno, dodawała ślicznej buzi uroku, który każda hollywoodzka gwiazda chciałaby kupić za wszystkie pieniądze.

- Długo spałem? - zapytał.

- Nie. Może kwadrans. Właśnie miałam cię budzić. Zaraz godzina policyjna.

- O Boże! - jęknął Wojtyński, walcząc z odruchem schowania się pod kołdrę.

Narozrabiał bardziej, niż miał to w najśmielszych planach.

Wyskoczył z łóżka, wywołując rumieniec na twarzy dziewczyny. Garnitur wisiał na oparciu krzesła. Zaczął szybko się ubierać.

Bolała go głowa.

- Ułożyłam twoje rzeczy - powiedziała tonem usprawiedliwienia.

- Świetnie, dziękuję. Bardzo cię przepraszam...

- Przepraszasz? Za co?

- Za kłopot. Za to, że my...

Zosia wstała i podeszła do niego, gdy wyprostował się po zasznurowaniu buta.

- To były najwspanialsze chwile w moim życiu - powiedziała z powagą. Uśmiech gdzieś znikł. - Ja tego chciałam. I mam nadzieję, że ty również.

- Tak. Nie o to chodzi... - Zawahał się.

- Wiem. Jesteś dowódcą, a masz dziewczynę, która jest twoją podwładną. O to chodzi?

- Też. - Nie chciał mówić wszystkiego. Nie chciał jej ranić.

Ale ona domyśliła się.

- Idź - powiedziała. - Idź, zanim wszystko popsujesz.

Gdy stanął w bramie na dole, musiał się oprzeć o ścianę. Inaczej by upadł.

34

- Drogi panie generale, cieszę się, że widzę pana w zdrowiu. Proszę, niech pan siada.

- Dziękuję. Muszę zadzwonić. Natychmiast.

Sturmabannführer dr Ludwig Hahn, dowódca wszystkich sił policyjnych i wywiadowczych w dystrykcie warszawskim, wskazał ręką majestatyczne, ręcznie robione biurko, ze stojącym na nim aparatem telefonicznym.

Jakkolwiek Stroop, eskortowany przez ludzi Sturmabannführera podczas krótkiej podróży z alei Róż w aleję Szucha, zdołał się nieco uspokoić (raptem dwie minuty jazdy, ale można odetchnąć i zebrać rozbiegane myśli), nadal pełen był najgorszych obaw. Groźba uderzenia w jego rodzinę napawała go strachem i wściekłością. Musiał, po prostu musiał natychmiast zacząć działać. Był wściekły również i z tego powodu, że Hahn wyraźnie zabronił mu, no, raczej odradził, ale niezwykle stanowczo, dzwonić do Niemiec z mieszkania. Toteż Stroop liczył w samochodzie niemal każdą upływającą sekundę, a do gabinetu Hahna wpadł biegiem.

Przez następne, pełne napięcia minuty Stroop próbował połączyć się z pewnym zamożnym i przestronnym mieszkaniem w Detmoldzie, w Niemczech. Gdy w końcu po drugiej stronie linii usłyszał głos żony Kathe, odczuł ulgę, ale prawdziwą ulgę poczuł dopiero wtedy, gdy dowiedział się, że zarówno Renate, jak i Olaf są w domu i mają się dobrze. Nakazał jak najszybszą ewakuację - takiego właśnie terminu użył - i warknięciem uciął wszelkie dyskusje. Podał żonie numer telefonu do gabinetu gospodarza i nakazał jej zameldować o nowym miejscu pobytu.

- Tak, Kathe, niezwłocznie, nie czas na wyjaśnienia.

Gdy odłożył słuchawkę, był znacznie spokojniejszy. Ucieszył się, bo zaczynał logicznie myśleć. Przegrupowanie sił nastąpiło. Czas pomyśleć o kontrataku.

- Z całym szacunkiem, panie generale, bardzo mądra decyzja. Rodzina bezpieczna, a pan nie zdradził miejsca jej pobytu. Dobrze, że pan nie dzwonił z kwatery, pana linia rzeczywiście może być na podsłuchu. Sprawdzimy ją oczywiście, ale zło nie śpi. Proszę. - Hahn podszedł do gościa i wcisnął mu w rękę kieliszek z aromatycznie pachnącym, bursztynowym płynem.

Stroop wypił połowę zawartości za pierwszym razem. Usiadł we wskazanym przez gospodarza fotelu.

- Tak, ma pan rację. Ale niech się pan nie dziwi mojemu zdenerwowaniu. Nie mogę zaakceptować tego bandyckiego podejścia. Oni nie mają honoru. Walczyć z kobietami i dziećmi... - Stroop pokręcił głową.

- Oczywiście. - Gestapowiec uśmiechnął się i jego nalana twarz z małymi, nieco wylupiastymi oczami zrobiła się podobna do gumowej maski. - To barbarzyńcy.

- No dobrze, mój drogi Hahn. - Stroop nieco się odprężył. - Niech mi pan powie coś o tym moim niespodziewanym gościu. Cóż to za tajemniczy człowiek?

- Widzi pan, Herr Brigadeführer. - Hahn nalał sobie również i usiadł naprzeciwko gościa w drugim klubowym fotelu. Przedzielał ich niski stolik. - Mamy tu do czynienia z sytuacją, która jest naprawdę wyjątkowa. Z całą stanowczością powiem, że unikalna w skali całej Europy. Staramy się nad tym panować, choć przyznam się panu w sekrecie, nie jest to łatwe ani bezpieczne. Ja na przykład nie ruszam się na krok poza ten budynek bez przynajmniej dwudziestu ludzi obstawy. Och, nie dlatego, że się boję o życie, o nie. Każdy z nas gotów jest ponieść śmierć żołnierską w imieniu Führera. Boję się dlatego, że wiem najwięcej o tym mieście, o tej przeklętej organizacji i o tych przeklętych bandytach. Nikt nie wie tyle co ja. No, może Spilker. - Hahn skrzywił się nieznacznie, jednak szczylił się swoim brakiem małostkowości, więc to był naprawdę dyskretny grymas. - Jeżeli zginę, mój następca straci rok, zanim się zorientuje, w czym rzecz.

Stroop pomyślał, że to raczej asekuranctwo przypominające zabarykadowanie się w domu i zabicie gwoździami okiennic w oczekiwaniu na przyjście zbójców. Ale nie powiedział tego na głos. Nie po spotkaniu z tym człowiekiem.

- No dobrze, drogi Hahn, ale cóż to za wyjątkowa sytuacja? Dlaczego wysoki przedstawiciel sił porządkowych III Rzeszy nie może w spokoju relaksować się w swoim mieszkaniu po pełnym trudów dniu? W mieszkaniu, podkreślam, o którym nikt nie wiedział i które miało być rzekomo starannie chronione przez pana ludzi?

Hahn całkiem wyraźnie usłyszał zawartą w pytaniu wymówkę. Postanowił ją zignorować. Przedstawi fakty. I tylko fakty. Oto, co się liczyło.

- Od nas o pana kryjówce wiedziały rzeczywiście trzy osoby. Ja, Krüger i Reichsführer. Ale niestety pana gość należy do ludzi, którzy są przerażająco dobrze poinformowani. Oni czasami wiedzą rzeczy, o których my jeszcze nie wiemy, które dopiero planujemy albo które znajdują się ledwie w naszych umysłach.

- Bzdury. - Stroop poczerwieniał. - Wrózek nie ma. Kryształowych kul też nie. Nie w prawdziwym życiu.

- To jest prawdziwe życie, choć niestety przyznać muszę, że rzeczywistość jest dalece bardziej fantastyczna niż nawet najbardziej sławne wróżki.

- Fantastyczna? Chce mi pan opowiadać bajki?

- Herr Brigadeführer, uniżenie proszę, aby się pan uspokoił. Zrozumienie prawdy wymaga naprawdę otwartego, chłodnego umysłu.

Stroop jeszcze przez chwilę sapał gniewnie. Wypił łyk brandy - wyśmienitej, trzeba przyznać, ten Hahn umie zadbać o przełożonych - i odetchnął kilka razy głęboko. To popołudnie nieźle mu się dało we znaki.

- Niech pan mówi.

- Otóż... - Zanim Hahn zdołał powiedzieć cokolwiek, zadzwonił telefon. Policjant zirytowanym wzrokiem spojrzał na knąbrny aparat. Przed spotkaniem nakazał surowo swojej sekretarce, aby z nikim nie łączyła i nie przeszkadzała. Telefon jednak dzwonił i dzwonił. Nie można chyba dłużej udawać, że państwa nie ma w domu. To mogło być coś ważnego. To mógł być ktoś ważny.

Wstał, podszedł do biurka, podniósł słuchawkę

- Ach tak, Hauptsturmführer... Oczywiście... Co pan taki zdenerwowany?... Gdzie pan jest?... Na dole?... No to niech pan wchodzi prosto do mojego gabinetu. Uprzedzam, mam gościa. - Odłożył słuchawkę, uśmiechając się pod nosem. - To Hauptsturmführer Spilker - powiedział tonem wyjaśnienia. - Ma jakieś problemy. Zwykle nie dzieli się ze mną swoimi kłopotami, ani tym bardziej sukcesami.

- Mówiłem ci już, żebyś się tak nie darł. - Kazakowcew zmarszczył surowo brwi, ale to był tylko pozór. Obaj o tym wiedzieli. Pułkownik był w świetnym humorze. - Zamknij drzwi, siadaj i nalej sobie.

- Tak jest. - Zubow odruchowo przyglądał włosy, usiadł przy suto zastawionym stole, znalazł wolną - co nie znaczy czystą - szklankę i nalał. Skromnie, ot tak, nieco ponad połowę. Wypił, odetchnął, zakąsił chlebem. - Amerykanin obudził się. Zdrow jak ryba. Nadia go pilnuje. Dała mu jeść.

- Bardzo dobrze. Trzeba dbać o niego lepiej niż o żonę. Jutro go przerzucamy.

- Jutro? - zdziwił się Zubow.

- Jutro po południu. Wywieziesz go z Warszawy. Pojedziesz z nim do Brześcia.

- Ależ towarzyszu pułkowniku, to już za granicą. Niemcy pilnują jak cholera. Cała Warszawa obstawiona. Trzeba odczekać...

- No pewnie, że za granicą, durak. No pewnie, że Warszawa obstawiona. Nie bój się, wszystko przygotowane. Zabierzesz Amerykanina, radiotelegrafistę i dwóch chłopaków. Pojedziecie w niemieckim konwoju organizacji Todta z transportem drewna na lotnisko w Małaszewiczach. Amerykanin będzie uśpiony i schowany w specjalnym schowku pod drewnem. Tu masz papiery. - Położył na stole plik dokumentów. - Potem pojedziesz dalej na wschód, aż za Kobryń. Nawiążesz łączność z bazą. Przyślą ci samolot. Masz osobiście dopilnować, by Amerykanin bezpiecznie znalazł się w bazie i został przekazany Szefowi. Głową za to odpowiadasz.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Melduję, że zrobię wszystko...

- Wiem, że zrobisz wszystko, a nawet więcej. Pij. - Kazakowcew był dzisiaj niczym ojczulek. Zubow był gotów go uściskać.

- Towarzyszu pułkowniku, jeżeli my tego Amerykanina przetransportujemy do naszych, a Kaliszukowi uda się znaleźć...

- Nie ma żadnego jeżeli. Uda się. Jestem pewien.

- To my za rok będziemy rządzić w tym kraju. - Zubow wskazał dookoła. Gdzieś za Wisłę i na zachód. Na południe. I północ. - I to, co się nie udało w dwudziestym roku, uda się teraz. Ci przekłęci Polacy...

- Ech, Zubow, Zubow, ty człowieku małej wiary. Jak nasza operacja się powiedzie, to my nie będziemy rządzić tylko w tym kraju. Pewnie, że ten kraj jest jak wrzód na dupie, trzeba z nim będzie zrobić specjalny porządek, przyjrzeć się wszystkiemu i wszystkim. Tu jednak nie o Polskę chodzi, Polska to tylko przedsiomek, mało ważny. Polska, potem Europa, a potem cały świat. Taka będzie kolejność. Będziemy rządzić na całym świecie. W bogatych Niemczech, słonecznej Francji i dalekiej Hiszpanii. Górzystej Grecji, we Włoszech i wszędzie indziej. Rozumiesz? - Rozpoczęli już drugą butelkę, ale wzrok pułkownika był ostry niczym czwórgranny bagniet strzelca Krasnoj Armii. - Wszędzie. I wszędzie będzie robota dla takich mołojców jak ja i ty. Wrogów nie brakuje, a zadań cała masa. I dla czekistów, i dla nas. Wszyscy urobimy się po uszy.

- Za zwycięstwo rewolucji. - Zubow był niezwykle uroczysty. Nie miał tak mocnej głowy jak szef. Wstał. - Za towarzysza Stalina.

- Za rewolucję. - Kazakowcew podniósł szklankę. Wypili jednym haustem. Dobra wódka, choć miejscowa. - Na pohybel Polakom i wszystkim wrogom.

- Na bohybel! - krzyknął Zubow. Język mu się zaczął plątać.

Przy drzwiach wejściowych powstał jakiś rumor. Po chwili do pokoju wsadził głowę dyżurny.

- Towarzyszu pułkowniku, melduję, że Kontakt Numer Jeden przekazał wiadomość - powiedział. - Chce się spotkać jak najszybciej.

- Proszę, pułkowniku, niech pan wejdzie.

- Dziękuję, panie generalne. - Mitchell jak zwykle zachowywał się bez zarzutu. - Meldunek został wysłany do naszej ambasady w Londynie, z priorytetem zero.

- Doskonale. - Travis spojrział na zegarek. - W Waszyngtonie jest teraz około pierwszej po południu. Jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia, meldunek znajdzie się na biurku prezydenta w ciągu godziny. W nocy dojdzie do nas odpowiedź.

- Miejmy nadzieję, że zgodzą się na pana sugestie. Uważam za absolutnie niedopuszczalne, jak oni nas traktują. Muszą oddać należące do nas urządzenia bez żadnych dyskusji, a także wydać naszego obywatela.

- Zgadza się, choć wcale im się nie dziwię, muszę panu powiedzieć. Napije się pan? - zmienił raptownie temat. Zanim Mitchell zdążył zareagować (nigdy jeszcze jego surowy, wymagający i trzymający dystans przełożony nie posunął się w poufałości tak daleko), Travis wyciągnął z plecaka płaską butelkę Johny'ego Walkera, po czym postawił na stole dwie czyste szklanki od herbaty. Krzywiąc się na te spartańskie warunki, nalał podwójną porcję (może nawet potrójną, ocenił Mitchell) i jedną z nich podał pułkownikowi.

- Bardzo chętnie, dziękuję. To dla mnie zaszczyt.

- Za pomyślność naszych działań.

- Za pomyślność. - Wypili mały łyk. Trunek był pierwszorzędny.

- Mówi pan, że im się pan nie dziwi - wrócił do poprzedniego tematu Mitchell.

- Owszem. Widzisz, John, oni siedzą tu, na końcu świata, w tych swoich dzikich krainach, i wydaje im się, że wszyscy ich krzywdzą. Że Rosjanie ich nie lubią, Niemcy chcą zniszczyć, a sojusznicy zdradzili. A czy ty wiesz, że jeszcze dwadzieścia kilka lat temu nie było tego śmiesznego państwa? Po prostu nie istniało. I tylko dlatego, że prezydent Wilson wykazał dobrą wolę, w ogóle pojawiło się na mapie. A jak się Polacy zarządzili przez tych dwadzieścia lat między jedną a drugą wojną, już lepiej zamilczeć. Niemcy uderzyli i Polska rozsypała się jak domek z kart.

- Nóż w plecy wbili Rosjanie.

- Mitchell, nie bądź śmieszny. Czy na miejscu Stalina zrobiłbyś coś innego? Niemcy podchodzą pod twoje granice, a ty grzecznie czekasz, aż podejdą i zastanowią się, co dalej? Oni weszli do Polski, owszem, bo zabezpieczali własne interesy. Odsunęli Niemców na trzysta kilometrów. I ja się im nie dziwię.

Mitchell miał niejasne przeczucie, że nie do końca było tak, jak generał mówi, ale nie był niczego pewien. W końcu ich organizacja przez długi czas nie interesowała się za bardzo tym rejonem Europy. Dopiero gdy pewnego słonecznego poranka w jednym z lokalnych biur wywiadu pojawiła się tajemnicza piękna kobieta, w historii otworzył się jakby nowy rozdział.

- Tak jest, panie generale - powiedział ostrożnie. Nie chciał polemizować, nie chciał przedwcześnie kończyć drinka. Bóg świadkiem, jak bardzo był mu teraz potrzebny. - Musimy ich przekonać, tych naszych polskich rozmówców, że oddanie w nasze ręce emitery i Örena leży w ich najlepszym interesie.

- Dokładnie tak, Mitchell. Jak tylko urządzenie znajdzie się w naszych rękach, ruszą prace.

- Badawcze. - Nawet nie pytał. Ale odpowiedź zdziwiła go.

- Niezupenie. Powiem ci w tajemnicy, że prace badawcze i rozmaite eksperymenty ruszyły już dawno, wszyscy specjaliści z grupy kapitan Sanchez pracują z naszymi specjalistami. W tym czasie udało się skonstruować to i owo. Już wprowadzamy pewne nowe rozwiązania z zakresu taktyki walki, sposobów łączności i obserwacji.

- Tak? - Mitchell poczuł podniecenie. Tak głęboko wszedł w prowadzenie operacji odzyskania emitery, że nie miał czasu zagłębiać się w postępy prac technicznych ani śledzić doniesień z frontów. Słyszał jakieś wieści o nowych broniach zastosowanych na Pacyfiku i w czasie zwycięskiej kampanii afrykańskiej, ale nie były to jakieś zwalające z nóg konkrety. - I są jakieś efekty?

- Och, szalone. - Travis zachichotał. Alkohol wyraźnie wprawił go w dobry humor. - Nowe systemy celowania dla artylerii okazały się niedopracowane i zawodne, a artylerzyści nie byli w stanie opanować poprawnie ich obsługi. Błędów było znacznie więcej niż zwykle, łącznie z parokrotnym ostrzelaniem własnych oddziałów. Znacznie lepsze rezultaty dały działania konstruktorów lotniczych. Prace nad silnikiem odrzutowym w zasadzie się zakończyły. Nowym silnikiem odrzutowym, Mitchell. Powiem panu w zaufaniu, że to może być oczekiwana rewolucja. Prototyp samolotu myśliwsko-bombowego będzie miał udźwig ponad trzech tysięcy funtów bomb i rakiet i będzie mógł rozwinąć prędkość tysiąca stu kilometrów na godzinę na pułapie trzydziestu tysięcy stóp. Prędkość wznoszenia - trzykrotnie większa od zwykłych myśliwców. On będzie niezwyciężony, Mitchell.

- Wspaniałe wieści.

- Taak, wspaniałe. Ale mimo wszystko to nie to. - Generał pociągnął łyk ze szklanki. Za drzwiami ucichł już ruch. Mieszkańcy, opiekunowie i strażnicy kładli się najwyraźniej do snu. Tylko gdzieś z góry dochodziły podniesione głosy. - Musimy mieć ten emiter, Mitchell. Nawet mniejsza o reaktor atomowy. W tej materii wystarczy nam Ören i jego wiedza. Zorganizujemy mu takie laboratorium, że w ciągu pół roku odtworzy wszystkie rozwiązania użyte w reaktorze. Nie, nie. Celem jest emiter i ta jego magiczna zdolność do podróżowania w czasie.

- Myślałem, że chodzi o technikę - bąknął pułkownik. Może to nadmiar wrażeń, ale w głowie mu się kręciło.

- Ach, technika jest już w dużej mierze rozszyfrowana. Do szczęścia brakuje nam jednego komputera. Jeżeli uda nam się przechwycić od naszych krnąbrnych polskich kolegów - przy tym ostatnim słowie Travis skrzywił się lekko - jeden z komputerów systemu, będziemy mieli komplet wiedzy i wszystkie rozwiązania techniczne. Inna sprawa to nasze możliwości zaadaptowania tej techniki do bieżących zadań. Są mocno ograniczone różnicami w wytwarzaniu technologii. Cośmy mogli, tośmy już zrobili. Na przykład niezwykle postępy w budowie radaru.

- Więc po co ten emiter? Do podróżowania w czasie? - zapytał Mitchell, dolewając do szklanek. Travis skinieniem głowy zaakceptował decyzję. I stwierdzenie.

- Jasne, John. Podróże w czasie. Właśnie tak. I dlatego, powiem ci w zaufaniu, nie ma specjalnego znaczenia, czy dostaniemy emiter pół roku wcześniej czy później. Bylebyśmy go odzyskali.

- Chodzi o powrót do czasów przedwojennych? Naprawienie błędów? - Pułkownik zaczynał trzeźwieć. To były zbyt śmiałe perspektywy, by zapoznawać się z nimi po pijanemu.

- Owszem. Wyobraź sobie, że uruchamiamy emiter i cofamy się do roku trzydziestego albo trzydziestego pierwszego. Jeden zabójca, jedna kula i nie ma pana Hitlera. Nie ma wojny. W istocie, Mitchell, nasze prawnuki wymyśliły iście diabelską maszynkę do korygowania błędów.

Mitchellowi, który swego czasu sporo czytał o karierze byłego kaprała z okresu pierwszej wojny światowej, a także mechanizmach rządzących ustrojami totalitarnymi, wydało się to nie takie proste. Wątpił, czy zabójstwo jednego człowieka odwróci cały proces. Nie polemizował jednak.

- Jest jeszcze coś, drogi pułkowniku.

- Wiem, panie generale. Można też skoczyć w przyszłość.

- Dokładnie, kochany, w rzeczy samej. - Travis uśmiechnął się szeroko. Zawsze lubił Mitchella. - Można na przykład udać się do roku dwa tysiące siódmego, tego samego, z którego nasza dzielna pani kapitan wraz z Polakami wyruszyła w podróż w nieznane. Wyobrażasz sobie, John, co można by stamtąd przywieźć? Jaką wiedzę? Jaką broń?

Mitchellowi to również nie wydało się oczywiste. Nie sądził, by ludzie stamtąd podeszli entuzjastycznie do kwestii prostowania własnej historii. By chcieli zacząć żyć w nowej rzeczywistości - bo gdy zmienia się przeszłość, najprawdopodobniej zmieni się również teraźniejszość. Stuknął jednak swoim kieliszkiem w kieliszek Travisa.

- Wzniesmy toast za przyszłość.

37

- No, drogi Spilker, niech się pan rozchmurzy. Szkoda dobrego trunku dla takiego ponuraka. - Hahn patrzył na młodszego kolegę po fachu i odczuwał coś w rodzaju żalu podszytego diabelską satysfakcją. Niemcy mają precyzyjne określenie tego zjawiska. Nazywają je Schadenfreude. I to właśnie czuł Sturmbannführer dr Ludwig Hahn tego kwietniowego wieczoru. Drażniły go sukcesy Spilkera, drażniła opinia gwiazdy, którą ten oficer się cieszył, drażniło w końcu to, że nie mógł wydawać mu żadnych poleceń i nie miał nad tym człowiekiem żadnej władzy. A jego porażki? No cóż...

- Myślę, Herr Hauptsturmführer, że nasz drogi gospodarz ma rację. Musimy odrzucić zmartwienia na bok i zacząć myśleć nad sytuacją. Nad odzyskaniem kontroli nad sytuacją. Niech pan opowie, co się stało, na pewno znajdziemy jakieś rozsądne rozwiązanie. - Stroop po dwóch kieliszkach wybornej brandy rozluźnił się i przyjął wobec tych oficerów postawę, w której czuł się najlepiej - mentora, patrzącego dobrotliwym okiem na podległych mu ludzi z poziomu przedstawiciela najwyższego kręgu wtajemniczenia członków SS.

Spilker siedział w milczeniu, popijał brandy i gryzł dolną wargę. Pomyślał, że właściwie zrobił błąd, przychodząc tutaj. Powinien raczej zadzwonić do swojego szefa, Krügera, i z nim podzielić się kłeską. Tak by nakazywała droga służbowa i lojalność. Z drugiej strony rozsądek i pragmatyzm podpowiadały, że lepiej o sprawie pogadać z Hahnem, niby konkurentem do zaszczytów i medali, ale doskonale wgryzionym w warszawskie realia, borykającym się przecież z tymi samymi problemami. Stroop wyglądał na nadętego cymbała, Spilker byłby gotów kompletnie go zignorować, gdyby nie pewne pogłoski o rychłym awansie stalowookiego Brigadeführera. Najpewniej zostanie szefem Hahna i mimo wszystko lepiej z nim nie zadzierać.

Obaj wysocy rangą esesmani zaczęli się już niecierpliwić, kiedy Spilker w końcu podjął decyzję. Krótkimi zdaniami, jakby wprost wyjętymi z policyjnego raportu, opowiedział o schwytaniu Örena, o rozszyfrowaniu tożsamości tego niezwykłego człowieka - niektóre szczegóły dotyczące jego kompetencji Spilker zachował dla siebie - o roli, którą mógł odegrać w budowaniu wielkości Rzeszy, wreszcie o jego porwaniu. Gdy przeplukał gardło za pomocą pół kieliszka brandy, napomknął także o mrówczej pracy wywiadowczej swojego zespołu, zakończonej bardzo prawdopodobnym zlokalizowaniem jednej z kryjówek Oddziału na terenie Warszawy. Najświeższą wiadomość zostawił na koniec.

- Przed chwilą otrzymałem to. - Położył na stoliku wyciągnięty z kieszeni złożony na pół arkusik papieru. - Moi ludzie już sprawdzają ten adres.

Hahn rozłożył kartkę, podniósł ją do oczu (za nic nie chciał się przyznać, że powinien nosić okulary) i przeczytał po polsku, z niemożliwym do powtórzenia, komicznym akcentem:

- „Twarda trzydzieści sześć. Nie wcześniej niż o dziesiątej rano”. To wszystko? - zapytał Spilkera.

- Nic więcej nie ma.
- Skąd pan ma tę kartkę?
- Jakiś chłopak dał ją wartownikowi.
- Domyśla się pan, co to za adres?
- Mam tę okolicę dobrze rozpoznaną. Nigdy się tam nie działo nic szczególnego.
- Trzeba sprawdzić. Niech nikt tam na razie nie zagląda. Należy tylko obserwować.

Spilker pomyślał, że Hahn najwyraźniej uważa go za idiotę.

- Oczywiście - przytaknął. Nie miał dziś siły na walkę. - Tylko obserwacja.

- Cóż to za Żyd, który jest taki ważny? - wtrącił się do rozmowy Stroop. Zaczynał się niecierpliwić. Gdy Spilker relacjonował wydarzenia popołudnia, generałowi nie wszystko wydało się jasne. Nie bardzo mógł zrozumieć, dlaczego takie poruszenie wywołała wśród jego warszawskich kolegów informacja o złapaniu jakiegoś Michaela Örena i dlaczego wieść o jego uprowadzeniu spowodowała aż taką wściekłość. Przez dłuższą chwilę obaj warszawscy policjanci wyglądali na naprawdę złych i zawiedzionych. Co tam jakiś Żyd, nawet zdolny i wykształcony, cóż to ma za znaczenie, pomyślał Stroop.

- Tak się składa, Herr General, że sprawa tego Żyda wiąże się ściśle ze sprawą intruza, który zawitał w pańskim apartamencie. - Hahn jakby czytał w jego myślach. Uspokoił się nieco, wstał, nalał obu gościom, o sobie nie zapominając, podwójną porcję brandy. Umieścił swoje potężne ciało w fotelu i uznał, że szanowny rozmówca jest już naprawdę gotowy do wysłuchania wyjaśnień. - Widzi pan, Herr General... - zaczął.

Pół godziny później Stroop siedział z zamkniętymi oczami, Spilker milczał ponuro, a Hahn raczył się kolejną porcją alkoholu. Za oknem panowała cisza pokonanego miasta, tonącego wskutek surowo egzekwowanego zaciemnienia w niemal atramentowej czerni. Tylko jasne oświetlenie gabinetu dodawało nieco optymizmu do tego ponurego i wrogiego krajobrazu.

Stroop w końcu ocknął się. Zamrugnął, jakby rażony ostrym światłem lamp.

- Moi drodzy, widzę, że macie tu rzeczywiście nadzwyczajną sytuację. Słyszałem o zamachu na Franka. Rozumiem, że to dzieło tych bandytów?

-Tak jest.

- Czy Reichsführer poinformowany jest o sytuacji? - zapytał ostrożnie.

- Oczywiście. - Hahn skinął głową. - Obergruppenführer Krüger w Krakowie także.

- I?

- Zalecają walczyć z całą bezwzględnością. Ale skoro pan wspomniał o zamachu na Franka, powiem panu, że głowa naszego szanownego przyjaciela rozprysnęła się po krakowskim rynku tuż po tym, gdy tylko trochę przykręciliśmy śrubę. Od AK przyszło ostrzeżenie, my robiliśmy swoje, a potem bum! I wdowa po panu gubernatorze przez dwa tygodnie nie mogła się uspokoić. - Hahn skrzywił się z oburzeniem. - Miesiąc później był zamach na Fischera. Cudem przeżył. Do dziś nie może dojść do siebie. Zginął jego adiutant i dwóch oficerów ze sztabu. Wszyscy lojalni esesmani. Oczywiście Fischer został zdjęty ze stanowiska, bo nie nadawał się do niczego. Przyszedł nowy człowiek, który jest stanowczo za miękki. Sam pan widzi. Walka z tymi ludźmi wydaje się prosta w Berlinie.

- Bzdury!! - Stroop poczerwieniał lekko, a w jego oczach pojawił się ciemny błysk. - Trzeba ściągnąć dodatkowych ludzi i uderzyć...

- Gdzie? - zapytał Spilker uprzejmym tonem. - Gdzie pan chce uderzyć, Herr General? Ma pan jakiś adres?

- No... - Stroop na chwilę stracił kontenans, zaraz go jednak odzyskał. - Masowe represje powinny ochłodzić ich zapał. Jeżeli zobaczą, że postępujemy z całą surowością, a zastraszona ludność odwraca się od nich... Już poza wszystkim innym ma pan przecież adres ich meliny. Tej fabryczki...

- Na razie mam tylko podejrzenie. Oni mogą celowo podsuwać fałszywe tropy. Tak zresztą w przeszłości kilkakrotnie się zdarzyło.

- Fałszywe tropy? Po co?

- Aby sprawdzić szczelność swojego systemu obiegu informacji - powiedział Hahn za Spilkera. Był gruby, ale z pewnością nie głupi. Uwaga o masowych represjach zniesmaczyła go. Był pewien, że taka próba skończyłaby się dla nich wszystkich bardzo źle. Bardzo gwałtownie. - I aby sprawdzić, jak dobrze funkcjonują ich źródła informacji u nas.

- Macie tu ich agentów? - zdziwił się Stroop. Był coraz bardziej wzburzony.

Obaj „warszawiacy” roześmieli się. Nie było jednak w tym śmiechu ani odrobiny wesołości.

- Drogi generale. Nie mówię tutaj tylko o tych piekielnych gościach z przyszłości, oni, mam wrażenie, działają trochę niezależnie od struktur AK i znają każdy szczegół naszej działalności, ale nawet zwykłe AK rozpracowało nas dokładnie. Oni robią wszystko. Jesteśmy przeszpiclowani przez Polaków. Nawet polskie dzieci nas śledzą. Polacy umieją nas zdemoralizować, stosując najrozmaitsze metody: od alkoholu, knajp i dziwek do zmiękczenia ideologicznego, terroru i zbrojnych zamachów ulicznych.

- Pan chyba żartuje.

- Niestety. To prawda.

- Przerażające.

- Sam pan widzi, w jakich warunkach musimy pracować. A jeszcze ten Wojtyński ze swoimi wiadomościami o przyszłości. Dla niego walka z nami to po prostu dobrze odrobiona lekcja historii. Już pan wie, skąd miał informację o pana kwaterze?

- Tak, teraz to jest jasne. Ale czegoś nie rozumiem. Skoro pan wie, że on ma informacje o różnych rzeczach, dlaczego mnie pan tam umieścił?

- Ponieważ nigdy nie jesteśmy pewni, jak powinno być. Muszę wybierać najlepsze warianty postępowania i nigdy nie wiem, czy były, czy też nie były obecne w jego historii. Staram się różne rzeczy robić tak, by go zaskoczyć, ale nie zawsze się udaje.

-To jest jakaś przerażająca bajka, Herr Doktor. Ale, ale. Wspomniał pan o tym polskim renegacie. Tym małym kapralu, który z wami współpracuje.

- Cuprysiu.

- Jawohl, Zupryziu. Czy nie może was uprzedzać o wszystkim?

- Widzi pan, Herr Brigadeführer, to znowu nie jest takie, jakim się wydaje. Owszem, ten człowiek współpracuje z nami, w dużej mierze dzięki niemu mamy informacje o Oddziale i nowoczesnych technikach walki, ale o przebiegu działań wojennych nic. On niczego nie wie, raczej nas dezinformuje niż informuje. Jest w gruncie rzeczy prymitywny. Skończył jakąś szkołę zawodową i o tej wojnie wyniósł naprawdę znikomą wiedzę. Krótko mówiąc, musimy w całości polegać na własnej ocenie sytuacji.

Stroop właściwie już go nie słuchał. Od pewnego czasu myślał intensywnie, jak poradzić sobie z tym węzłem gordyjskim. Poszczególne warianty rozwikłania zagadki jawiły mu się niemal jak nadprzyrodzone moce

wspierające niezwyciężonego germańskiego ducha. I te moce natchnęły go zdecydowaną wolą. Wola zwycięstwa.

Wstał. Chcąc nie chcąc, obaj jego rozmówcy podnieśli się również.

- Panowie, widzę, że sytuacja jest krytyczna. Wszystkim pracuje się bardzo ciężko. Ale wiem jedno. Za żadną cenę nie wolno nam poddać się tym bandytom. Ja się na pewno nie ugnę. Grossaktion rozpocznie się zgodnie z planem. Ten dureń von Sammern spartaczy pierwszy akt koncertowo, ale damy mu go rozegrać po swojemu, aby wszyscy się zorientowali, co to za miernota. To, co teraz powiem, objęte jest na razie najściślejszą tajemnicą, ale proszę to traktować jako polecenie służbowe. Zgodnie z wolą Reichsführera dowództwo nad Grossaktion, jak i szefostwo SS i policji dystryktu po Sammernie obejmę ja. Zarządzam więc mobilizację sił policyjnych, wojskowych i formacji pomocniczych całego dystryktu. Proszę dyskretnie ogłosić alarm i ściągnąć do Warszawy na rano dodatkowe siły.

Musimy zapewnić sobie możliwość uderzenia w kilku miejscach naraz. I zapewniam panów, nie przewiduję innego rezultatu niż nasze zwycięstwo - zakończył z mocą.

38

- Mówię ci, że... - Borek zacinał się, blednąc i czerwieniejąc na przemian. Z wódką radził sobie mniej więcej tak samo dobrze jak z kobietami. - Mówię ci, że...

- Jedyne wyjście polubić mnie - dokończył za niego Wiechecki na melodię nieco przykurzonego przeboju Tiltu. - Różnych ludzi spotyka coś dobrego, a czy nas spotka coś dobrego? On ją lubi, ona jego lubi, a mnie nikt nie lubi.

- Może dlatego, że jesteś taki brzydki. - Jamróż wybuchnął śmiechem. Sawicki nadal milczał. Myślał o swojej żonie i dwóch prawie dorosłych córkach. Jego kobiety nawet mieszkaly niedaleko. Za sześćdziesiąt lat.

Stańczak szamotał się przez chwilę z Wiecheckim, który za wszelką cenę starał się mu dolać do pustego od dłuższego czasu kieliszka. Walka trwała chwilę, sporo alkoholu rozlało się po stole.

Nikt nie zauważył, kiedy Wojtyński wszedł do pokoju. Umiał to robić bez zwracania niczyjej uwagi.

- Jasiu, już się niepokoiłiśmy. - Wiechecki wstał i zrobił gest, jakby chciał rzucić się przybyłemu w ramiona. Wojtyński zmierzył go wzrokiem i porucznik zatrzymał się w pół kroku.

- Radzicie sobie beze mnie, jak widzę.

- Owszem. Czekaliśmy, ale nie przychodziłeś. - Jamróż usłyszał w swoim głosie nutkę usprawiedliwienia.

- Byłem zajęty. - Nie było w tym cienia szczerości, podejrzenia Jamroza zaczęły zamieniać się w pewność - Polejcie mi?

- Owszem, ale najpierw nowiny. - Stańczak czekał na ten moment i dłużej już nie zamierzał. - Örena porwano.

Cisza, przerywana ciężkimi oddechami, była zupełna. Wszyscy błyskawicznie spowaźnieli.

- Kiedy?

- Dziś po południu.

- Kto?

- Moi ludzie wężą. Nie wiem na pewno.

- A co wiesz nie na pewno?

- Że to Ruscy.

Cisza, o ile to w ogóle możliwe, zapadła jeszcze głębsza.

- Należcie mi - powiedział Wojtyński spokojnym, całkowicie wypranym z emocji tonem.

39

- Za zwycięstwo! Zum voll!
- Za III Rzeszę!
- Za Führera!

40

- Za zwycięstwo!
- I niech Bóg błogosławi Amerykę!
- Za przyszłość. Za operację „Przyszłość”!

41

- Za powodzenie!
- Za towarzysza Stalina!
- Za Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich!
- Za „Jutrzenkę”!

42

- No to byśmy przeżyli kolejny dzień. - I jebał ich pies!
- Tak jest, tak jest, tak jest!

CZEŚĆ III

19 KWIETNIA 1943 ROKU

1

Sierżant Andriej Kaliszuk obudził się o trzeciej nad ranem. Oprzytomniał natychmiast, usiadł na pościeli, oparł gołe stopy na pełnej drzazg podłodze, przetarł oczy. Członkowie jego grupy wciąż spali, ale nie budził ich jeszcze. Chciał pobyć kilka minut w samotności i ułożyć w myślach wydarzenia nadchodzącego dnia.

Przy odrobinie szczęścia najbliższych kilkanaście godzin może okazać się przełomem.

Jeszcze wczoraj nic nie zapowiadało sukcesu. Spotkany rano nielegalny, znany Kaliszukowi jako Kontakt Numer Trzy, w sposób dobrze umotywowany i poparty wielotygodniowymi obserwacjami określił wprawdzie najbardziej prawdopodobny rejon, w którym grupa powinna skoncentrować swoje wysiłki, ale mimo wszystko nie było to nic konkretnego. Po tym spotkaniu Kaliszuk nastawił się na długotrwałe, monotonne i niebezpieczne poszukiwania, które w zasadzie, o ile jego ludziom nie dopisze szczęście, były i tak skazane na porażkę. Grupa sierżanta, wliczając radiotelegrafistkę Maszę i jego samego, liczyła raptem sześć osób i w żaden sposób nie dałaby rady szybko przeczesać zalesionego i górzystego terenu o powierzchni dwunastu tysięcy kilometrów kwadratowych, zamieszkałego na dodatek przez ludność do Kaliszuka i jego ludzi nastawioną w najlepszym wypadku obojętnie, a w ogromnej większości wrogo.

Otrzymany wczoraj późnym wieczorem meldunek w sposób decydujący precyzował postawione przed sierżantem zadanie. Ograniczał rejon poszukiwań do kwadratu o boku mniej więcej sześciu kilometrów, co prawda w bardzo trudnym, pełnym wykrotów i skalnych rumowisk terenie, ale było to już wykonalne przedsięwzięcie o racjonalnej skali. Kaliszuk wiedział, czego ma szukać. Przeanalizował czynniki, które mogą sprawić, że wpadnie na ślad. Podstawą będzie wnikliwa obserwacja obszaru penetracji i wzajemna koordynacja działań.

Leżąca obok Masza - od kilku dni jego kochanka - mruknęła przez sen. Kaliszuk klepnął ją w ramię. Otworzyła oczy i podobnie jak on momentalnie oprzytomniała. Gestem nakazał jej wstać, sam podniósł się, nagi i olbrzymi, i zaczął się ubierać.

Doprowadzenie się do stanu gotowości nie zajęło mu więcej niż minutę. Dopiął pas i przytroczył elementy oporządzenia.

Nie patrząc na Maszę, opuścił izbę, przeciął sień, pchnął drzwi i wszedł do obszernej kuchni przerobionej na sypialnię. Krótkim warknięciem poderwał na nogi pozostałych ludzi. Za oknem zaczął pisać pierwszy kur. Gdy wyszli w ciemność, uzbrojeni po zęby, poruszający się w ciemnościach cicho i sprawnie niczym koty, było w pół do czwartej.

2

Liczące blisko dziewięćset żołnierzy i oficerów doraźnie zmontowane Einsatzkommando stanowiło pstrokatą zbieraninę rozmaitych formacji policyjnych i wojskowych, na które składały się pododdziały SS, policji porządkowej, służby bezpieczeństwa, Wehrmachtu oraz służby pomocniczej, mającej w swych szeregach ochotników z Europy Wschodniej, przeważnie Litwinów i Łotyszy. Oddział parę minut przed szóstą rano skoncentrował się przy jednym z wejść do getta zlokalizowanym przy ulicy Bonifraterskiej.

Dowodzący akcją SS-Oberführer hrabia dr Ferdinand von Sammern-Frankenegg spojrzął na zegarek, po czym wydał rozkaz do rozpoczęcia natarcia. Punktualnie o godzinie szóstej żołnierze Einsatzkommando przekroczyli bramę getta i zaczęli posuwać się do przodu dwiema zwartymi kolumnami.

Powitała ich całkowita cisza.

Poza łomotem podkutych butów, warkotem silników ciężarówek i samochodów pancernych, nic nie mąciło spokoju. Na ulicach nie było żywej duszy, z okien nie wyglądała żadna zaciekawiona twarz, kamienice, ulice i place sprawiały wrażenie całkowicie opuszczonych. Wyglądały na martwe.

Kolumny minęły plac Muranowski, po czym doszły do rogu Zamenhofs i Miłej. Ciężarówki zatrzymały się, zeskoczyli z nich strzelcy, formując się w drużyny, plutony i kompanie. Sprawnie wyładowano ławki, stoły, kable oraz aparaty telefoniczne. Saperzy i łącznościowcy uwijali się jak w ukropie, błyskawicznie organizując punkt dowodzenia. Po krótkiej chwili natarcie, już na dobre rozwinięte w szyk bojowy, ponownie ruszyło do przodu. Dla części żołnierzy nadchodzący dzień zapowiadał się jako całkiem przyjemny, w rodzaju tych, po których człowiek śpi snem sprawiedliwego, znużony po męczącej, acz zwieńczonej powodzeniem pracy.

Złudzenia prysły minutę później wraz z rzuconym w środek jednej z kolumn granatem.

Wybuch nie był silny, granat wykonano w domowych warunkach, ale przy akompaniamencie huku spotęgowanego odbijającym się od ścian echem powalił kilku Niemców, raniąc i ogłuszając. Co ważniejsze, stanowił sygnał do ataku.

Gwałtowny ogień spadł na napastników niczym złowrogi i niespodziewany demon zwiastujący śmierć i zniszczenie. Strzelano z dachów, okien i bram. W ogromnej większości bojowcy używali broni krótkiej, której skuteczność na dystansie powyżej dwudziestu metrów maleje w postępie geometrycznym, jednak w tle terkotał również ręczny karabin maszynowy, gdzieś odzywał się MP-40 lub sten, a dwaj najlepsi snajperzy komitetu powitalnego strzelali z doskonałych przedwojennych polskich mauzerów, toteż napaść spełniła swoją rolę.

Kolumny jak zdmuchnięte zniknęły w bramach i zaułkach, szukając choćby symbolicznej osłony i zostawiając na ulicznym bruku rannych i zabitych. Na oba samochody pancerne i czołg posypały się butelki z benzyną, granaty, a także domowej roboty bomby wykonane z kawałków rur żeliwnych wypełnionych szedylem. Wybuchy wstrząsnęły powietrzem, dym na dłuższą chwilę przesłonił pole bitwy. Jeden z wozów zaczął płonąć. Jęki rannych zdawały się dominować nad strzelaniną.

Natarcie błyskawicznie straciło impet. Siła i celność ognia obrońców była znacząca i spowodowała straty, przede wszystkim jednak wywołała spotęgowany zaskoczeniem szok. Niemcy spodziewali się oporu, ale z pewnością jego siła i gwałtowność przekroczyły najśmielsze oczekiwania. Nie podejrzewali, że usytuowanie punktów ogniowych będzie tak dokładnie przemyślane i zaplanowane, a powstańcy zadbają o sprawnie działające systemy obserwacji i łączności. Nie przewidzieli, że obrońcy perfekcyjnie wykorzystają każdy nadający się do obrony fragment zabudowy, a gdy stanie się bezcelowa - zademonstrują umiejętność znikania na podobieństwo duchów.

Zarówno hrabia von Sammern-Frankenegg, jak i podlegli mu oficerowie stracili głowę. Początkowo pchali kolumny dalej sztychem na wprost, nie zważając na straty i topniejące wsparcie pancerne. Żołnierze strzelali niecelnie, chaotycznie i bez żadnej koordynacji, nacierali miękko, świadomi bezsensowności takiego ataku. Szukali ukrycia po bramach i załomkach murów, myśląc raczej o wyniesieniu całej głowy z tej nieoczekiwanej awantury, niż o posuwaniu się do przodu.

Prolog Grossaktion zakończył się kilka minut przed siódmą rano. Niemcy i wspierający ich policjanci z formacji pomocniczych wycofali się w chaosie niewielkimi grupkami, szczęśliwi, że mogą wynieść z pola walki niedraśnięty żywot i zabrać ze sobą chociaż część rannych. Płonące pojazdy pancerne z narażeniem życia

ugaszono i nadludzkim wysiłkiem ewakuowano, na placu boju pozostało kilkanaście trupów i kilku rannych, głośno wzywających pomocy.

Rotmistrz Duży, zajmujący pozycję w tymczasowym punkcie dowodzenia umieszczonym na czwartym piętrze niczym niewyróżniającej się kamienicy przy ulicy Dzikiej, od początku obserwował walkę przez lornetkę. Podobało mu się to, co zobaczył, nawet uśmiechnął się pod nosem. Plan pierwszego etapu został wykonany w stu procentach. Straty, które ponieśli napastnicy, spowodowały chaos i zmusiły do odwrotu, ale jednocześnie nie zniechęciły do dalszych ataków. Niemcy wrócą w większej liczbie i lepiej zorganizowani.

- Mamy godzinę spokoju - powiedział do siedzących pod ścianami żołnierzy. Byli jednolicie umundurowani w czarne kombinezony bez dystynkcji, wyposażeni w polskie przedwrześniowe hełmy i uzbrojeni w niemiecką lub aliancką broń. Pod ścianami stało kilkanaście skrzynek z amunicją i granatami, ręczne karabiny maszynowe, granatniki. - Potem pełna gotowość.

- Idę do reszty chłopaków. - Sierżant Szuwar podniósł się i wyszedł z pokoju.

3

- Herr Oberführer, pan pozwoli, ja sam zadzwonię do Obergruppenführera Krügera. Niech pan usiądzie, odpocznie i uspokoi się. - Stroop nadał swojemu głosowi oficjalne brzmienie i starał się być grzeczny, ale protekcyjnego tonu nie udało mu się ukryć.

Możliwe nawet, że nie starał się za bardzo. Oficerowie z jego sztabu uśmiechali się złośliwie.

- Muszę złożyć raport - bąknął von Sammern.

Śmierdział dymem prochowym. I porażką.

- Niech pan się tym nie martwi. - Brigadeführer klepnął go w ramię i wyszedł do drugiego pomieszczenia, zostawiając hrabiego ze swoimi sztabowcami, którzy nie zwracali na niego żadnej uwagi. Był dla nich nikim, powietrzem.

Hrabia stał przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, cóż właściwie powinien dalej począć, w końcu opadł ciężko na pierwsze z brzegu krzesło.

Brigadeführer wrócił po dziesięciu minutach. Minę miał poważną, wręcz uroczystą. Hrabia wstał i odruchowo przyjął postawę zasadniczą.

- Rozmawiałem z Berlinem. - Błękitnostonowe oczy Stroopa patrzyły na von Sammerna lodowato, wręcz wrogo. Bez trudu można w nich było wyczytać pogardę. - Z Reichsführerem Heinrichem Himmlerem. Rozkazał mi natychmiast objąć dowództwo SS i policji dystryktu warszawskiego oraz prowadzić dalszą walkę.

Ramiona von Sammerna opadły, przygarbił się, lewe, skryte za monoklem oko zaczęło żyć jakby własnym życiem, zamykając się i otwierając w całkowicie niekontrolowany sposób.

Twarz Stroopa przybrała wyraz złośliwej satysfakcji. Uwielbiał takie chwile.

- Wie pan, drogi Sammern... - Nie mógł się powstrzymać. Po prostu nie mógł. I z przyjemnością ominął hrabiowski przedrostek. - Osobiście myślę, że nie dorósł pan do tego zadania i jest pan za mało energiczny. Do widzenia.

Hrabia cofnął się jak po ciosie w twarz. Stał przez chwilę, nie wiedząc, co robić, jak się zachować, w końcu przygarbił się jeszcze bardziej. Powolnym, jakby sennym gestem wyciągnął rękę w hitlerowskim pozdrowieniu, mruknął niewyraźnie „Hajtla” i wyszedł wraz z depczącym mu po piętach adiutantem.

Stroop odczekał kilka chwil, aż ucichły kroki na korytarzu, po czym odwrócił się do zebranych w pokoju oficerów, niemych, ale uważnych świadków rozgrywających się przed chwilą wydarzeń.

- Panowie. - Jego głos nabrał brzmienia stali, z której germańscy przodkowie wykuwali przed walką swe miecze. - Koniec przedstawienia, koniec tej żalostnej amatorszczyzny. Proszę natychmiast zebrać rozproszone oddziały, pogadać z ludźmi, uspokoić ich. Kto chce, może dostać sznapsa albo szklankę wina. Zaatakujemy za godzinę, o dziewiątej. Musimy przekonać naszych żołnierzy i tę żydowską hołotę, że potrafimy walczyć. Nie ma drugiej strony medalu. Jest tylko zwycięstwo niemieckiego oręża.

4

Wojtyński obudził się z kacem i wyrzutami sumienia. To pierwsze było w jego życiu zjawiskiem niezwykle rzadkim, to drugie stało się ostatnio tegoż życia składowym elementem. Początkowo nie bardzo mógł dojść przyczyn obu tych zjawisk, gdy jednak przypominał sobie wydarzenia wczorajszego dnia, wszystkie wydarzenia, zrobiło mu się zimno, a zaraz potem gorąco.

Wyskoczył z łóżka, ubrał się szybko, uproszczona toaleta również nie zajęła zbyt wiele czasu. Zegarek wskazywał wpół do ósmej, nie mógł sobie przypomnieć, kiedy zdarzyło mu się wstać tak późno. Gdy wyszedł na korytarz, było pusto i cicho.

Piętro, na którym znajdowało się sześć pokoi zajmowanych przez oficerów sztabu batalionu, było wyludnione niczym męski internat podczas wakacyjnej przerwy. Klnąc pod nosem, zszedł na dół. Zamienił dwa zdania z wartownikiem zajmującym miejsce w kuchni, złapał w locie kanapkę, którą jakaś litościwa dusza zostawiła na stojącym na stole talerzu, otworzył jedno z drzwi w holu wejściowym, po czym zszedł na dół. Pokonawszy kilkanaście stopni, znalazł się w brudnej, zapylonej węglowym miałem piwnicy oświetlonej nędzną żarówką. Przycisnął sprytnie ukrytą sprężynę. Wielka, zdezelowana szafa z towarzyszeniem lekkiego trzasku przesunęła się na bok, odsłaniając ukryte za nią przejście. Znajdujące się dalej pomieszczenie miało powierzchnię blisko stu metrów kwadratowych i surowe, ceglane ściany. W odróżnieniu od poprzedzającej go piwnicy było idealnie wysprzątane i jasno oświetlone.

W lewej części sali, pod ścianami, stało kilka stołów zetkniętych bokami, co czyniło z nich blat roboczy o długości kilkunastu metrów. Spoczywało na nim szereg urządzeń elektronicznych połączonych ze sobą grubymi kablami, z których część wila się po podłodze, dochodziła do ściany i ginęła gdzieś w murze. Jedynie kilka wtajemniczonych osób zdawało sobie sprawę, że kable te prowadzą do alternatywnego źródła zasilania w postaci napędzanego benzyną agregatu oraz z kilku fachowo zamaskowanych anten znajdujących się na strychu.

Stojące na blatach urządzenia składały się na niezwykle jak na owe czasy zaawansowany technicznie system, który pozwalał śledzić niemiecką łączność przewodową i bezprzewodową w Warszawie i okolicach. Za pomocą urządzeń deszyfrujących złamano wszystkie niemieckie kody, a dzięki zastosowaniu skanera, przeszukującego określone pasma w eterze, system potrafił filtrować krzyżujące się rozmowy, reagował na konkretne słowa, umiał w pewnym zakresie wyłowić to, co było istotne z punktu widzenia interesów batalionu czy szerzej - Armii Krajowej. Przystawka przetwarzająca sygnał analogowy na cyfrowy umożliwiała zapisywanie co bardziej ciekawych rozmów na twardym dysku stojącego pod jednym ze stołów komputera.

Zaprojektowanie, skonstruowanie i nauka obsługi systemu zajęły specjalistom od łączności kilka kwartałów roku czterdziestego i czterdziestego pierwszego, ale później, gdy został już uruchomiony, stukrotnie zwróciły się zainwestowane weń środki i czas. Wojtyński i jego ludzie mogli, niezależnie od swej ogólnej wiedzy historycznej, być zawsze o krok przed Niemcami, mogli na nich czekać, czy też zniknąć w razie potrzeby. Potrafili sprawić, że silny, uzbrojony po zęby, zdeterminowany, dobrze wyszkolony i zdyscyplinowany przeciwnik bezsilnie wymachiwał w powietrzu stalowymi pięściami.

Jeśli dodać, że Stańczak, szef wywiadu i kontrwywiadu batalionu, stworzył rozległy system informatorów i agentów, działających zarówno wśród Niemców oraz policji granatowej, jak i stanowiących potencjalne zagrożenie środowisk polskich komunistów, można było dojść do wniosku, że zabezpieczenie batalionu, jakoś jego oczu i uszu, było niemal kompletne i niemożliwe do sforsowania przez nieprzyjaciół, którzy zresztą, w myśl zamierzeń twórców systemu, tak naprawdę nie zdawali sobie sprawy z jego istnienia, co nieco tylko podejrzewając.

Gdy Wojtyński przekroczył próg pomieszczenia, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy pochyleni byli nad swoimi maszynami, z uwagą śledząc setki bełkoczących w głośnikach rozmów. Dopiero gdy porucznik podszedł bliżej, dowódca liczącej osiemnastu żołnierzy sekcji łączności i wywiadu elektronicznego odwrócił się gwałtownie.

- Panie poruczniku, podporucznik Walecki melduje się...

- Dobra. - Wojtyński machnął ręką. - Co nowego?

- Całą noc trwał wzmożony ruch w eterze. Niemcy zaczęli używać nowego szyfru...

- Znowu? Ostatnio coś często zmieniają.

- No, chcą nas przechytryć, Cuprys stara się zarobić na premię. Ale złamaliśmy klucz w pół godziny.

Wygląda na to, że Niemcy postawili na nogi wszystkie siły wojskowe i policyjne dystryktu. Część z nich przyjechała do Warszawy. Oceniam, że warszawski garnizon został wzmocniony o pięć tysięcy ludzi. Oprócz Wehrmachtu, policja i formacje pomocnicze. Gestapo, Orpo, Schupo, Hilfspolizei...

- W porządku. - To nie było w porządku, Niemcy wykazywali niezdrową aktywność, a kac wciąż go męczył. Porucznik jednak indagował dalej. Chciał mieć pełen obraz sytuacji. - O której nastąpiły przegrupowania?

- Od drugiej nad ranem aż do teraz.

- Gdzie te siły są rozmieszczone?

- Obserwatorzy meldowali, że stacjonują na terenie Cytadeli, w koszarach SS na Woronicza, w rejonie getta, ale też po prostu na ulicach: Okopowej, Górczewskiej, Młynarskiej, Marszałkowskiej, Próznej, Pańskiej. W zachodnim i centralnym rejonie miasta.

- Cholera. - Przypadek? Wojtyński nie wierzył w żadne przypadki. I chętnie napiłby się wody. Lub soku z ogórków. - Połącz się z Zellmanem i przekaz mu rozkaz natychmiastowego rozpoczęcia pogotowia. Produkcja ma się odbywać normalnie, żadnych zmian rozkładu dnia, ale wszyscy żołnierze mają zająć stanowiska i pozostawać na nich do odwołania. Sprawdzić kanały ewakuacji i ładunki wybuchowe.

- Tak jest.

- Gdzie Stańczak i reszta?

- Wyszli, jak tylko skończyła się godzina policyjna. Wiechecki pojechał do Trávisa, Stańczak szuka tego Amerykanina, a Jamróz rozpoczął operację zabezpieczenia narady. - Walecki, jako szef sekcji nasłuchu, z natury rzeczy musiał być wciągnięty w szczegóły prowadzonych przez batalion operacji.

Porucznik pomyślał, że dzisiejsze spotkanie z Travisem powinno zostać przełożone. W związku ze wzmocnieniem sił niemieckich w mieście ryzyko wpadki wzrastało, i to wielokrotnie. Po raz kolejny przeklął narzucony przez Amerykanów termin spotkania.

- Czy wszyscy dowódcy mają dane o nieprzyjacielu?

- Pięć minut temu meldunki poszły do stanowiska dowodzenia Jamroza. Potwierdzał odbiór.

- Wiechecki?

- Wysłałem meldunek do ochrony Trávisa.
- Dobra. Połącz mnie z Jamrozem.

Walecki podeszedł do jednego ze stanowisk. Żołnierz z obsługi przerzucił dwa włączniki, wezwał umówionym kodem operatora po drugiej stronie i podał porucznikowi słuchawki z zawieszonym na wysięgniku mikrofonem.

- Bravo Jeden, zgłoś się - powiedział. Używali częstotliwości, na których podsłuchanie rozmowy pozostawało poza technicznym zasięgiem Niemców, toteż mogli pozwolić sobie na rozmowy otwartym tekstem. Wojtyński zdawał sobie co prawda sprawę, że dla Hahna pracuje były kapral wojsk łączności Stanisław Cupryś, który niewątpliwie sprzedawał nowym mocodawcom posiadaną wiedzę, ale z informacji zdobytych przez Stańczaka wynikało, że Niemcom nie udało się stworzyć systemu choćby o zbliżonych parametrach.

Po chwili porucznik usłyszał w słuchawce głos swojego zastępcy.

- Tu Bravo Jeden, zgłaszam się.
- Tu Alfa. Otrzymałeś meldunek o niemieckiej koncentracji?
- Tak jest.
- Jak sytuacja na mieście?
- To raczej demonstracja siły. Zareagowali zgodnie z oczekiwaniami.
- Możliwe. - Ściągnięcie posiłków i koncentracja Niemców w okolicy getta była częścią planu. Wkalkulowanym elementem. Ale nie było mowy o Woli i tej części Śródmieścia. - Czy jest bezpośrednie zagrożenie narady?
- I tak, i nie. Bravo Dwa i Trzy są już na stanowiskach i penetrują rejon. Na razie nie meldowały niczego nadzwyczajnego. Zarządziłem podwyższenie gotowości. Ale ryzyko jest, bo Niemcy są czujni i na coś czekają.
- Na atak Stroopa - mruknął porucznik do siebie. - Kwatera?
- Czysta. Nikt w nocy się nie kręcił. Za piętnaście minut wszyscy ludzie będą na stanowiskach.
- Myślę o odwołaniu operacji.
- Tak jak powiedziałem, ryzyko jest, ale jutro nie będzie lepiej, a może być gorzej. Pojutrze to samo. Ten facet nie będzie czekał w nieskończoność.

Wojtyński był zmuszony przyznać Jamrozowi rację. W końcu od dawna było wiadomo, że spotkanie z Travisem nastąpi właśnie tego dnia, data była ustalona kilka tygodni temu. Znana była także data niemieckiej akcji w getcie. Na razie wydarzenia toczyły się zgodnie z opracowanym scenariuszem. Teoretycznie.

- Echo? - To był kryptonim grupy porucznika Borka.
- Wyjechał z samego rana. Powinien się zameldować około dziewiątej.
- Dobrze. - Porucznik podjął decyzję. - Postępuj zgodnie z planem.

5

SS-Hauptsturmführer Alfred Spilker przechadzał się po swoim gabinecie. Wyczyszczone do połysku buty poskrzypywały cicho, dodając znaczący wkład do efektów dźwiękowych wytwarzanych przez rozeschnięte deski podłogi. Gospodarz nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Myślał o następnych posunięciach, a także o wczorajszym dniu, o nieoczekiwanej nominacji Stroopa na szefa SS i policji dystryktu oraz o nieoczekiwanej propozycji doktora Hahna dotyczącej pełnej współpracy w celu rozwiązania obecnego kryzysu, czy może raczej zadania. Tak, zadania, oto właściwe słowo, wszyscy zgodzili się, że słowo „kryzys” jest nietrafne, nie buduje zaufania, wywołuje natomiast negatywne skojarzenia, których zainteresowani chcieliby jak najstaranniej uniknąć.

Tak więc myślał o propozycji współpracy podjętej w celu rozwiązania zadania.

Pod wpływem impulsu, wiedziony złością i zawiedzionymi nadziejami, Spilker zgodził się. Od razu z gabinetu Hahna zadzwonił do swojego przełożonego, Obergruppenführera Krügera, zreferował zaistniałą sytuację i poprosił o wyrażenie zgody na czasowe połączenie sił z warszawskimi strukturami bezpieczeństwa. Ku swojemu zdziwieniu zgodę taką otrzymał.

Teraz, po upływie kilku godzin od tych wydarzeń, mając w głowie lekki szum od wypitej wczoraj brandy, nie mógł się zdecydować, czy była to dobra decyzja. Nie miał złudzeń, że Hahn, przebiegły lis, doskonale orientujący się w najlżejszych podmuchach wiatru na szczytach esesowskiej hierarchii, zwali na niego całą winę w razie porażki planowanych działań, a sobie - ewentualnie na spółkę z tym nadętym bufonem Stroopem, który jest za głupi, aby wymyślić jakąś bardziej skomplikowaną intrygę samodzielnie, ale do doklejenia się do cudzego zwycięstwa inteligencji starczy mu w sam raz - przypisze splendory w razie sukcesu. Mimo tych niedogodności chęć zadania ciosu Oddziałowi - bo Spilker nie miał wątpliwości, że uprowadzenie Örena było dziełem żołnierzy Oddziału - i zlikwidowanie znacznej części jego członków, a także, przy odrobinie szczęścia, jakiejś części infrastruktury, może produkcji broni czy magazynów, stanowiło cel, dla którego warto było poświęcić to i owo i zapłacić nawet wygórowaną cenę.

Zwłaszcza że poszukiwania Örena utknęły w martwym punkcie.

Hanemann, najlepszy wywiadowca Sonderkommando, właśnie zameldował, iż ruch wokół interesującego ich obiektu odbywa się normalnie, a zauważony wczoraj człowiek, ten człowiek, nie pojawił się. Im dłużej Hanemann przyglądał się okolicy i obiektowi, tym bardziej nabierał przekonania, że to jest właśnie to, czego szukają. W sumie ryzyko było niewielkie, nie większe niż podczas kilku ostatnich trafiających w pustkę nalotów. W razie gdyby okazało się, iż obserwowany obiekt jest czysty, to znaczy rzeczywiście produkuje to, co stoi w jego księgach handlowych i sumiennie realizowanych zamówieniach, będzie trochę zamieszania, wrzasku, świętego oburzenia i przekleństw, ale skończy się na paru skargach do gubernatora Warszawy, po czym sprawa przyschnie. Zaalarmowania Oddziału Spilker się nie bał. Zdawał sobie sprawę, że ma on swoich informatorów umieszczonych wewnątrz struktur i organizacji niemieckich oraz we wszystkich ważniejszych urzędach, toteż i tak ruchy Niemców są śledzone.

Jednak jeżeli uderzenie okaże się celne...

- Słuchaj, Hanemann - zwrócił się do stojącego na baczność wywiadowcy, pilnie obserwującego jego monotonny spacer.

- Tak jest. - O ile to możliwe, Scharführer wyprężył się jeszcze bardziej.

- Weźmiesz dwie kompanie wojska i policji oraz pluton saperów. Przydzielam ci też dwa samochody pancerne. Ugrupuj te siły w rozproszeniu, nie bliżej niż dwa kilometry od celu. Weź kapitana Zitzlera...

- Zeitzlera.

- Niech będzie, Zeitzlera. Ma doświadczenie, umie przeprowadzić tego typu akcję od strony wojskowej. Bo to będzie raczej operacja wojskowa, a nie policyjna, pamiętaj o tym. Nie daj się sprowokować, żadnych ruchów bez mojego wyraźnego rozkazu. Oni są czujni jak wiejskie kundle, więc macie sprawiać wrażenie znudzonych rutyną dekonników. Masz być gotów o dziesiątej, nie później, ale i nie wcześniej. Przyjadę i osobiście wydam rozkaz rozpoczęcia akcji.

- Tak jest, Herr Hauptsturmführer. A adres na Twardej?

- Nie martw się. Tym się również zajmujemy.

- Właśnie nadszedł rozkaz z Waszyngtonu, panie generale. - Mitchell na pierwszy rzut oka wyglądał kwitnąco, najwyraźniej pół butelki whisky i niemal bezsenna noc spędzona na dyskusjach z szefem dobrze wpłynęły na jego samopoczucie, zdrowie i kondycję intelektualną.

- Czytaj.

Pułkownik czytał równe półtorej minuty. Gdy skończył, a cisza zapadła w niewielkim pokoju, Travis pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie był tak zaskoczony.

Stroop spojrzał na swoich oficerów. Skończył właśnie referować główne założenia nowego planu Grossaktion, który jego zdaniem, choć może nie tylko jego, ponieważ wyglądało na to, że tę opinię podzielają również ci doświadczeni i odważni ludzie, miał wszelkie widoki na pomyślną realizację. Siły uderzeniowe zostały wzmocnione ponad dwukrotnie, Stroop zarządził podciągnięcie artylerii, w tym kilku prawdziwych siewców śmierci, mordercze, czterolufowe działka kalibru dwadzieścia milimetrów, a także wprowadzenie do walki zespołów saperów z miotaczami ognia, nowego czołgu oraz kilku samochodów pancernych. Chciał sprawić, by było naprawdę gorąco.

Generał był w świetnym humorze. Rozkaz Reichsführera spowodował, że ci ludzie słuchali rozkazów w należnym randze prelegenta skupieniu, traktując jako oficjalnego przełożonego i w widoczny sposób respektując jego autorytet. Dla takich dni warto żyć, i to pomimo wczorajszych przykrości oraz ogromnego, niełatwego zadania, które przed nim postawiono.

Odprawa miała się już ku końcowi, gdy drzwi wejściowe otworzyły się.

- O, witam pana, Hahn. Proszę, niech pan wejdzie - powiedział Stroop przyjaźnie

- Heil Hitler, Herr Brigadeführer - odparł służbiście szef policji.

- Dołączy pan do nas?

- Chciałbym zamienić słówko na osobności, o ile pan pozwoli.

Stroop zmarszczył brwi, ale po krótkiej chwili wahania skinął głową. Tak doświadczony funkcjonariusz i oddany członek partii jak doktor Hahn, człowiek bez dwóch zdań z głową na karku, z pewnością nie przerywałby narady dotyczącej ważkiego i złożonego problemu, gdyby nie miał naprawdę znaczącego powodu.

Przeszli do drugiego pomieszczenia i zamknęli za sobą drzwi.

- Hahn, co pan ma taką ponurą minę?

- Przeciwnie, panie generale, jestem w świetnym nastroju. - Gestapowiec uśmiechnął się, co jego nalanej twarzy przydało nieco łagodności. Rozumianej w specyficzny sposób. - Chciałbym prosić, aby pan przesunął termin rozpoczęcia akcji w getcie.

- Nie ma mowy. Wszystko już przygotowane. Ludzie właśnie udają się na stanowiska.

Hahn pochylił się ku Stroopowi i spojrzał mu prosto w oczy. Pachniał kosztowną wodą kolońską i wczorajszym alkoholem.

- Otrzymałem przed chwilą wiadomość od moich ludzi obserwujących lokal na Twardej - powiedział, starannie akcentując słowa. - Zauważyli wchodzącego w bramę niezwykle interesującego człowieka. Zdaje się, że mamy szansę złowić naprawdę grubą rybę, Herr Brigadeführer.

- Cóż to za połów? - zaciekawił się Strop.

Gdy Hahn wypowiedział nazwisko, Stroop w pierwszej chwili nie zrozumiał, ponieważ było dla niego pustym dźwiękiem. Gdy jednak szef policji wymienił funkcję, którą ten człowiek pełnił, jasna stała się także jego rola w bandyckim, terrorystycznym ruchu występującym przeciwko porządkowi prawnemu panującemu w Generalnym Gubernatorstwie i reprezentującym ten porządek przedstawicielom III Rzeszy.

Stroop aż gwizdnął.

Dzisiejszy dzień rysował doprawdy oszałamiające perspektywy.

- Jest pan pewien?

- Och, panie generale, z tymi ludźmi nie można być niczego pewnym. Tłumaczyłem to panu wczoraj. On zmienia wygląd, porusza się różnymi ścieżkami, ma obstawę. Jednak mój informator, który obserwuje przez lornetkę bramę wejściową do kamienicy, pod bardzo niewygodnym kątem co prawda, bo nie chcąc wzbudzać podejrzeń, zarekwirowaliśmy mieszkanie nie naprzeciwko, ale dwie kamienice dalej, twierdzi, że to na pewno ten człowiek. Ścigamy go od początku, od ponad trzech lat, i zawsze nam się wyślizgiwał. Zresztą po nim weszło w tę samą bramę kilku innych bardzo podejrzanych ludzi. Możliwe, że chodzi o jakieś spotkanie na najwyższym szczeblu.

- Co pan zatem proponuje?

- Po pierwsze, zgodnie z tym, co mówiłem panu wczoraj, stanowczo odradzam telefoniczny kontakt między nami. Mam silne podejrzenia, że jesteście podsłuchiwanie. Dlatego przyszedłem do pana osobiście. Po drugie, sugeruję skoordynowanie naszych działań. W getcie spotkamy się z kontrakcją Żydów i prawie na pewno bandytów z AK, którzy ich wspomagają. Nie wiemy, jak duża jest ta pomoc, ale sądząc z ruchu na mieście, może być znaczna. Zresztą wizyta pana wczorajszego gościa zdaje się to potwierdzać. Plan byłby więc taki, że pan ściągnie na siebie uwagę, natomiast ja oraz Hauptsturmführer Spilker przeprowadzimy jednoczesne uderzenia na wysledzone i zidentyfikowane obiekty. Myślę, że całą akcję pan, ja i Spilker możemy rozpocząć kwadrans po dziesiątej.

Stroop spojrział na zegarek.

- Za nieco ponad godzinę.

- Tak jest. Tyle powinno nam wystarczyć na dyskretne podciągnięcie sił.

Nowo mianowany dowódca SS i policji dystryktu warszawskiego zastanawiał się krótko, bo w tej sprawie wielki namysł nie był potrzebny. Opóźnienie o godzinę rozpoczęcia Grossaktion nie ma przecież wielkiego znaczenia, natomiast jeżeli Hahn ma rację... Potrójny sukces będzie przecież jego, Brigadeführera Stroopa, jako naczelnego dowódcy tych ludzi, sukcesem. Niczym innym. Oczyma duszy już widział łagodny i życzliwy uśmiech na twarzy Reichsführera, gdy usłyszy tak wspaniałe wieści.

- Dobrze, Hahn. Niech pan podciąga ludzi i to samo przekaże Spilkerowi. Zaczynamy punktualnie piętnaście po dziesiątej.

8

Zespół Bravo Dwa, czyli Wala i jej dziewczyny, na miejscu akcji stawili się w komplecie o ósmej rano. Pani porucznik zajęła miejsce na stanowisku dowodzenia, a wywiadowczynie natychmiast rozpoczęły patrolowanie rozległego terenu obejmującego rejon Twardej, Żelaznej, Grzybowskiej, placu Grzybowskiego, Pańskiej, a nawet fragmentu Marszałkowskiej. Panował poniedziałkowy, wzmożony ruch, przechodnie szybkim krokiem zmierzali ku swym codziennym sprawom, śmigały riksze, ciężko załadowane konne wozy posuwały się dostojnie, trąbiły auta niemieckich urzędników, a ciężarówki wzmagaly gwar i chaos.

Jedna z wywiadowczyń, stojąca na Marszałkowskiej u wylotu Królewskiej, zauważyła większy niż zwykle ruch Niemców. A właściwie, precyzyjnie rzecz ujmując, bezruch. Trzy ciężarówki, z wnętrza których dochodziły głosy licznych rozmów, stały zaparkowane na chodniku. Przed wozami palił papierosa za papierosem ubrany w połowy mundur Wehrmachtu oficer, najwyraźniej dowodzący tym oddziałem. Sam fakt przebywania Niemców w tym miejscu jeszcze o niczym nie świadczył, jednak dziewczyna z doświadczenia wiedziała, że widok frontowego wojska na ulicach Warszawy jest zjawiskiem dość rzadkim, a widok wojska gotowego do akcji świadczy o zagrożeniu już całkiem wyraźnie. Podczas szkolenia uczono ją zwracać uwagę na najmniejsze i nawet pozornie niewinne szczegóły i ta zasada kilkakrotnie w przeszłości okazywała się całkowicie słuszna. Przeszła zatem na drugą stronę ulicy, wsadziła rękę do kieszeni, nacisnęła niepozorny przycisk na niewielkim urządzeniu i złożyła precyzyjny meldunek wprost do ukrytego w rękawie płaszcza mikrofoniku.

Znajdującą się w centrum dowodzenia Bravo Dwa Wala odebrała informację, po czym spojrzała na rozpostarty przed nią plan Warszawy. Naniosła ołówkiem lokalizację niemieckiego oddziału. To już czwarty taki znaczek. Robiło się coraz bardziej interesująco. I niebezpiecznie.

Podnosiła właśnie mikrofon, gdy głośnik zatrzęszczał niewyraźnie.

- Bravo Dwa, zgłoś się - usłyszała głos Jamroza.
- Tu Bravo Dwa, zgłaszam się - odparła.
- Impreza się zaczęła.
- Przyjęłam.
- Coś nowego?
- Tak jest. Otrzymałam meldunki o pojawieniu się kilku zmotoryzowanych oddziałów policji i wojska w sile od czterdziestu do sześćdziesięciu ludzi każdy. Skoncentrowane są w okolicach - wymieniała ulice - i wyraźnie na coś czekają. Uważam, że powinniśmy zwinąć akcję i przenieść imprezę.
- Proponowałem. Nic z tego. Trzymamy się planu.
- Tak jest.
- Miej oczy otwarte.
- Mam.

9

- A więc powiadasz, Mario, że opiekujesz się młodszym bratem. - Zellman aż przymknął oczy z zadowolenia. Uzyskane przed chwilą informacje wprawiły go w ekstatyczny nastrój. Żadnych mężów, narzeczonych, absztyfikantów czy dobiegaczy. Żadnej konkurencji. Było to dziwne, bo dziewczyna była jak z obrazka, ale porucznik nie zastanawiał się nad tym. Im gorzej dla dobiegaczy, tym lepiej dla niego.

- Tak. Ma piętnaście lat. - Mieszała lurowatą ziołową herbatę łyżeczką i rzucała nerwowe spojrzenia dookoła. Mimo wszystko nie powinna tu być.

- I pewnie rwie się do boju, co? - Zellman mrugnął porozumiewawczo. - Marzą mu się bohaterskie czyny?
- Chce walczyć o Polskę. - Wzruszyła ramionami. - Jak my wszyscy.
- Oczywiście. - Porucznik już dawno przyzwyczał się, że takie stawianie sprawy, które w jego czasach wywołałoby uśmieszki politowania lub w najlepszym wypadku wzruszenie ramion, dla ludzi stąd jest czymś normalnym i naturalnym. Walka o Polskę, hm. - Zgadzam się. Wszyscy to robimy...

Maria kątem oka uchwyciła ruch za oknem. Poderwała głowę. Sylwetka przechodzącego człowieka była znajoma. Jego twarz widziała z profilu, i to przez ułamek sekundy, ale miała niezwykle rozwinięty zmysł obserwacji, pamięć i podparty wyszkoleniem refleks, więc skojarzenie przyszło natychmiast. Widziała tego człowieka wczoraj, gdy wyszedł z fabryki Stamm Werke, stanowiącej oficjalną fasadę Obiektu Numer Dwa. Potem rozmawiał z kimś, kto prawie na pewno był Niemcem, w każdym razie wyglądał i zachowywał się jak Niemiec.

W takie przypadki nauczono Marię nie wierzyć. Wstała gwałtownie, wywracając szklankę.

- Musimy iść. Teraz! - powiedziała szybko.

Zellman nawet nie zdążył zareagować, gdy na zewnątrz rozległ się ryk syren i grzmot samochodowych silników pracujących na pełnych obrotach.

10

Wywiadowczym zajmująca stanowisko na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej przycisnęła mikrofon do ust.

- Ruszyli - powiedziała szybko. Starła się nie okazywać zdenerwowania, ale była zdenerwowana. I to bardzo. Miała przecucie, nie, właściwie pewność, że sprawy skrzyły gwałtownie, i to w bardzo złym kierunku. - Jadą Królewską w stronę Twardej.

11

Powitanie zajęło nie więcej niż minutę, po czym wszyscy zasiedli za stołem. Tak jakby od wczoraj nic się nie zmieniło. Jednak już pierwsze słowa były dowodem na to, że zmieniło się, i to dość zasadniczo.

- Panowie, chciałbym zakomunikować, że nad ranem otrzymałem wiadomość od prezydenta Stanów Zjednoczonych. - Travis miał przekrwiony nos i sińce pod oczami, ale wyglądał całkiem rześko. Wczorajsza buta zniknęła niemal bez śladu. - Prezydent ustosunkował się do panów stanowiska i przedstawił swój punkt widzenia na omawiane zagadnienie. Polecił mi przekazać... - Zawahał się, jakby szukając w myślach odpowiednich słów.

Wszyscy zgromadzeni po drugiej stronie stołu oficerowie mimowolnie wstrzymali oddech. Za chwilę miało się okazać, czy wielomiesięczne wysiłki, żmudne rozmowy najpierw z własnym rządem, a później z przedstawicielami Amerykanów przyniosą tak bardzo oczekiwany i upragniony efekt. Czy wielka gra, do której zasiedli, przeniesie prawdziwą wygraną, czy, jak to już wielokrotnie w historii bywało, tylko złudne nadzieje, przedstawiane przez drugą stronę jako wielki sukces osiągnięty jednak za pomocą znaczonych kart.

- Alarm! - Wojtyński usłyszał w słuchawce głos Jamroza. Jeszcze nigdy porucznik nie był tak zdenerwowany. - Natychmiastowa ewakuacja!

Niemal równocześnie gdzieś z góry gruchnął strzał. Po nim następny. A potem wybuchła gwałtowna palba. Na górze. Na dole. I z boku.

Wszędzie. Zobaczył jak Travis błędnie gwałtownie, jak Mitchell zrywa się na równe nogi, wywracając krzesło, jak Gawronsky z wyrazem spokoju na twarzy sięga za pazuchę i wyjmuje bładosięgo, w sekundę gotowego do strzału colta.

Porucznik nawet nie poczuł, gdy w jego rękę pojawił się siedemnastostrzałowy glock.

12

SS-Brigadeführer Jürgen Stroop spojrzał na zegarek. Brakowało jeszcze tylko trzydziestu sekund, ale nie wydawał rozkazu. Uwielbiał precyzję, a punktualność uważał za podstawę porządku, Nowego Porządku. Tego wymagał zarówno od siebie, jak i od swoich podwładnych.

- Ruszamy - powiedział, gdy wskazówka sekundnika pokryła się idealnie z godziną dwunastą.
Był kwadrans po dziesiątej.

13

Zellman i Maria wypadli na ulicę w momencie, kiedy niemieckie ciężarówki z piskiem opon hamowały po obu stronach bramy wjazdowej do Obiektu Numer Dwa, odcinając ich od fabryki. Jednocześnie trzysta metrów dalej, w poprzek Obozowej, stanęła następna ciężarówka, z której wysypało się kilkunastu żołnierzy. Błyskawicznie rozłożyli na bruku dwa ciężkie karabiny maszynowe, amunicyjni założyli taśmy z nabojami, a celowniczywie położyli palce na spustach.

Z dwóch policyjnych opłi wyskoczyło kilku gestapowców. W ich rękach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiły się pistolety. Nieliczni przechodnie i okoliczni mieszkańcy, którzy wiedzeni niezawodnym, acz mocno spóźnionym instynktem, próbowali zniknąć w najbliższych bramach, zostali ustawieni twarzą do ściany z rękoma zaplecionymi na karkach.

Zellman i Maria znaleźli się na końcu długiego szeregu, o sto dwadzieścia metrów od głównego wejścia do zakładu.

14

Kamienica przy Twardej trzydzieści sześć została otoczona potrójnym pierścieniem.

Zewnętrzny, który tworzyły dwa bataliony policji wyposażone w ciężką broń piechoty, pełnił rolę taktycznego odwodu i zamykał ulice Żelazną, Grzybowską, Bagno i Chmielną.

Środkowy, w skład którego wchodził batalion piechoty Wehrmachtu, kompania SS oraz kompania policji pomocniczej, miał do dyspozycji, oprócz ciężkiej broni maszynowej, także cztery samochody pancerne i czołg, a zablokował ulice Złotą, Proszą, Twardą i Mariańską.

Wewnętrzny pierścień, przewidziany do bezpośredniej realizacji zadania, złożony był z sześciu grup szturmowych gestapo i SS, wspartych dwoma działkami przeciwlotniczymi kalibru dwadzieścia milimetrów oraz miotaczami płomieni. Hahn wydał rozkaz wzięcia zdobyczy w miarę możliwości żywcem, ale nie uczynił z tego najwyższego priorytetu. Gdyby znał pełny skład uczestników spotkania na Twardej, prawdopodobnie podjąłby inną decyzję. Nie miał jednak pełnych danych, jego informatorzy donieśli o pojawieniu się w tej kamienicy tylko Komendanta Głównego Armii Krajowej.

Schwytywanie go żywcem byłoby sukcesem na miarę operacyjną, jednak Hahn doszedł do wniosku, że również likwidacja będzie wielkim, gigantycznym ciosem zadaniem podziemnym strukturom bandyckiej organizacji, a ponieważ schwytywanie jest zawsze trudniejsze i bardziej ryzykowne od likwidacji, zalecił dowódcom grup szturmowych pewną elastyczność w tym zakresie. Ryba miała nie uciec z saka, po prostu. A czy zostanie w saku martwa, czy żywa, było sprawą drugorzędną.

Członkowie dwóch grup szturmowych, po dwunastu żołnierzy każda, część nocy i cały poranek spędzili na strychach domów sąsiadujących z interesującym ich obiektem. Tuż przed dziesiątą piętnaście cicho wyszli na dachy sąsiadujących kamienic i zaczęli się posuwać w stronę budynku Twarda trzydzieści sześć.

Żołnierze czterech pozostałych grup szturmowych wyszli z piwnic, w których przedrzemali niemal całą noc, i ruszyli biegiem również kilka chwil przed godziną zero. Mieli do przebycia nie więcej niż trzysta metrów i starali się zachowywać jak najciszej. Gdy wpadali na podwórko stanowiące cel uderzenia, z dachu, pięć pięter nad nimi, rozległ się pojedynczy strzał, a natychmiast po nim rozdzierający uszy krzyk. Po sekundzie padł następny strzał. Ciało upadło na beton podwórka z ohydny płuśnięciem.

Przez sekundę nie działo się nic.

Nagle na parterze otworzyły się okna jednego z mieszkań i na biegnących Niemców posypała się lawina ognia maszynowego, w mgnieniu oka przykrywając wrzaski przerażenia i wycie rannych apokaliptycznym, ogłuszającym, stłoczonym w wąskiej studni podwórka karabinowym staccato.

15

I tym razem powitała ich cisza. Kolumn było więcej niż za pierwszym razem, aż sześć. Szły szykiem rozproszonym, pod ścianami budynków, ubezpieczając się wzajemnie i mając przed sobą czołg oraz samochód pancerny, a za plecami przeciwnicze działko. Nacierający zdążyli przetruchtać może sto metrów, gdy za nimi, poza murem, w Bonifraterską skręciła zwykła wojskowa ciężarówka i zaczęła powoli jechać w stronę najbliższej bramy. Atakujące pododdziały nie miały o tym drobnym i nic nieznaczącym - na razie - fakcie pojęcia.

Stojący na Bonifraterskiej liczni, rekrutujący się przeważnie z szeregów służby pomocniczej żołnierze drugiego rzutu rozstępowali się niechętnie, patrząc na wyniosłego, nadętego oficera siedzącego w szoferce. Ciężarówka, poruszając się z prędkością nie większą niż dziesięć kilometrów na godzinę, minęła bramę wejściową i wolno potoczyła się dalej. Zajęci rozmową i opowiadaniem najnowszych dowcipów żołnierze nie zwrócili uwagi, że auto przejechało jeszcze pięćdziesiąt metrów i zatrzymało się, a plandeka zasłaniająca platformę ładunkową zaczęła się powoli podnosić. Jeżeli ktoś w ogóle miał czas i ochotę, by przyglądać się pojazdowi, mógł raczej oczekiwać, że za chwilę z paki zaczną zeskakiwać żołnierze wsparcia.

To był typowy samochód i typowa sytuacja. Słowem, rzecz niewarta uwagi.

Jednak zamiast żołnierzy w baniastych hełmach, z głębi platformy ładunkowej wynurzył się pysk pięciolufowego działka napędowego systemu Gatling o nazwie GAU-12 i kalibrze dwudziestu pięciu milimetrów. Potwór ten jest zdolny wystrzelić blisko pięćdziesiąt pocisków na sekundę, zamieniając dowolny, znajdujący się w jego polu widzenia obiekt - obojętnie, żywy czy nieożywiony - w nierozpoznawalne gołym okiem szczątki. Swego czasu broń ta podwieszona była pod każdym z czterech helikopterów Mi-24, stanowiących wyposażenie klucza śmigłowców bojowych wchodzących w skład batalionu. Po zakończeniu działań całe uzbrojenie zostało zdemontowane, by posłużyć do dalszej walki w nieco zmodyfikowany sposób. Na platformie zdobycznej wojskowej ciężarówki przykręcono solidną stalową płytę, zdolną poruszać się na szynach w przód i w tył. Specjalnie zaprojektowana podstawa zapewniała możliwość uzyskania dowolnego kąta ostrzału, a osłona z pięciomilimetrowej blachy dawała strzelcowi względne zabezpieczenie przed pociskami karabinowymi. Za działkiem znajdował się benzynowy agregat wytwarzający energię elektryczną konieczną do zasilania silnika obracającego lufy. Zapas przewożonej na ciężarówce amunicji wynosił trzy tysiące sztuk.

Operator broni kciukiem przesunął dźwigenkę zabezpieczającą, złapał za tylce i zamarł w gotowości, jakby czekając na sygnał.

Niemal w tym samym momencie złowieszcza cisza wewnątrz murów została rozdarta na strzępy huraganową nawałą ogniową, siłą rzeczy przyciągając uwagę stojących na Bonifraterskiej żołnierzy. To już nie była pistoletowa palba wspierana z rzadka karabinowymi strzałami. To był gwałtowny, skoncentrowany ogień, mający swe źródło w licznych punktach znajdujących się na wielu poziomach - piwnic, parterów, wyższych pięter, strychów - prowadzony w dużej mierze z ciężkiej broni piechoty. Posuwające się w głąb getta kolumny zaatakowane zostały ze wszystkich stron, od przodu, z boków i od tyłu. Umieszczeni na dachach snajperzy mieli za zadanie rozprawić się z dowodzącymi poszczególnymi oddziałami oficerami i do pracy przyłożyli się sumiennie. Po kilku minutach natarcie zostało pozbawione trzech czwartych kadry dowódczej. Wybito załogi

działek przeciwlotniczych, czołg i samochody pancerne obrzucone zostały granatami przeciwpancernymi i ostrzelane z granatników. Niemcy szybko zorientowali się, że jest rzeczą niemal niemożliwą dokładne ustalenie źródeł ognia. Wybuchał gwałtownie w kilku miejscach naraz, był prowadzony przez kilkadziesiąt ciągnących się w nieskończoność sekund, z których każda była krzykiem śmierci, po czym gasł równie gwałtownie, jak się zaczął. Powstańcze grupy bojowe zmieniały stanowiska i taniec rozpoczynał się od nowa. Żydowscy bojownicy znali teren jak własną kieszeń, a ludzie Dużego mieli czas, by wyznaczyć i przygotować punkty oporu oraz skoordynować działania.

Dym, ogień, krzyki, smród palonych ciał, jęki rannych, wołanie o pomoc, wykrzykiwane wściekle rozkazy pozostałych przy życiu dowódców potęgowały chaos i powodowały, że dowodzenie po stronie niemieckiej w zasadzie ustało.

SS-Brigadeführer Stroop, posuwający się wraz ze swoim sztabem za jedną z kolumn, osłaniany był przez trzydziestu ludzi z bronią gotową do strzału, bez wyjątku wiernych narodowych socjalistów i znakomitych, nieustraszonych strzelców. Gdy spadł na nich gwałtowny ogień, który zdawał się razić ze wszystkich stron, generał w pierwszej, pełnej grozy chwili stracił głowę. Łączność urwała się, widoczność spadła do zera, niemal nie sposób było oddychać w kłębach gryzącego, parzącego płuca dymu. Krztusząc się i kaszląc, próbował opanować sytuację, ale gdy jeden z jego ludzi szarpnął go za rękę i pociągnął za sobą, nie protestował. W pierwszym momencie nie chciało mu się pomieścić w głowie, że ucieka, że robi mniej więcej to samo, co ten tłusty Tyrolczyk von Sammern-Frankenegg, ale po sekundzie doszedł do wniosku, że być może rzeczywiście jest to najlepsze wyjście.

Jednym z priorytetów na polu walki jest zachowanie ciągłości dowodzenia, a więc zachowanie dowódcy przy życiu, aby mógł podejmować decyzje w dalszych fazach operacji. Toteż biegł dziarsko, tym szybciej, że wraz z oddalaniem się od epicentrum walki dym rzedł, a powietrze stawało się normalniejsze. Zmęczony i zdezorientowany wybiegł z bramy getta wraz ze swoimi ludźmi dokładnie w momencie, gdy lufy wyprodukowanego w dwa tysiące czwartym roku w zakładach General Electric działa zaczęły się z upiornym hałasem obracać, by po chwili bluznąć ogniem.

Żołnierze stłoczeni w wąskiej przestrzeni między murem getta a fasadami stojących wzdłuż Bonifraterskiej kamienic, przede wszystkim ci stojący w pobliżu bramy, nie dalej niż siedemdziesiąt metrów od ciężarówki, nawet nie zdążyli się zorientować, co się tak naprawdę stało. Najpierw usłyszeli dziwny wizg, podobny do dźwięku wydawanego przez gigantyczną wiertarkę, po czym niemal natychmiast zostali uderzeni stalową, eksplodującą pięścią i padli na ziemię bez życia, obficie zlewając warszawski bruk krwią tryskającą z urwanych kończyn i głów. Ci stojący dalej zaczęli cofać się w panice, pędzeni niebotycznym, podnoszącym włosy na głowie strachem. Rzucali broń i biegli, gdzie oczy poniosą, szybciej niż kiedykolwiek zdołaliby biec. Jednak ciężkie pociski na przebycie stu czy nawet dwustu metrów potrzebowały zaledwie małego ułamka sekundy, toteż ucieczka była czysto odruchowym, nic niewartym przedsięwzięciem. Mur i frontony domów ubarwiły się na czerwono, wrzaski rannych wypełniły przestrzeń, niekiedy nawet górując nad strzelaniną. Działko wyło niczym upiorny, nadludzki motocykl na najwyższych obrotach, stalowa struga zdawała się nie mieć końca.

Przyciśnięty do muru przez spanikowany tłum Stroop widział wszystko bardzo dokładnie, cała ta nieprawdopodobna scena rozgrywała się tuż przed jego nosem. Miał wrażenie, że jest gościem w teatrze, który zasiadł w pierwszym rzędzie i doskonale widzi i słyszy to wszystko, co się dzieje tuż przed nim na scenie. Poczul się tak, jakby cała sprawa go nie dotyczyła, jakby dookoła nie padali jego ludzie, jakby strzępy ciał nie

frwały w powietrzu, ochlapując go krwią i wywracając na nice nienaganną elegancję munduru. To nie mogła być prawda.

A jednak była. Operator działa poluzował chwyt na tyłcach i ogień umilkł. Nad pobojowiskiem stał dym i kurz, opar śmierci zacisnął swe szpony na gardłach tych, którym dane było przeżyć. Plandeka opadła powoli, silnik ryknął i ciężarówka zaczęła oddalać się z pola bitwy. Po chwili skręciła w Świętojerską i zniknęła.

Wewnątrz murów trwała gwałtowna bitwa. Stroop z przeraźliwą, zaskakującą przytomnością umysłu uświadomił sobie, że podczas pandemonium, którego przed chwilą był świadkiem, stracił poczucie czasu i kierunku, ale nie stracił możliwości rejestracji wydarzeń. Uwolniona od zewnętrznego akompaniamentu, walka wybuchła jakby ze zdwojoną siłą.

16

Podporucznik Stefan Majewski, zastępca dowódcy ochrony Obiektu Numer Dwa, był wściekły od samego rana. Tak naprawdę był zły już od kilku dni, ale dziś rano miarka się przebrała. Zellman, jego, pożał się Boże, dowódca, coraz wyraźniej nie dawał sobie rady z dowodzeniem, coraz więcej rzeczy zostawiając swojemu biegowi i o coraz większej ilości rzeczy zapominając. Majewski szybko odgadł przyczynę - Maria! - ale to nie zmieniało sytuacji ani o jotę. Podporucznik zastanawiał się nawet, czy nie wystąpić do Wojtyńskiego o zmianę dowódcy plutonu przed końcem tury, ale głęboko zakodowane poczucie lojalności i niechęć do donoszenia - bo przecież musiałby jakoś uzasadnić swój wniosek, więc w jego własnych oczach byłby to donos, bez dwóch zdań - sprawiły, że wahał się, nie mógł podjąć decyzji, aż w końcu nadszedł dzisiejszy dzień i decyzja podjęła się sama. Już od rana nie szła im współpraca. Obaj byli przy radiostacji, gdy nadszedł rozkaz wzmożonego pogotowia. Majewski wiedział, że takie rozkazy nigdy nie miały miejsca bez istotnego powodu, więc oczekiwał, że Zellman zarządzi pogotowie, każe mieć uszy i oczy otwarte i wyśle w teren dodatkowe patrole wywiadowcze. Nic z tego.

Owszem, pogotowie zarządzono, ale o patrolach nie było mowy, a niedługo potem porucznik oświadczył, że musi wyskoczyć na pół godzinki i „no wiesz, jak jest, Stefan, zastąpisz mnie”.

Majewski zareagował ostro, ale Zellman machnął tylko ręką, poszedł do siebie, a po chwili rzeczywiście wyszedł poza teren zakładu i zniknął w głębi ulicy. Majewski wściekł się, ale, paradoksalnie, jednocześnie odetchnął z ulgą. Mógł zarządzić pogotowie po swojemu, toteż już w kilka minut później wszyscy żołnierze byli na stanowiskach, a dwie dziewczyny od Marii, do tej pory popijające herbatkę w kantorku i paplające o niczym - w tym względzie, w opinii podporucznika, młode dziewczyny z roku czterdziestego trzeciego nie różniły się zbyt od tych z Roku Startu - wygonił na ulicę. Był właśnie w połowie drogi do pomieszczenia radiostacji - rozkaz o ogłoszeniu pogotowia nie dawał mu spokoju, chciał dowiedzieć się więcej, czy na przykład dowództwo batalionu ma na myśli jakieś konkretne zagrożenie obiektu - gdy w tkwiącej w uchu słuchawce rozległ się krzyk obserwatora.

Podporucznik ruszył biegiem, klnąc, na czym świat stoi. Ryk silników i pisk opon hamujących gwałtownie samochodów zastał go już w pomieszczeniu radiostacji, gdy próbował rozplątać gordyjski węzeł krzyżujących się w powietrzu meldunków. Pierwszy rozkaz wydał dokładnie w momencie, gdy umieszczona pod dachem fabryki i mająca rozległe pole ostrzału trzydziestomilimetrowa armata automatyczna rozwrzeszczała się ochrypłą serią.

Procedura postępowania w sytuacjach zagrożenia była starannie opracowana i ciągle, w ramach zdobywania nowych doświadczeń, modyfikowana. Przewidywała różne warianty rozwoju sytuacji. Jeden z nich,

ograniczony, zakładał wpuszczenie Niemców na teren zakładu i zezwolenie na przeprowadzenie kontroli. Punktem wyjścia tego wariantu była perfekcyjna precyzja kamuflażu, a oczekiwanym rezultatem oszukanie Niemców i uniknięcie walki.

Majewski w ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z wariantem drugim, prostym jak żołnierska myśl: krótkotrwała obrona przy użyciu wszelkich stojących do dyspozycji środków i ewakuacja zakładu. Napływające meldunki ukazywały obraz całkowicie jednoznaczny: niemieckie siły liczą co najmniej tysiąc żołnierzy i policjantów, uderzenie jest przemyślane i z pewnością wykonane nie na ślepo. Niemcy wiedzą, po co idą, i nie zadowolą się żadnymi połowicznymi rezultatami. Być może nie wiedzą konkretnie, czego mogą się spodziewać i co ich czeka - na to bardzo Majewski liczył - ale mają na tyle uzasadnione podejrzenia co do Obiektu Numer Dwa, że zapewnili sobie robiącą wrażenie przewagę liczebną i czynnik zaskoczenia.

Obroncy Obiektu Numer Dwa zareagowali zgodnie z wyszkolonymi odruchami. Gdy podjechały pod mur fabryki pierwsze ciężarówki z wojskiem, dowódca punktu ogniowego stanowiącego główny bastion obrony jeszcze przez chwilę się wahał. Ale gdy zobaczył w dalszej perspektywie następne dwie setki żołnierzy, wahać się przestał i spokojnym głosem wydał rozkaz dwuosobowej obsłudze trzydziestomilimetrowej armaty automatycznej ATM Mk 44 wyprodukowanej przez amerykańską firmę Bushmaster, a będącej swego czasu głównym uzbrojeniem kołowego transportera opancerzonego rosomak. Zamontowana w obrotowej wieży trzymetrowa lufa przesunęła się odrobinę i pierwsza krótka seria w towarzystwie wierzącego uszy terkotu poleciała w stronę nieprzyjaciela. Przeciwpancerne pociski rozszarpały najbliższą ciężarówkę na strzępy, błyskawicznie zamieniając ją w płonący wrak.

Celowniczy czym prędzej przeniósł ogień na następny samochód, w myślach przyspieszając działko i modląc się, by Niemcy nie zdążyli wyskoczyć. Modlitwa być może została wysłuchana, bo tylko kilku żołnierzom udało się znaleźć na ulicy, zanim i ten samochód zapłonął przy akompaniamencie głośniego wybuchu.

Do armaty dołączyło kilka innych, lżejszych maszynek z następnych punktów ogniowych rozmieszczonych ponad murem fabryki, na pierwszym piętrze budynku biurowego lub na zamaskowanej platformie umieszczonej na wiekowym dębie królującym pośrodku podwórka.

Również w murze, nad wyraz solidnym i grubym, uchyliły się niewidoczne na pierwszy rzut oka ambrazury, z których otworzyli ogień strzelcy wyborowi. Stojący przy oknie jednego z mieszkań na drugim piętrze usytuowanej czterysta metrów dalej kamienicy obserwator, wyposażony w lornetkę, laserowy dalmierz oraz środki łączności, wypowiedział do krótkofalówki kilka komunikatów i po chwili gdzieś w głębi obiektu stęknęła podwójna salwa moździerzowa. Kilka sekund później dubeltowa eksplozja targnęła powietrzem, rozpryskując po ścianach kamienic i bruku ulicznym pluton saperów Wehrmachtu szykujący się właśnie do podłożenia ładunków wybuchowych pod część muru okalającego fabrykę.

- Pilnuj - rzucił Majewski radiotelegraficznie.

- Pewnie, że będę pilnował - wrzasnął żołnierz, wściekły i przerażony. Złapał stojącego pod ścianą beryla. - Będę tu pilnował do samego końca. Mojego albo ich. I przysięgam, że zginę z honorem. W tym zawsze byłem najlepszy.

Majewski nie miał ani czasu, ani ochoty na dyskusję, choć właściwie powinien zareagować, widząc, że żołnierz - weteran Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego - jest na skraju załamania nerwowego. Ostatnio coraz więcej jego ludzi, ludzi stamtąd, zaczęło zdradzać podobne objawy.

- Trzymaj się - powiedział tylko, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

Spojrzał na łącznościowca jeszcze raz, na poły błagalnie, na poły pocieszająco i wypadł z pomieszczenia radiostacji. Pobiegł do głównego budynku fabrycznego. Procedura przewidywała, iż w pierwszej kolejności powinni być ewakuowani fachowcy z zespołu produkcyjnego. W drzwiach zderzył się z bladym jak kreda głównym inżynierem. Wrzasnął szybko dwa słowa rozkazu i pobiegł w głąb kompleksu. Po paru krokach odwrócił się. Główny inżynier zareagował jednak, bo wrzeszczał właśnie co sił w płucach, usiłując przekrzyczeć coraz gwałtowniejszą strzelaninę.

Majewski wyczuł, że do walki włączyły się granatniki, wydawało mu się także, że z zewnątrz słyszy podzwanianie gąsienic. Nieprzyjacielski ogień wyraźnie nabierał mocy. Niemcy zdołali ochłonąć i zapewne wprowadzali do walki nowe siły.

Szarpnął drzwi do piwnicy. Zbiegł po schodach. Przeszedł kilka brudnych i słabo oświetlonych pomieszczeń. Otworzył zamaskowane stalowe drzwi. Kryjący się za nimi, mający prawie osiemset metrów korytarz prowadził daleko poza mury zakładu i pozostawiał nadzieję, że uda się wyjść poza pierścień okrażenia. Na początku korytarza znajdowała się niewielka wnęka, w której zmagazynowano pewną ilość broni - kilkanaście pistoletów, kilka pistoletów maszynowych, a także niewielką ilość granatów - pozwalającą uzbroić część ewakuowanych osób. Toteż spływająca do piwnicy załoga, licząca niemal czterdziestu ludzi, choć ugiwała się od zapasów i co cenniejszych części maszyn, pobierała broń i rozpoczynała podziemną ewakuację, schodząc w głąb słabo oświetlonego korytarza. Na wielu twarzach malowały się strach i zwątpienie, część ludzi po prostu się bała. Majewski doskonale to rozumiał, ale nie miał czasu ani ochoty na okazywanie współczucia. Jego zadanie polegało na możliwie bezpiecznym wyprowadzeniu tych ludzi i z tego starał się wywiązać.

Niemal na końcu zjawiał się pokryty ceglanym pyłem sierżant Kołbasiuk, jedyny oprócz Majewskiego żołnierz w tym towarzystwie. Miał ochraniać techników i pomóc w ewakuacji. Widząc, że raczej już nikogo nie brakuje, Majewski klepnął Kołbasiuka w ramię i pognął na górę, prosto w coraz gwałtowniejszy bitewny zgiełk.

17

- Niech pan strzeli - powiedział Wojtyński do Roweckiego niemal pół roku wcześniej. - No proszę, śmiało. Dwa strzały prosto w pierś.

Grot kręcił głową z niedowierzaniem, wahał się i nie mógł podjąć decyzji. Strzelił odruchowo, gdy Wojtyński nieoczekiwanie runął na niego z głośnym wrzaskiem. Dziewięciomilimetrowe pociski przebiły marynarkę nieco ponad mostkiem. Porucznik wyrzucił się na plecy i uderzył głową o dywan. Przez chwilę nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje, ale po niedługim czasie pełna świadomość wróciła. Wstał, stękając. Z pewnym zainteresowaniem zastanawiał się, czy nie ma złamanego zebra. Po namyśle doszedł do wniosku, że raczej nie.

Z niejakim trudem rozpiął marynarkę, pomanipulował przez chwilę za plecami, po czym zdjął z siebie ciężką amerykańską kamizelkę kuloodporną. Uniósł ją, by zademonstrować zebranym dwie rozpląszczone kule wbite w kevlar.

- Nic panu nie jest? - Rowecki chyba się trochę przestraszył, bo przemówił dopiero teraz. Nadal nie wierzył w zapewnienia Wojtyńskiego, że próba jest całkowicie bezpieczna. Na kamizelkę spojrzał przelotnie, po sekundzie przeniósł wzrok z powrotem na porucznika.

- Nie. Właśnie dlatego chciałem, aby pan to zrobił, panie generale. Aby pan na własne oczy przekonał się, że te kamizelki to nie tylko niewygodna i utrata pewnej swobody ruchów. To przede wszystkim bezpieczeństwo. Kuli karabinowej może i nie zatrzyma, ale pistoletową jak najbardziej, co może ocalić panu życie. W każdym razie bardzo zwiększa szanse. Zatem nalegam, aby pan tej kamizelki używał w razie potrzeby.

Grot już się nie wahał.

- Zgoda. - Wyciągnął rękę do porucznika. - I bardzo przepraszam.

Wojtyński błogosławił się w duchu, że zdecydował się wtedy na taką próbę. Teraz, w sytuacji prawdziwego i nadciągającego z szybkością burzy piaskowej niebezpieczeństwa, uniknął zbędnych dyskusji. Wszyscy trzej polscy oficerowie bez protestu i w pośpiechu włożyli wyciągnięte z szafy kamizelki. Czwartą porucznik rzucił Travisowi.

Generał zdziwił się, ale zrozumiał, że naprawdę nie ma czasu na protesty czy pytania.

Zrozumiał, że musi zaufać tym ludziom, zdać się na ich rozeznanie sytuacji i doświadczenie bojowe. Niezgrabnie włożył więc kamizelkę wprost na marynarkę. Wojtyński w tym czasie otworzył ukrytą w podłodze klapę i wyciągnął ze schowka pistolety maszynowe oraz granaty.

Grupa liczyła siedmiu ludzi, należało założyć, że wszyscy oficerowie umieją strzelać - co do Gawronsky'ego nie było wątpliwości, wystarczyło spojrzeć, w jaki sposób chwycił i zarepetował broń - więc potencjalnie mieli poważną siłę ognia. Jednak wdawanie się w walkę Wojtyński oczywiście traktował jako ostateczność. Jego głównym zadaniem było bezpieczne wyprowadzenie tych ludzi z kotła, ukrycie ich i przeczekanie normalnej w takich razach wzmożonej aktywności Niemców. Nie miał jeszcze pełnego obrazu sytuacji, nie wiedział, co się stało ani z jakiej przyczyny, ale doświadczenie podpowiadało mu, że to nie żaden przypadkowy zbieg okoliczności, tylko starannie i fachowo założony kocioł. Trzeba było, kurwa mać, jednak przenieść tę naradę, pomyślał, upychając po kieszeniach zapasowe magazynki i granaty i słuchając jednocześnie meldunków spływających od Jamroza.

- Które wyjście? - zapytał, gdy porucznik przerwał na moment.

- Dach odpada. - Usłyszał przerywany strzelaniną głos. Zmotoryzowany punkt dowodzenia poruszał się, próbując nie wpaść w łapy Niemców, a jednocześnie być możliwie blisko bitwy. - Snajperzy powstrzymali pierwszy atak, ale przejście zablokowane. Podwórko na Twardą też. Ochrona powstrzymała pierwszą falę, ale długo nie wytrzyma.

- Śliska?

- Odpada.

- A co nie odpada?

- Nic.

- Szlag... - Porucznik miał ochotę kląć dalej, ale powstrzymał się, napotkawszy zatroskany wzrok Roweckiego. Zastanawiał się przez chwilę. Kiedyś rozgrywał w głowie właśnie taki wariant, wariant okrążenia totalnego. - Posłuchaj, zrobimy tak... - Mówił szybko do mikrofonu przez pół minuty. Jamróż nie uznał tego planu za rokujący wielkie nadzieje na sukces, ale najprawdopodobniej planu rokującego wielkie nadzieje na sukces nie było w ogóle, toteż nie protestował.

Rowecki, przysłuchujący się uważnie tej wymianie zdań, kiwnął głową.

- Panie generale... - zaczął Wojtyński.

- Dobry plan, panie poruczniku. Ryzykowny, ale dobry. Gwarancji nie ma i być nie może. Niech pan się nie martwi. Proszę objąć dowodzenie. My się podporządkujemy.

Wojtyński pomyślał, że to trochę niesamowite, ale błyskawicznie uznał słuszność decyzji Naczelnego Dowódcy Armii Krajowej.

- W takim razie proszę sekundę zaczekać - rzucił przez ramię.

Ostrożnie uchylił drzwi stanowiące jedno z tylnych wejść do fortecy.

Na schodach prowadzących na górne piętro nie było nikogo. Na dole słychać było strzały, bezpośrednia ochrona narady zajmująca dwa mieszkania na parterze prowadziła walkę pozycyjną. Gwałtowna palba to przybierała na sile, to słabła, zachowywała jednak pewną regularność. Obrońcy trzymali się na nogach i stawiali opór, możliwe więc, że jeszcze przez jakiś czas nie wpuszczą Niemców na górne piętra.

Czas. Czas był kluczem.

- Droga wolna - powiedział porucznik. - Ale jeszcze chwilę.

Cofnął się i biegiem ruszył w głąb mieszkania. Otworzył jedną z szaf, uchylił zamaskowaną szufladę i obrócił włącznik umieszczony na wieku niewielkiego urządzenia. Zapaliła się zielona lampka, wskazująca, że mechanizm został aktywowany.

Zatrzasnął szufladę i szybko wrócił do towarzyszy. Czekali na niego. Znowu ostrożnie wychylił się na korytarz, pusty tak samo jak minutę temu. Ostrożnie wyszedł na podest i zaczął wchodzić na trzecie piętro, celując lufą w górę. Spojrzał na Gawronsky'ego i oczyma pokazał w dół. Tamten bez słowa skinął głową i od tej pory posuwał się na końcu kolumny, stanowiąc jej tylną straż. Za Wojtyńskim szedł Bór, po nim Grzegorz, następnie Rowecki, Travis i Mitchell pewną dłonią ściskający stena, ale bladocią oblicza konkurujący z bielą ścian klatki schodowej.

Bez przeszkód wspięli się na trzecie piętro. Kanonada na dole tłumiała kroki i nie zmuszała do cichego poruszania się, wręcz dodawała skrzydeł. Szybkim krokiem weszli na czwarte piętro.

Wojtyński pokazał gestem, aby zatrzymali się na chwilę, a sam podszedł do drewnianych drzwi broniących wejścia na strych. Kłódka już wcześniej została otwarta przez jednego z jego ludzi, teraz wystarczyło tylko zdjąć ją ze skobla. Drzwi skrzypnęły cicho. Wionęło zza nich praniem i stęchlizną. Na strychu panował półmrok. Porucznik rozejrzał się szybko, łowiąc odgłosy, starając się oddzielić barierą od strzelaniny na dole. Pusto. Można by rzec, cisza i spokój.

- Tu Alfa. Czy snajper jest jeszcze na stanowisku? - powiedział cicho do mikrofonu.

W słuchawce zatrzeszczało, ale nie doczekał się odpowiedzi.

- Bravo Jeden, zgłoś się. Słyszysz mnie?

Cisza. I trzaski.

18

Serie skosiły wszystkich po równo: stojących na ulicy gestapowców, esesmanów, granatowych policjantów, a także ustawionych w długim szeregu twarzą do ściany okolicznych mieszkańców i przypadkowych przechodniów. Skłębiony i rozedrgany tłum położył się na bruku pokotem, nie bacząc, kto jeszcze żyje, kto został ranny, a kto skonał z urwaną głową lub rozerwanym tułowiem.

Pociski z wyciem przeszywały powietrze, krzeszały iskry o kocie łby, były wszędzie.

Maria i Zellman stali gdzieś na końcu szeregu, toteż szereg oddał życie, ale zdołał ich osłonić. Upadli, przywaleni ciałami, ale oboje po chwili zorientowali się, że nie dość, że żyją, to być może - nie było to pewne w ogólnym zamieszaniu i chaosie - nawet nic im nie jest. Maria zareagowała zdecydowanie szybciej od Zellmana. Wystawiła głowę ponad leżące wokół ciała. Pilnujący ich gestapowcy zniknęli, zrównani w cierpieniu z niedoszłymi ofiarami. Gdy strzelanina nieco osłabła, a może tylko jej się wydawało, że osłabła, szarpnęła Zellmana za rękę, postawiła na nogi i drugim szarpnięciem zmusiła do pochylonego nisko nad ziemią biegu. Sprint był krótki, najwyżej dwudziestometrowy. Stojący dalej Niemcy, których nie zdążyły powalić serie

obrońców, zaczęli prowadzić ogień w stronę fabryki, jednak na gwałtowną ucieczkę dwójki cywili nie zdążyli zareagować. Może zresztą nie chcieli, mając poważniejsze sprawy na głowie.

Toteż dziewczyna, ciągnąc porucznika za rękę, wpadła w bramę najbliższej kamienicy niedrażnięta ani przez nieprzyjaciół, ani przez przyjaciół, a po kilku następnych krokach wyprostowała się. Zdążyła pomyśleć, że ten fatalny poranek może się jednak skończyć dobrze, to znaczy ogólnie skończy się fatalnie i tragicznie, nie miała wątpliwości, krótki, ukradkowy rzut oka na ulicę, zanim jeszcze zaczęła się strzelanina, uzmysłowił jej, że nalot niemiecki jest bardzo starannie zaplanowany i wystarczająco silny, by pokonać ochronę fabryki, ale dla niej osobiście być może skończy się dobrze, po prostu ocali życie, tak jak wielokrotnie przedtem.

W tym momencie wbiegła na podwórko. I zobaczyła Niemców.

Co najmniej dziesięciu. Tak jak uciekinierzy szukali osłony przed ostrzałem.

Nie oglądając się na Zellmana, nie zastanawiając się nad szansami ani możliwościami ucieczki, płynnym ruchem wyszarpnęła z kieszeni letniego płaszczyka visa - doskonały, ciężki, przedwojenny pistolet polskiej produkcji - i niemal nie celując, posłała najbliższego esesmana na ziemię. Przeniosła ogień na sąsiada, vis czekał miarowo, celnie. Gdy pierwszy szok minął, a jej skończyły się naboje, odezwał się pistolet porucznika. Przynajmniej był na tyle przytomny, żeby zabrać ze sobą broń, dobre i to, pomyślała. Niemcy odpowiedzieli ogniem, o dziwo początkowo niecelnym, co pozwoliło dziewczynie zmienić magazynek i czterema strzałami posłać do diabła dwóch następnych członków komanda. Poczuła, że coś ją uderzyło w bok, ale nie czuła bólu. Zellman szarpnął ją za kołnierz i niemal wlokąc za sobą, wrzucił w najbliższą klatkę schodową, cuchnącą kocim moczem i strachem. Gdy już wydawało się, że wylądowali bezpiecznie za osłoną solidnego, na dwie cegły grubego muru, poczuła uderzenie w klatkę piersiową. Tym razem ból się pojawił, ale jakiś tępy, gorący i niezbyt dolegliwy. Nie zdawała sobie sprawy, że gdyby nie hucząca w żyłach adrenalina, tchu w piersiach by jej nie starczyło, aby wykrzyczeć cierpienie.

Teraz jednak chciało jej się tylko spać, jednocześnie wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Zellman ciągnął ją nadal za kołnierz w górę schodów, drugą ręką ostrzeliwując się goniącym ich Niemcom. Słyszała łomot podkutych butów, gęstniejącą pistoletową i karabinową palbę, ktoś klął głośno po polsku, gdzieś na wyższym piętrze jakieś dziecko zanosło się cienkim, wwiercającym się w bębenki płaczem.

Z dołu sypnęły się strzały. Maria poczuła, że uchwyt porucznika słabnie, jakoś tak jęknął głucho, strzelił jeszcze raz - w ścianę, widziała to wyraźnie, najprawdopodobniej osłabłe mięśnie nie były w stanie utrzymać prawidłowej linii celowania i to już był raczej ich oporu etap ostatni. A może przedostatni.

Gdy Niemcy podeszli do nich, ostrożnie wysuwając lufy do przodu, gotowi otworzyć ogień nawet pod najbardziej blahym pretekstem, Maria właśnie skończyła się modlić, a trzymana głęboko w kieszeni, śliska od potu i krwi dłoń, poluzowała uchwyt. Metalowa łyżka szczęknęła o karbowane jajo, Maria otworzyła oczy, mając w polu widzenia przystojną twarz leżącego obok porucznika.

Był naprawdę miły, pomyślała, po czym eksplozja granatu zakończyła wszystko.

19

- Herr Brigadeführer, Herr Brigadeführer, nic panu nie jest? - Zatroškany żołnierz gotów był potrząsać Stroopem, wręcz szarpać za rękaw, ale jednak trochę się bał, uważał także, że może raczej tak nie wypada. Generał po jakimś czasie ocknął się sam.

- W porządku, Rottenführer - powiedział, uzmysławiając sobie, jak głośno krzyczą ranni. - W porządku. Jak sytuacja? - Wskazał głową na drugą stronę muru. Mundur, całkowicie przesiąknięty krwią, oblepiał jego ciało niczym oślizgły wąż.

- Major Sternhagel kazał przekazać panu generałowi, że opanował sytuację i mimo strat posuwa się do przodu. Na swoją odpowiedzialność rozkazał podpalać domy. Wykurzyliśmy z piwnic i strychów ze dwustu Żydów.

- Bardzo dobrze. - Stroop oprzytomniał. Może jeszcze nie wszystko stracone.

Sternhagel, przydzielony z Wehrmachtu oficer z doświadczeniem frontowym, miał głowę na karku, stalowe nerwy i kompetencje na najwyższym poziomie. - Biegnijcie powiedzieć majorowi, że akceptuję jego decyzję, ale musi zachować maksymalną ostrożność. Żadnych dalszych strat. Niech mi przyśle jedną drużynę do ochrony. Chcę być blisko działań.

- Tak jest, Herr Brigadeführer. - Kapral wyprężył się, stuknął obcasami i pobiegł w stronę rozlewającej się coraz szerzej kanonady.

Na Bonifraterskiej i Franciszkańskiej zaczął się ruch. Na pobojuwisko przybyła pierwsza ciężarówka z pomocą medyczną. Ranni nadal krzyczeli wniebogłosy. Sanitariusze zaczęli uwijać się wśród leżących w najdzikszych pozycjach ciał, te lżej poszkodowane i rokujące jakieś nadzieje ładując od razu na samochód.

Minimum stu zabitych i ciężko rannych, pomyślał Stroop, nadal drżąc na całym ciele. Poczuł gwałtowną potrzebę zapalenia papierosa. Przekłęci bandyci. Jakim cudem jeden karabin mógł spowodować takie straty? Zaczął zauważać coraz więcej szczegółów. Na murze i ścianach domów stojących naprzeciwko dostrzegł szereg potężnych wyrw spowodowanych wybuchami pocisków tej piekielnej broni. Charakter ran zabitych i rannych wskazywał na duży, nawet bardzo duży kaliber i ogromną moc materiału wybuchowego. I szybkostrzelność.

Jeszcze teraz, dobry kwadrans, od kiedy niepozorna ciężarówka rozplynęła się w płataninie warszawskich ulic, brzmiało mu w uszach złowieszcze wycie tej armaty piekielnej, wycie wbijające się w mózg, podobne do dźwięku wydawanego przez monstrualną dentystyczną bormaszynę działającą na wysokich obrotach.

Po chwili otoczyli generała ludzie przydzieleni przez Sternhagela do ochrony. Stroop z wahaniem, które zresztą starał się głęboko ukryć, przekroczył ponownie bramę getta. Kilka najbliższych kamienic płonęło, podpalonych przez grupy saperów wyposażone w miotacze ognia. Walka przesunęła się nieco w głąb pola bitwy, atakujące oddziały rozproszyły się i podejmowały próby forsowania poszczególnych punktów oporu ze wszystkich stron, bez frontalnych natarć, tak do tej pory niefortunnie zakończonych i powodujących błyskawiczne, krwawe straty. Jednak obrońcy przemieszczali się szybko, konsekwentnie stosując taktykę krótkotrwałego oporu, nie broniąc żadnego z punktów dłużej niż kilka minut. Ze szczególną zajądłością prowadzili ogień snajperzy, biorąc za cel dowódców grup szturmowych, a także saperów i obsługi broni ciężkiej.

Strzały padały z nieoczekiwanych miejsc, bardzo często od tyłu, z terenu, zdałoby się, zdobytego, przeszukanego i uznanego za bezpieczny. Toteż szturmujący nauczyli się bardzo szybko, że żaden teren nie jest bezpieczny. Sternhagel wydał rozkaz rozstrzelania na miejscu każdego schwytanego jeńca, obojętnie, uzbrojonego lub nie, niezależnie od płci i wieku. Po jakimś czasie zorientował się jednak, że coraz większa liczba żołnierzy zajęta jest pacyfikowaniem tyłów, a nie zdobywaniem terenu. Atak co chwila utykał, czołg, choć dwa razy gaszono ogarniający go pożar, w końcu utracono bezpowrotnie, pociski z granatnika rozbiły jeden z samochodów pancernych, drugi utknął gdzieś przecznicę dalej i nie było z niego żadnego pożytku. Co gorsza jakaś grupa, która pojawiła się znikąd - Sternhagel dopiero później odkrył, że powstańcy poruszają się kanałami ściekowymi, dysponując nad wyraz precyzyjnymi planami przejść i wyłazów - wybiła załogę dwulufowego

działka przeciwlotniczego kalibru dwadzieścia milimetrów i zanim tylne ubezpieczenie zorientowało się w sytuacji, otworzyła ogień wprost w plecy atakujących oddziałów. To, zdaniem majora, a jak się wkrótce okazało, nie tylko jego, ponieważ SS-Brigadeführer Stroop w pełni podzielał tę opinię, było całkowicie nie w porządku i nie mieściło się w kodeksie walki. Czym innym jest przecież rozstrzeliwanie cywilów, będące tylko zaprowadzaniem porządku na tyłach walczących oddziałów, a czym innym strzelanie niemieckim żołnierzom w plecy. Fakt faktem, że praktyka ta okazała się niezwykle skuteczna, powodując duże straty, a co gorsza nadszarpując i tak niewysokie morale oraz wzmagając panikarskie nastroje wśród podwładnych SS-Brigadeführera.

Gdy kolejny celny strzał położył trupem Scharführera obsługującego radiostację, gdy zajmująca pozycje nieopodal załoga ciężkiego karabinu maszynowego upadła na bruk powalona wybuchem celnego granatu, gdy podoficer dowodzący drużyną ochrony złapał się za gardło i z wyrazem paniki i bólu na zszarzałej nagle twarzy wyrzucił się na bok, starając się bezskutecznie zatamować krew wylewającą się z przestrelonego gardła, Stroop podjął decyzję. Jedynie możliwą w tej sytuacji.

- Wycofujemy się! - krzyknął do otaczających go żołnierzy, czując wyraźnie, jak włosy podnoszą mu się pod czapką, ulubioną Bergmütze. - Ta żydowska hołota jest zbyt bezczelna. Nie będziemy dłużej grali według jej reguł.

20

Wojtyński zarepetował stena.

- Nie mam pewności, co zastaniemy na górze. Powinni się tam znajdować dwaj moi ludzie, ale możliwe, że już nie żyją. Być może na dachu są Niemcy.

- Musimy zaryzykować - odparł Rowecki.

Nie musiał dodawać daczego. Strzelanina na dole osłabła w zauważalny sposób. Dla wszystkich było jasne, że opór placówki na parterze kończył się. Może już pękł. A na pewno pęknie za chwilę.

- To chyba jedyne wyjście. - Porucznik skinął głową. - Pójdę pierwszy. Proszę zaczekać.

Spojrzał przelotnie za siebie, zanotował, że Gawronsky stoi w drzwiach wejściowych i uważnie obserwuje klatkę schodową, lufą stena celując w dół. To zawsze było jakieś zabezpieczenie, w razie szturm Niemców dawało kilkadziesiąt sekund, może minutę czasu, zanim sierżant zostanie pokonany. Gdy się ucieka, z odruchami i reakcjami szczerze wspomagany przez huczącą w żyłach adrenalinę, minuta to całkiem sporo.

Ostrożnie podszedł do drabiny prowadzącej do wyjścia na dach. Wiedział, że zgodnie z planem wyjście powinien dać się bez problemu otworzyć, snajper zajmujący rano pozycję dostał się na dach tą samą drogą i miał rozkaz zadbać o drożność wyjścia. Wojtyński znał swoich ludzi, wiedział, że o takich rzeczach pamiętają, mogą przecież decydować o życiu i śmierci. Toteż pokonawszy kilkanaście szczebli trzeszczącej drabiny, bez zdziwienia skonstatował, że pchnięta lufą stena kłapa bez oporu i nie wywołując najmniejszego dźwięku, uniosła się w górę. Uchylił ją tylko na tyle, aby móc wysunąć głowę do wysokości oczu. Rozejrzał się szybko. Odgłosy strzelaniny nasiliły się, niesione w górę przez studzienną akustykę podwórka, ale walka nadal odbywała się na parterze. Na dachu panował spokój, przynajmniej w najbliższym otoczeniu. Obu snajperów nie było w polu widzenia, ale to Wojtyńskiego nie zdziwiło. Być snajperem, nie wystarczy dobrze strzelać, trzeba też umieć świetnie się maskować i wtapiać w otoczenie.

W końcu podjął decyzję, nie mógł tu przecież tkwić w nieskończoność. Pchnął kłapę do końca, złapał ją drugą ręką, ryzykując spadnięcie z drabiny, ponieważ przez chwilę jedną z rąk miał zajęętą trzymaniem broni, a drugą

otwieraniem wylazu. Delikatnie położył klapę na dachu. Szybko pokonał kilka ostatnich szczebli, przewrotną wyskoczył na zewnątrz i przeturlał się w stronę znajdującego się w odległości kilku metrów masywnego komina.

Rozejrzał się, tym razem dokładniej. Przed nim leżał karabin snajperski sako, przekrzywiony, bezsilnie celujący lufą w niebo. Żołnierza obsługującego broń nie było nigdzie widać. Najprawdopodobniej trafiony celną kulą zleciał cztery piętra w dół, bo Wojtyński nie mógł sobie przypomnieć sytuacji - być może nigdy nie miała miejsca - aby snajper porzucił broń na polu walki z własnej woli. Nie miał niestety bezpośredniej łączności z drugim strzelcem, cała komunikacja odbywała się przez punkt dowodzenia Jamroza, co ponieważ porucznik uznał za błąd, usprawiedliwiony po trosze ograniczeniami technicznymi, z którymi borykali się specjaliści od łączności. Drugi snajper zniknął jak kamfora. Dalej, na następnym dachu, leżało kilka ciał w zielonkawych mundurach. Grupa szturmowa atakowała z sąsiedniego budynku, ale najwyraźniej obaj strzelcy Wojtyńskiego nie dali się zaskoczyć. Drugi, schowany gdzieś snajper trzymał w szachu pozostałych przy życiu Niemców, nie pozwalając im się ruszyć, ale również będąc niestety szachowanym przez nich. Huk wystrzału i świst przelatującej blisko kuli uświadomił to Wojtyńskiemu w ułamku sekundy. Niemcy najwyraźniej dostrzegli, że następni gracze wchodzą do gry.

Przytulił się do komina i wtedy usłyszał odpowiedź swojego człowieka.

W odległości nie większej niż sto metrów zza podobnego, ceglanego, masywnego komina nie wystawało więcej niż tylko kawałek hełmu chowającego się po oddaniu strzału żołnierza. I właśnie ten kawałek hełmu został bezbłędnie trafiony przez pozostałego przy życiu snajpera osłony. Hełm zniknął, by w chwilę później ukazać się wraz ze swoim użytkownikiem i zacząć powoli, ale nieuchronnie spadać w czteropiętrową przepaść.

- Jestem, panie poruczniku - dobiegł Wojtyńskiego stłumiony głos zza stalowej osłony rury wentylacyjnej. - Widziałem, jak pan wychodził.

Obara. Były pancerniak, obecnie jeden z najlepszych strzelców w batalionie. Silny, wytrzymały i spokojny.

- Gdzie drugi? - zapytał dla formalności.

- Spadł. Dostał zaraz na samym początku.

Wojtyński rozejrzał się. Miał wrażenie, że z tyłu widzi jakiś ruch.

- Ilu ich jest?

- Z przodu z sześciu, z tyłu co najmniej dziesięciu. Zagoniłem ich trochę, tam drugi dom jest niższy, więc żeby się do nas dostać, muszą się wspinać, ale w końcu coś wymyślą. A ja jestem sam.

- Już nie. Pójdiesz z nami. A reszta naszych? - Powinno być jeszcze sześciu snajperów na kilku dachach w głębi dzielnicy.

- Widziałem, jak jednego zestrzelili. Dwaj nie mają nas w zasięgu ognia. Z trzech pozostałych widzę jednego.

- Masz łączność?

- Nie. Ani z ochroną, ani z dowódcą, ani z tamtymi strzelcami. Straciłem kilka minut temu.

Jamroza i punkt dowodzenia musiał szlag trafić, pomyślał Wojtyński. Strzelanina na dole wyraźnie zmieniła swoją lokalizację. Być może obrońcy zaczęli się wycofywać ku górze, uznając, że spełnili swoje zadanie, czyli dali czas dowódcy na ewakuację. Porucznik ocenił, że ma najwyżej dwie minuty. Nie był pewien, czy Jamróz zdołał wykonać rozkaz wydany przed utratą łączności, ale postanowił trzymać się pierwotnego planu już chociażby z tego powodu, że nie pozostało mu żadne rozsądne alternatywne wyjście.

- Słuchaj, Obara. Zaraz na dach wyjdzie kilku oficerów. Musimy dostać się tam. - Machnął ręką w kierunku dachu przed nimi.

- Tam Niemcy - zaprotestował strzelec. Musiał podnieść głos, bo huk kanonady coraz bardziej się zbliżał. I robił się coraz głośniejszy.

- No właśnie. Masz granatnik?

- Nie. Tamten miał. Spadli razem.

Wojtyński zgrzytnął zębami, ale nic nie powiedział. Wszystko szło nie tak.

- Trudno. Osłonisz nas z karabinu. Dasz radę przykryć ich ogniem?

- Z granatnika byłoby bez problemu. - Odparł wolno Obara. Zawsze był flegmatyczny. Wojtyński nieraz zastanawiał się, czy tego faceta w ogóle jest cokolwiek w stanie wyprowadzić z równowagi. - Z karabinu jeden czy dwa punkty na pewno. Ale jak zaczniesz strzelać wszystkich sześciu...

- My też mamy broń, kapralu. Uważaj na tych z tyłu.

- Tak jest.

Porucznik odczołgał się w tył. Używając komina jako osłony, wpelzł z powrotem przez wyłaz i stanął na szczeblach drabiny. Dwa metry pod swoimi stopami widział spocone, rozemocjonowane twarze.

- Panowie, na dachu jest mój snajper. Przed nami grupa co najmniej sześciu Niemców, którzy blokują drogę odskoku. Z tyłu podchodzi druga grupa szturmowa, mój człowiek twierdzi, że co najmniej dziesięcioosobowa. Minimum jeden snajper znajdujący się na innym dachu wesprze nas. Nie mam niestety łączności ani z nim, ani z dowódcą ochrony. Najprawdopodobniej punkt dowodzenia został zniszczony albo przejęty przez Niemców. Musimy radzić sobie sami.

Starł się mówić rzeczowo, bez zbędnego dramatyzowania. Gawronsky przełożył te słowa swoim amerykańskim przełożonym, którzy słuchając tych rewelacji, bezradnie kręcili głowami. Polscy oficerowie zachowali spokój. Być może byli znacznie lepiej przygotowani psychicznie do sytuacji, w których zagrożone jest życie.

Rowecki spojrzał uważnie na Wojtyńskiego, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Dość ponuro się to maluje - powiedział spokojnie. - Ale nie ma innego wyjścia, jak tylko przez dach. Mamy broń i umiemy z niej korzystać. Wierzę, że damy sobie radę.

- Ja również. Proszę posłuchać, mam taki plan...

Wszyscy nachylili się. Porucznik mówił niecałą minutę. Gdy skończył, odgłosy rozgrywającej się na dole walki, gęste serie broni maszynowej przetykane wybuchami granatów zdawały się dobiegać już z piętra pod nimi.

Plan porucznika został przyjęty bez zastrzeżeń i korekt. Wszyscy byli zawodowymi żołnierzami, zdawali sobie sprawę, że szanse przeżycia, o ile w ogóle istnieją, są tylko wtedy, gdy całą grupą zgodnie zaryzykują. I nie będą się zbytnio zastanawiać nad tym, co mają zrobić.

Wojtyński poszedł pierwszy. Skinął na Gawronsky'ego, bowiem dla amerykańskiego komandosa wyznaczył równie istotną rolę co dla siebie.

- Obara! - krzyknął, gdy znowu znalazł się tuż przy wyłazie.

- Jestem.

- Wychodzimy.

- Można. Na razie spokój.

Wojtyński wyjrzał. Odkąd kilka minut temu opuścił dach, niewiele się zmieniło. Wyskoczył na zewnątrz i zajął miejsce za kominem, bliżej Obary.

Kątem oka dostrzegł, jak stanowisko zajmuje Gawronsky, a za nim, nieco niezgrabnie i bojaźliwie, wypelza na dach Travis, po nim, nieco pewniej i sprawniej, Mitchell, a na końcu polscy oficerowie z ubezpieczającym całość Roweckim w charakterze tylnej straży.

Zanim Wojtyński zdołał otworzyć usta, by wydać następne polecenie, na dole, niemal pod ich stopami, rozległ się potężny wybuch, ktoś krzyknął rozziewając, zagrzechotał kilkoma strzałami pistolet. Walka toczyła się już bezpośrednio na strychu.

Nie było ani sekundy na wahanie. Obara wychylił się i strzelił na chybił trafił. Niemcy nie zareagowali. Wojtyński przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób obserwują przedpole, jednocześnie chowając się za osłoną kominów. Obara wystrzelił po raz drugi. Niemal równocześnie zawarczała seria ze stena Gawronsky'ego. Wojtyński obejrzał się szybko, by zobaczyć, że za nimi spada w dół nieprzyjacielski żołnierz. Najwyraźniej grupa zajmująca pozycję na dachu za nimi zdecydowała się zaatakować. Jednocześnie od przodu warknęła seria, po niej druga, huknął strzał z karabinu Obary.

W ciągu kilku sekund na dachach rozpętała się gwałtowna, niszczycielska bitwa.

21

Majewski wrócił na stanowisko dowodzenia dokładnie w chwili, gdy gwałtowny wybuch wstrząsnął powietrzem i na moment zdominował wścieklą karabinową palbę. Niemiecki ogień umożliwił saperom podejście pod mur, założenie ładunków wybuchowych i pomimo zdecydowanego przeciwdziałania jednej z sekcji plutonu ochronnego, odpalenie ich.

Zlokalizowany nieco na lewo od bramy wejściowej fragment muru, długi może na pięć metrów, zawalił się, rozrzucając wokół ceglane szczątki i wypływając kłęby szaroczarnego dymu. Niemiecka piechota zaczęła wlewać się przez wyrwę.

Jednocześnie na podwórko i zabudowania fabryczne zaczęły upadać pociski moździerzowe i artyleryjskie, na razie na ślepo i bez specjalnej koordynacji, ale Majewski zdawał sobie sprawę, że precyzyjne wstrzelanie się w cel to w wypadku niemieckich artylerzystów kwestia najwyżej kilku salw. Toteż wywołał swoich obserwatorów umieszczonych na zewnątrz murów - miał ich trzech, niestety zgłosiło się tylko dwóch - i polecił niezwłoczne namierzenie nieprzyjacielskich stanowisk. Po kilku minutach i kilkunastu salwach, z których w istocie część zaczęła już niestety siedzieć w celu, dobierając się do głównego budynku fabrycznego, uzyskał pierwszy namiar, który przekazał przez radio swoim moździerzystom.

Oba moździerze plutonu zajmowały stanowisko ukryte pod ziemią, w wybetonowanej, głębokiej na dwa i pół metra studni, zasłanianej stalową, jeżdżącą na rolkach kłapą. Kłapa ta, wyglądająca z zewnątrz jak klomb z kwiatami, w razie zagrożenia mogła być jednym ruchem odsunięta, co umożliwiało artylerzystom otwarcie ognia w pół minuty od ogłoszenia alarmu. Dwie lufy poszperały chwilę po słonecznym, kwietniowym niebie, ładowniczości wrzucili pociski do rur, spłonki szczękły o iglice i miny, w akompaniamencie dwóch głośniejszych stęknęć, poszybowały do celu. Trafiły dokładnie w stanowiska niemieckiej baterii moździerzy. Dubeltowy wybuch był tak silny, że poprawka nie była już potrzebna. Niemiecki pododdział kompletnie utracił zdolność bojową. Trzy z czterech działonów nie nadawały się do użytku, wybuchły jeszcze także dwa jaszce amunicyjne, wzmagając straty wśród obsługi oraz potęgując chaos i zniszczenie.

Drugi obserwator miał kłopoty z namierzeniem stanowisk niemieckiej artylerii. Nie miał ich w zasięgu wzroku, wyszedł zatem z domu, lecz po chwili natknął się na Niemców. Pierścień okrażenia był bardzo szczelny, Niemcy mieli najprawdopodobniej wystarczające siły, by obstarwić wszystkie prowadzące do zakładu

ulice, artylerię ustawili więc za tymi liniami. Toteż obserwator, klnąc wściekle, cofnął się na swoje pierwotne stanowisko, w myślach notując tylko położenie niemieckiego kordonu.

Majewski i jego ludzie być może odczuliby pewną ulgę spowodowaną zlikwidowaniem nieprzyjacielskich moździerzy, gdyby mieli czas się nad tym choć przez chwilę zastanowić. Jednak zarówno on, jak i żołnierze pochłonięci byli wyłącznie odpieraniem ataku. Niemiecka piechota bowiem, korzystając ze zmasowanego ognia osłaniającego prowadzonego przez liczne, daleko liczniejsze od polskich, ciężkie karabiny maszynowe, podeszła do wyrwy w murze i zaatakowała siłami wzmocnionej plutonem saperów kompanii. Nagle w przebitej wyrwie zaczerniło się od pochylonych sylwetek strzelających z biodra i wrzeszczących na całe gardło dla dodania sobie animuszu. Niemal natychmiast chlusnął w tę lukę ogniem polski kaem umieszczony na wprost wyrwy, w solidnie osłoniętym piwnicznym okienku. Z górnych pięter budynku posypały się strzały z karabinów szturmowych. Buchnął jeden, po nim drugi wystrzał z ręcznego granatnika, całkiem solidnie przerzedzając atakujących. Jednak Niemcy, pomimo takiego przywitania i strat, posuwali się do przodu. Po przekroczeniu muru rozbiegli się na boki, znacznie poszerzając konieczne do ogarnięcia przez polskich obrońców pole ostrzału.

Niemieckie haubice wstrzymały ogień, dowódca uznał widać, że atakujący oddział jest zbyt blisko, by ryzyko ostrzelania własnych ludzi nie wzrosło ponad rozsądną miarę. Obrońcy odczuli swego rodzaju ulgę, jednak mleko się już rozlało. Haubiczne pociski uszkodziły główny budynek, zabiły i raniły kilku żołnierzy, resztę, zwłaszcza tych rozmieszczonych na wyższych piętrach, zmusiły do pospiesznej zmiany stanowisk. Wszystko to spowodowało, iż ogień, który powitał atakującą falę, nie miał należytej siły. Niemców było nieco ponad dwustu, od ognia padła może jedna czwarta, reszta szybko, skokami zdobywała teren.

Majewski, widząc, że opór jego ludzi z pewnością nie powstrzyma, ani tym bardziej nie odrzuci nacierających, wolno podszedł do zawieszanej na ścianie tablicy, zdjętym z szyi kluczem otworzył szklane drzwi, spojrzał na radiotelegrafistę, pomimo umazanej sadzami twarzy wprost świecącego upiorną białością, przeżegnał się szybko i energicznym ruchem pociągnął jedną z zamontowanych na tablicy dźwigienek.

Huk, który rozległ się po sekundzie, był bez porównania potężniejszy od eksplozji spowodowanej przed chwilą przez niemieckich saperów. W niebo wystrzeliła fontanna cegieł, ognia i burego, gryzącego dymu.

Wybuch pochłoniął atakujących.

22

- Donnerwetter! Pan chyba żartuje, Herr Major!

- Niestety nie, panie generale. Wewnątrz i na zewnątrz murów straciliśmy stu trzydziestu pięciu ludzi, ponad dwustu jest rannych a pięćdziesięciu zaginęło. Oba samochody pancerne i czołg zostały stracone bezpowrotnie. Oraz dwa działka przeciwlotnicze.

- Jak to możliwe? - ryknął Stroop. Nadal nie mógł się pogodzić z faktami, nie mógł ich sobie nawet wyobrazić, jakby zapominając, że był ich naocznym świadkiem.

- Byli bardzo dobrze przygotowani, Herr General. Wiedzieli, skąd przyjdziemy, w jakiej liczbie i co zamierzamy osiągnąć. Umieli się maskować. Ciężarówka z tym działkiem, które załatwiło naszych ludzi, jest tego najlepszym przykładem. - Twarz Sternhagela była umorusana, opalona żarem i dymem. Z rozerwanego prawego rękawa przesączała się krew. Major znużonym gestem zdjął z głowy hełm bojowy.

Stalowa blacha ciężko stuknęła o stół.

- W porządku. - Stroop uspokoił się nieco. Najchętniej napiłby się koniaku. Podwójną porcję. A może i potrójną. Usiadł na krześle, drugie wskazał Sternhagelowi. Byli w pokoju sami. Wiedział, że może rozmawiać

szczerze i zdać się na opinię tego rozsądnego i doświadczonego oficera. A także liczyć na jego dyskreję. - Co pana zdaniem powinniśmy dalej zrobić?

- Na służby pomocnicze nie możemy na razie liczyć - odparł major po krótkim namyśle. - Ta ciężarówka wyglądała jak niemiecka, ocaleni świadkowie mówią, że w środku byli niemieccy żołnierze. Wszyscy pozostali przy życiu członkowie Hilfspolizei myślą, że to nasza robota. Zresztą sędzę, że o to chodziło tym bandytom. Moim ludziom z najwyższym trudem udało się powstrzymać tych, jak to pan określa, askarisów, od zbrojnego wystąpienia. Kazałem pod eskortą odesłać ich na tyły. Muszą ochłonąć i nabrać ponownie wiary w nas i nasze możliwości. Sędzę, że nie będzie z nich pociechy jeszcze przeze parę dni. Naszych ludzi gotowych do boju jest około półtora tysiąca. To niby sporo, ale morale jest niskie, to już druga porażka w ciągu jednego dnia. Tych kilkuset cywilnych Żydów, których udało się zlikwidować, nie stanowi żadnej pociechy.

- A powstańcy?

- Oceniam, że mogli stracić kilkunastu ludzi.

- Scheisse! Tylko tylu?

- Tak jest. Wykorzystali znajomość terenu do maksimum. A poza tym... - Major zawahał się, jakby nie wiedząc, w jaki sposób wyrazić chodzącą mu po głowie myśl.

- Tak, Herr Major? No, niechże pan mówi!

- Może nie wszyscy, ale duża część z nich walczyła w bardzo nietypowy sposób. Szalenie skuteczny.

- Konkretnie? - warknął Stroop. Już wiedział, co Sternhagel powie.

Przecież Hahn dużą część wczorajszego wieczoru poświęcił na ostrzeżenia. Trzeba było lepiej słuchać, pomyślał gorzko.

- Przemieszczali się dużo szybciej niż moi najlepsi żołnierze. Strzelali niesamowicie celnie. Mieli nieosiągalną dla nas koordynację działań. Używali granatników o ogromnej sile rażenia. Zdawali się w pełni panować nad sytuacją.

- Mówi pan o nich z wielkim podziwem. - Oczy Stroopa przybrały ponownie barwę ołowiu.

- Stwierdzam fakty, Herr General.

Spokojnie, pomyślał Strop. On po prostu wykonuje swoją pracę, jak umie najlepiej.

- Czy udało się wziąć kogoś żywcem? - zapytał przez zaciśnięte zęby. Z niechęcią pomyślał o wieczornym meldunku, który będzie musiał złożyć na ręce Reichsführera.

- Nie. Większość woli zginąć w płomieniach, niż oddać się w nasze ręce. Ale, co ciekawe, wśród zabitych znaleźliśmy dwóch ludzi, najprawdopodobniej aryjczyków spoza muru, ubranych zupełnie inaczej niż Żydzi. Mieli na sobie czarne kombinezony, polskie hełmy wojskowe i steny. To są bez dwóch zdań ludzie przysłani przez AK. Sędzę, że rola AK jest znacznie większa, niż zakładaliśmy. Akowcy okazują dużą pomoc.

- Ja. Das stimmt. - Stroop skinął głową. - Jest ogromna. Ale mam nadzieję, że wkrótce się zmniejszy - dodał, łowiąc uchem odległą strzelaninę.

Teraz, gdy walki w getcie wygasły, słyszeć ją było bardzo dobrze, i to dochodzącą z dwóch miejsc oddalonych o kilka kilometrów.

Odległa kanonada nie umknęła też uwadze Sternhagela.

- Rozumiem, że prowadzimy akcję w kilku miejscach naraz - stwierdził.

- Tak jest. - Stroop po raz pierwszy od opuszczenia murów getta uśmiechnął się, jednak oczy pozostały chmurne. - Nasze siły uderzyły w dwóch innych miejscach. Nie mogę na razie mówić o szczegółach, ale możliwe, że i tak dzisiejszy dzień zakończy się sukcesem, pomimo naszego czasowego niepowodzenia.

To stwierdzenie wypowiedziane przez butnego na ogół i pewnego siebie generała było tak niespodziewane, że Sternhagel zdumiał się. Porażka musiała być dla Stroopa większym szokiem, niż chciał się przyznać nawet sam przed sobą. Dla niego liczyło się tylko zwycięstwo osiągnięte niedużym wysiłkiem, względnie łatwo i bez strat. Liczyła się policyjna skuteczność.

- Jak pan sądzi, majorze - kontynuował swą myśl - czy możemy dziś zaatakować jeszcze raz? Czy możemy osiągnąć jakieś dające satysfakcję rezultaty?

- Jest to możliwe - odparł Sternhagel po namyśle - ale musielibyśmy podjąć kilka zdecydowanych działań. Schnaps już naszym ludziom nie wystarczy. Trzeba im pokazać, choćby w małej skali, że mogą pokonać przeciwnika. - Stroop zauważył, że major nigdy nie używa należytych sformułowań, nazywając tę żydowską hołotę po prostu przeciwnikiem albo nieprzyjacielem. Generał odnotował to w myśli, uważając, że pomimo swoich niewątpliwych walorów bojowych i doświadczenia, może być niepewny politycznie.

- Co pan ma na myśli?

- Przegrupowanie sił. - Widać było, że się zastanawia, jakby starając się oddzielić to, co było, odrzucić stygmat klęski na rzecz racjonalnego planowania. To była wielka sztuka i major umiał jej dokonać. - Musimy odrzucić koncepcję, że przeprowadzamy akcję przesiedleńczą. Musimy pozbyć się przekonania, że wojujemy z cywilami, kobietami i dziećmi. Moim zdaniem operację należy potraktować w kategoriach czysto wojskowych, mając na uwadze, że mierzy się z nami przeciwnik dobrze wyszkolony, znający teren i solidnie uzbrojony, na dodatek górujący nad nami taktycznie. Po drugie musimy pamiętać, że nie jest nastawiony na zwycięstwo, bo przecież wie, że koniec końców tej walki nie da się wygrać. Walczy o godną śmierć i z tej choćby racji będzie się bił do ostatniego tchu i ostatniego naboju. Nie podda się, już raczej woli zginąć, co czyni go niemal niezwyciężonym. Tak więc musimy postępować inaczej.

- To znaczy jak? Konkretnie? - warknął Stroop, gdy Sternhagel zatrzymał się na chwilę i sięgnął po szklankę z wodą. Nie podobały mu się te mętne wynurzenia, Żydzi nie byli przecież żołnierzami ani, pomimo swoich przejściowych sukcesów, godnym wzmianki przeciwnikiem, nie byli nawet ludźmi w pełnym znaczeniu tego słowa. Stanowili niższą rasę, rasę podludzi. Jakże więc uczyć się od nich taktyki? Skuteczności? Męstwa?

Zmuszony był jednak przyznać, że dotychczasowa taktyka prowadzenia Grossaktion nie przynosi efektu, ponawianie ataków skończy się najprawdopodobniej tak samo jak przed godziną - Stroopowi przelotnie przemknęła myśl, że w porównaniu z jego porażką, działania tego grubego durnia von Sammerny wcale nie były takie bezsensowne, ta konkluzja zresztą jeszcze bardziej popsła mu humor - należy więc wymyślić i wprowadzić w życie nowy, skuteczny plan, i to taki, który zapewni zwycięstwo i zniweluje polityczne skutki klęski. Dlatego powściągnął irytację i postanowił posłuchać, co porucznik ma do powiedzenia.

- Myślę, że powinniśmy odplacić nieprzyjacielowi pięknym za nadobne. Podzielimy naszych ludzi na małe grupy szturmowe, o dużej sile ognia i dużej ruchliwości, i zaatakujemy ze wszystkich stron, wszystkimi bramami i wybitymi w murze otworami. Grupy nie będą miały za zadanie zdobywać punktów oporu, tylko wykurzenie obrońców, odcinanie im dróg odwrotu, zachodzenie ich od tyłu i likwidację. Odkrywanie i atakowanie punktów dowodzenia, magazynów, schronów, dróg ewakuacyjnych i tak dalej. Sądzę, że mamy nad nimi kilkukrotną przewagę liczebną. Wykorzystajmy to zatem. Rezultaty nie przyjdą prędko, przed nami długa

droga, ale moim zdaniem jedyna. Gdy osłabimy ich siłę bojową, będziemy mogli wkroczyć na teren getta z ciężkim sprzętem, oczyszczać dom po domu i przesiedlać ludność. Możemy wtedy podpalać, wysadzać, jeśli taka pana generała wola, przygotowywać teren pod przyszłą wzorcową dzielnicę mieszkaniową.

Stroopowi wydawało się, że usłyszał w tym ostatnim zdaniu cień ironii, ale nie był tego pewien. Wolał raczej skoncentrować się na meritum wypowiedzi podwładnego.

- To nie musi przynieść rezultatów. Ryzykujemy rozproszenie wysiłku - zaprotestował.

Nadal nie chciał pogodzić się z faktem, że poprowadzi akcję, wielką akcję o ogromnym znaczeniu politycznym, według reguł narzuconych przez bandytów i podludzi.

- Nie musi. - Major ze znużeniem skinął głową. - Ale ataki na wprost z pewnością nie dadzą oczekiwanych rezultatów.

Stroop zamyślił się. Przecież nie mogą bardziej przegrać. Każde rozumne działanie powinno przynieść poprawę położenia. A jeżeli wojsko odniesie jakiś sukces, nawet niewielki, zobaczy, że znowu może zwyciężyć, uwierzy we własne siły. I będzie walczyć z jeszcze większą ochotą. A o to przecież chodzi.

A taktyka walki? Można ogłosić ją jako swoją.

- Dobrze - powiedział. - Niech pan zwoła wszystkich dowódców, którzy nam jeszcze pozostali. Przekażę im nowe wytyczne. Damy ludziom odpocząć i wczesnym popołudniem zaatakujemy znowu.

23

Porucznik Leszek Jamróz wychylił się ostrożnie z bramy. W uszach mu dzwoniło jak wszyscy diabli, dochodzące zewsząd odgłosy strzelaniny słyszał jakby zza bardzo grubej kotary. Głowa bolała go wściekle. Odkąd kilka minut temu natknęli się na niemiecki kordon, a Niemcy bez żadnej próby wylegitymowania ich po prostu otworzyli ogień, on sam i jego trzyosobowy zespół był w ciągłej, nieustannej walce.

Samochód dowodzenia tylko z zewnątrz przypominał blaszaną furgonetkę Miejskiego Zakładu Oczyszczania. W rzeczywistości był solidnie opancerzonym pojazdem, wyposażonym w dieslowski silnik od stara 2120 m, mogącym bez problemu rozwinąć prędkość ponad stu kilometrów na godzinę. Obok wyposażenia w różnoraki sprzęt łączności, miał w specjalnym pojemniku w podłodze także potężne uzbrojenie: karabin maszynowy PK, dwa pancerfausty, dwa karabiny szturmowe, granaty i amunicję.

Toteż gdy Niemcy z bliskiej odległości otworzyli do nich ogień, kierowca po prostu nacisnął pedał gazu. Wóz zaczął gwałtownie przyspieszać. Nie zważając na gęstniejącą palbę karabinowego ognia, wpadł między pierwsze szeregi esesmanów, roztrącił ich i pognął dalej, zmierzając pewnie w stronę najbliższego zakrętu. Jednak siła niemieckiego ognia była tak wielka, że choć nie poradziła sobie z pancerną blachą nadbudówki, ugryzła stalową osłonę tylnych kół. Najpierw jedna, a potem druga opona eksplodowała z wielkim hukiem i ciężki wóz zaczął ślizgać się na obręczach, krzesząc długie na metr snopy iskier. Jamróz kilka sekund wcześniej, przy pierwszej detonacji pękającej dętki, domyślił się, że to koniec.

Krzyknął na swoich żołnierzy, otworzył klapę schowka i nim pojazd, zygzakując i chwiejąc się, w końcu się zatrzymał, miał już w ręku beryla, a w kieszeni granaty i zapasowe magazynki. Błyskawicznie rzucił kierowcy drugi karabin, pozostali członkowie ekipy wzięli resztę broni i po sekundzie cała czwórka wyskoczyła przez obie pary przednich drzwi na ulicę. Dwaj żołnierze bez żadnej komendy zamachnęli się i rzucili granaty w stronę nieprzyjaciela. Jamróz w tym czasie przekręcił jeszcze mały przełącznik mechanizmu zegarowego ukrytego w przednim nadkolu i cała czwórka pognęła przed siebie, za plecami mając co najmniej dwa tuziny gęsto

strzelających Niemców. Jednak wybuchy granatów spełniły nieco swoją rolę, bo chociaż nie uczyniły Niemcom krzywdy, to jednak osłoniły ucieczkę i pozwoliły skryć się za narożnikiem najbliższego budynku.

Przygotowując się do zabezpieczenia narady, Jamróz wraz z dowódcami poszczególnych sekcji spędził wiele dni na penetrowaniu okolicy, poznając nie tylko z mapy, ale również z własnego doświadczenia układ ulic, podwórek i bram. Wiedza ta teraz niezwykle się przydała. Pomimo szoku spowodowanego napaścią, jakaś część jego mózgu pracowała normalnie, sprawnie, szybko i precyzyjnie podając właściwe rozwiązania. Toteż gdy wpadli w jedną z bram, przebiegli przez podwórko, drugą bramę i drugie podwórko - była to kamienica o typowym w niektórych rejonach Warszawy, dwustudziennym układzie - znaleźli się przed ślepą ścianą. Porucznik wiedział jednak, że przeszkoda jest pozorna, dalej znajduje się następne podwórko, bez wahania więc stanął płacami do ściany i splótł ręce, a jego żołnierze skorzystali z tej improwizowanej drabiny. Gdy już ostatni z nich wdrapał się na trzymetrowy mur, porucznik rzucił mu swoją broń i podskoczył. Końcami palców chwycił podaną dłoń i zaciskając zęby, podciągnął się do góry. Osiągnął koronę muru w momencie, gdy podkute buty pościgu załomotały o bruk dziedzińca. Siedzący okrakiem na murze żołnierz otworzył ogień z karabinu maszynowego, kładąc nadbiegających żołnierzy pokotem na ziemi. Jednocześnie cała czwórka usłyszała przytłumioną, ale bliską eksplozję. To ładunek wybuchowy zniszczył samochód dowodzenia, wraz, taką przynajmniej Jamróz miał nadzieję, z przeszukującymi go Niemcami. Drugi żołnierz sięgnął do kieszeni, wyciągnął granat, wyrwał zawleczkę i rzucił. Jamróz, nie czekając na wybuch, skoczył trzy metry w dół, wprost w marchewkową grządkę. Upadł ciężko, przewrócił się. Za murem huknęło, koło niego wylądował następny żołnierz. Strzelec erkaemu oddał jeszcze jedną serię, rzucił im kaem - ten, co go złapał, zaklął wściekle, bo lufa oparzyła mu ręce - i sam zeskoczył zgrabnie. Jak do tej pory w rubryce „straty” nie zanotowali nawet draśnięcia.

Przebiegli przez bliźniacze podwórko. Jamróz ostrożnie wychylił się z bramy. Przed sobą miał Śliską. Nikogo, ulica była jak wymarła. Wszyscy przechodnie pochowali się w mieszkaniach i w klatkach schodowych, kordon najwyraźniej znajdował się bliżej celu, albo może grupa Jamroza trafiła w martwe pole.

Plan zakładał, że w razie utraty środków łączności, sztab ochrony narady przeniesie się do zapasowego punktu dowodzenia, który znajdował się na Żelaznej pięć - w mieszkaniu, w którym urzędowała Wala.

24

Piętnaście minut wcześniej Wala popełniła najpoważniejszy błąd w swoim konspiracyjnym życiu. Po rozpoczęciu strzelaniny przez kilka minut pozostawała na stanowisku, odebrała rozkaz od Jamroza, wydała rozkazy swoim podopiecznym, naniósł na mapę pozycje zajmowane przez Niemców. Choć mury domu drżały od gwałtownej palby, pracowała szybko i spokojnie. Jednak kolejny meldunek, który dobiegł ze stojącej na stole krótkofalówki, zmroził ją. Po chwili wahania - naprawdę krótkiej, bo nie było czasu na jakieś długotrwałe deliberacje - sprawdziła pistolet, zarzuciła płaszcz i wybiegła na ulicę. Szybkim krokiem skierowała się w stronę Śródmieścia. Była jedyną osobą na ulicy, która podążała w tę stronę.

Nieliczni przechodnie, którzy nie zdążyli zniknąć w bramach czy wrócić do swoich mieszkań, biegiem udawali się w stronę dokładnie przeciwną. Po minięciu Prostej od razu wpadła na Niemców. Zdążyła się cofnąć, weszła w najbliższą bramę i podwórkami, kilka razy wspinając się na mury, obeszła niemieckie zgrupowanie. Gdy znalazła się na Śliskiej, już naprawdę blisko walki, wychyliła się z bramy. Zgodnie z przewidywaniami ulica była zablokowana stojącymi w poprzek ciężarówkami, a obok, wprost na ulicy, rozłożone były karabiny maszynowe. Obsługi sprawiały wrażenie, jakby były gotowe w każdej chwili do otwarcia ognia. Wala wahała się. Dotarcie do Zosi, która przed kilkoma minutami rozpaczliwie wzywała pomocy, osaczona przez Niemców w

jakimś ciasnym podwórku, było niemożliwe. Od dziewczyny odcięta była kordonem Niemców, gotowymi do walki oddziałami bojowymi, które nie będą się bawić w żadne legitymowanie, raczej otworzą ogień do każdego człowieka nienależącego do ich oddziałów.

Usłyszała, że w podwórku za jej plecami gwałtownie trzaskają drzwi i o bruk stuka kilka par podkutych butów. Gdy obejrzała się szybko przez ramię, ujrzała sześciu gestapowców w szarych mundurach polowych SS, którzy z bronią w ręku prowadzili między sobą jakiegoś młodego człowieka z rękoma zaplecionymi na karku.

Wala wiedziała, że nie może w bramie pozostać ani chwili dłużej. Spotkanie z gestapo zakończy się zatrzymaniem i rewizją, a krótkofalówka i pistolet stanowią wystarczający powód, by ją zastrzelić na miejscu lub, co gorzej, zawieźć do siedziby gestapo w celu przeprowadzenia gruntownego przesłuchania. Podjęła decyzję w ułamku sekundy, boleśnie uświadamiając sobie, jakim błędem było opuszczenie stanowiska dowodzenia. Zosi nie pomogła, a sama wpakowała się w nieliczne tarapaty. Wyszła na ulicę i szybkim krokiem, starając się nie robić hałasu i nie zwracać na siebie uwagi, zaczęła iść z powrotem w stronę Żelaznej, mając za plecami uliczną blokadę. Po przejściu kilku pierwszych kroków pomyślała, że jej się uda, że gestapowcy nie zwrócili na nią uwagi. Odległość od Niemców zwiększała się z każdym krokiem. Do skrzyżowania z Żelazną brakowało jej pięćdziesięciu metrów, gdy usłyszała gromkie „Halt!”.

Nie odwracając się, zaczęła biec. Po sekundzie usłyszała strzały, w jej stronę posypały się kule. Po następnej miała w ręku visa, odwróciła się i strzeliła kilkakrotnie wprost w grupę kłęczących lub stojących na ulicy Niemców. Jeden zachwiał się i padł, co było nielichym wyczynem, zważywszy na to, że strzelała z broni krótkiej, z odległości co najmniej trzydziestu metrów i z niezbyt stabilnego półobrotu. Niemal natychmiast po strzale poczuła potężne szarpnięcie i pistolet szerokim łukiem wyleciał jej z ręki.

Nie sposób było potem dojść, czy strzelający z karabinu żołnierz celował właśnie w to miejsce. Faktem jest, że wyszedł mu strzał życia. Kula trafiła kilka centymetrów poniżej łokcia, uszkodziła kość, rozbroiła i zatrzymała Walę, ale nie spowodowała śmierci. Siła uderzenia okręciła ją dookoła własnej osi, a ból i szok spowodowały, że upadła. Po sekundzie oprzytomniała na tyle, by zacząć pełznąć w stronę leżącej nieopodal na chodniku broni. Nie miała szans, Niemcy byli tuż przy niej. Jeden dopadł pistoletu i nim Wala zdołała zacisnąć rękę na rękojeści, kopnięciem odrzucił go o kilka metrów.

Kilka rąk chwyciło mocno, wrywając z gardła okrzyk bólu. Pół prowadząc, pół wlokąc powiedli ją do stojącego w pobliżu osobowego samochodu na policyjnych numerach.

25

Grupa Jamroza wybiegła zza rogu i zobaczyła blokadę. Co dziwne, Niemcy pochłonięci byli obserwacją jakiegoś dziejącego się za ich plecami widowiska i niezbyt uważnie pilnowali przedpola. Nie sposób było odgadnąć, czym się tak zainteresowali, ponieważ stojące w poprzek ulicy ciężarówki skutecznie zasłaniały widok. Porucznik pomyślał, że cokolwiek spowodowało dekoncentrację uwagi obsługi kaemów, jego grupie przysłużyło się setnie i najprawdopodobniej uratowało życie. Gdyby bowiem wypadli wprost pod lufy ciężkich karabinów maszynowych, rozprawa zapewne byłaby krótka. Kilka serii w kilka sekund załatwiłoby całą czwórkę.

Tych kilka sekund można było obrócić na swoją korzyść.

Porozumieli się wzrokiem. Operator pancerfausta ukląkł, przyłożył oko do przyrządów celowniczych, po czym odpalił granat w stronę najbliższej ciężarówki. Głowica, ze swej natury przeznaczona do zwalczania ciężko opancerzonych pojazdów, trafiła w silnik oddalonego o sto metrów samochodu i eksplodowała,

powodując przy okazji rozerwanie się zbiornika z benzyną. Samochód zniknął, kula płomieni i dymu sięgnęła trzeciego piętra, pożar z szybkością huraganu objął w swe posiadanie także drugą ciężarówkę, oba karabiny maszynowe i większą część obsługi.

Kilku żołnierzy, rozrzuconych siłą wybuchu, spłonęło żywcem, biegając we wszystkie strony i wrzeszcząc wniebogłosy. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, nie byli w stanie podjąć żadnej skutecznej akcji - ranni, z popękanymi bębenkami, osmaleni wybuchem, duszący się od żaru, wzywali pomocy lub modlili się o szybką śmierć. Żołnierz z grupy Jamroza obsługujący karabin maszynowy, jakby słysząc te błagania, obdzielił wszystkich równo długą, sprawiedliwą serią. Strzelał z biodra, ale był fachowcem pierwszej klasy. Kule szybko znalazły drogę do celu, przecinając kilka poparzonych żywotów, co obie strony, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, uznały za obopólnie korzystne rozwiązanie.

Jamróż machnął ręką i cała czwórka puściła się biegiem. Przytuleni do czarnej od sadzy ściany domu precyzyjnie się obok płonących ciężarówek, modląc się w duchu, by właśnie w tym momencie nie zaczęła eksplodować zgromadzona na platformach amunicja, po czym z bronią gotową do strzału ruszyli dalej. Po przebiegnięciu jeszcze kilkunastu metrów Jamróż dostrzegł niewielką grupkę Niemców wlokących między sobą jakiegoś człowieka w stronę zaparkowanego nieco dalej samochodu. Spieszyli się, najwyraźniej rozgrywająca się za ich plecami strzelanina dodała im sił. Jamróż wyteżył wzrok.

Gestapowcy wlekli jakąś kobietę.

- To Wala - warknął biegnący obok strzelec z kaemem.

Dyszał ciężko, ale przyspieszył kroku. Jamróż poczuł gęsią skórę na całym ciele i przeszywający ciało dreszcz. Nie zastanawiając się wiele, ukląkł, odetchnął głęboko, kciukiem przestawił przełącznik na ogień pojedynczy i uchwycił w szczybinę sylwetkę biegnącego z prawej strony ich koleżanki Niemca. Kątem oka zauważył, że towarzysze robią to samo - klękają albo kładą się na bruku i biorą nieprzyjaciół na muszkę. Strzelił.

Odległość wynosiła około stu metrów, porucznik szczycił się celnym okiem i niezgorzszymi wynikami strzeleckimi, miał już kilkunastu Niemców na rozkładzie zabitych podczas wcześniejszych akcji, ale ten strzał nie wyszedł dobrze. Może winne było zmęczenie wywołane długim biegiem, może zdenerwowanie faktem pojmania najbliższej współpracownicy. Jakiegokolwiek przyczyny by to były, kula minęła cel.

Niemcy przyspieszyli kroku, dwóch odwróciło się i zaczęło strzelać z biodra z pistoletów maszynowych. Jamróż poprawił, jednocześnie strzelił jego towarzysz. Jeden z Niemców, ten z peemem, zachwiał się i upadł na ziemię, drugi, szarpiący właśnie za klamkę samochodu, krzyknął głośno, ale nie przerwał czynności. Grupa ciągnąca Walę była już o krok od auta, naprawdę trudno było strzelać bez ryzyka postrzelenia lub zabicia koleżanki. A jednak Jamróż zdecydował się na to.

Wycelował odrobinę dłużej niż poprzednio, nacisnął spust i dostrzegł, jak kula trafia Niemca znajdującego się po lewej stronie dziewczyny prosto w głowę. Faceta rzuciło na samochód, Wala odzyskała na chwilę częściową swobodę ruchów, ale prawa ręka, ta ranna, nadal spoczywała w stalowym uścisku drugiego funkcjonariusza. Pozostały przy życiu gestapowiec z peemem znowu otworzył ogień i Jamróż zobaczył, że pociski krzeszą iskry niepokojąco blisko jego stanowiska. Leżący obok żołnierz strzelił z kaemu, krótka seria weszła między Walę a trzymającego ją Niemca i rąbnęła w samochód, wybijając szyby i obsypując wszystkich szklanym konfetti. Klęczący obok porucznika strzelec puścił beryla, jęknął i zwałił się na bruk. Jamróż przeniósł ogień, wycelował i dwoma celnymi strzałami posłał strzelającego z empi Niemca na ziemię. Drzwi auta otworzyły się, być może szarpnięte przez nadal trzymającego wściekle walczącą Walę gestapowca.

Wepchnął ją siłą do środka, uderzając jednocześnie w głowę rękojeścią pistoletu, co musiało przynieść pewien skutek, bo opór Wali osłabł zauważalnie, po czym samochód z niedomkniętymi drzwiami ruszył z piskiem opon. Strzelanie w tej sytuacji niosło ze sobą ogromne ryzyko, pomimo to leżący na bruku żołnierz wycelował starannie i posłał krótką serię, mierząc nisko, w opony. Samochód zachwiał się wyraźnie, tyłem zarzuciło, ale nie zwolnił biegu. Zgrzytając felgami, przyspieszył nawet, skręcił w pierwszą przecznicę i tyle go było widać.

Jamróz zaklął wściekle. Zerknął na leżącego w kałuży krwi kolegę. Nie dawał znaku życia. Straty powiększały się i niestety wyglądało na to, że to dopiero początek.

26

Wojtyński ruszył do przodu. Gdy zrobił pierwsze kroki, schylił się i podniósł nadal leżący na dachu, jakby w oczekiwaniu na swojego właściciela, karabin snajperski.

Kątem oka zauważył, jak czterysta metrów dalej, na dachu kamienicy gdzieś na Śliskiej, ciemna sylwetka wychyla się zza osłony i strzela. Kula odłupała kawał muru na kominie, za którym skrywała się atakująca od frontu grupa szturmowa. Nie dawała na razie znaku życia, ale porucznik wiedział, że jest tam i czeka, zaczajona. Pomimo zagrożenia biegł szybko w stronę najbliższej osłony. Schylony niemal do ziemi poczuł, że eleganckie, choć znoszone skórzane trzewiki, które zwykle nosił do garnituru i płaszcza, ślizgają się na smołowanej nawierzchni dachu. Zachowując równowagę pomiędzy pośpiechem a ostrożnością, dobiegł do końca domu.

Następny, całe szczęście, był tej samej wysokości.

Usłyszał wystrzał i świst niedaleko lecącej kuli, która utraciła kawał solidnej, ceglanej osłony kilkadziesiąt metrów przed nim. To Obara czuwał nad niezakłóconym spokojem biegu. Jednak zza dwóch dalszych kominów wynurzyło się aż czterech Niemców, którzy otworzyli gwałtowny ogień w kierunku porucznika i schowanych za jego plecami towarzyszy.

Wojtyński ocenił odległość na jakieś pięćdziesiąt metrów, nie tak mało, gdy się używa pistoletu maszynowego strzelającego dziewięciomilimetrowymi nabojami pistoletowymi typu parabellum. Toteż, ku wielkiej uldze, niemieckie serie przeszły blisko, ale nie trafiły.

Porucznik rzucił się na ziemię, oparł dwójnog karabinu sako o nieco pochyły dach, sprawdził zawartość magazynka, po czym, niewygodnie wygięty, spojrział przez celownik. Żołnierz, który pojawił się w polu widzenia, właśnie zmieniał magazynek. Wydawało mu się, że jest ukryty za ceglana osłoną, w istocie widać mu było ręce niemal do ramion. Wojtyński wycelował, płynnym, po wielokroć ćwiczonym ruchem pociągnął za spust, kolba kopnęła w ramię, huk strzału przeszył powietrze.

Kula trafiła Niemca w rękę. Empi wyleciał daleko w tył, krew ochlapała cegły i dach, esesman w wrzaskiem zwałił się na plecy. Wszystko to Wojtyński zaobserwował w ułamku sekundy kątem nie zajętego celowaniem oka, tuż po strzale bowiem przeniósł obserwację na następne obiekty. Niestety, następnych obiektów nie było, Niemcy siedzieli za kominami.

Z tyłu dobiegła gwałtowna strzelanina. Gdy zaryzykował spojrzenie przez ramię, zobaczył, jak wszyscy członkowie jego ekipy otworzyli ogień, walcząc na dwa fronty. Rowecki właśnie pomagał wyjść na dach jednemu z żołnierzy grupy bezpośredniej osłony narady. Najwyraźniej atakujące od dołu niemieckie grupy szturmowe dotarły już do prowadzącej na dach drabiny. Mitchell zamachnął się i wrzucił w czołuszc strychu granat. Po kilku sekundach rozległ się wybuch, kłęb dymu buchnął przez wylaz. W tym czasie Gawronski i obaj pozostali Polacy ostrzeliwali Niemców atakujących od tyłu. Kilka pochyłonych sylwetek dopadło osłon, jedna leżała nieruchomo na dachu, ale bezdyskusyjny był fakt, że Niemcy zdobyli kilkadziesiąt metrów terenu. Snajper

na Śliskiej, całkiem słusznie, zajął się właśnie tą grupą. W odstępie sekundy buchnęły dwa strzały, zza komina wypadł Niemiec i poturlał się w stronę krawędzi, jednak zatrzymał się na jakiejś nierówności, może o metr od okalających dach rynien.

Wszystko to Wojtyński zarejestrował w krótkim przeblysku, konstatując beznamiętnie, że szanse, od początku nieduże, maleją z każdą chwilą. Jasne było, że grupa atakująca od dołu, pokonawszy żołnierzy osłony, podciągnie posiłki i będzie czekała okazji, wiedząc, że członkowie grupy Wojtyńskiego muszą w końcu ruszyć do przodu, wystawiając plecy na strzał. Zresztą nie było wyjścia. Porucznik machnął ręką w kierunku swoich ludzi, po czym znowu przykleił oko do obramowania celownika optycznego. Strzelił. Kula oderwała solidny kawał komina. Strzelił ponownie, jakieś pół metra obok. Także snajper ze Śliskiej ponownie włączył się do akcji.

Wojtyński poderwał się, złapał ciężki karabin, przerzucił go przez plecy, poprawił dyndającego na pasie stena i ruszył do przodu. Biegł szybko, starając się kontrolować oddech, patrzeć jednocześnie pod nogi i przed siebie. Los dał mu pięć sekund, podczas których zdążył przebiec ponad trzydzieści metrów. Po pokonaniu tego dystansu miał w każdym ręku po granacie. Znowu usłyszał kulę lecącą od Obary do Niemców. Gdy znalazł się o dwadzieścia metrów przed stojącymi w jednej linii prostopadle do krawędzi dachu kominami, zamachnął się i rzucił pierwszy granat przed siebie, najdalej jak umiał. Po sekundzie w powietrzu było również drugie śmiercionośne jajo.

Zważywszy na okoliczności, stres, zmęczenie i chwiejną, spowodowaną pochyłością dachu równowagę, rzuty wyszły nie najgorzej. Oba granaty poleciały nieco rozbieżnym, łukowatym torem i upadły mniej więcej w zaplanowanym przez porucznika miejscu, pomiędzy kominami, bliżej krawędzi jednego z nich. Wybuchły w odstępie sekundy, tuż po zetknięciu się z powierzchnią dachu.

To były dobre, angielskie granaty obronne, rażące odłamkami na jakieś trzydzieści metrów.

Skryci za kominami Niemcy, nawet jeżeli nie zostali trafieni bezpośrednio, odczuli wstrząs spowodowany wybuchem. Możliwe, że eksplozja spowolniła nieco ich reakcje i na to właśnie Wojtyński bardzo liczył. Skoczył do przodu, czując, jak sako i sten boleśnie objają mu biodra. W biegu sięgnął za plecy, złapał stena za dziurkowaną osłonę lufy i przyciągnął do siebie. Po sekundzie miał w ręku peem gotowy do strzału.

Zza lewego komina wychylił się strzelec w zielonkawym mundurze i tak dobrze znanym z niezliczonych wojennych filmów hełmie. Zbyt wolno. Miał wynikające z dyscypliny poczucie obowiązku, ale wskutek wstrząsu wywołanego wybuchem brak mu było wystarczającego refleksu i koniecznej w takich warunkach szybkości. Wojtyński strzelił z biodra, dla pewności dość długą serią. Pociski trafiły Niemca prosto w twarz, odrzuciły w tył o dobre dwa kroki.

Porucznik w tym czasie był już na wysokości obu kominów, mając w ręku kolejny odbezpieczony granat. Rzucił się szczupakiem pod ceglana ścianę i jednocześnie mierzonym ruchem wrzucił granat za prawy komin. Wybuch był stłumiony, jakiś niepozorny, ale spełnił swoją rolę. Wojtyński zerwał się na równe nogi, zostawiając na dachu karabin snajperski, wyskoczył zza kominów i nie celując, puścił pierwszą serią.

Niepotrzebnie. Za lewym kominem nie było nikogo, kto mógłby jeszcze walczyć. Dwóch Niemców leżało w kałużach krwi, poszarpanych odłamkami granatu. Trzeci nieco dalej, skoszony wystrzeloną przed kilkunastoma sekundami serią.

W tym czasie sten był już na nowo załadowany, przygotowany do otwarcia ognia i trzymany pewnie w krzepkich rękach.

Wojtyński zaczął się odwracać o pół sekundy za późno.

Nawet nie usłyszał strzałów. Poczuł, że coś bardzo mocno kilkakrotnie uderza go w bok, stopy oderwały się od ziemi, uderzenia ustały, ale ból nie. Rąbnął barkiem o smołowane pokrycie dachu, jakby z oddali usłyszał jeszcze kilka pojedynczych stuków, śmiesznie stłumionych i jakby zupełnie niegroźnych, po czym odpłynął w nieświadomość.

27

Główną myślą przyświecającą projektantom Obiektu Numer Dwa było jak najstaranniejsze ukrycie fabryki, zamaskowanie jej w taki sposób, aby Niemcy nie tylko nie domyślili się prawdziwego profilu produkcji, ale również by nie wpadli na trop powiązań z licznymi kooperantami i dostawcami. Stąd upozorowanie kompletnego bałaganu na większej części terenu zakładu, a na pozostałej - zorganizowanie służącej za przykrywkę, całkowicie legalnej, wspieranej przez Niemców produkcji na rzecz przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy.

Natomiast system obrony obiektu z natury rzeczy pomyślany został jako jednorazowy. Nie zakładano możliwości odparcia ataku zakończonego sukcesem, ponieważ w sytuacji całkowitej przewagi Niemców, tak pod względem taktycznym, jak i organizacyjnym, wobec możliwości sięgnięcia przez nich do dowolnej wielkości odwodów, sukces obrońców był niemożliwy. Planiści batalionu przyjęli zatem minimalistyczną zasadę, iż celem obrony jest danie czasu na ewakuację fachowców i zapasów oraz dokładne zniszczenie obiektu, aby nic z drogocennej technologii ani maszyn nie wpadło w ręce przeciwnika. W tym celu oprócz silnego uzbrojenia strzeleckiego plutonu ochrony dowódca miał do dyspozycji kilka zapór naszpikowanych materiałami wybuchowymi.

I właśnie z pierwszej z nich skorzystał podporucznik Stefan Majewski tego pogodnego wiosennego przedpołudnia.

Mur oddzielający fabrykę od ulicy Obozowej zniknął na przestrzeni przeszło stu metrów, tak jakby nigdy nie istniał. Nacierające oddziały zostały zmiecione siłą wybuchu, a także latającym we wszystkie strony ceglanym gruzem, wyrządzającym co najmniej tyle samo szkód co eksplozja. Drugi i trzeci szereg szturmujących oddziałów przerzedzony został również w wyniku detonacji ładunków wybuchowych umieszczonych w zaparkowanych przy krawężniku dwóch rozklekotanych ciężarówkach i samochodzie osobowym z przebitym kołem.

Gdy dym opadł - po co najmniej pięciu minutach od momentu, gdy Majewski pociągnął za niepozorną czerwoną rączkę - pobojozisko jeszcze przez dłuższą chwilę nie poruszało się, jakby zastygłe w zdumieniu i zaskoczeniu. Potem fonię wypełniły jęki rannych. Jeszcze później tu i ówdzie zaczął się ruch. Ci, którzy przeżyli eksplozję, próbowali wstać, usłyszeć coś, przejrzeć na oczy...

Majewski i jego ludzie nie tracili czasu. Byli przygotowani na to, co się stanie - choć może tylko w teoretycznym sensie, nikt przecież takich prób i treningów nie przeprowadzał - więc wybuch przeczekali, siedząc pod ścianami schronów bojowych z zatkanymi dłońmi uszami. Potem wstali, rzucili okiem na kłębiący się wszędzie dym i zaczęli pospieszoną ewakuację na drugą linię obrony.

28

Snajper czekał cierpliwie już czwartą godzinę. Siedział wysoko na drzewie, wśród gałęzi. Nie zwracał uwagi na klujące sosnowe szpilki, wiedział, że nie ma wyboru. Liściastych drzew wokół było sporo, do wyboru, do koloru, ale ich gałęzie były jeszcze niemal nagie i nie dawały żadnej osłony. Dopiero pierwsze pączki nieśmiało

się zieleniły. Stara sosna natomiast spełniała wszystkie potrzebne strzelcowi parametry. Była dobrze zlokalizowana, zapewniała doskonałą widoczność we wszystkich kierunkach i pozwalała skryć się przyklejonemu do pnia człowiekowi.

Towarzysze zostawili go w tym miejscu ponad trzy godziny temu i rozrzucony w tyralierę poszli w las. Kaliszuk powiedział, że wrócą koło południa po przeczesaniu pierwszej partii zakreślonego na mapie prostokąta. Snajper, ulokowany blisko piętnaście metrów nad poziomem gruntu, na szczycie łagodnego wzniesienia, miał widok na cały interesujący grupę obszar. Z oczami przyklejonymi do soczewek lornetki wodził wolnymi posuwistymi ruchami po leśnej gęstwinie, starając się wypatrywać oznak zdradzających obecność człowieka. Kilkakrotnie dostrzegł jakiś ruch, ale za każdym razem okazywało się, że byli to okoliczni chłopci krzątający się koło swoich codziennych spraw.

Strzelec wiele razy zmieniał pozycję, starając się przywrócić krążenie w zdrętwiałych kończynach. Na treningu, wzmacniając jego wrodzone cechy, nauczono go cierpliwości, toteż nie odczuwał zniecierpliwienia. Czekał i zdawał sobie sprawę, że przyjdzie mu może tak tkwić do zmierzchu albo do jutra lub pojutrze. Być może nie doczeka się nigdy.

Ale doczekał się szybciej, niż myślał.

Pięć przed jedenastą, jakieś pół kilometra od niego, gęstwina poruszyła się nieznacznie.

Początkowo myślał, że to znowu jakiś rolnik, potem, że sarna lub inne duże zwierzę, których sporo kręciło się po tych prastarych lasach. Jednak gałąź poruszyła się drugi raz, nieznacznie i lekko, na wysokości ramion dorosłego człowieka. Snajper obrócił pokrętko, starając się maksymalnie wyregulować ostrość obrazu. Uchwycił ruch, jakby zamazany zielony cień zmierzający powoli wzdłuż granicy lasu. Pośród drzew panował półmrok, choć dzień był jasny. Kilka sekund później mignęła cała sylwetka i snajper przestał mieć jakiegokolwiek wątpliwości - to był żołnierz. Dostrzegł fragment munduru pokrytego maskującym kamuflażem nieznanego wzoru, broń przewieszoną przez pierś i trzymaną prawą ręką za rękojeść, hełm o tym samym desenie co mundur. Żołnierz poruszał się miękko, rozglądał uważnie na boki. Szedł niespiesznym krokiem. Sprawiał wrażenie członka zespołu mającego za zadanie zabezpieczenie skraju lasu.

Nie miał szans dostrzec snajpera ukrytego pośród gałęzi piętnaście metrów nad ziemią i oddalonego o blisko pół kilometra.

Gałązki poruszyły się jeszcze kilka razy i żołnierz zniknął z pola widzenia.

Snajper skrzętnie zanotował w głowie kierunek, z którego przyszedł żołnierz - czy grupa - oraz dokąd się udał. Starał się także zapamiętać każdy, nawet pozornie nieistotny szczegół - mundur, broń, kamuflaż, sposób poruszania się. Gdy pół godziny później meldował swe spostrzeżenia sierżantowi, który nagle, niemal niezauważalnie pojawił się pod jego kryjówką, ten nic nie powiedział, patrzył tylko na snajpera beznamiętnym wzrokiem. Strzelec znał go na tyle, aby wiedzieć, że jest to pochwała, i to dużego kalibru. Kaliszuk zdobył się nawet na klepięcie strzelca w ramię.

- Tawariszcz starszyna, pójdziemy za nimi? - zapytał snajper.

- Nie - olbrzym pokręcił głową. - Oni wrócą. Poczekamy.

Po gwałtownej strzelaninie zapadła cisza. Samochód gestapo zniknął za rogiem, pogoń, wobec braku środków transportu, nie miała widoków powodzenia ani żadnego sensu. Zapadła cisza, mająca za akompaniament

strzelaninę odbywającą się dwie ulice dalej. Gdy Jamróż wsłuchał się w jej odgłosy, stwierdził, że dochodzi z przestrzeni zlokalizowanej wysoko ponad głowami.

- Walczą na dachach, panie poruczniku - powiedział Szurek, celowniczy kaemu.

- Słyszę. To znaczy, że może jeszcze żyją - odparł.

- Idziemy?

- Nie. Nie wiemy, gdzie są. Przede wszystkim musimy odzyskać łączność.

Szurek cmoknął z powątpiewaniem, ale nie odezwał się. Jamróż schylił się, sprawdził tętno leżącego na ulicy żołnierza - brak! - przeszukał go szybkimi ruchami, odpiął pas z ładownicami, po czym podniósł leżącego metr dalej beryla.

Obaj jego towarzysze spoglądali na te czynności kątem oka, jednocześnie pilnie lustrując ulicę. Jamróż rzucił karabin i pas z magazynkami żołnierzowi dzierżącemu granatnik RPG. Tamten chwycił broń i cała trójka bez słowa ruszyła w stronę Żelaznej.

Ulica była jak wymarła, okna pozasłaniane.

Mieli do przejścia może dwieście metrów. Przyklejeni do ściany mijanych domów rozglądali się czujnie, dziobiąc powietrze lufami gotowych do strzału karabinów. Posuwali się szybko, świadomi, że trafili w swego rodzaju martwe pole niemieckiego okrążenia, które może się skończyć w każdym momencie.

W końcu doszli do skrzyżowania Pańskiej, Złotej i Żelaznej. Zgodnie z oczekiwaniami, miejsce to zapchane było Niemcami, co najmniej dwa plutony stały na skrzyżowaniu z bronią gotową do strzału. W głębi Żelaznej trwała gwałtowna wymiana ognia. Jamróż przypuszczał, że to któryś z patroli ubezpieczenia uwikłał się w walkę.

Czym prędzej zniknęli w bramie, całe szczęście dozorca nie zdążył jej zamknąć. Z tego miejsca była co prawda pewna możliwość obserwacji i ostrzału, Jamróż zdał sobie jednak boleśnie sprawę, że nie ma tak naprawdę wielkiego pola manewru. Nie mógł iść do przodu, był zatem odcięty od zapasowego punktu dowodzenia. Nie miał łączności z Wojtyńskim ani ze swoimi ludźmi. Nie mógł, zgodnie z poleceniem dowódcy, użyć będących w pogotowiu mercedesów policyjnych, ponieważ z ich kierowcami również utracił łączność. Nie miał nawet pewności, czy oba samochody nadal pozostają do dyspozycji, czy obaj kierowcy nie wpadli w ręce Niemców. Nie wiedział także, co się dzieje z patrolami osłony ani z dziewczętami Wali.

Przeklinał się w myślach, że pozwolił na utratę wozu dowodzenia, nie ma alternatywnego kanału łączności, nie ma pomysłu, jakie powinny być ich dalsze kroki.

Na krótki moment ogarnęło go coś w rodzaju paniki. Ręce, spocone i brudne, zaczęły się trząść. Po kręgosłupie chodziły lodowate mrówki, żołądek ścisnął się w okropny węzeł. Obaj żołnierze patrzyli na niego w nadziei, że powie im, co dalej. Spojrzenia mówiły wyraźnie, że nie mogą przecież w nieskończoność tkwić w tej bramie, będąc zupełnie bezużytecznymi. A on nie miał im nic do powiedzenia.

Byli dobrze uzbrojeni i wyszkoleni, zdawało się jeszcze przed półgodziną, że zostali dobrze przygotowani na każdy możliwy wariant rozwoju sytuacji. A teraz tkwili w tej śródmiejskiej bramie, a ich dowódcy nie przychodziło do głowy nic, co mogłoby zmienić to położenie.

Podporucznikowi Mariuszowi Waleckiemu udało się uzyskać niemal pełne rozeznanie w sytuacji. Krzyżujące się w powietrzu meldunki były przez jego ludzi wyłapywane i przekazywane dyżurnemu, który na wiszącej na ścianie mapie Warszawy zaznaczał pozycje niemieckiego kordonu oraz własnych sił. Już pobieżny rzut oka na

plan spowodował, że Walecki aż gwizdnął. Niemcy uderzyli w trzech miejscach, w każdym z dużym impetem. Siły zaangażowane w akcję podporucznik obliczał łącznie na jakieś siedem tysięcy ludzi. Bardzo szybko zorientował się, że niemiecka operacja została zaplanowana wcześniej, uderzenia były przygotowane i starannie wymierzone.

Nic z przypadku, żadnej improwizacji.

Procedura przewidywała, że w razie utraty łączności z dowódcą, Stańczakiem lub Jamrozem, dowodzenie przejmuje szef sekcji łączności. Toteż Walecki, choć nie był specjalnie uszczęśliwiony tym faktem, ostro zabrał się do roboty.

Do sali dowodzenia zostali ściągnięci wszyscy niepełniący służby specjaliści od łączności, na czele z głównym szefem techników, pochodzącym z Katowic rodowitym Ślązakiem Kowolem. Usiadł on za klawiaturą, powachlował chwilę palcami niczym pianista przygotowujący się do recitalu, po czym zaczął błyskawicznie wydawać komendy komputerowi. Po minucie łączność została zrekonfigurowana.

Centrum dowodzenia znajdowało się teraz na Mokotowie, przy ulicy Różanej, w piwnicy jednego z budynków Obiektu Numer Jeden.

Kowol wręczył Waleckiemu słuchawki z mikrofonem na wysięgniku. Podporucznik przytroczył do pasa transponder. Mógł bez ograniczeń poruszać się po pomieszczeniu, zaglądać do poszczególnych operatorów radiostacji lub ustalić położenie sił własnych i przeciwnika na ogromnej ściennej mapie.

Po pierwsze Walecki sprawdził zabezpieczenia Obiektu Numer Jeden. Dowódca ochrony meldował o braku aktywności nieprzyjaciela, choć oczywiście postawił ludzi w stan najwyższej gotowości. Na razie na tym odcinku panował spokój.

Po drugie nawiązał łączność z dowództwem Obiektu Numer Dwa. Ze zdziwieniem skonstatował, że dowodzenie objął Majewski, zastępca Zellmana, ale sytuacja rozwijała się w dramatycznie szybkim tempie, więc nie miał czasu na gruntowne analizy. Wyglądało na to, że Majewski panuje nad sytuacją. Ewakuacja rozpoczęła się, wyjście awaryjne, wedle wiedzy porucznika, pozostało przez Niemców nieodkryte, walka przeciągała się, a o to w gruncie rzeczy chodziło.

Meldunki Dużego również nie pozostawiały wątpliwości: Niemcy zrejterowali pokonani, ich straty są znaczne, duch wśród powstańców znakomity, ewakuacja dzieci przebiega zgodnie z planem. Część transportów, nieniekoszona przez mających swoje problemy Niemców, zdołała nawet wyjechać poza Warszawę.

Prawdziwy problem był na Twardej.

Waleckiemu od początku nie podobało się, że narada nie zakończyła się wczoraj, a jej kontynuacja nastąpi w dniu, w którym zaplanowana została, już wiele miesięcy temu, zupełnie inna operacja. Wiadomo było z góry, że akcja ta przyciągnie uwagę Niemców, postawi ich w stan wzmożonej aktywności, co w naturalny sposób spowoduje nadmierne ryzyko dekonspiracji uczestników narady.

Ale nasłuch nasunął mu jeszcze bardziej ponure wnioski.

Rozwój wypadków podsuwał myśl, że niemieckie uderzenie nie było przypadkowe, nie wynikało z incydentalnego donosu jakiegoś konfidenta czy sokolej sposptrzegawczości pieszego patrolu. Akcja została rzetelnie przygotowana. Niemcy dysponowali licznymi oddziałami, które zaciągały szczelny pierścień okrążenia, dysponowały bronią ciężką, działania były dobrze skoordynowane. Było to typowe polowanie na grubą rybę.

Jednak pytanie, skąd Niemcy zdobyli precyzyjne informacje o miejscach, w których powinni uderzyć, schodziło na plan dalszy. Istotne było wyjście z kotła i ocalenie, co tylko się da, z błyskawicznie nadchodzącą katastrofą.

W pierwszym rzędzie wywołał zapasowy punkt dowodzenia, jednak Wala nie odpowiadała. Z większym powodzeniem nawiązał kontakt z patrolami osłony. Dowódcy zgłaszali się po kolei. Z meldunków wyłaniał się obraz pewnego chaosu, a jednak widać było, iż patrole, na ogół w sposób uporządkowany, wycofują się do umówionych rejonów koncentracji. Jedynie z dwoma grupami nie udało się nawiązać łączności. Zgłosiły się dwie wywiadowczynie Wali i łamiącymi się ze zdenerwowania głosami meldowały o zaginięciu co najmniej pięciu koleżanek. Jedna z dziewczyn podała wiadomość, że sama Wala najprawdopodobniej została aresztowana, choć wywiadowczym nie była tego pewna, bo całe zdarzenie widziała z małego okienka strychu kamienicy ulokowanej o kilometr od miejsca zdarzenia. Niemniej podana wersja była prawdopodobna, jako że Wala zniknęła z eteru na dobre. Podobnie Jamróż oraz, co gorsza, Wojtyński.

Wałęcki mimo wszystko zaczął pomału opanowywać sytuację. Patrole meldowały o gwałtownej walce, która rozegrała się początkowo na podwórku kamienicy przy Twardej trzydzieści sześć, następnie przeniosła się wyżej, by w końcu osiągnąć dach. Według znajdujących się najbliżej patroli walka na dachu trwała nadal, a nawet przybierała na intensywności. Wałęcki podejrzewał, że Wojtyński podjął próbę wyprowadzenia uczestników narady poza obręb kotła jedyną możliwą drogą ucieczki, czyli górą. Podporucznik był skłonny przyznać, że teoretycznie, bardzo teoretycznie, rozwiązanie to stwarzało pewne szanse. Nieprzerwany ciąg zabudowań wzdłuż ulicy Twardej ciągnął się aż do Śliskiej, a potem do Żelaznej. Wałęcki wiedział, że dowódca analizował rozmaite warianty ucieczki, osobiście przeszedł okolicę wiele razy wzdłuż i wszerz i na pewno nie zrobi niczego, co mogłoby naprowadzić Niemców na trop uciekinierów.

Niewykluczone jednak, że chciał, aby Niemcy myśleli, iż będzie uciekał dachami, podczas gdy miał w planie coś zupełnie innego.

To było, zdaniem podporucznika, całkiem do niego podobne.

Z ulgą stwierdził, że zgłaszają się do niego dalsze sekcje oddziału ochrony. Zameldowali się kierowcy policyjnych mercedesów. Siedzieli w nich doświadczeni kierowcy i doskonali strzelcy. W swoim poprzednim życiu obaj byli operatorami GROM-u. Samochody stały zaparkowane tuż za Żelazną, przy Chmielnej. Wałęcki nie wiedział, jaki plan ucieczki przyjął dowódca, czuł jednak, że oba policyjne auta, z żelaznymi, autentycznymi papierami, z oboma kierowcami mówiącymi bezbłędnie po niemiecku, stwarzają największe szanse. Toteż polecił kierowcom pozostawanie w gotowości, a sam połączył się z dowódcami patroli osłony.

Okazało się, że przebywały w dwóch alarmowych lokalach i są gotowe do akcji. Dołączyły także do nich obie wywiadowczynie z plutonu kobiecego.

Wałęcki dysponował siłą blisko czterdziestu ludzi uzbrojonych w broń maszynową.

Porucznik Leszek Jamróż nadal nie dawał znaku życia.

Wałęcki wahał się. Wydanie rozkazu do ataku stanowiło ogromne ryzyko. Nie miał przecież dokładnej wiedzy o położeniu dowódcy wraz z resztą polsko-amerykańskiej grupy. Mógł tylko pewne rzeczy zakładać. Zaczął nawet rozważać uruchomienie grupy interwencyjnej - czterdziestoosobowego plutonu, pozostającego w gotowości w Obiekcie Numer Trzy na Ochocie - ale zarzucił ten pomysł. Prawdopodobieństwo przedarcia się przez kordon było małe, a ryzyko straty tych ludzi ogromne, i to bez jakichś znaczących korzyści. W końcu podjął decyzję. Podnosił właśnie rękę do przełącznika, gdy usłyszał w słuchawce tak dobrze znany głos. Coś

trzeszczało i przerywało, jakość przekazu była bardzo słaba, w tle słychać było strzały karabinowe i serie z broni maszynowej, ale to był ten głos. Głos żywego człowieka.

- Bravo Jeden, zgłoś się - powiedział Wojtyński. - Tu Alfa.

31

Kilka minut przed eksplozją, która zmiotła z powierzchni ziemi mur oddzielający fabrykę od ulicy Obozowej, na tyłach Obiektu Numer Dwa znalazła się grupa szturmowa złożona z przeszło sześćdziesięciu ludzi. Byli to otrząskani w wielu akcjach bojowych, najbardziej odważni i doświadczeni esesmani, jakich Spilker miał do dyspozycji. Niektórzy mieli za sobą nawet staż na froncie wschodnim, a ich kompetencjom wojskowym i wyrobieniu politycznemu nie można było nic zarzucić.

Oddziałem dowodził młody, uzdolniony wywiadowca, Scharführer Otto Hanemann, który do tej misji zgłosił się na ochotnika.

Grupa wyruszyła z miejsca koncentracji pół godziny przed wydaniem pierwszego rozkazu do ataku. Początkowo posuwała się wzdłuż linii kolejowej prowadzącej od Dworca Głównego na północ. Nasyp stwarzał nie najgorsze możliwości ukrycia marszu, toteż grupa doszła do wiaduktu nad Ożarowską przez nikogo niezauważona. Tam rozdzieliła się na trzy mniejsze zespoły, osobno forsujące zapyziałe, zagracone i przeważnie niezamieszkałe parcele w okolicach ulic Czarneckiej, Kruszwickiej i Listopadowej. W końcu wszystkie trzy grupy, pełzając nisko przy ziemi, osiągnęły linię, z której widać było mur okalający zaplecze Obiektu Numer Dwa. Hanemann pomyślał, że dopiero teraz, gdy już dokładnie wiedział, czego szuka i co spodziewa się znaleźć, widać, jak przemyślaną, ale w gruncie rzeczy łatwą do rozszyfrowania budowlą jest interesujący go cel. Ogrodzenie było niejednolite, miało odcinki zakryte białymi sztachetami lub drucianą siatką, ale wszędzie, na całej swej długości, pas na zewnątrz obiektu został uprzętnięty, zapewniając pole obserwacji i ewentualnego ostrzału, a ceglane domy czy budy wewnątrz posesji bez dwóch zdań kryły stanowiska broni ciężkiej.

Hanemann uważnie obserwował teren przez lornetkę i choć nic nie mąciło spokoju i panował całkowity bezruch, był niemal pewien, że po drugiej stronie muru ktoś pilnuje powierzonego odcinka i jest w gotowości.

Potem wybuchła strzelanina od frontu, która błyskawicznie przybrała rozmiar ogromnej bitwy. Pociski moździerzowe latały w różnych kierunkach, broń maszynowa zanosila się wściekłym ujadaniem rozpisany na cienkie, średnie i całkiem grube głosy, zza Górczewskiej kilkakrotnie dała ognia bateria stu pięćdziesięciomilimetrowych haubic.

Hanemann wydał rozkaz do ataku dokładnie w momencie, gdy saperzy wybili we frontowym murze przejście dla piechoty. Jego ludzie przebiegli może dwadzieścia metrów, gdy kolejna eksplozja, nieporównanie potężniejsza niż wszystkie dotychczasowe, zdominowała okolicę. Słup dymu miał pewnie ze sto metrów wysokości. Ludzie Hanemanna wstrząs odczuli bardzo wyraźnie, odłamki cegieł i pokruszonego betonu zaczęły na nich spadać niczym upiorny deszcz.

Chwilę później podpełzł dym i oblepił ich gęstym kokonem. Przez parę minut niewiele było widać. Scharführer potraktował to jako zrzęczenie losu.

Krzykiem poderwał swoich nieco zszokowanych ludzi.

Korzystając z szaroburej, duszącej zasłony, dopadli muru. Nieco po lewej, w odległości kilkunastu metrów, zaczynał się odcinek ogrodzenia wykonany przeważnie z nadwyręzonych zębem czasu desek. Niewielki ładunek wybuchowy umieszczony przez znajdujących się w grupie saperów z łatwością wybił w nim kilkumetrową wyrwę. Pierwsza grupka ostrożnie przeszła przez ogrodzenie i zaczęła posuwać się w głąb posesji.

Wtedy właśnie dostała paskudny, boczny ogień. Seria była długa, dobrze mierzona i położyła pokotem pierwszych nacierających Niemców.

Stanowisko strzelca umieszczone było w maleńkiej budce, z zewnątrz przypominającej najzwyczajniejszy gołębnik, a będącej w rzeczywistości solidnie zbudowanym bunkrem o półmetrowej grubości ścianach wykonanych ze zbrojonego stalowymi prętami betonu.

Fałszywy gołębnik stał w połowie drogi pomiędzy ogrodzeniem a głównym budynkiem fabryki. Operator kaemu miał w polu widzenia tył posesji i mógł prowadzić ogień w trzech kierunkach, chroniąc całą tylną półsferę Obiektu Numer Dwa.

Atakująca grupa zwała się na ziemię i zanim zdążyła odpowiedzieć ogniem, do walki włączył się operator ręcznego granatnika, znajdujący się na drugim piętrze głównego budynku fabrycznego. Wybuch nastąpił dokładnie na wysokości ogrodzenia, chwilę później nadleciał drugi, potem trzeci i czwarty granat. Zadał straty czekającym pod murem żołnierzom, samego Hanemanna lekko ranił w rękę i ogłuszył. Scharführer otrząsnął się, krzyknął i grupka saperów przebiegła za jego plecami. Tym razem praca zajęła im nieco więcej czasu niż za pierwszym razem, ale i z dłuższym odcinkiem ogrodzenia mieli do czynienia. Na dany znak reszta grupy szturmowej odskoczyła w tył. Potrójny wybuch targnął powietrzem, mur zwałił się, w dymiące jeszcze wyrwy wskoczyły poszczególne sekcje i od razu otworzyły ogień.

Bunkier odpowiedział, ale siłą rzeczy zajął się tylko jedną z grup. Operator granatnika zaczął strzelać na ślepo poprzez dym, gdzieś z głębi posesji rozległy się krótkie serie karabinu szturmowego.

Niemcy rzucili przed siebie granaty dymne, potęgując chaos i dezorientację obrońców. W końcu jedna z grup podeszła pod bunkier. Lufa kaemu zachłystywała się ogniem, skutecznie trzymając przy ziemi lewe skrzydło ataku. Ale szturmowcy już wiedzieli, że bunkier jest ich.

Bez pośpiechu przygotowali kostki trotylu, na dany znak trzy krzepkie dłonie zgmiotły zapalniki, po czym ładunki wylądowały w ambrazurach. Żołnierze przytulili się do ściany.

Eksplozja szarpnęła bunkrem, niemal unosząc go w powietrze. Dym i ogień buchnęły przez strzelnice. Ogień karabinu maszynowego ustał jak ucięty nożem.

Sukces grupy Hanemanna był znaczący, ale krótkotrwały. Operator pallada zameldował bowiem Majewskiemu o postępach ataku niemieckiego i podporucznik, który nie ochłonął jeszcze po pierwszej, spowodowanej przez siebie katastrofie, ponownie podszedł do ściany, uchylił przezroczystą płytę ochraniającą tablicę z mechanizmami uruchamiającymi pola minowe i opuścił w dół kolejną czerwoną dźwigenkę, pod którą umieszczony był wyraźnie widoczny podpis: ŁADUNKI TYŁ.

Hauptsturmführer Alfred Spilker, siedzący w opancerzonym wozie dowodzenia ulokowanym przy skrzyżowaniu Żytniej i Młynarskiej, przeszło kilometr od głównego celu operacji, usłyszał huk, bliźniaczo podobny do tego sprzed pięciu minut. Ziemia zadrżała, wprawiona w ruch jakby tupnięciem olbrzyma, samochód zakołysał się.

Dochodzące zewsząd odgłosy strzelaniny ponownie zamarły, by dać czas ewentualnym obserwatorom na pełną kontemplację tej niezwyklej chwili.

Zosia wystrzeliła, trafiając Niemca w twarz. Żołnierz krzyknął przeraźliwie, skrywając się za fontanną krwi. Pistolet skoczył ponownie w jej rękę, kula przeleciała obok głowy towarzysza trafionego przed chwilą żołnierza, tamten zaczął strzelać z biodra, ale także chybił. Niemal równocześnie za plecami dziewczyna usłyszała krótkie

warknięcie, kule zagwizdały w powietrzu i drugi Niemiec upadł na ziemię, jęcząc rozdzierająco. Zosia obejrzała się.

Za jej plecami wychylał się z bramy żołnierz jednego z patroli i machał do niej energicznie. Zaczęła biec, słysząc za sobą krzyki. Automat żołnierza patrolu rozwrzeszczał się na całego, serie biegly pomiędzy murem budynku a zmykającą ze wszystkich sił dziewczyną. W końcu szczęśliwie znalazła się w bramie. Chłopak z patrolu klepnął ją mocno, aż przysiadła, ale i tak radośnie uśmiechnęła się do niego. Kolega strzelca wyciągnął z kieszeni granat, wyrwał zawleczkę, odczekał dwie sekundy - to zawsze jest nieco stresujący moment, nigdy nie ma pewności, czy zapalnik nie zdetonuje ładunku wcześniej niż po obiecanych przez producenta trzech sekundach - i rzucił daleko na ulicę. Wybuch zagrział niemal natychmiast.

Zgromadzona w bramie grupka nie czekała na efekty. Strzelec, który osłaniał bieg Zosi, szarpnął ją za ramię i zmusił do ucieczki. Pognali w głąb podwórka, a pozostali ruszyli ich śladem. Skręcili w ostatnie drzwi przed ścianą kończącą posesję, zbiegli po schodach do piwnicy. Dowódca kopniakiem rozwalił kłódkę wiszącą na wątlm skobelku, po czym grupa gęsiego zanurzyła się w ciemną, zatęchłą czeluść, rozjaśnianą tylko wątlm światłem latarki.

Ostatni zamykający pochód żołnierz przymknął drzwi - na tyle, na ile dało się to zrobić od wewnątrz - i krótka kolumna ruszyła przed siebie.

33

- Mówię panu to, co wiem z wiarygodnego źródła. Ci ludzie wprowadzili się do mieszkania przy Marszałkowskiej dwadzieścia kilka tygodni temu. Czterech mężczyzn i dwie kobiety. Mój informator nie ma do nich dostępu, ale zna kogoś, kto im załatwił tę kwaterę. To Sowiet, bez dwóch zdań. Część z nich wychodzi na miasto, część nie rusza się nogą za próg.

Całymi dniami siedzą w tym mieszkaniu. Jedzenie dostarcza im jeden człowiek, z całą pewnością członek PPR. Z tego, co wiem, dostał bardzo dużą sumę pieniędzy i polecenie, by z aprowizacją nie było żadnych problemów. No to nie ma, na czarnym rynku, jak pan wie, można kupić wszystko.

- Wiem. - Stańczak zapalił papierosa i zamyślił się. Gwałtowna strzelanina w drugiej części miasta była poniekąd zaplanowana, ale porucznika niepokoił jej rozmiar. Miała skalę wykraczającą poza zamierzone wielkość i zasięg. - Czy ci ludzie kontaktują się z kimś z zewnątrz?

- Mój informator nie miał precyzyjnych wiadomości w tym względzie. Podejrzewa, że to nie jedyna grupa i nie jedyny lokal. Wśród pewnych kręgów GL kilka tygodni temu pojawiły się pogłoski o gościach ze wschodu. Specjalnych gościach. Nikt nic konkretnego nie wie.

- Czy ten lokal przy Marszałkowskiej jest jakoś specjalnie chroniony?

- GL wyznaczyła kilku zaufanych ludzi do sprawdzania okolicy. Dwa domy dalej mieszka jeden z ich ludzi, jednak bezpośredniej ochrony lokalu chyba nie ma.

Stańczak spojrzał na towarzyszącego mu żołnierza, szefa sekcji wywiadowczej. Tamten skinął głową. Adres zostanie sprawdzony, i to niezwłocznie.

- Ale o wczorajszym porwaniu niczego pan nie słyszał? - zapytał porucznik.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Przekazałem panu wszystko, czego się dowiedziałem. O porwaniu nie wiem nic. Może ci Sowiet z Marszałkowskiej mają z tym coś wspólnego, a może nie. Nie wiem.

Stańczak sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej gruby plik zielonkawych banknotów.

- Nie dowiedziałem się od pana zbyt wielu konkretów, ale dotrzymam umowy. - Wyciągnął rękę w stronę ubranego w policyjny, granatowy mundur oficerski mężczyzny, który zareagował błyskawicznie, niemal wyrwijąc pieniądze z dłoni porucznika. - Tysiąc dolarów. Gdy dowie się pan czegoś konkretnego o porwaniu, dodam drugi tysiąc. Sprawa jest bardzo pilna. Niech pan przycisnie swoich informatorów.

- Tak jest. - Policjant mimowolnie stuknął obcasami. Miał wielką ochotę przeliczyć banknoty, ale jakoś nie śmiał tego zrobić przy tym człowieku. Schował je do kieszeni.

- Niech pan dzwoni jak najszybciej. Numer pan zna.

34

Wojtyński siedział oparty plecami o mur. Próbował sobie przypomnieć, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku minut, lecz nie bardzo mu szło.

Pamiętał mocarne uderzenie w bok, kamizelka wzięła na siebie większość impetu, kule szczęśliwie zrykoszetowały po zaokrąglonym w tym miejscu kevlarze. Jednak energia dziewięciomilimetrowych pocisków była aż nadto wystarczająca, by zbić wysportowanego, silnego, ważącego przeszło osiemdziesiąt kilogramów mężczyznę z nóg, rzucić o ziemię i pozbawić przytomności. Może nie do końca, Wojtyński pamiętał jak przez mgłę, jak lewą ręką wyszarpnął z kieszeni glocka, przeturlał się i strzelił kilka razy, mniej więcej tam, skąd doszła go seria.

Takie strzały są celne przeważnie tylko w książkach sensacyjnych i filmach. Porucznik strzelał instynktownie, właściwie bez celowania, jednak już drugi pocisk trafił niemieckiego strzelca w kolano i odrzucił od komina. Drugi, przykucnięty i schowany za tamtym, dostał następną kulę prosto w pierś i umarł, nim upadł na dach. Ranny Niemiec krzychał przeraźliwie, staczając się po pochyłości. W końcu dach się skończył, osłabłe, śliskie od potu dłonie próbowały jeszcze uchwycić się krawędzi, kurczowo złapały zardzewiałą rynnę, jednak skorodowany metal nie utrzymał ciężaru i wrzeszczący rozpaczliwie esesman rozpoczął swą przyspieszoną podróż w dół.

Tego wszystkiego porucznik już nie widział, na poły pogrążony w pół śmierci, pół śnie.

Zdołał tylko, czysto odruchowo, podpełznąć do komina i skryć się w jego obszernym cieniu. Gdy się ocknął, rozglądał się przez chwilę dookoła, próbując dojść, gdzie się znajduje i co tu robi. Nie mógł przypomnieć sobie, co się stało, nie wiedział, ile czasu upłynęło, odkąd stracił świadomość. Rozmazanym wzrokiem zerknął na zegarek, ale to był zbędny trud. Szkiełko pękło, wskazówki zatrzymały się na godzinie wpół do jedenastej. Rozejrzał się ponownie. Nie widział zbyt dobrze, przedmioty oddalone o więcej niż kilka metrów były zamglone i niewyraźne.

Potem przypomniał sobie wszystko. Podciągnął się na rękach i usiadł, opierając się plecami o komin. W końcu oprzytomniał na tyle, by dostrzec, że jego towarzysze, w liczbie powiększonej o Obarę i dwóch żołnierzy z grupy bezpośredniej osłony narady, tej samej, która nie pozwalała Niemcom zbyt szybko wejść na górę, ruszyli biegiem w jego kierunku, gęsto się ostrzeliwując.

Poruszył się, próbując wstać. Ból przeszył prawy bok, niczym rozpalony szpikulec wepchnięty pod żebra. Pomacał pod marynarką, ale nie wyczuł krwi. Kule tylko ześlizgnęły się po kamizelce, zostawiając po sobie pamiątkę w postaci złamanych dwóch lub trzech żeber. Miał świadomość, że wywinął się tanim kosztem, kula mogła rozszarpać ramię, udo, mogła też trafić w głowę, definitywnie załatwiając sprawę.

Wiedział również, że brakuje mu czasu, toteż zacisnął zęby, oparł się lewą ręką o ceglana ścianę komina i wstał chwiejnie. Zanim powiększona do dziesięciu osób grupa do niego dobiegła, podjął ponowną próbę

nawiązania łączności z Jamrozem. Ku swojej nieopisanej radości usłyszał odpowiedź, choć nie taką, jakiej się spodziewał:

- Tu Charlie, tu Charlie, słyszę cię. - Głos należał niewątpliwie do Waleckiego, spokojnego, rozsądnego i kompetentnego szefa sekcji łączności i nasłuchu elektronicznego.

- Tu Alfa - powtórzył Wojtyński. Odczuł prawdziwą, szczerą ulgę. - Jesteśmy na dachu tuż obok miejsca spotkania. Czy Bravo się zgłaszał?

- Nie - odparł Walecki. - Straciłem z nim łączność. Przekonfigurowałem sprzęt. Teraz centrum łączności jest u mnie.

- Bardzo dobrze. - Wojtyński zawsze wpajał swoim oficerom, że samodzielność myślenia i działania jest podstawą sukcesu, a już zwłaszcza w sytuacji utraty kontaktu z dowództwem. - Jak wygląda nasze położenie?

Walecki w kilku zdaniach przekazał obraz sytuacji; jaki zdołał sobie wytworzyć na podstawie nadchodzących z terenu meldunków.

- Okej, zrozumiałem. - Porucznikowi kręciło się w głowie, ale starał się zapamiętać wszystkie szczegóły. - Możesz mnie połączyć z grupą Delta?

- Bez problemu. Poczekaj, Alfa. - W słuchawce coś trzasnęło i połączenie zostało zawieszone. Jeden za drugim wpadali za komin zdyszani członkowie grupy. Obara i żołnierze osłony - obaj ranni - natychmiast zajęli stanowiska za kominem, wystawiając lufy w kierunku spodziewanego ataku.

Jednak na razie Niemcy mieli dość, nastąpił krótki antrakt.

- Musimy ruszać - powiedział porucznik do Roweckiego. - Niemcy zaraz wprowadzą siły na sąsiednie dachy po drugiej stronie ulicy. Będą mieli stamtąd bardzo dogodne pole ostrzału.

- Wiem. - Grot rozejrzał się. Wątpliwości nie było. Zarówno po prawej, jak i po lewej stronie ciągnęły się wyższe i niższe dachy podobnych do siebie jak dwie krople wody kamienic śródmiejskiej zabudowy. Otaczające ich siły były na tyle liczne, że rzeczywiście mogły sobie pozwolić na wywindowanie na dachy dowolnej ilości żołnierzy z dowolną ilością ciężkiego sprzętu, umożliwiającego zdmuchnięcie uciekinierów z powierzchni ziemi.

- Alfa, masz połączenie. - To znowu Walecki.

- Dzięki, Charlie. Delta, zgłoś się.

- Tu Delta, zgłaszam się - rozległ się schrypnięty, flegmatyczny, tak dobrze znany porucznikowi głos. Można by sądzić, że jego właściciel został wyrwany z drzemki.

- Tu Alfa. Gdzie jesteś?

- Stoję blisko skrzyżowania Żelaznej z Chmielną.

- Dobrze. Za pięć minut podjedziesz pod dom Twarda trzydzieści. Czekać tam na nas i pozostać w kontakcie.

- Zrozumiałem, Alfa.

- Koniec.

Wojtyński uśmiechnął się z trudem. Żebra bolały go okropnie, ale wmawiał sobie, że to lekki ból, niewart poświęcania uwagi. Ponieważ Rowecki przysłuchiwał się rozmowie, porucznik nie musiał tłumaczyć planu, który zresztą był prosty jak drut: musieli pokonać dach jeszcze jednego domu i zejść na parter. Tylko tyle.

Ruszyli. Obara, który oddał karabin snajperski jednemu z rannych żołnierzy, a wziął od niego w zamian beryla, razem z Gawronskim tworzył tylną straż. Wojtyński szedł przodem, reszta grupy rozciągnęła się w długi

rząd. Posuwali się szybko, bardzo przy tym uważając, aby nie utracić równowagi i nie stoczyć w czteropiętrową przepaść.

Kąt nachylenia dachu nie był zbyt duży, jednak w zupełności wystarczył, by przysporzyć sporych kłopotów nieuważnemu podróżnikowi. Toteż zwracali uwagę na to, co mają pod nogami, a jednocześnie pilnie rozglądali się na boki.

Po dwóch minutach doszli do Twardej trzydzieści, celu podróży. Dom ten był nieco wyższy - o pół kondygnacji - od swego sąsiada, więc musieli, z braku drabinki, poradzić sobie inaczej. Gawronsky ustawił się plecami do ściany, splótł dłonie w coś w rodzaju koszyczka i spojrzał zachęcająco na Wojtyńskiego.

Porucznik zacisnął zęby i wywindował się na górę. Rozejrzał się uważnie. Ruszył bliżej środka dachu. Zauważył właz. Szarpnął za rączkę, jednak właz, zgodnie z przewidywaniami, był zamknięty. Kłapa została zbudowana z calowej grubości desek i obita grubą blachą. Sprawiała wrażenie, że raczej nie podda się łagodnej perswazji.

Porucznik rozejrzał się ponownie, jednak w pobliżu nie było żadnych przydatnych narzędzi. Gestem dał znak nadchodzącemu Travisowi, by schował się za jakąś osłoną, wyciągnął z kieszeni ostatni granat, wyrwał zawleczkę, podłożył karbowane jajo pod rant włazu, w miejscu, gdzie od wewnątrz znajdował się zamek, puścił łyżkę i pobiegł w stronę najbliższego komina.

Ledwie zdążył schować się za osłonę, usłyszał wybuch. Odłamki dzwoniły przez chwilę po okolicznych kominach, po czym wszystko ucichło. Wyskoczył zza osłony.

Rozdarta na pół kłapa trzymała się na jednym zardzewiałym zawiasie. Droga w dół stała otworem. Nadbiegł Travis, Rowecki i Pełczyński. Porucznik gestem pokazał ciemną czeluść strychu, która w tych okolicznościach wydawała się naprawdę przytulnym azylem. I wtedy, z tyłu i z boku, dostali ogień.

Kule nadleciały i za jednym zamachem ścięły Obarę, Gawronsky'ego i jednego z żołnierzy osłony. Wszyscy trzej padli z jękiem na dach. Żołnierz z osłony miał dość - nawet się nie ruszył, Wojtyński w ułamku sekundy zobaczył kilka okropnych ran w okolicach klatki piersiowej. Gawronsky i Obara dostali łzej, nawet nie stracili przytomności, ale wypuścili broń z rąk i wypadli z systemu obrony grupy.

Porucznik krzykiem pogonił oficerów do schodzenia w dół - zanim Niemcy otworzyli ogień, zdążył to zrobić tylko Rowecki - i wzięcia ze sobą rannych towarzyszy, a sam zajął się strzelcami na sąsiednim dachu. Krótkimi, mierzonymi seriami zagonił ich za osłony i zmusił do ukrycia się. Snajper ze Śliskiej, który już dawno powinien opuścić swoje stanowisko, cały czas asekurował odwrót. Jakby w telepatycznym porozumieniu z dowódcą, zajął się grupą atakującą od tyłu. Dwa wystrzały posłały dwóch Niemców w krótką podróż w dół. Strzelec skupił na sobie uwagę nacierających, którzy otworzyli ogień w kierunku nowego źródła zagrożenia.

Wojtyński skorzystał z chwili oddechu, szybko przeszukał zabitego żołnierza - nie powinien mieć przy sobie niczego istotnego, ale porucznik, mając okazję, wolał sprawdzić - wziął beryla, dwa ostatnie magazynki i granat, po czym niemal na plecach Mitchella, jako ostatni, zszedł po zakrwawionych szczeblach na dół.

Wywalenie kopniakiem drzwi dzielących strych od klatki schodowej, zamontowanie granatu tuż za nimi w nadziei, że wybuch choć na chwilę powstrzyma pościg, pokonanie czterech pięter i przebiegnięcie podwórka zajęło im dwie minuty. Wszyscy starali się osiągnąć maksymalne tempo, toteż mimo transportowania rannych podoficerów udało im się dotrzymać uzgodnionego z kierowcami Deltą terminu.

Wojtyński zostawił swoich towarzyszy przyklejonych do ściany domu na podwórku, a sam ostrożnie poszedł w stronę bramy wyjściowej. Wychylił się i rozejrzał szybko. Niemcy stali właściwie wszędzie, ale z ulgą

zauważył oba parkujące przy krawężniku mercedesy, może pięćdziesiąt metrów dalej. Wyglądało na to, że nikt się nimi nie interesuje, stanowiły doskonały element rutynowego okupacyjnego krajobrazu.

Cofnął się, rzucił krótki rozkaz do mikrofonu i po chwili oba samochody wjechały w bramę, znikając Niemcom z oczu.

- Jest nas dziewięciu. W każdym aucie są po cztery miejsca. Wszyscy się nie zmieścimy - powiedział spokojnie do otaczającej go grupy. - Obaj kierowcy mówią po niemiecku. Mają oryginalne policyjne papiery Sonderkommando Spilkera. W razie kontroli udacie, że wieziecie rannych jeńców. Ja przejdę na piechotę.

- To niemożliwe - zaprotestował Grot. - Jedzie pan z nami.

- Nie. - Wojtyński pokręcił głową. - Niemcy tak nie jeżdżą, to byłoby podejrzane. Mam dobre papiery, prześlizgnę się.

- Nie mogę się zgodzić na to, aby pana zostawić.

- To jedyne wyjście, panie generale. Poradzę sobie. I z całym szacunkiem, nie ma czasu na dyskusje.

Grot wahał się jeszcze, ale widząc, że wszyscy czekają już właściwie tylko na niego i miejsca jest rzeczywiście tylko na jedną osobę, zrezygnował z dalszych protestów. Gdy wsiadał do samochodu, jego mina nadal wyrażała dezaprobatę.

- Moi ludzie odwieżą was do rezerwowego obiektu na Ochocie. - Porucznik nachylił się do Roweckiego. - Tam przeczekacie. Dowódca tego obiektu ma środki łączności. Ja dotrę do mojego punktu dowodzenia, skontaktujemy się i naradzimy, co dalej.

- W porządku. I dziękuję panu.

Porucznik wyprostował się, zamknął drzwi wozu i beznamiętnym wzrokiem patrzył, jak oba ciężkie auta wycofują się z bramy, wyjeżdżają na ulicę i z rykiem silników nikną z pola widzenia.

Wojtyński krytycznym okiem obejrzał swoje ubranie - było umiarkowanie brudne i wymięte, co zważywszy na przeżycia ostatniej półgodziny, zakrawało na cud, ponieważ powinno znajdować się w strzępach - odwrócił się do ściany, szybkim, tylekroć ćwiczonym ruchem dokleił wyciągnięte z kieszeni sztuczne wąsy, założył soczewki kontaktowe zmieniające kolor oczu z piwnych na jasnoniebieskie.

Dzięki temu jego wygląd stał się tożsamy ze zdjęciem faceta figurującym w policyjnych dokumentach. Glocka, stena, karabin snajperski i krótkofalówkę, a także zwinięty w kłęb płaszcz już wcześniej wrzucił do bagażnika mercedesa.

Kieszeń marynarki obciążało tylko przepisowe parabellum, uznał więc, że i tak więcej nie może nic zrobić.

Pewnym krokiem wyszedł na ulicę i skierował się w stronę Żelaznej.

35

Majewski nabrał przekonania, że to koniec. Już od kilkunastu minut trzymający się jeszcze na nogach żołnierze bronili się w ostatnim bastionie oporu, solidnym bunkrze zwanym Westerplateńko. Niemcy otrząsnęli się po szoku wywołanym drugim wybuchem, który zniszczył mur okalający posesję od tyłu, i zaczęli znowu naciskać. Ponownie odezwały się haubice z Górczewskiej, bardzo dokładnie wstrzelane w cel. Jeden z ciężkich granatów padł o metr od stanowiska moździerzy, poważnie uszkadzając szaniec i czyniąc obsługi niezdolnymi do walki. Majewski utracił więc możliwość reagowania na ostrzał nieprzyjaciela. Atakującym falom piechoty mógł przeciwstawić najwyżej dwa tuziny żołnierzy z działkiem, kilkoma karabinami maszynowymi i granatnikami. obrońcy trzymali jeszcze nacierające fale na dystans, ale ogłuszony i kontuzjowany niedawnym wybuchem porucznik nie miał złudzeń, że to już raczej ostatnie akordy oporu.

Nie było na co czekać. Krzyknął do sierżanta, aby zabrał chodzących rannych i nakazał wycofanie się do tunelu. Gdy licząca kilkanaście osób grupa, kulejąc i podtrzymując się wzajemnie, zniknęła za drzwiami, wydał rozkaz jednej z drużyn, by zabrała ciężko rannych - czterech nieruchomych ludzi na czterech parach noszy leżących pod ścianą - i poszła w ślady lżej rannych kolegów.

Po tej operacji zostało ich w bunkrze ośmiu. Dwa ciężkie karabiny maszynowe strzelały długimi seriami, luf nie dało się dotknąć nawet przez azbestową rękawicę, drażniący dym gryzł w oczy i zdawał się wypełniać każdą cząstkę powietrza, huk był niemal nie do wytrzymania. Żołnierze jakby zatracili się w walce, nikt nie zwracał uwagi na coraz bliższe wybuchy artyleryjskich granatów. Majewski niemal siłą oderwał ich od strzelnic.

W końcu umilkł ostatni karabin, żołnierze początkowo z ociąganiem, potem całkiem żwawo opuścili bunkier i pobiegli poprzez ruiny głównej hali fabrycznej w stronę wejścia do tunelu.

Majewski przeżegnał się, po raz ostatni podszedł do gabloty z zapalnikami, przekręcił klucz, pociągnął jedną z dźwigni, ustawił mechanizm zegarowy na dwie minuty, przycisnął ostatni (oczywiście czerwony) guzik i zamknął szklane drzwi. Biegiem ruszył do wyjścia. Czuł, że Niemcy, zachęceni ustaniem obronnego ognia, podchodzą coraz bliżej. Zatrzasnął za sobą grube, stalowe drzwi i pobiegł w stronę tunelu.

Miał może dziesięć metrów do celu, gdy pojedynczy karabinowy strzał rzucił go na ziemię.

Ogarnęły go ból i niemoc, ale zachował przytomność. Zaczął się czołgać w stronę zbawczego wejścia, choć niejasno zdawał sobie sprawę, że nie zdąży. Pełził przez ból i dym, nawet nie czuł, jak spadły na niego odłamki cegieł rozrzucone kolejną eksplozją, widział już wyraźnie otwarte drzwi do tunelu, słyszał chrapliwe krzyki nacierających Niemców... gdy wskazówka mechanizmu zegarowego ze zgrzytnięciem wskoczyła na godzinę dwunastą.

Świat na bardzo długą chwilę odwrócił uwagę od furii niemieckiego ataku, od determinacji i rozpaczliwych obrońców. Świat skoncentrował się na gigantycznym, apokaliptycznym wybuchu, który objął w swe posiadanie pokaźny fragment starej dzielnicy prastarego wiślanego grodu.

36

Pułkownik Kazakowcew słyszał odgłosy dalekiej strzelaniny. W gruncie rzeczy był bardzo zadowolony - powstałe w Warszawie zamieszanie, częściowo przecież przez niego spowodowane, idealnie pasowało do jego planów, stanowiło doskonałą przykrywkę. Machina operacji została puszczona w ruch, wszyscy aktorzy spektaklu z zapalem i poświęceniem grali swe role.

Podczas szkolenia wyrobił w sobie cierpliwość - cechę u wywiadowcy jedną z podstawowych - ale mimo to chciał, by znane już były rezultaty działań jego ludzi. W końcu od kilku tygodni o niczym innym nie myślał i niczego innego nie pragnął.

Jakby w odpowiedzi, zgrzytnął klucz w zamku, trzasnęły drzwi wejściowe i po chwili ukazał się dyżurny. Kazakowcew starał się zachować powagę, ale pierwszy rzut oka na rozpromienione oblicze żołnierza pozwalał domyślać się, że chce się czymś pochwalić, i to jak najszybciej.

- Towarzyszu pułkowniku, młodszy lejtnant Pietrow melduje się po wykonaniu zadania.

- Mówcie.

- Amerykanin uśpiony jak dziecko, zapakowany do schowka. Ciężarówka wyruszyła trzy kwadransy temu. Osobiście widziałem, jak Zubow i jego ludzie dołączyli do konwoju organizacji Todta. Do tej pory zrobili pewnie ze trzydzieści kilometrów. Tam droga do samego Białegostoku dobra, betonowa. Powinni szybko jechać.

Wysłałem meldunek do centrali, że przesyłka w drodze. Potwierdzili wysłanie samolotu. Jutro o drugiej nad ranem.

- Bardzo dobrze. - Pułkownik uśmiechnął się. Po wczorajszym pijaństwie nie zostało nawet śladu, czuł się rześki, wypoczęty i pełen optymizmu. Na razie operacja „Jutrzenka” rozwijała się zgodnie z najbardziej optymalnym scenariuszem.

I wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

Nie był to nikt z grupy Kazakowcewa, to pewne. Część jego ludzi nie znała w ogóle tego adresu, ci natomiast, którzy go znali, Kaliszek, Zubow i kilku innych, byli w większości poza Warszawą. Człowiek zaopatrujący ich w żywność, zaufany towarzysz wydelegowany przez GL, miał się zjawić dopiero jutro, zresztą zawsze pukał umówioną sekwencją uderzeń. Nie byli to raczej również Niemcy, ci bowiem walili do drzwi tak, że z trudem utrzymywały się w zawiasach.

A więc kto? Sąsiadka pożyczyć soli? Listonosz?

Kazakowcew wiedział, że dokumenty lokalu zostały wielokrotnie sprawdzone, wszystkie rachunki opłacone - nie ma nic gorszego niż wpadka wynikająca z tego typu zaniedbań - sąsiedzi nie interesowali się nowymi lokatorami ani w ogóle niczym, poza końcem własnego nosa.

Pułkownik zdawał sobie sprawę, że powinni otworzyć - stojący za drzwiami gość lub goście mogli słyszeć głosy - i uświadomił sobie, że tak naprawdę nie ma tu niczego podejrzanego. Herbata na stole, dwóch mężczyzn, ot, towarzyska rozmowa o trudach dnia codziennego. Gestem nakazał schowanie Pietrowowi tetetki, która, nie wiadomo jak, pojawiła się w jego dłoni.

- Otwórz - powiedział cicho, gdy pukanie rozległo się ponownie. Głośniejsze, jakby przynagłające. - I zachowuj się jak gospodarz.

- Ale... - Pietrow mówił po polsku jak Polak, papiery obaj mieli w najlepszym porządku, mimo to wahał się.

- Już. To pewnie nic ważnego. Strzelamy tylko w ostateczności.

Pietrow podszedł do drzwi, parkiet poskrzypywał cicho pod ciężarem człowieka. Przytknął oko do wizjera.

- Kto tam? - zapytał.

Kazakowcew został w pokoju, ale miał widok na przedpokój i drzwi wejściowe. Słyszał wszystko.

- Z elektrowni. Mamy sprawdzić instalację elektryczną. Jest niebezpieczeństwo pożaru.

- Z elektrowni? - powtórzył Pietrow, tak aby Kazakowcew go usłyszał. Pułkownik słabo mówił po polsku, ale rozumiał niemal wszystko. Bez namysłu skinął głową.

- Już otwieram. - Pietrow lewą rękę trzymał głęboko ukrytą w kieszeni, prawą manipulował przy zamku. W końcu zasuwa z trzaskiem cofnęła się, lejtnant nacisnął klamkę i drzwi zostały otwarte. Stało za nimi dwóch mężczyzn w granatowych kombinezonach i ze skórzanymi torbami przewieszonymi przez ramię. Obaj uśmiechali się uprzejmie, a ten, który rozmawiał z Pietrowem, od razu zaczął się usprawiedliwiać:

- Bardzo przepraszamy szanownego pana za zawracanie głowy, ale dostaliśmy informację, że w kamienicy nastąpiło groźne przebicie instalacji elektrycznej i sprawdzamy wszystkie mieszkania. Na parterze już byliśmy, na pierwszym piętrze też i nic, wie pan? - paplał i paplał, jednocześnie przygotowując wyjęty z torby sprzęt. - No więc na tym piętrze zaczynamy od was. Licznik gdzie?

- Słucham? - Pietrow z trudem nadążał za gadaniną technika.

- Licznik energii elektrycznej - powtórzył cierpliwie monter, patrząc z życzliwością na lejtnanta. Na siedzącego bez ruchu Kazakowcewa, który był doskonale widoczny w otwartych drzwiach do pokoju, nie zwrócił najmniejszej uwagi.

- Ach, tak, licznik. - Pietrow oprzytomniał. Musiał wziąć się w garść. To najprawdopodobniej byli naprawdę technicy z elektrowni. Wyjął rękę z kieszeni i z niesmakiem skonstatował, że jest kompletnie mokra od potu. - Tutaj. - Otworzył wiszącą na ścianie szafkę. Dobrze, że po wyjeździe Zubowa spenetrował mieszkanie i pozaglądał tu i tam.

- Dzięki. - Monter zaczął sprawdzać korki, przyświecając sobie latarką. - Józiu - zwrócił się do milczącego, ale równie uśmiechniętego kolegi. - Nie stój tak, nie mamy całego dnia. Zacznij sprawdzać gniazdka.

- Sie robi, szefie - odparł pomagier typowym tonem mającym wyrażać pytanie: „O co ten krzyk, jak rany? Pośpiech to jest wskazany w Państwowej Straży Pożarnej”. Ale posłusznie wyciągnął ze swojej torby niewielkie prostokątne pudełeczko z dwoma kablami i wskaźnikiem na wieczku. Podeszedł do najbliższego gniazdka i wetknął końcówki do dziurek.

Chwilę patrzył na wskazania miernika, po czym westchnął: - Tutaj nic. Idę dalej.

Pietrow odetchnął z ulgą.

Cała wizyta nie zajęła więcej niż dziesięć minut. Przybyszów nie interesowało nic poza instalacją, nie zadawali żadnych pytań, nie rozglądali się specjalnie na boki. W przedostatnim gniazdku było zwarcie, technik bez pytania wymontował je, pokręcił głową na widok nadpalonych końcówek, wyjął z torby nowe, niemal identyczne, zręcznymi ruchami przykręcił dwie śruby mocujące, rutynowo, jakby nie spodziewając się żadnych rewelacji, sprawdził ostatnie gniazdko w dużym pokoju, skinął głową szefowi, który od dłuższej chwili stał beczynnie w korytarzu i ze znużoną miną liczył zacieki na suficie, po czym obaj pożegnali się i wyszli.

Gdy Pietrow zamykał za nimi drzwi, usłyszał, jak pukają do następnego mieszkania.

37

Czekali od dwóch dni - snajper i dwóch obserwatorów. Wybrany kilka tygodni temu przez Wojtyńskiego punkt był doskonały, pozwalał na obserwację naprawdę sporego fragmentu miasta. W kryjówce można było spać na zmianę, przygotowywać skromne posiłki, i to bez zwracania na siebie uwagi.

Punkt, jedyne możliwe miejsce do przeprowadzenia zaplanowanej akcji, miał tylko jedną wadę. Cel, o ile się w ogóle pojawi, przejdzie odkryty odcinek w ciągu pięciu, może sześciu sekund. Tylko tyle czasu będzie miał snajper, aby oddać skuteczny strzał.

Zrobili wszystko, by wykorzystać tych pięć sekund w sposób maksymalnie skuteczny.

Tydzień wcześniej obserwator zmierzył laserowym dalmierzem odległość do celu. Wynosiła pięćset czterdzieści metrów. Wyznaczony do wykonania zadania strzelec, ten sam, który kilka miesięcy temu zakończył celną kulą żywot wszechwładnego wielkorządcy Generalnego Gubernatorstwa Hansa Franka, po uzyskaniu od obserwatora informacji o odległości, która za kilka dni dzielić go będzie od obiektu, zmienił w optycznym celowniku nastawy bębnow, po czym w głuchym podkrakowskim lesie przestrzelał broń, sprawdzając, czy wprowadził właściwe poprawki. Oba próbne strzały siedziały prosto w celu, skupienie pocisków wyniosło siedem centymetrów, co było rezultatem więcej niż zadowalającym. Tułów człowieka ma znacznie większe rozmiary.

W ten sposób snajper uzyskał pewność, że w decydującej chwili nie będzie musiał sobie zaprztać głowy pytaniem, czy luneta jest dokładnie skalibrowana.

Drugi członek ekipy, udając miejskiego elektryka, umieścił na latarni znajdującej się około dwustu metrów od miejsca, w którym pojawi się cel, stację pogodową. Urządzenie to potrafiło zmierzyć interesujące strzelca parametry: kierunek i siłę wiatru, a także ciśnienie i wilgotność powietrza. Za pomocą specjalnie na potrzeby takich akcji skonstruowanego przekaźnika radiowego mogło przekazać dane do znajdującego się w dyspozycji obserwatora odbiornika, sprzęgniętego z odziedziczonym po amerykańskich żołnierzach Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego komputerem balistycznym, który przetwarzał dane ze stacji pogodowej, po czym zestawiał je z rodzajem i kalibrem broni, amunicją, odległością od celu, by na końcu podać dokładne ustawienie przyrządów celowniczych.

Gdy czterdzieści osiem godzin temu zajmowali stanowisko na strychu jednej z krakowskich kamienic, z której zespół miał dogodny widok na Wawel, wszystkie urządzenia zostały ze sobą zestrojone, spięte w jeden doskonale się uzupełniający system, niezawodny i czujny. Zrobili wszystko, co mogli.

Czynniki zewnętrzne, takie jak ilość i jakość ochrony celu czy warunki pogodowe, nie zależały już od nich.

38

- Tu Echo Dwa, jestem na stanowisku.

- Echo Dwa, przyjąłem. Cel?

- W zasięgu wzroku.

- Czekaj na rozkaz.

- Zrozumiałem.

- Echo Trzy, zgłoś się.

- Tu Echo Trzy, zgłaszam się. Jestem na stanowisku. Widzę cel.

- Dobrze. Postępuj zgodnie z planem. Czekaj na rozkaz.

- Zrozumiałem.

- Echo Cztery, zgłoś się.

- Jestem. Brakuje mi pół godziny. Były trudności.

- Jest zagrożenie?

- Nie. Przyplątał się patrol. Już się go pozbyłem. Zapadłem się w mysiej dziurze i czekam. Na razie jest zbyt duży ruch, by podejść do celu.

- Zrozumiałem. Melduj o rozwoju sytuacji.

- Zrozumiałem.

Jakub Borek siedział już od dwóch godzin w tej wiejskiej chałupie będącej jego punktem dowodzenia i zbierał meldunki. Jak dotąd wszystko szło mniej więcej zgodnie z planem, grupy z wyjątkiem jednej osiągnęły pozycje wyjściowe planowanej akcji. Mimo to miał obawy, co tu dużo gadać, cholerne obawy.

Zdarzało mu się dowodzić samodzielnie, choć nigdy nie ukrywał przed sobą ani nawet przed Jamrozem czy Stańczakiem, że wołał mieć przy boku Wojtyńskiego i jego doświadczenie, intuicję, rozsądek, a także wojenne szczęście. Porucznik przy każdej możliwej okazji wbijał do głowy wszystkim swoim oficerom różne rozwiązania taktyczne, starał się przekazać obszerną wiedzę i tchnąć w nich ducha samodzielności. Gdy jednak Borek zostawał sam, zjadały go nerwy, nie był pewien swoich decyzji, zwłaszcza w takim dniu jak dzisiejszy, gdy porucznik był daleko, akcja pomyślana jako wieloplanowa, a od niego, skromnego byłego dowódcy kompanii, który po prostu chciał jechać na misję do Afganistanu, by nieco podreperować rodzinny budżet, a

teraz tkwił w jakiejś alternatywnej, zafajdanej rzeczywistości niczym wrzód na tyłku, sytuacja wymagała elastyczności, szybkich decyzji i twardości.

No cóż, skoro nie może być inaczej...

Alternatywna rzeczywistość. Hm...

Wszyscy mieli tego typu rozterki. Nikt o zdrowych zmysłach z własnej woli nie chciałby się znaleźć w takiej rzeczywistości, dobrej do oglądania na ekranie kinowym, ale nie do przeżywania w realu. Najgorsze były pierwsze miesiące, zderzenie cywilizacji, mentalności, obyczajów...

Wojtyński doskonale zdawał sobie sprawę, że kwestia morale żołnierzy batalionu będzie sprawą kluczową i na dodatek trudną do załatwienia. Sam zdawał się z filozoficznym spokojem akceptować swój los i robił, co mógł, by zaszcześcić choć odrobinę tej filozofii podwładnym.

- Każdy - zwykł mawiać - coś tam zostawił. Wielką miłość, była miłość, zawiedziona miłość. Żonę, kochankę, przyjaciół, dzieci, rodziców, rodzeństwo. Dobra materialne. Każdy, bez wyjątku. Ale każdy z nas, tak się składa, jest również mężczyzną. A w życiu każdego mężczyzny nadchodzi taki moment, kiedy mężczyzna dojrzewa. Jeden później, drugi wcześniej, ale uciec się przed tym nie da, choćby nie wiem jak się starać. A gdy mężczyzna dojrzewa, pragnie robić coś sensownego - coś, o czym ludzie by pamiętali, coś, co będzie warte wspomnień.

I zabiera się do poszukiwań, a gdy już znajdzie ten cel, stara się go zrealizować.

- Nam - kontynuował porucznik, a oficerowie słuchali w milczeniu, czasami chrząkając albo marszcząc nos dla lepszej percepcji - los wyznaczył cel. Niczego nie musimy poszukiwać, za niczym nie musimy się uganiać. Czy tego chcemy, czy nie, mamy konkretne zadania do wykonania. Dla samych siebie, ale i dla wszystkich. To rzeczywistość dookoła, nowa rzeczywistość, sama, bez pytania i próśb, podarowała nam okazję, jakiej dostępuje mało kto. Możemy zostawić po sobie coś bardzo konkretnego, możemy to zrobić zgodnie z własnym sumieniem. Jeżeli tak postąpimy, to łatwiej będzie znieść myśl o rozłące, być może bezpowrotnej, i odnaleźć cel działania tu i teraz.

- Zwłaszcza - mówił dalej cichym, hipnotycznym głosem - że jesteśmy wszyscy zawodowymi żołnierzami i tak się składa, mamy w rękach narzędzia, a w głowach wiedzę, aby ten cel osiągnąć efektywniej i szybciej niż współcześni nam towarzysze niedoli. Nikt przecież, ludzie stąd również, nie jest zadowolony ze swego losu, tamci, gdyby mogli, natychmiast wybraliby inną rzeczywistość. Ale nie lenią się i robią wszystko, by przybliżyć dzień, kiedy otaczający ich i nas koszmar się skończy. Po prostu róbmy swoje, a rezultaty przyjdą wcześniej, niż się spodziewamy.

Borek pamiętał swój początkowy sceptycyzm, gdy wysłuchiwał tej argumentacji, ale gdy już nieco osiadł w nowej rzeczywistości, gdy minął pierwszy szok, gdy zobaczył wreszcie, że w Niemców da się uderzyć celnie i mocno, a porucznik ma głowę na karku i godne podziwu umiejętności, powoli przekonywał się do tej uproszczonej i wymuszonej okolicznościami filozofii. Z czasem przyjął ją jako swoją, potem już w ogóle przestał o niej myśleć, pochłonięty codziennymi obowiązkami.

Batalion w akcji był właściwie tout le temps, ciągle coś się działo i wymagało od wszystkich, począwszy od dowódców, a na ostatnich szeregowcach skończywszy, wielkiej koncentracji i wzmoczonego wysiłku.

Toteż porucznik Jakub Borek, pomimo targających nim wątpliwości i rozterek, umiał je wyłączyć, a w najgorszym razie zneutralizować i skoncentrować się na bieżącym zadaniu.

Takim jak dzisiejsze.

Akcja miała być przeprowadzona w biały dzień, co zdarzało się już w przeszłości, ale generalnie, biorąc pod uwagę skalę zaplanowanego działania, stanowiło pewne novum.

Najtrudniejsza faza operacji, czyli skryte osiągnięcie podstaw wyjściowych, była już, za wyjątkiem cholernego Echa Cztery, za nimi. Pozostawało oczekiwanie. Chyba najgorsze ze wszystkiego.

Spojrzał na zegarek. Do czternastej brakowało nieco ponad pół godziny.

39

- Halt!

Wojtyński nie był zaskoczony okrzykiem, nawet dziwił się, że nastąpił tak późno.

Szedł już od kilku minut, niespiesznym krokiem minął Sienną, zbliżał się do skrzyżowania z Żelazną i Złotą. Zamierzał skręcić w Żelazną, minąć Chmielną, dojść do Alej Jerozolimskich, z których dochodziły, poprzez zapadłą nagle ciszę (potężny wybuch, który nastąpił kilkanaście minut temu gdzieś na Woli, był ostatnim słyszalnym akordem wielkiej bitwy), odgłosy całkiem normalnego ruchu ulicznego. Miał więc nadzieję na wtopienie się w tłum, złapanie rikszy albo tramwaju i wyniesienie się w diabły, i to jak najszybciej. Wiedział, że nie nastąpi to bezboleśnie, czekała go kontrola lub dwie, ale liczył na żelazne papiery, na pewność siebie, na znajomość psychologii i szczęście. Do tej pory ta mieszananka działała bez zarzutu.

Toteż zatrzymał się zgodnie z poleceniem i poczekał, aż patrol w liczbie sześciu esesmanów, z bronią maszynową gotową do strzału, podejdzie do niego szybkim krokiem.

- Dokumenty - warknął dowódca grupy, wyższy od porucznika o głowę drab, taksujący go zimnymi, uważnymi oczami.

- Oczywiście. - Wojtyński starał się zachować spokój. Sięgnął powoli za pazuchę takim ruchem, aby tamtym się nie wydawało, że wyciąga broń. Nie chciał zdenerwować żadnego z pięciu palców zaciśniętych na spustach. Podał dowódcy szarą książeczkę.

Niemiec otworzył ją, nie spuszczać wzroku z twarzy porucznika.

- Kriminaldirektor Anton Müller - powiedział w końcu, gdy już przeniósł spojrzenie na dokument. - Komenda Kripo z Radomia? Zgadza się?

- Przecież umiecie czytać, sierżancie? - zapytał uprzejmym, swobodnym tonem. Z wyczuwalną nutką wyższości. I celowo użył stopnia wojskowego, co dla esesmana było swego rodzaju obelgą, a w najlepszym razie objawem lekceważenia.

- Umiem. - Podoficer odniósł się do tych zabiegów z wystudiowaną obojętnością. - I dlatego pytam, czy się zgadza.

- Owszem. Zgadza się.

- Co tu robi oficer Kripo z Radomia?

- A to już nie powinno pana interesować, sierżancie. Powiem tylko, że wypełniam swoje obowiązki służbowe.

- Ja również, Herr Kriminaldirektor. Ja również. - Zamknął książeczkę i zaczął nią poklepywać po grzbiecie swej lewej dłoni. Nie było łatwo podjąć decyzję o zatrzymaniu kapitana policji kryminalnej, choćby do wyjaśnienia. W razie pomyłki mogło to podoficera sporo kosztować. - Siły porządkowe prowadzą w tym rejonie operację o najwyższym znaczeniu dla bezpieczeństwa Rzeszy. Do moich obowiązków należy sprawdzenie wszystkiego, co uznaję za podejrzane. - Spojrzał przelotnie na sznur cywili postawionych pod ścianą z rękoma do góry. Najwyraźniej koledzy sierżanta rozpoczęli przeczesywanie poszczególnych domów.

- Tu jest moje zlecenie wyjazdu służbowego. - Wojtyński podał esesmanowi kolejny dokument. Uznał, że czas zaserwować nieco mocniej. Chciał skończyć to spotkanie jak najszybciej. Sierżant oglądał papierek uważnie, nie spiesząc się. Wojtyński poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Zwykle tego typu kontrole, obojętnie którego kompletu dokumentów i tożsamości używał, kończyły się po trzydziestu sekundach.

- Dziwny ma pan akcent - powiedział Niemiec po kolejnej, ciągnącej się w nieskończoność chwili, przerywanej wściekłymi wrzaskami Niemców wywlekających kolejnych mieszkańców z domów, krzykami przerażenia dorosłych i płaczem dzieci.

- Dlaczego tak sądzicie, sierżancie? - zdziwił się uprzejmie Wojtyński, ale wiedział już, że się nie wywinie. To w końcu musiało się stać. Było pewne, że trafi się wreszcie inteligentny i uważny żandarm lub policjant, na dodatek obdarzony słuchem językowym.

Pech chciał, że taki splot niekorzystnych czynników nastąpił akurat teraz. Akurat dzisiaj.

- Po prostu słyszę. Skąd pan pochodzi?

- Z Hesji. Z Giessen. - Wojtyński starał się skupić i przypomnieć sobie czas dawno minionych dni, wypełnionych pracą na czarno u życzliwych i pogodnych gospodarzy w tym niezbyt pięknym, ale przyjaznym mieście położonym w środkowych Niemczech. Tuż po maturze spędził tam blisko rok, dziesiątki i setki godzin przegadując z wiekowym gospodarzem, najczęściej zresztą wspominającym wojenne przeżycia. Stary weteran kampanii rosyjskiej z pedagogicznymi zapędami miał nieskończone pokłady cierpliwości, więc poprawiał wymowę i gramatykę młodego pracownika z pedantyczną, niemiecką skrupulatnością. Wojtyński od tej pory starał się mówić tak jak on.

- Taaak? - zdziwił się uprzejmie esesman. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat, ale cechowała go dojrzałość przypisana ludziom znacznie starszym. I dokładność. Niemiecka, cholerna dokładność. - Mam wielu znajomych z Hesji. Nie mówią tak jak pan.

- Co pan sugeruje, sierżancie? - zapytał porucznik, podnosząc nieco głos. Uznał, że czas podbić stawkę. Władczy ton czy nawet krzyk działały z reguły bardzo dobrze.

- Że pan nie jest z Hesji, Herr Kriminaldirektor. Że pan, krótko mówiąc, kłamie.

Wojtyński pożałował, że zostawił w mercedesie glocka. Zapewniłby mu dwa razy większą siłę ognia niż pocziwe parabellum. Trzeba było więcej myśleć, Januszk, a nie chodzić na panienki i pić wódkę z kolegami, pomyślał, dziwiąc się że może w tej sytuacji zachować jeszcze trzeźwość umysłu.

Pozostali Niemcy z patrolu, jakby wyczuwając intencje swojego dowódcy, zacieśnili krąg dookoła porucznika. Pięć luf celowało w podejrzanego, pięć palców było gotowych w każdej chwili do akcji, pięć par oczu zwięźliło się jakby w przeczuciu nadchodzących wydarzeń.

W istocie, wydarzenia nadbiegły z szybkością huraganu.

40

Gdyby porucznik Leszek Jamróz podjął decyzję o pół minuty wcześniej, akcja potoczyłaby się najprawdopodobniej zupełnie inaczej. Jednak podjął ją właśnie w tym momencie, ponieważ wcześniej wahał się i nie wiedział, co powinien dalej uczynić.

Podwórko, w którym się skryli, było najgorszą kryjówką z możliwych. Nie miało połączenia z sąsiednim - nie pozostawiała w tej materii żadnych wątpliwości dwudziestometrowa ściana następnej kamienicy - piwnice również kończyły się ślepo. Planiści batalionu, projektując system ewakuacji kwatery głównej Komendanta Armii Krajowej, nie zakładali aż tak szeroko zorganizowanego kotła, więc w tym miejscu żadnych przejść

ewakuacyjnych nie przewidziano. Toteż Jamróz i jego coraz bardziej zdenerwowani żołnierze tkwili w tym śródmiejskim podwórku jak mysz w pułapce, wiedząc, że fala niemieckiej oblawy zaciska się nieubłaganie, a przeczesywanie domów objęło już następną posesję.

Jamróz pomyślał, że to właściwie koniec. Nie oddadzą się żywcem w ręce Niemców, to pewne, amunicji mieli pewnie na jakieś pięć minut intensywnej walki, mogli zadać nieprzyjacielowi nieliczne straty. W tym celu należało wycofać się na lepszą pozycję, taką, która osłoni im tyły i boki i pozwoli mieć dobre pole ostrzału. Strych lub dach były naturalnymi kandydatami. Jamróz nie żywił nadziei, że dachem da się uciec, był pewien, że po ucieczce Wojtyńskiego i jego grupy właśnie tą drogą, na okolicznych dachach można spotkać połowę warszawskiego garnizonu, z drugiej strony jednak im znajdują się wyżej, tym lepsze zyskają warunki do obrony.

Już nabierał powietrza w płuca, gdy jeden z żołnierzy obserwujący ulicę odwrócił się gwałtownie w jego kierunku.

- Panie poruczniku! - krzyknął. Dekonspiracja najwyraźniej nie była już dla niego największym zagrożeniem.
- Pan spojrzysz. Porucznik...
- Co?
- Dowódca. Niemcy. Mają go.

41

Zosia cierpiała. Nie lubiła ciemnych, dusznych pomieszczeń, a na pewno nie znosiła ciemnych, dusznych tuneli oświetlonych tylko chybliwymi błyskami latarki prowadzącego podoficera. Potykała się, kaszłała, uciszana nerwowymi psyknięciami towarzyszy. Z niewymowną ulgą przyjęła informację, że podróż się skończyła.

Prowadzący pomanipulował chwilę przy drewnianych drzwiach, otworzył je najciszej, jak umiał - nie obyło się jednak bez złowieszczonego zgrzytnięcia zardzewiałych zawiasów - i cała grupa wspięła się po schodach na poziom parteru.

Cisza. Zwykle podwórko, jakich setki w Warszawie. Okna pozasłaniane, ani Niemców, ani mieszkańców.

Warszawiacy byli zbyt doświadczeni, by ryzykować wyjście z domu w takiej sytuacji.

Oddziałek przeszedł gęsiego w stronę wyjścia. Znajdował się, a przynajmniej powinien się znajdować według słów prowadzącego sierżanta, tuż przy skrzyżowaniu Złotej, Twardej i Żelaznej. Gdy dowódca grupy ostrożnie wyjrzał na ulicę, zobaczył Niemców.

I porucznika.

42

Pojedynczy strzał rzucił esesmana, Pana Wściubiajnosa W Nie Swoje Sprawy, na ziemię.

Wojtyński, choć zaskoczony nie mniej niż otaczający go Niemcy, zareagował od nich zdecydowanie szybciej. Kimkolwiek był tajemniczy wybawiciel, należało mu zapewnić dogodne pole ostrzału. Aby nie sprowokować któregoś z pięciu palców zaciśniętych na spustach, rzucił się w bok, na bruk, jakby chciał po prostu skryć się przed ostrzałem.

Pięć palców zareagowało z sekundowym opóźnieniem. Sekunda to dla tajemniczego strzelca było więcej niż nadto, zwłaszcza że tajemniczy strzelec najwyraźniej miał towarzystwo. Z oddalonej o czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów bramy rozległa się długa seria erkaemu, występująca w towarzystwie kilku pojedynczych wystrzałów oddawanych z karabinu szturmowego. Właściciele czterech palców nie zdążyli zrobić z nich użytku i upadli na ziemię, krwawiąc obficie z ran, nie wystrzeliliwszy ani razu. Właściciel piątego palca zdołał oddać co

prawda krótką serię, ale Wojtyński, leżąc, jak się okazało, na niewłaściwym boku, o czym złamane żebra dały mu do zrozumienia z całą bezwzględnością, miał już w tym czasie w ręku pistolet. Strzał należał do łatwych, odległość nie przekraczała dwóch metrów, Niemiec odwrócony był plecami, a plecy to duży i wygodny cel. Wojtyński już dawno wyzbył się wyrzutów sumienia z powodu strzelania przeciwnikom w plecy. Nie tym przeciwnikom.

Polski, oficerski palec, dwukrotnie zaciśnięty na spuście, zakończył tę rundę wynikiem sześć do zera. Szybko okazało się jednak, że to w istocie była dopiero pierwsza runda.

Wojtyński zaledwie zdążył zerwać się na równe nogi i ruszyć w stronę tajemniczych wybawców, gdy do akcji włączyły się pododdziały zajęte do tej pory przetrząsaniem okolicznych kamienic i wyrzucaniem mieszkańców na bruk. Na uciekającego porucznika runęła lawina ognia, całe szczęście początkowo bardzo niecelnego. Strzelcy-wybawcy, w których umykający ze wszystkich sił Wojtyński rozpoznał Jamroza z dwoma żołnierzami sekcji łączności - odpowiedzieli ogniem, i to znacznie lepiej mierzonym od niemieckiego.

Ponadto z sąsiedniej bramy włączyły się do rozmowy jeszcze dwa peemy, odpychając na moment niemiecką nawałnicę i zmuszając ją do dekoncentracji ognia.

Wojtyński osiągnął skrzyżowanie z Żelazną, krzyknął po drodze na swoich żołnierzy, usłyszał, że zarówno Jamróz, jak i grupa, która jako druga włączyła się do walki, rusza za nim, prowadząc ogień osłaniający.

Porucznik poczuł lekkie pacnięcie w ramię, przytknęło go na chwilę, ale nie zwolnił biegu. Pędzący za nim żołnierz od Jamroza odwrócił się i korzystając z osłony ognia kolegów, zarzucił na ramię krótką rurę z charakterystyczną pięścią na końcu, wycelował szybko i strzelił w sam środek goniącego ich tłumu.

Pocisk z sykiem pokonał krótki dystans, znacząc w powietrzu tor lotu kondensacyjną smugą. Wybuch, ściśnięty pomiędzy frontonami kamienic stojących w równej linii wzdłuż Twardej, zagrzmiał niczym grom. Ogarnął płomieniem przestrzeń całej szerokości ulicy, zatrzymał pościg jak bokser rzucający przeciwnika na deski czysto trafionym sierpowym. Kaemista, korzystając z zamieszania, wpakował w kłębiący się o dwa rzuty granatem tłum cały, liczący pięćdziesiąt naboji magazynek. Uciekinierzy zyskali czas.

Biegli co tchu, oglądając się przez ramię.

Stojąca za skrzyżowaniem z Chmielną ciężarówka była cicha i opuszczona, ale wyglądała na sprawną. Najwyraźniej służyła któremuś z pododdziałów tworzących kocioł. Jeden z żołnierzy szarpnięciem otworzył drzwiczki od kabiny, po czym wskoczył do środka. Chwilę manipulował gdzieś pod kolumną kierownicy, w końcu silnik zakrztuszył się i zaczął pracować na wolnych obrotach.

Wszyscy wskoczyli na pakę, kierowca zgrzytnął biegiem i ruszył.

Wyjechali w Aleje Jerozolimskie i skręcili w prawo, w stronę Ochoty. Kierowca jechał szybko, na granicy ryzyka.

Wojtyńskiemu zrobiło się ciemno przed oczami, poczuł krew. Kula uderzyła w ramię, tuż obok kamizelki, przeszła na wylot i spowodowała obfity krwotok. Jak przez mgłę czuł troskliwe ręce Zosi, bez słowa, szybkimi ruchami zakładającej prowizoryczny opatrunek.

Po chwili usłyszeli odgłosy zbliżającego się pościgu. Z Żelaznej wypadły co najmniej dwa auta osobowe i kilka motocykli. Kierowca skręcił w Tarczyńską, na trzystumetrowej prostej udało mu się rozpędzić leciwego blitza do niemal osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, skręcił w Filtrową, jadąc niemal na dwóch kołach, potem zwolnił i zaczął kluczyć w małych i wąskich uliczkach Kolonii Staszica.

- Dowódca ranny. - Zosia pochyliła się do Jamroza. - Muszę mu szybko założyć opatrunek, inaczej się wykrwawi. Tu obok mam mieszkanie. Tam mogę go ukryć.

Porucznik podjął decyzję błyskawicznie. Pobladła twarz Wojtyńskiego była aż nadto wymowna.

- Zatrzymaj! - krzyknął w stronę szoferki. Kierowca zaczął gwałtownie hamować, wszyscy upadli na podłogę. Gdy w końcu wóz się zatrzymał, Zosia zeskoczyła, po czym wyciągnęła ręce i pomogła zejść półprzytomnemu dowódcy.

Wojtyński oparł się na jej ramieniu. Poszli, zataczając się niczym para pijaków.

Ciężarówka ryknęła, przyspieszyła gwałtownie i zniknęła za zakrętem.

43

- Echo Dwa w gotowości.

- Echo Trzy w gotowości.

- Echo Cztery w gotowości.

- Echo Pięć w gotowości.

- Echo Sześć w gotowości.

Porucznik Jakub Borek spojrział na zegarek. Czternasta.

Godzina zero.

- Naprzód - powiedział głośno i wyraźnie.

Tak jakby chciał dodać pewności wszystkim podległym żołnierzom.

I sobie.

44

- Panie rotmistrzu, melduję posłusznie, że wszystkie stanowiska obsadzone. Nastroj wśród żołnierzy bardzo dobry. Zdobyliśmy masę broni, Żydzi uzbroili ponad stu nowych ludzi.

- Macie meldunki o ewakuacji?

- Tak jest. - Szuwar uśmiechnął się w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. To była jego pierwsza akcja bojowa, ale nie czuł tremy ani strachu. Czuł euforię zwycięstwa. I moc. - W nocy wszystko przebiegało gładko, ewakuowano prawie trzysta dzieciaków. Teraz, w dzień, na zewnątrz wyjechały tylko dwie grupy, bo za dużo szkopów zaczęło się kręcić. Więc na razie przechodzą do naszego obiektu na Okopowej i tam czekają, aż się trochę uspokoi.

- Bardzo dobrze. - Duży zamyślił się. Niebawem miał złożyć meldunek. A obraz sytuacji, przynajmniej jak na razie, był całkiem klarowny. Drugie natarcie odparte, straty własne minimalne, straty nieprzyjaciela w obu natarciach co najmniej trzystu zabitych i rannych, ewakuacja przebiega pomyślnie. Chciałby zawsze składać takie meldunki.

- Widział pan? - Szuwar wskazał za okno.

Duży podszedł bliżej. Na ulicach nadal nie było żywego ducha, dymy kilku pożarów zasnuwały niebo, niedaleko dopalał się niemiecki czołg. Przyjemny, można rzec, krajobraz wojenny.

Na dachu jednej z najwyższych kamienic w okolicy, gdzieś na Bonifraterskiej, powiewały na wietrze dwie ogromne flagi, z pewnością dobrze widoczne także i dla postronnego obserwatora znajdującego się za murem. Dwie potężne płachty, biało-czerwona i biało-niebieska, bardzo wyraźnie odcinały się na de pogodnego nieba.

45

- Jest pan pewien, majorze?

- O ile czegoś można być pewnym, Herr General, to tak, jestem pewien. Ludzie są w lepszych nastrojach, udało się ich przekonać, że jesteśmy w stanie pokonać powstańców. Wszyscy znajdują się na stanowiskach. Czekają na pana rozkaz.

- A to? - Wskazał ręką za okno, na łopoczące na wietrze sztandary w biało-czerwonych i biało-niebieskich barwach. - Jak przyjęli to?

- Część w ogóle nic nie wie. - Sternhagel znużonym gestem otarł spocone czoło, rozmazując na nim sadzę i krew. - A tym, którzy to widzieli, akurat przydało animuszu. Ludzie uważają to za bezczelność.

- Bezczelność?! - ryknął Stroop, bo odkąd te dwie flagi, może godzinę temu, pojawiły się na horyzoncie, nie mógł się uspokoić ani myśleć o czymkolwiek innym. - To nie bezczelność, ale symbol, Sternhagel, rozumie pan? Symbol jest wart więcej niż tysiąc szybkostrzelnych dział. Oni odnoszą propagandowe zwycięstwo, moralne zwycięstwo, majorze. Dostaliśmy w skórę pod względem wojskowym, a teraz bierzemy baty polityczne!

Major chciał wzruszyć ramionami, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Wydawało mu się, że Brigadeführer jest bliski wylewu. Dawno nie widział takiej czerwieni na twarzy.

- Untersturmführer Otto Dehmke zgłosił się na ochotnika do akcji zerwania flag - powiedział ostrożnie. - Kilka grup bojowych będzie się posuwało w tym kierunku.

- Musi się udać, rozumie pan? - Stroop za wszelką cenę starał się opanować. - Flagi muszą zniknąć.

46

Ocknął się pod wpływem bólu. Nie mógł sobie przypomnieć, co się właściwie stało, przez pewien czas pogrążony był w jakimś letargu, półświadomości, diabli wiedzą w czym. Poczuł, że czyjeś delikatne ręce zdejmują z niego płaszcz, marynarkę, koszulę, a na końcu kamizelkę kuloodporną. Ta ostanía czynność spowodowała zresztą kolejną falę bólu i sprawiła, że znowu odpłynął na chwilę.

Gdy już na dobre odzyskał przytomność, stwierdził, że leży na tapczanie, przykryty miękkim, wełnianym pledem. Jego wzrok padł na wielką biblioteczną szafę z setkami książek ułożonych w nienagannym porządku. Ten widok go uspokoił. I w jakiś przedziwny sposób dodał otuchy.

Żył. I wiedział, gdzie jest.

- Obudziłeś się - usłyszał znajomy głos. Ucieszył się. Teraz sobie przypominał, że ona tam była, uciekała razem z nim, potem trzymała go w objęciach w rzucającej na wszystkie strony ciężarówce. I, musiał przyznać sam przed sobą, to był głos, który najbardziej chciał usłyszeć w takiej chwili.

- Tak, pewnie tak - wychrypiął. W głowie mu się kręciło. - Jesteśmy u ciebie?

- Tak.

- Jak się tu znaleźliśmy?

- Uciekaliśmy ciężarówką zdobytą na Niemcach. Kierowca na chwilę zgubił pościg w tych małych ulicach. Wskoczyliśmy...

- Dlaczego wskoczyliśmy?

- Bo było bardzo prawdopodobne, że nas dogonią, albo że zrobią blokadę i wszyscy zginiemy. Oni pojechali dalej i odciągnęli uwagę, a my opłótkami przyszlismy tutaj.

- Przecież ... - Nie powinien więcej mówić. Nawet jej.

- Oni dadzą sobie radę. Na pewno. Porucznik miał pieczę nad wszystkim. A ty jesteś ranny.

- Wszyscy nas widzieli - powiedział z wysiłkiem i dźwignął się na łokciu. - Sąsiedzi...

- Jak jest taka strzelanina, sąsiedzi siedzą jak mysz pod miotłą i nic ich nie interesuje. Leż spokojnie, proszę.

Opadł na poduszkę. Na zewnątrz panowała cisza.

- Nie mam dokumentów - stwierdził bez specjalnej emocji. - Zostały przy tamtym Niemcu.

- Jak się wszystko uspokoi, skontaktuję się z naszymi i przywiozę ci nowe. Na razie zostaniesz tutaj. I tak powinieneś leżeć.

Istotnie. Złamane żebra bolały go okropnie, a jeszcze bardziej bolała rana ramienia. W głowie mu się kręciło. Nie bardzo mógł racjonalnie myśleć.

- Jest tu telefon? - zapytał z wysiłkiem. Czuł, że zaraz znowu pogrąży się w nieświadomości.

- Jest.

- Zadzwoń... pod numer 435-32... powiedz, że masz informacje dla pana Janusza... powiedzą, że to pomyłka... odłóż słuchawkę... przyjadą...

Usnął.

47

Snajper zobaczył ich pierwszy.

Nadchodzili czteroosobową grupą, rozrzućeni w krótką tyralierę, czujni, ale rozluźnieni. Broń trzymali w pogotowiu, ale już tak bardzo nie rozglądali się na boki jak żołnierz, którego snajper zauważył rano.

Przez ostatnie dwie godziny grupa Kaliszuka pracowała w pocie czoła. Wywiadowcy wybrali miejsce zasadzki i przygotowali pięć stanowisk, niewielkie, jednoosobowe ziemianki przemyślnie zamaskowane i niemożliwe do wypatrzenia od strony nadchodzącego patrolu. Ziemianki bowiem wyjście i zarazem punkt obserwacyjny miały umieszczony od tyłu. Nadchodząca grupa musi je minąć, aby znaleźć się w polu widzenia ludzi Kaliszuka. Wtedy pokaże plecy...

Żołnierze patrolu byli zmęczeni. Jak co dzień, marsz wynosił dwanaście kilometrów w trudnym, pełnym wykrotów i skalnych zboczy terenie. Podczas patrolu dwa razy zatrzymywali się i skrupulatnie sprawdzali zabezpieczenia kryjówek, a także sprawność urządzeń. Ponieważ ilość żołnierzy znających lokalizację schowków ograniczona była do szesnastu, służbę pełnili w ośmioosobowych grupach, po miesiącu każda. Potem następował miesięczny okres odpoczynku, a służbę patrolową przejmowali zmiennicy.

I tak już od trzech lat.

Gdy mijali linie kryjówek ludzi Kaliszuka, niczego nie zauważyli. Rosjanie są mistrzami walki w lesie i mistrzami kamuflażu, a patrol był zmęczony i myślał tylko o gorącym posiłku. Kaliszuk odchylił delikatnie wieko swojej kryjówki, jak na sprężynie wyskoczył na zewnątrz. W jego rękę, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się krótka, drewniana pałka. Dwoma ogromnymi susami znalazł się przy najbliższym żołnierz. Tamten coś jednak usłyszał, bo zaczął się odwracać, jednocześnie sięgając po broń i rzucając się w bok. Pałka niczym kowalski młot uderzyła w skroń tuż pod rantem hełmu. Żołnierz kwiknął bezradnie i upadł. Kaliszuk jednym skokiem wylądował mu na piersi, po czym uderzył jeszcze raz, lżej.

Żołnierz po kilku sekundach był nieprzytomny, skutny, rozbrojony i zakneblowany.

Innym zwiadowcom nie poszło tak gładko. Tylko jeden z nieprzyjaciół został obezwładniony równie skutecznie co ofiara Kaliszuka. Dwóm pozostałym udało się zareagować o ułamek sekundy wcześniej. Jeden zdążył uchylić się przed opadającą pałką, odskoczyć i podnieść broń do strzału.

Ubezpieczająca akcję Masza nie miała wyboru, choć sierżant nakazał przeprowadzenie akcji w ciszy. Tetetka szczeknęła dwa razy i żołnierz poleciał w tył. Jego kolega w tym czasie miał już na muszce atakującego go zwiadowcę. Seria była krótka, ale posłała napastnika na ziemię, po czym lufa karabinu szturmowego przesunęła

się w prawo, w stronę Maszy, jedyne go napastnika uzbrojonego w broń palną, żołnierz uznał ją więc, całkiem słusznie, za największe zagrożenie.

Snajper, ukryty w krzakach o sto metrów dalej, obserwował całą tę scenę przez celownik optyczny mosina, toteż był gotów do strzału. Gdy siatka celownika zatrzymała się na głowie żołnierza, snajper pociągnął za spust, kula pokonała sto metrów w ułamku sekundy, krwawy rozprysk zaznaczył miejsce trafienia i nad polem walki ponownie zapadła cisza.

48

- Przerwać ogień - zakomenderował rotmistrz Duży, gdy już oderwał wzrok od znikającego za rogiem nieprzyjaciela.

Pozostali członkowie grupy bojowej, zajmujący stanowiska w mieszkaniu na parterze jednej z kamienic przy Gęsiej, przestali strzelać. Byli czarni od dymu, ogłuszeni nieustannym hukiem, często kontuzjowani lub ranni - ale kompletnie i definitywnie szczęśliwi.

Chociaż w trzecim natarciu Niemcy zmienili taktykę, siłom powstańczym udało się odeprzeć kolejne ataki, a nieprzyjaciel nie zanotował na swoim koncie właściwie żadnych zdobyczy.

System łączności sprawił, że wzajemna asekuracja poszczególnych grup czy rejonów działała bardzo dobrze, w związku z czym żydowscy bojowcy oraz oddział rotmistrza ponieśli co prawda straty, ale były one niewielkie, w każdym razie niewspółmiernie małe w porównaniu do strat nieprzyjaciela.

Duży wyprostował się. Ręce drżały z wysiłku. Sten parzył niczym fajerkowa kuchnia w Boże Narodzenie. Rotmistrz był zmęczony, ogłuszony i niehumanie głodny.

Ale pomyślał sobie, że tego dnia zdał egzamin. Mógł być dumny ze swoich ludzi.

I z siebie.

49

Gdyby ocknął się o sekundę później, zginąłby. Nie wiedział, co spowodowało, że się obudził. Instynkt, poparty wieloletnim szkoleniem i praktyką? Niewyraźny dźwięk przecinanego przez stal powietrza? Ruch, zbyt gwałtowny i zbyt bliski? Szelest ubrania?

Nim jeszcze otworzył na dobre oczy, przeturlał się i spadł z tapczanu wprost pod nogi napastnika. Ramię opadło i nóż wbił się w poduszkę, w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą spoczywała szyja Wojtyńskiego. Napastnik odskoczył gwałtownie, toteż próba złapania go za nogę nie udała się. Porucznik upadł na zraniony bok, więc na dobrą chwilę ból go sparaliżował. Mimo to podniósł się na rękę, a potem stanął na nogach, dosłownie w ostatnim momencie, ponieważ napastnik właśnie atakował ponownie.

Darował sobie okrzyki typu: „Co to znaczy? Co robisz? Oszalałaś?”. Atakowała go osoba bardzo dobrze znana, a jednocześnie kompletnie obca. Zwinna niczym pantera, z zimnymi oczami bezwzględnej zabójczyni, gotowej osiągnąć cel bez względu na wszystko. Sposób, w jaki trzymała nóż i przystępowała do ataku, wskazywał wyraźnie, że doskonale wie, co robi, umie to robić i nie zawaha się przed niczym.

Zosia. Kobieta, którą kochał i za którą gotów byłby oddać życie.

Runęła naprzód, zamierzając zadać cios klasyczną szermierczą fintą. Żadnych uderzeń z góry na dół, żadnych popisów. Zwykła, skuteczna kalkulacja, że ręka z nożem jest dłuższa od ręki bez noża, więc nożownik ma zawsze przewagę zasięgu ciosu, a nawet lekkie trafienie może skończyć starcie.

Porucznik wiedział, że walka gołymi rękoma przeciwko napastnikowi uzbrojonemu w nóż, zwłaszcza takiemu, który umie się tą bronią posługiwać, ma znikome szanse powodzenia. Jednak, oczywiście, próbował. Z

linii ciosu zszedł w ostatniej chwili. Wysuniętym do przodu przedramieniem zbił uderzenie i odepchnął dziewczynę najmocniej, jak potrafił, okupując ten wysiłek potężną falą bólu.

Zosia poleciała na podłogę, ale noża nie wypuściła. W normalnych warunkach Wojtyński byłby już przy niej, kopniakiem wybił broń z ręki, a drugim, w głowę, pozbawiał przytomności. Warunki jednak nie były normalne, rana i kontuzja żeber bardzo go spowalniały. Ruszył w jej kierunku i kopnął w momencie, kiedy Zosia przekręciła się w bok, by zadać kolejny cios. Ostrze przebiło łydkę, przeszywając nogę aż do pachwiny igłą wysokiego, chłodnego bólu.

Zanim ogarnęła go niemoc, odruchowo zdążył zrobić tylko jedną rzecz.

Po zadaniu ciosu głowa dziewczyny znalazła się na mgnienie oka dokładnie na linii ciosu drugiej, zdrowej nogi. Błyskawicznie oparł ciężar ciała na przebitej i krwawiącej, a zdrową kopnął w odsłoniętą skroń.

Zosia straciła przytomność na sekundę przed tym, nim upadł.

50

- Myślę, że biorąc pod uwagę całokształt wydarzeń dzisiejszego dnia, mógłbym określić sytuację jako umiarkowanie optymistyczną. - SS-Brigadeführer Jürgen Stroop skorzystał z zaoferowanego przez gospodarza cygara i lampki koniaku, toteż otaczał go wonny dym, a alkohol rozlewał się po ciele wspaniałym, kojącym ciepłem. I dodawał energii. - Tych cholernych sztandarów nie udało się zerwać, zginął bardzo dobry funkcjonariusz Otto Dehmke, ale w końcu znaleźliśmy taktykę na tych bandytów. Ostatnie walki pokazały, że można ich pobić, gdy zapewnimy umiejętne współdziałanie grup bojowych i nie będziemy atakować zbyt wielu celów naraz.

- To interesujące. - Sturmbannführer Ludwig Hahn również palił cygaro i pił koniak.

Trzecia lampka znajdowała się w rękach milczącego ponuro Hauptsturmführera Spilkera.

- Z pana słów wnoszę, że zaczął pan traktować Grossaktion jako operację wojskową, Herr General.

- Jawohl, drogi Hahn. To bandyci i podludzie, ale panom się przyznam, że walczą dobrze. Mówiąc otwarcie, nawet bardzo dobrze. Dwa pierwsze ataki, i Sammern, i szczerze mówiąc mój, nie poszły najlepiej, mieliśmy zbyt duże straty, a efektów prawie żadnych. Teraz atakujemy z różnych stron, w wielu miejscach i staramy się blokować przejścia i kanały odwrotu tych drani. Dopiero jak już naprawdę ich wykurzymy, wchodzą oddziały odpowiedzialne za wysiedlenie ludności. Część rozstrzelujemy na miejscu, zdrowych i młodych mężczyzn wysyłamy do Werke Poniatowa, a reszta... - Gwizdnął porozumiewawczo, spoglądając w niebo.

Hahn pochwycił żart, choć nie było mu do śmiechu.

- Kończąc temat, myślę, że już wiemy dobrze, co robić, i kilka następnych dni powinno przynieść rozstrzygnięcie.

- Tak, to optymistyczne. Ja nie mogę pochwalić się aż takimi sukcesami. - Hahn zastanawiał się, jak pocukrować gorzką pigułkę, którą miał do zaoferowania swojemu nowemu przełożonemu. - Przede wszystkim muszę powiedzieć, że operacja na Twardej trzydzieści sześć nie była uderzeniem w próżnię. Tam rzeczywiście był dowódca AK, a także paru oficerów z jego sztabu. Niestety, ochrona była tak silna, że udało jej się powstrzymać nasze grupy mające aresztować głównego herszta wraz z pomocnikami, dzięki czemu zdołał się wymknąć.

- Nie udało się nikogo złapać ani zastrzelić? - Stroop wypuścił w powietrze wielki kłęb dymu. Świetne, markowe cygaro, świetny, aromatyczny koniak. Życie nie jest takie złe, jak się na nie spojrzy z odpowiedniej strony.

- Och, zginęło sporo bandytów. - Hahn uśmiechnął się, co w obliczu fiaska operacji, fiaska głównego celu, wydało się Stroopowi trochę nieadekwatne do kontekstu wypowiedzianych słów. Grobowa, pełna zadumy mina byłaby w tej sytuacji właściwszą manifestacją. - Ale rezultaty naszych działań są bardzo dobre, nawet jeśli nie osiągnęliśmy wszystkiego.

- No, Hahn, rozumiem, że chce pan osłodzić obraz porażki. I nawet gotów jestem to zaakceptować. - Stroop mógł pozwolić sobie na protekcyjny ton. Jego własne niepowodzenia w tym gronie nie będą omawiane. - Ale kilku zabitych bandytów to nie jest jakiś specjalny powód do chwały, zwłaszcza że stracił pan, jak słyszę, przeszło osiemdziesięciu ludzi.

- Nie o to chodzi, Herr General. Nie o to chodzi. - Hahn uśmiechnął się jeszcze szerzej. Sięgnął do leżącej u jego stóp dużej, brezentowej torby i wyciągnął z niej karabin nieznanego typu. Broń sprawiała wrażenie lekkiej, ale mającej dużą siłę ognia. Stał mieniła się czarno w blasku lamp. - Zdobyliśmy dwa egzemplarze. To karabin używany przez ochronę Roweckiego. Podejrzewam, że przyfrunął w nasze czasy razem z tym piekielnym batalionem trzy lata temu. Ma nietypowy kaliber, pięć i pół milimetra, a ta rura pod spodem to granatnik czterdzieści milimetrów. Siła ognia i celność tej broni jest niesamowita, niech mi pan wierzy. Moi zbrojmistrze mówią, że opanowanie technologii wytwarzania takiego sprzętu może stanowić przełom w uzbrojeniu naszych wojsk lądowych, o ile oczywiście nasze władze zdecydują się na masową produkcję. Przyjęcie takiej broni jako etatowej pozwoli żołnierzom zabierać znacznie więcej amunicji, a co za tym idzie, zwiększy ich siłę ognia. Przyzna pan, że to jednak jest jakiś rezultat.

- Tak. - Stroop również nieznacznie się uśmiechnął. Sprytny ten Hahn, bez dwóch zdań.

O to właśnie chodzi, aby sukcesy, nawet drobne, stały na pierwszym planie.

- Ale to nie wszystko. - Szef policji wyciągnął z kieszeni jakiś dokument i podał go generałowi. Spilker siedział nieruchomo, wpatrując się ponuro w trzymany w ręku kieliszek. - Proszę, niech pan otworzy.

Stroop spojrzał na Hitlerowskie godło. Miał w ręku policyjną legitymację służbową. Uchylił okładkę i już pierwszy rzut oka na zdjęcie spowodował wyraźne uniesienie generalskich brwi.

- Skąd pan to ma?

- Znaleźliśmy przy jednym z naszych poległych. Patrol zatrzymał samotnie idącego mężczyznę. Wywiązała się strzelanina, wszyscy żołnierze patrolu zginęli, ale zostało to. - Wskazał ręką na legitymację. - Moi fachowcy mówią, że to oryginalny dokument, co samo w sobie jest oczywiście bardzo niepokojące, bo oznacza, że bandyci mają dostęp do oryginałów albo umieją je genialnie podrobić. Ale dla nas płynie lekcja, lekcja ostrożności. Już wiemy, dlaczego są niewidzialni. Będziemy wiedzieli, na co zwracać uwagę.

- Owszem. - Stroop myślał o czym innym. - Czy pan wie, kto jest na tej fotografii?

- Tak jest, Herr Brigadeführer, to właśnie pana wczorajszy gość. Herr porucznik Janusz Wojtyński.

- Zgadza się. To właśnie ta kanalia była wczoraj wieczorem u mnie w domu, groziła mi i mojej rodzinie.

- Dzięki temu zdjęciu mamy wreszcie jego aktualny wygląd, nie musimy bazować tylko na opisie Cuprysia sprzed trzech lat. Przyzna pan, że to jest kolejny konkret. Będziemy mogli skupić się na poszukiwaniach, wiedząc, jak wygląda poszukiwany.

- Taaak, w istocie, drogi Hahn. - Stroop nadal wpatrywał się w twarz swego niedawnego gościa. Na zdjęciu sprawiał nawet bardziej złowieszcze wrażenie niż w rzeczywistości. Gdy generał przypominał sobie jego głos, przeszedł go dreszcz. - To już jest coś. Ma pan rację.

- Ale widzi pan, Herr General, to nadal jeszcze nie wszystko. - Hahn uśmiechał się już niemal od ucha do ucha. - Złapaliśmy kobietę, bez wątpienia członka tego cholernego oddziału. W stanie niemal nienaruszonym. Najlepsi moi specjaliści pracują nad nią od kilku godzin. Przykazałem im pracować dotąd, aż nie uzyskają pełnych zeznań i... - Zawiesił głos.

- I? - przynaglił go Stroop. Był zmęczony, miał ogromną ochotę na kąpiel, nie miał natomiast ochoty na teatralne gesty. Chciał, pomimo interesujących rzeczy, które Hahn opowiadał, jak najszybciej skończyć to spotkanie, zwłaszcza że jeszcze dziś, i to już niedługo, czekała go jeszcze jedna rozmowa, daleko ważniejsza i wymagająca daleko większego taktu i umiejętności dyplomatycznych.

Taaak, powinien zdecydowanie się skupić na drugiej rozmowie.

- ...i nie uzyskają deklaracji współpracy.

- Współpracy? - Spilker wzruszył ramionami. Odezwał się po raz pierwszy, odkąd pół godziny temu przekroczył próg gabinetu. - Ona jest już spalona. Nawet jeżeli ją pan wypuści, nie przyjmą jej z powrotem.

- I tak, i nie, drogi Alfredzie. Jej nie przyjmą, ale jest ktoś, kogo nie muszą przyjmować, bo ten ktoś jest nadal w ich szeregach.

- Nie rozumiem. - Stroop był coraz bardziej zniecierpliwiony. Ci bandyci to jedna sprawa, ważna, ale jednak marginalna. Co innego zadania postawione przed nim, Brigadeführerem, jednym z najbardziej zaufanych ludzi Heinricha Himmlera.

- Nie chcę wchodzić w szczegóły. Poinformuję panów jutro, bo spodziewam się, że wtedy będę miał w ręku wszystkie karty do nowej rozgrywki.

- Dobrze. - Stroop machnął ręką. - Poczekamy do jutra. A pan, Spilker? Jak panu się dziś powiodło?

- Wspaniale - mruknął prosto w kieliszek. Miał szarą, zmęczoną twarz. Myślami najwyraźniej błądził daleko poza gabinetem. - Bandycka fabryka została wysadzona w powietrze.

- To rzeczywiście wspaniale wieści, Herr Hauptsturmführer. - Stroop rozjaśnił się. Nie był zły ten dziesiętnasty kwietnia.

- Owszem. - Spilker podniósł wzrok. - Fabryka nie istnieje. Ale personel zdołał się ewakuować, maszyny i zapasy zostały doszczętnie zniszczone, a ja straciłem prawie dwustu ludzi w zabitych i rannych, w tym najlepszego wywiadowcę.

Obaj wyżsi przedstawiciele sił bezpieczeństwa Rzeszy przyjęli przekazane wieści nadspodziewanie spokojnie. Najważniejsze, aby wyciągać pozytywne wnioski.

- Zlikwidował pan jeden z najistotniejszych rozsadników bandytyzmu w tym mieście, Herr Hauptsturmführer. Zadał pan bardzo poważny cios organizacji. Długo, może nigdy nie wyliże ran. Straty w takich przypadkach są nieuniknione.

- Owszem. - Spilker oczywiście wiedział, że nie o to chodzi. Spodziewał się osiągnąć zupełnie inne rezultaty, znacznie większego kalibru. Wyobrażał sobie co najmniej kilku schwytanych żywcem żołnierzy i oficerów Oddziału, techników, inżynierów, przejęte maszyny, technologie, materiały, zapasy, nowe modele broni, środki łączności...

Przesłuchania, badania, odtwarzanie skomplikowanej mozaiki powiązań. I kolejne uderzenia. Celne i ostre niczym chirurgiczny skalpel.

Może to osłodziłoby gorycz utraty Örena, jeszcze wczoraj jego asa atutowego. Trzymany przez niego klucz do zwycięstwa Tysiącletniej Rzeszy. Tymczasem nie ma ani Örena, ani techników, ani technologii, ani nic.

- No, na mnie już czas - powiedział Stroop, wstając. - Chciałbym się wykąpać.

- Przygotowałem dla pana bardzo wygodną kwaterę, Herr General. - Hahn również się podniósł.

- Przemyślałem sprawę, panie doktorze. - Stroop przybrał poważną, wręcz uroczystą minę. - Nie mogę ani ja osobiście, ani jako przedstawiciel sił porządkowych, dać się zastraszyć i sterroryzować bandytom. Im właśnie o to chodzi, abyśmy byli zastraszeni i ulegali ich wpływowi. Ten człowiek chciał wczoraj osiągnąć taki cel, ale go nie osiągnął. Uderzyliśmy na getto i nawet zanotowaliśmy na swoim koncie pewne sukcesy Drugiego celu również nie osiągnie. Nie będę przed nim uciekał. Proszę mi przydzielić dwie drużyny dobrych esesmanów. Sprawdzą mieszkanie i zabezpieczą je przed intruzami.

- Ależ...

- Nie, nie, drogi Hahn. Wracam do siebie.

51

Żołnierz wisiał powieszony za nogi. Był ranny, ale przytomny. Od pasa w dół - choć prawidłowo należałoby powiedzieć, w górę - nagi.

Toczył wokół rozbieranym wzrokiem, oddychając chrapliwie. Jednak to nie rana, bolesna, choć w gruncie rzeczy dość powierzchowna, była przyczyną jego udręki.

To strach i wyobrażenia, wzmagająca katusze oczekiwania.

Wielki mężczyzna, ubrany, tak jak pozostała piątka jego towarzyszy, w maskujący, połowy kombinezon, wyciągnął okazałych rozmiarów nóż bojowy, przystawił wiszącemu do twarzy i w prostych słowach wyjaśnił mu, co za chwilę zrobi. Opowiadanie było krótkie, ale niezwykle obrazowe.

Co ciekawe, nie padło żadne pytanie. Olbrzym nie podał też przyczyny, dla której zamierzał zrobić wszystkie te rzeczy.

Na pewno nie rozumiał jej klęczący na ziemi z rękoma zaplecionymi na karku drugi żołnierz z opuchniętą, obolałą od niedawnego uderzenia głową. Obserwował wiszącego kolegę, obserwował szóstkę napastników, słuchał pojedynczych słów wypowiedzianych przez olbrzymiego dowódcę i nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje.

Na pewno też nie poprawił jego koncentracji krzyk wiszącego żołnierza. Krzyk, w którym otaczający ich las usłyszał wszystkie demony świata.

52

Patrol interwencyjny dowodzony przez porucznika Stańczaka przyjechał po czterdziestu minutach od odebrania niemal niezrozumiałego, wypowiedzianego bełkotliwym, chrapliwym głosem wezwania przekazanego łącznościowcowi dyżurującemu przy telefonie alarmowym.

Policyjne mercedesy zajechały pod niewielką kamieniczkę na Ochocie, zatrzymały się przy krawężniku, ale kierowcy nie wyłączali silników. Z samochodów wyszło czterech ludzi w czarnych płaszczach, spod których wyglądały szare mundury używane przez funkcjonariuszy gestapo.

Mężczyźni udali się na pierwsze piętro, odprowadzani trwożliwymi spojrzeniami lokatorów rzucanymi zza firanek. Ponieważ na pukanie do drzwi mieszkania wskazanego w wezwaniu nikt nie odpowiedział, jeden z mężczyzn pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej okazały pęk wytrychów. Otworzenie dwóch solidnych, ale standardowych zamków nie zajęło dużo czasu.

Drzwi stanęły otworem. Klucznik z pistoletem w ręku został na zewnątrz, trójka jego towarzyszy weszła do mieszkania czujna, skupiona, z bronią gotową do strzału.

Widok w salonie zaskoczył ich. Nieprzytomny, pokrwawiony dowódca, z dłonią zaciśniętą na leżącej na dywanie słuchawce telefonicznej. A dwa metry dalej Zosia, najwyraźniej również nieprzytomna, z ogromnym siniakiem na lewej części twarzy i skroni, za to z trzymanym w garści pokaźnych rozmiarów nożem.

Członkowie patrolu bez słowa porozumieli się wzrokiem. Byli doświadczonymi żołnierzami i mieli praktykę w udzielaniu pierwszej pomocy. Jeden z nich podszedł do Zosi, delikatnie wyjął nóż z jej ręki i podał Stańczakowi, następnie sprawdził tętno dziewczyny. Było regularne i silne. Nieprzytomna zaczęła się poruszać, jęcząc i mrucząc. Asystujący jej żołnierz doszedł do wniosku, że za kilka chwil obudzi się sama.

Wojtyński krwawił z paskudnej, choć dość płytkiej klutej rany na nodze. Drugi żołnierz natychmiast przystąpił do zatamowania krwotoku. Zaciśnął opaskę nieco poniżej kolana, prowizorycznie oczyścił ranę, zasypał ją środkiem dezynfekującym i mocno zabandażował. Potem z równą szybkością zajął się postrzałem ramienia.

Porucznik ocknął się w momencie, gdy opatrujący go sierżant kończył przyklejać plaster przytrzymujący bandaż. Przez chwilę nie bardzo sobie zdawał sprawę, gdzie się znajduje, co go tak boli i kim jest człowiek, który go opatruje. Gdy jego wzrok padł jednak na przytomniejącą i otwierającą właśnie oczy Zosię, przypomniał sobie wszystko.

- Uważajcie na nią - powiedział, wydając z siebie głos niewiele donośniejszy od szeptu. - Jest niebezpieczna.

W takich sytuacjach Stańczak nie zwykł o nic pytać. Zrobił dwa kroki i zatrzymał się niemal nad Zosią, uważając, by nie znaleźć się w zasięgu jej ramion czy nóg. Życie i wyszkolenie nauczyły go ostrożności.

Dziewczyna w końcu otworzyła oczy i spojrzała wprost w niezbyt zachęcający dziewięciomilimetrový otwór wieńczący lufę parabellum. Rozejrzała się szybko, zobaczyła opartego o ścianę Wojtyńskiego z zabandażowaną nogą i ramieniem, Stańczaka patrzącego na nią ponad pistoletem z mieszaniną zaciekawienia i wściekłości, dostrzegła jeszcze dwóch innych żołnierzy z bronią w ręku, stwierdziła, że w zasięgu wzroku nie ma niczego, co mogłoby jej pomóc, i zrezygnowana zamknęła ponownie oczy, jakby chcąc oddalić chwilę zmierzania się z rzeczywistością.

- Która godzina? - zapytał Wojtyński.

Nie spuszczać wzroku z Zosi, Stańczak spojrzał na zegarek.

- Za piętnaście czwarta.

- Zawieźcie mnie jak najszybciej na kwaterę.

- A ona?

- Dowiedźcie się, dlaczego chciała mnie zabić.

53

Wyprowadzili go, trzymając policyjnym chwytem pod ręce, i wsadzili do jednego z parkujących przy krawężniku mercedesów. Kierowca ruszył z piskiem opon. Drugi samochód pozostał na razie na miejscu. Nie zatrzymując się na skrzyżowaniach, klucząc i myśląc ewentualny ogon, po półgodzinie dojechali na Różaną. Kuta, żelazna, obrośnięta bezlistnym jeszcze dzikim winem brama zatrzasnęła się za nimi z donośnym hukiem.

Niespełna trzy minuty później Wojtyński leżał wygodnie we własnym łóżku, a nad nim pochylał się z troską lekarz. Obejrzał zbite żebra, wywołując syk bólu u pacjenta, stwierdził dwa złamania, po czym odwinął obie rany. Pierwsza pomoc udzielona była fachowo, więc mógł od razu przystąpić do pracy. Najpierw jedną, a później drugą ranę starannie oczyścił, wycinając uszkodzone i zabrudzone tkanki, zalał środkiem antyseptycznym i antybiotykiem, po czym starannie wszystko zaszył. Dał dowódcy zastrzyk z antybiotyku oraz silny środek przeciwbólowy. Z niepokojem pomyślał, że to już naprawdę ostatki z zapasów Pierwszego

Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego i że wkrótce, nawet w znacznie gorszych przypadkach, będzie musiał używać penicyliny - o ile coś mu kapnie ze zrzutów - oraz prymitywnych sulfonamidów.

Po półgodzinie miejsce lekarza zajęli Jamróz i Wałęcki.

Wojtyński czuł się nieco lepiej, w każdym razie w głowie mu przejaśniało. Wiedział, że w nocy ból wróci, ale na razie środki zaaplikowane przez lekarza spełniały swoją rolę, więc czuł się na siłach rozmawiać. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Przede wszystkim chcę, aby mój telefon był podłączony do centrali. - Wskazał brodą stojący na nocnej szafce aparat telefoniczny.

- Już jest - odezwał się Wałęcki. - Jak tylko dostałem informację, że jesteś ranny i jedziesz do nas, kazałem przekonfigurować sprzęt. Zadzwoń z dołu, jak będzie trzeba.

- Bardzo dobrze. - Na jego zmęczonej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Spojrzał na Jamroza. - Mów.

- Najważniejsza wiadomość przyszła przed chwilą. Rowecki, Travis i reszta żyją i są pod opieką naszych chłopaków w Obiekcie Numer Trzy. Na razie nie ruszają się nogą za próg.

- Świetnie. - Wojtyński nadal był nieporuszony, chociaż Jamrozowi wydawało się, że jednak odetchnął nieznacznie z ulgą. - Niech się nie ruszają, dopóki nie uznamy, że już rzeczywiście można.

- Tak jest. - Choć była to uwaga rzucona niezobowiązującym tonem, Jamróz, zgodnie zresztą z intencją porucznika, potraktował ją jako rozkaz. - Niestety dalej już nie jest tak różowo.

- Wiem - mruknął Wojtyński.

Jamróz nie widział, co zaszło w pewnym zamożnym mieszkaniu na Ochocie, ale nie pytał o sens tej uwagi.

- Wala jest w rękach gestapo. W akcji na Twardej zginęło dwunastu chłopaków. Przynajmniej o tylu wiemy na pewno. Ranne zostały dwadzieścia trzy osoby, wliczając trzy dziewczyny od Wali. Rannych udało się szczęśliwie ewakuować. Poza Walą wszyscy są w naszych rękach. Straciliśmy kilkanaście sztuk broni, w tym kilka beryli, a także wóz dowodzenia. Z tym, że ten ostatni udało mi się wysadzić w powietrze.

Wojtyński zamknął oczy. Było gorzej, niż myślał. Znacznie gorzej. Niektóre tajemnice przestaną być tajemnicami dla wrogów. Ale z drugiej strony inne przestaną być tajemnicami dla niego. To jest zawsze gra o sumie zerowej, pomyślał.

- Mów dalej - mruknął.

- Analiza ruchu radiowego wskazuje, że Niemcy zaciągnęli kocioł siłami co najmniej trzech tysięcy ludzi, z czego do bezpośredniej akcji zaangażowanych było około dwustu.

- Czy coś wiemy o przyczynach akcji?

- Nie - włączył się do rozmowy Wałęcki. - To jest generalnie robota dla Karola, ja mogę tylko powiedzieć, co myślę na podstawie przechwyconych meldunków. To było działanie zaplanowane. Wiedzieli dokładnie, gdzie mają uderzyć, i mniej więcej wiedzieli, czego się mogą spodziewać.

- Znali adres? - Właściwie to nie było pytanie. W głosie porucznika pobrzmiwała pewność.

- Najprawdopodobniej. Byli zaskoczeni naszym ubezpieczeniem na parterze na Twardej, nie wiedzieli, że mieszkanie będzie zaminowane - wybuch zresztą wyrządził im nieliczne szkody, zginęło kilku oficerów - ale cel był im dobrze znany. Nie mam pewności, czy szukali ciebie, Roweckiego czy Trávisa, faktem jest, że adres znali.

- O Travisie nic nie wiedzą, chyba, że był przeciek w Londynie albo w Ameryce. O mnie jeszcze do dzisiaj... do wczoraj też nic nie wiedzieli. - Porucznik pomyślał o wczorajszych spostrzeżeniach Stańczaka i już przestał być tego taki pewien.

- Mógł cię ktoś zauważyć na ulicy. Przecież mają twój rysopis od Cuprysia.

- Zmieniłem wygląd. Zresztą nie zorganizowaliby tak wielkiej akcji po zwykłym rozpoznaniu przez patrol. Raczej próbowaliby mnie złapać na ulicy. To odpada. Mówcie dalej. Getto?

- W getcie poszło najlepiej. Rotmistrz poradził sobie naprawdę dobrze. Trzy szturmy odparte, dzieciaków ewakuowano przeszło sześć setek, szkopy mają blisko czterystu zabitych i rannych. Pomysł z działkiem na ciężarówce zadziałał bardzo dobrze.

- Straty?

- Powstańców jedenastu, naszych sześciu.

Wojtyński cmoknął. Duży rzeczywiście zasłużył na uznanie.

- Kiedy się zakończy ewakuacja?

- Jeżeli Niemcy się nie zorientują co do lokalizacji tunelu i naszej bazy na Okopowej, może jutro po południu albo w nocy.

- Wtedy wycofasz ludzi.

- Tak jest. - Jamróz skinął głową.

- Co z Borkiem?

- Zaatakował zgodnie z planem, chociaż początkowo były kłopoty z zajęciem pozycji wyjściowych przez kilka patroli.

- Skutek?

- Sześć do zera. - Jamróz uśmiechnął się nieznacznie.

Przez kilka minut omawiał przebieg tej części operacji, za którą był odpowiedzialny porucznik Borek.

- Nieźle.

Jamróz spojrzał na Waleckiego, który nieznacznie wzruszył ramionami. W końcu kiedyś trzeba mu powiedzieć.

- To niestety nie wszystko.

- Widzę to po waszych minach, odkąd weszliście do pokoju.

- No więc... Niemcy zaatakowali Obiekt Numer Dwa. I to niestety również nie wygląda na zbieg okoliczności.

- Darujcie sobie. - Wojtyński podniósł się nieco. Twarz miał pobladłą, jakby cała krew odpłynęła w inne rejony. Ale patrzył ostro. - Pewnie, że nie jest. Mówcie, co się stało. Tylko bez żadnych upiększeń.

- Dokładnie o tej samej godzinie co ghetto i Twardą, o dziesiątej piętnaście, co najmniej tysiąc pięciuset Niemców zaatakowało Obiekt Numer Dwa. I od Obozowej, i od tyłu. Też wyglądali na zaskoczonych systemem obrony, ale zdecydowanie dobijali się do właściwych drzwi.

- Straty?

- Zakład całkowicie zniszczony. Ewakuowała się cała załoga i większa część ochrony. Jedenastu zabitych, w tym Zellman, Maria i Majewski.

- Całe dowództwo?

- Całe. W momencie, kiedy zaczęła się walka, Zellman był na zewnątrz zakładu.

- Jakim sposobem? - Zaciśnięte zęby zdecydowanie utrudniają mówienie, ale Wojtyńskiemu ta sztuka się udała. Opuszczenie żołnierzy na polu walki było bardzo poważnym złamaniem procedury.

- Dowódca jednej z drużyn twierdzi, że miał romans albo flirtował, wszystko jedno, w każdym razie stracił głowę dla Marii. Wyszedł poza obiekt, bo umówił się z nią na kawę.

- Kurrrrr... - W ostatniej chwili powstrzymał się od wygłoszenia uwagi na temat romansów z podwładnymi.

- Całe szczęście Majewski nie stracił głowy i poprowadził obronę w zasadzie toczka w toczkę według instrukcji. Nic, co cenne, w ręce Niemców się nie dostało. Straciliśmy za to niestety całą ciężką broń.

Zapadła cisza. Zakłócały ją jedynie trzy oddechy, dwa miarowe i jeden przyspieszony, chrapliwy.

Pokój pomału pogrążał się w półmroku.

- To niemożliwe, żeby cała ta heca była spowodowana moją wczorajszą wizytą u pana generała - odezwał się w końcu Wojtyński. Nie zwracał się Specjalnie do nikogo, po prostu myślał na głos. - On nie jest na tyle bystry, aby zorganizować tak dużą akcję. W Warszawie znajduje się od dwóch dni, ma jasno wyznaczone zadanie i nic poza nim specjalnie go nie interesuje. Nie zna realiów, nie zna tu nikogo. Odpada.

- Spilker albo Hahn mogli wpaść na nasz trop wcześniej.

- Musieli. Innego wyjścia nie ma - przytaknął porucznik.

- Albo na trop Roweckiego - wtrącił Walecki.

- Albo Roweckiego. Wiechecki twierdzi, że tożsamość generała jest Niemcom znana od czterdziestego roku. Mógł go ktoś namierzyć.

- Ochramiamy go. I kontrwywiad AK go ochrania.

- Może zdecydował przypadek. Ktoś go na ulicy rozpoznał, śledził i namierzył kwaterę na Twardej. Niemcy przecież docierają do różnych byłych albo aktualnych podkomendnych generała. Może ktoś się zląsł na kasę i podkablował.

- Może - nieoczekiwanie przytaknął Wojtyński. - Ale to nie wyjaśnia uderzenia na Obiekt Numer Dwa. Czy jego lokalizacja była znana Zosi?

- Zosi? - Jeżeli Jamróż zdziwił się pytaniem, nie dał niczego po sobie poznać. - Nie.

- A tego? - machnął ręką dookoła.

- Też nie. O tym nie wie prawie nikt.

Porucznik zamknął oczy. Jamróż spojrzał na Waleckiego, który jednak wzruszył ramionami, co miało mniej więcej oznaczać, że wie tyle samo, czyli nic.

- O co chodzi z tą Zosią? - zapytał.

- Powiem wam jutro. Teraz jeszcze nie wiem. Co z Krakowem?

- Meldowali przed godziną. Czekają. Są na nasłuchu i czekają.

- Mam nadzieję, że wkrótce się doczekają.

I wtedy stojący na szafce telefon rozdzwonił się gwałtownie. Wszyscy spojrzeli po sobie. Niezależnie od niepowodzeń dzisiejszego dnia, było bardzo prawdopodobne, że istotny element mozolnie konstruowanej od wielu miesięcy akcji za chwilę wskoczy na swoje miejsce. Gdy porucznik podniósł słuchawkę, usłyszał głos dyżurnego:

- Obiekt na linii.

- Przełącz.

Najlepsi fachowcy przysłani przez Hahna sprawdzali apartament przez blisko pół godziny. Kompetentnie, metodycznie, dokładnie. Nie znaleźli niczego, co wzbudziłoby jakiekolwiek podejrzenia. Dowódca osobiście zaciągnął ciężkie, pluszowe zasłony, całkowicie odcinając możliwość obserwacji tego, co dzieje się w środku. W tym czasie jego zastępca, mając do dyspozycji blisko trzydziestu ludzi, rozstawił ich zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz budynku, formując ścisły, wzajemnie się ubezpieczający krąg wart. Apartament zamienił się w pilnie strzeżoną fortecę.

Gdy SS-Brigadeführer Jürgen Stroop minął dwóch potężnych wartowników, którym skinął uprzejmie głową, i zatrzasnął za sobą drzwi do mieszkania, stał przez chwilę w korytarzu, delektując się ciszą i jakże potrzebnym po szarpiącym nerwy dniu spokojem. Niespiesznie zdjął płaszcz i czapkę, po czym powiesił je na wieszaku.

Polowy mundur był w wielu miejscach porwany, cuchnął dymem, krwią i śmiercią. Generał czym prędzej zdjął go i wrzucił do kosza na brudną bieliznę. Nalał sobie sporą porcję koniaku, wyciągnął pistolet z kabury, sprawdził magazynek i w samej bieliźnie, trzymając w jednej dłoni broń, a w drugiej kieliszek, poszedł do łazienki. Bicze wodne i długi, gorący prysznic nie sprawiły mu takiej przyjemności jak wczoraj, lecz mimo to zdołał się nieco zrelaksować i rozluźnić.

Koniak i gorąca woda pobudziły krew do szybszego krążenia. A to nie było złe osiągnięcie, zważywszy na wydarzenia mijającego dnia.

Wymarł się szorstkim ręcznikiem i półnagi przeszedł do salonu.

Najpierw odbył rozmowę z SS-Obergruppenführerem Krügerem.

Obergruppenführer, w ciągu dnia dwukrotnie informowany przez Stroopa o niekorzystnym rozwoju wydarzeń, poprawę sytuacji przyjął z zadowoleniem. Wyraził nadzieję, że w istocie nowa, wymyślona przez Stroopa taktyka walki odniesie skutek. Zauważył przy tym, że nie walka jest przecież celem Grossaktion, nawet zwycięska walka, ale wysiedlenie ludności żydowskiej, ostateczne rozwiązanie tej palącej kwestii. Należy więc dążyć do jak najszybszego opanowania sytuacji oraz przejęcia inicjatywy.

- Koniecznie trzeba przekuć polityczne echa niepowodzeń w wielki propagandowy sukces, czy pan to rozumie, Stroop?

W tym miejscu dostało się nieco Brigadeführerowi za te nieszczęsne flagi, nadal niestety prowokacyjnie powiewające nad miastem, ignorujące fakt, kto w tym mieście jest gospodarzem, i zadające bolesny cios niemieckiej dumie. Stroop obiecał dołożyć wszelkich starań, aby w dniu jutrzejszym zlikwidować ten wstydlivy problem.

Na koniec dowiedział się, że Obergruppenführer, który już od pewnego czasu nosił się z zamiarem przyjazdu do Warszawy, wskutek biegu wydarzeń przyspieszył decyzję i należy się go spodziewać we wczesnych godzinach rannych, wyruszyć zamierza bowiem wkrótce, jeszcze tego wieczoru.

Stroop życzył mu dobrej nocy i rozłączył się.

Targnął nim nagły niepokój. Trzymając gotowe do strzału parabellum, obszedł wszystkie pomieszczenia, w każdym zapalił po jednej lampce, wyjrzał za drzwi, stwierdził, że rośli wartownicy są na posterunku i czuwają, zamknął starannie zasuwę, po czym wrócił do salonu.

Zasiadł w fotelu i spojrzał na telefon. Czekala go nieporównanie ważniejsza i trudniejsza rozmowa. Nie palił się do niej, ale i nie chciał odwlekać. O jej przebiegu myślał całe popołudnie. Miał wrażenie, że przewidział każdy szczegół.

Wybrał z pamięci numer, odczekał chwilę, po czym zgłaszającemu się po drugiej stronie linii dyżurnemu przekazał znane bardzo niewielu osobom hasło. Chwilę trwała cisza, po czym ten sam głos, z należytych już szacunkiem, powiedział:

- Reichsführer czeka na pana.
- Tak. Dziękuję. Halo?
- Drogi Stroop! Jak się pan miewa?

Brigadeführer miał ochotę stanąć na baczność i stuknąć obcasami. Ten człowiek, ten wyjątkowy człowiek, działał na niego zawsze w wyjątkowy sposób.

- Bardzo dobrze, Herr Reichsführer.
- Jak przebieg dzisiejszego dnia? Czy udało się coś poprawić po tym durniu von Sammernie?

- Tak jest, panie Reichsführer. Opracowaliśmy nową taktykę walki, daleko skuteczniejszą. Muszę powiedzieć, że bandyci są bardzo dobrze przygotowani, AK wspomaga ich na dużą skalę. Mamy do czynienia z operacją czysto wojskową - zacytował swojego podwładnego. - Włączyłem do akcji ciężką broń, która wspiera grupy szturmowe zarówno ogniem pośrednim, jak i bezpośrednim. Zdobyte domy podpalamy, ponieważ bandyci mieli zwyczaj zajmowania oczyszczonych już kamienic i strzelania nam w plecy.

- Bardzo dobrze, drogi generale. - W głosie Himmlera pobrzmiwało prawdziwe zadowolenie. - Widzę, że pan w pełni zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Czy straty duże?

- Niestety tak. - Stroop zamknął oczy i wypalił: - Łącznie z porannym szturmem Sammerna blisko czterystu ludzi zabitych i rannych. Ale przeważnie ze służb pomocniczych. Esesmanów ucierpiało bardzo mało.

- Donnerwetter! To ogromne straty. - Reichsführer zmieniał nastrój jak kapryśny, jesienny dzień. - Czym pan to wytłumaczy?

Stroop przez kilka minut cierpliwie opowiadał o wydarzeniach dzisiejszego dnia. Podkreślał trudności, znakomite przygotowanie bandytów, dużą siłę ognia i wielką ruchliwość ich oddziałów.

Położył nacisk na fakt, iż jego ludzie nauczyli się walczyć w nowy sposób, o czym świadczą wyniki ostatniego, popołudniowego starcia.

- A zatem twierdzi pan, że sytuacja jest opanowana?
- Tak, mogę to stwierdzić, Herr Reichsführer. Wiemy już, jak mamy wykonać zadanie.
- Bardzo dobrze. - Znowu bezchmurne niebo. - A czy flagi, o których słyszałem, wiszą jeszcze?

Stroop pokręcił głową z mieszaniną podziwu i złości. Źródła informacji Reichsführera były imponujące.

- Niestety tak. Próbowaliśmy je ściągnąć, ale nie udało się w dniu dzisiejszym. Zginęło przy tym kilku bardzo dobrych ludzi.

- Verfluchte Scheisse! - Ryk po drugiej stronie był taki, że Stroop musiał odsunąć słuchawkę od ucha. - Czy pan nie rozumie, że to klęska?! To jest prawdziwa polityczna katastrofa, Stroop, i nic tego nie zamaskuje. Żydzi śmieją się z nas!

- Rozumiem...

- Nic pan nie rozumie. - Himmler zdołał się opanować, w każdym razie nie krzyczał już tak bardzo. - To bomba, która wysadzi Warszawę i cały ten cholerny kraj. Przecież to są dwie flagi, prawda? Żydowska, ale i polska. Czy myśli pan, że Polacy nie zareagują? Nie doda im to animuszu? Zwłaszcza że, jak słyszę, ich własne straty są piętnastokrotnie mniejsze niż nasze. Czy pan myśli, że to nie zachęta?

- Herr Reichsführer, ma pan absolutną rację. - Głos Stroopa był skupiony i poważny, adekwatny do nastroju chwili. - Podejmuję uroczyste zobowiązanie...

Coś trzasnęło w słuchawce. Odgłos był niezbyt silny i trudno było ustalić jego pochodzenie. Na linii zapadła cisza.

- Halo, halo, Stroop, jest pan tam?

- Obawiam się, że nie, Herr Reichsführer. - Głos był nieznany, przyjemny, melodyjny, zdradzał człowieka kulturalnego i na poziomie.

- Kim pan jest?

- Za chwilę się przedstawię. Najpierw jednak chciałbym dokonać pewnych sprostowań co do wyjaśnień udzielonych przez pana generała.

- Jakich sprostowań? Kim pan jest? Jakim prawem włącza się pan do rozmowy? Czy pan jest w...

- Tak jak powiedziałem, za chwilę powiem, kim jestem - przerwał nieznajomy w niezbyt grzeczny sposób. Himmler nie był przyzwyczajony, aby mu przerywano, jednak zdumienie i narastająca wściekłość odebrały na chwilę zwykłą pewność siebie. - Otóż flagi nie znikną, chyba że zostawicie Żydów w spokoju. Jeżeli pozwolicie im spokojnie żyć, zdejmemy flagi, a powstańcy przestaną nękać pana ludzi.

- Gdzie jest Stroop? - Reichsführer nadal sprawiał wrażenie, jakby słowa intruza do niego nie docierały.

- Nie może kontynuować tej rozmowy. Obawiam się, że stracił głowę.

- Stracił głowę?

- Nie żyje - odparł głos tonem cierpliwego nauczyciela. - Niewielki, ale silny ładunek wybuchowy, sterowany impulsem radiowym, został umieszczony w słuchawce aparatu telefonicznego. Właśnie przed chwilą eksplodował. Niestety nie ma mnie na miejscu, ale widziałem już podobne wybuchy, więc mogę podejrzewać, że głowa naszego drogiego Stroopa zamieniła się w krwawą miazgę, o ile w ogóle spoczywa jeszcze na jego spracowanej szyi. Tak więc generał jest kaput, obawiam się.

- Ty bandyto! Zostaniesz surowo ukarany... - w końcu wydobył się łwi, wściekły, budzący grozę ryk.

- Niech pan się nie zachowuje jak rozkapryszony dzieciak, panie Himmler. - Głos nieznajomego nie zmienił się ani o jotę, ale Reichsführer zamilkł jak замуrowany. - Skąd pan wie, że w pana słuchawce nie ma podobnego ładunku, a ja nie trzymam palca na czerwonym przycisku?

SS-Reichsführer Heinrich Himmler, najwyższy rangą i znaczeniem dostojnik sił bezpieczeństwa Tysiącletniej Rzeszy, rzucił słuchawką, jakby została wykonana z rozpalonego do białości żelaza.

55

Obserwator dostrzegł cel niemal w ostatniej chwili. Zapadał zmrok. Nasłuch powiedział im, że obiekt najprawdopodobniej niebawem się ukaże.

Od tej pory cała trójka pozostawała w stanie najwyższej gotowości i towarzyszącego każdej akcji napięcia. Rzeczywiście, po kilkunastu minutach od usłyszenia sygnału, poprzedzony solidną eskortą, obiekt pojawił się w polu widzenia.

Obserwator błyskawicznie podał strzelcowi najnowsze parametry strzału. Ponieważ korekt przez ostatnich kilka minut zespół dokonywał na bieżąco, snajper nie musiał wiele zmieniać. Delikatnym muśnięciem przekręcił nastawę bębna lunety, po czym oparł wygodnie kolbę o ramię. Przytulił policzek do chłodnego kompozytu, przybliżył oko do okularu celownika i zastygł.

Najpierw wyszli żołnierze. Rośli, czujni, z bronią gotową do strzału. Szybkim krokiem przemierzali dystans od drzwi budynku do zaparkowanych przy krawężniku samochodów. Kilka sekund później pojawi się obiekt.

Zdażył zrobić krok, gdy snajper pociągnął za spust.

Kiedy znacznie później członkowie zespołu analizowali rozgrywające się z szybkością błyskawicy wydarzenia, nie udało im się jednoznacznie stwierdzić, dlaczego kula minęła cel. O centymetr.

Obiekt w pierwszej chwili nie usłyszał strzału, ponieważ pocisk wystrzelony z karabinu TRG-22 Sako leci z prędkością dwuipółkrotnie przewyższającą prędkość dźwięku. Usłyszał za to świst i huk pocisku wbijającego się w masywne dębowe drzwi, które przed chwilą przekroczył. W pierwszym momencie nie zorientował się, o co chodzi, organizm zawsze jest zaskoczony w takich sytuacjach, jednak doświadczenie szybko skierowało odruchy na właściwy tor. Odwrócił się i wyciągnął rękę w stronę drzwi - dziura po kuli, która przebiła solidną, dębową deskę, była wyraźnie widoczna na wysokości piersi dorosłego mężczyzny - by jak najszybciej zniknąć z pola ostrzału.

Sekundę po tym, jak pierwszy pocisk kalibru 7,62 opuścił lufę, snajper miał już świadomość, że sfuszerował próbę, musi przeprowadzić drugą, a na następne z pewnością czasu nie będzie. Nie odrywając wzroku od celu przeładował broń, wymierzył ponownie i nacisnął spust dokładnie w momencie, gdy rosły, barczysty mężczyzna w czarnym mundurze zaczął pociągać za klamkę.

Kula trafiła go w plecy, na wysokości łopatki, rozszarpała przedśrodek serca, złamała żebro i wyszła klatką piersiową, obficie znacząc drzwi krwią.

SS-Obergruppenführer Friedrich Wilhelm Krüger, Höhere SS-und Polizeiführer na terenie Generalnego Gubernatorstwa, zmarł dwie minuty później na skutek masywnego krwotoku wewnętrznego.

Nim spanikowany adiutant zarządził alarm, snajper i dwaj obserwatorzy opuścili lokal, w którym spędzili ostatnie dwa dni, i nie niepokojeni przez nikogo zniknęli w płątanie uliczek krakowskiego starego miasta.

56

Dyżurny stał wyprężony na baczność.

- Dlaczego meldujecie o tym dopiero teraz? - Hahn zdołał nieco opanować nerwy, ale nadal był czerwony na twarzy.

- Łączność była zerwana, panował bałagan. - Dyżurny nie był zachwycony swoją rolą.

Szef sił bezpieczeństwa dystryktu słyszał z napadów furii, a zwłaszcza z tego, że po usłyszeniu złych wieści z lubością odgrywał się na przynoszących je posłańcach.

- Bałagan? - Głos był już spokojniejszy, w przeciwieństwie do rzucających gromy małych, wylupiastych oczu.

- Tak jest. Wszystkie środki łączności zostały zniszczone podczas ataków, zarówno przewodowe, jak i bezprzewodowe. Pozostali przy życiu oficerowie zorganizowali w końcu łączność poprzez zmotoryzowanych łączników.

Hahn wstał zza biurka. Ten cholerny dzień jakoś nie chciał się skończyć.

- Czy mamy chociaż jakiś ogólny obraz sytuacji?

- Tak jest. Bandyci uderzyli w sześciu miejscach naraz, w sześć garnizonów naszych sił bezpieczeństwa. Jakby wiedzieli, że większość załóg pojechała do Warszawy. Obiekty zostały zdobyte, pozostałe tam szkieletowe załogi wybito niemal do nogi. Ciężko stwierdzić, czy bandyci przejęli dokumenty, bowiem obiekty zostały spalone. Należy przypuszczać, że tak. Na pewno zniknęła cała broń i zapasy wojenne. Straciliśmy stu osiemdziesięciu zabitych i blisko stu rannych.

Ciekawa proporcja. Jak zawsze w starciach z tymi ludźmi. Mój Boże, jesteśmy jak barany idące na rzeź, pomyślał Hahn.

- Krótko mówiąc, nasi ludzie zaangażowani w akcję przywracania porządku w Warszawie nie mają gdzie wracać?

- Z wyjątkiem jednej komendy, której bandyci nie tknęli, tak jest, Herr Sturmbannführer. Hahn zamyślił się ponuro. To już nie była zwykła potyczka. Konfrontacja z tymi ludźmi przybrała charakter wojny totalnej. Nie uderzali na ślepo, doskonale się orientowali, że dodatkowe siły pojadą do Warszawy, więc lokalne komendy będą zredukowane do dwudziestu procent swoich zwykłych stanów.

Skąd mogli o tym wiedzieć, skoro decyzja o ściągnięciu posiłków zapadła zaledwie wczoraj w tym pokoju, w gronie ścisłego kierownictwa SS, a w obawie przed podsłuchem rozkazy zostały rozwieszone przez łączników? Zdrada? Prowokacja?

Czuł, że wielką ulgę sprawiłoby mu rzucenie czymś ciężkim. Na przykład stojącym na biurku zabytkowym kałamarzem. Najchętniej w tego wyprężonego na baczność durnia.

Gestem dłoni odprowadził go jednak. Szkoda mu było rozbijać cenne przedmioty, a musiał pomyśleć w samotności.

Logiczny ciąg wydarzeń: wizyta Wojtyńskiego u Stroopa, wywołanie poczucia zagrożenia, karteczka z anonimowym donosem o lokalu na Twardej. Działania wyglądające na klasyczną operację mającą na celu odciągnięcie uwagi.

Ale po co? By zaatakować lokalne komendy policji?

Jak w takim razie rozumieć odkrycie przez ludzi Spilkerów fabryki na Woli? Przecież nie była żadną mistyfikacją, specjaliści badający rumowisko donosili w pierwszych raportach, że tam w istocie odbywała się produkcja broni, i to na dużą skalę. Trudno zatem podejrzewać, by Wojtyński poświęcił kluczowy dla swojej działalności zakład produkcyjny dla jakiejś zasłony dymnej. A złapana kobieta, śpiewająca jak skowronek o tajemnicach oddziału Wojtyńskiego? Też jest mistyfikacją?

Bzdury. Nic tu nie trzymało się kupy.

Był w połowie drogi do szafki z koniakiem - w butelce widać było dno, pomyślał, że musi się stać odrobinę mniej gościnny, ponieważ zapasy, jakkolwiek znaczne, wyczerpywały się stanowczo zbyt szybko - gdy rozdzwonił się stojący na biurku telefon.

Było późno, bez wyraźnego polecenia nikt ze znajdujących się jeszcze w budynku podwładnych nie śmiał zakłócać spokoju szefa. Oczywiście mogło dzwonić parę ważnych osób: szef, czyli Stroop, szef szefa, czyli wszechwładny sekretarz pionu bezpieczeństwa GG Krüger, lub w ostateczności któryś z jego własnych specjalistów z dołu, pracujących nad schwytaną w ciągu dnia kobietą. Meldunki składane na bieżąco wskazywały, że śledczy czynili szybkie postępy, przyjęte metody okazały się skuteczne, więc może dzwonił z informacją o jakimś kolejnym przełomie albo wręcz pragnęli oznajmić osiągnięcie celu.

Zrezygnował na razie z koniaku, podszedł szybkim krokiem do biurka i podniósł słuchawkę.

- To będzie nasza ostatnia rozmowa, doktorze, obiecuję. - Głos był cichy, jakby zmęczony, ale pobrzmiwała w nim pewność siebie. Hahn słyszał już tego człowieka kilkakrotnie w przeszłości. Przebieg rozmowy za każdym razem przez kilka dni nie pozwalał zasnąć. - Rozumiem, że poznaje mnie pan po głosie, więc nie muszę się przedstawiać.

- Nie. - Hahn gardło miał ściśnięte, więc wydał z siebie skrzekliwy, niewyraźny głos.

- Z tego, co wiem, mimo wysiłków pańskich ludzi i naszego wspólnego przyjaciela, dzielnego kaprała Cuprysia, nie udało wam się skonstruować na tyle sprawnych urządzeń namierzających, aby przebić się przez nasze zakłócenia, prawda? Pańscy ludzie od techniki, o ile będą podsłuchiwać naszą rozmowę, w co szczerze wątpię, znając pana inteligencję, usłyszą tylko szum. Więc rozumiem, że się pan nie trudzi, nie wzywa gwałtownie dyżurnych i nie każe im wysledzić źródła sygnału. Nawiasem mówiąc, nie uważa pan, że to podejrzane, że Cupryś, mimo stworzenia mu świetnych warunków do pracy, nie osiągnął żadnych rezultatów? Że nie udało mu się zabezpieczyć was przed nami?

- Osiągnął... - zaprotestował odruchowo Hahn. Nadal nie mógł otrząsnąć się z szoku.

- Moja wiedza mówi co innego. Po prostu postawił pan na złego konia, Herr Sturmbannführer. Ale to oczywiście pana sprawa. Dzwonię z czym innym. Rozumiem, że zna pan najnowsze wieści?

- O garnizonie dystryktu?

- Ach, więc to już pan wie. Nie, nie o tym. Ta akcja nam się udała, rzeczywiście, ale ma znaczenie lokalne, sam pan przyzna. Zlikwidujecie bałagan w parę dni, przyjadą uzupełnienia i za tydzień nikt o sprawie nie będzie pamiętał. Nie, nie. Chodzi mi o pana szefa, Brigadeführera Stroopa, i szefa pana szefa, Obergruppenführera Krügera.

Hahn poczuł ukłucie niepokoju.

- Nie żyją, obawiam się. - Głos rozmówcy był nadal swobodny i niezobowiązujący, jakby omawiał jutrzejszą prognozę pogody.

Niepokój przerodził się w panikę.

- Nie żyją?! - ryknął Hahn, oglądając się za siebie. Okna były zasłonięte ciężkimi storami, wszystkie światła paliły się pełną mocą, ale mimo to gabinet wydał mu się statkiem idącym szybko na dno. Pułapką bez wyjścia.

- Owszem. Strop zginął w swoim mieszkaniu. Chcę jednak zapewnić, że nie ma podstaw do niepokoju, pańscy ludzie wykonali dobrą robotę i nie wpuścili żadnego samotnego myśliwego. Po prostu wczoraj, mając okazję odwiedzić generała w jego mieszkaniu, zostawiłem mu mały prezent. Śmiercionośny, jak się okazało. A Krüger? No cóż... Celna kula, dobry strzelec. Zapewne niebawem dostanie pan oficjalny komunikat w tej sprawie.

- Przeklęci bandyci...

- Niech pan tak nie mówi, Hahn, bo deprecjonując nas, deprecjonuje pan siebie. Nie uważa pan, że o naszej klasie świadczy jakość naszych przeciwników?

Ponieważ odpowiedzi nie było, głos kontynuował:

- Nie dzwonię, by się chwalić. Dzwonię z propozycją pewnej transakcji. Chcę od pana dwóch rzeczy. Właściwie trzech. Po pierwsze, natychmiastowego uwolnienia naszej dziewczyny. Mam nadzieję, że nie okazał się pan na tyle głupi, by ją kazać rozstrzelać albo zatłuc w śledztwie. Ma natychmiast zostać uwolniona. I żadnych ogonów, szantaży, nic. Ze swej strony zapewniam, że ona zniknie, nie usłyszysz pan o niej więcej. Po drugie, zaniecha pan śledztwa i jakichkolwiek represji w związku z dzisiejszymi wydarzeniami. To znaczy oczywiście spuści pan pieski ze smyczy i każe im węszyć, ale czynię pana osobiście odpowiedzialnym, by kręciły się dookoła własnego ogona. Mają robić dużo huku i nie znaleźć niczego. Po trzecie, jako że został pan jednym z najwyższych rangą funkcjonariuszy SS w Generalnym Gubernatorstwie, wyda pan niezwłocznie rozkaz zaprzestania likwidacji getta warszawskiego. Na czas nieokreślony. Zamelduje pan Himmlerowi, że sytuacja jeszcze nie dojrzała do ostatecznego rozwiązania, bo Żydzi są potrzebni do produkcji wojennej. Zresztą

niech pan zamelduje, co tylko pan chce. Wasi ludzie mają się wycofać. W zamian otrzyma pan dar. Dar życia. Przeżyje pan do końca wojny. Osobiście to gwarantuję. A dobrze pan wie, że dotrzymuję słowa. I, jak pan widzi, umiem osiągnąć każdego. Przed chwilą rozmawiałem z Heinrichem Himmlerem. W wielu kwestiach się ze mną zgodził, choć z niejasnych powodów dość szybko zakończył rozmowę. A teraz chciałbym życzyć spokojnej nocy.

57

Choć ciemność była zupełna, szli szybko, prowadzeni przez olbrzymiego sierżanta.

Dysponowali dokładną mapą, ponadto idący z nimi jeniec, potykający się gdzieś pośrodku pochodu, dokładnie wytłumaczył im położenie kryjówki. Miał na sobie tylko mundurowe spodnie i ręce skrępowane na plecach, ale poza przerażeniem wypisanym na twarzy i kilkoma powierzchownymi nakłuciami, które Kaliszuk zrobił mu na ciele głównie w powodów wychowawczych, był w dobrej formie.

Zawdzięczał ją swojej prawdomówności. Po tym, jak zobaczył, co zrobili z pojmanym kolegą, i złożyli mu solenną obietnicę podobnych doznań, powiedział wszystko. Uznał, że żadna tajemnica nie jest warta takich mąk, jakie skłonni mu byli zaaplikować.

Toteż powiedział wszystko, wskazał na podsunętej pod nos mapie to, co chcieli wiedzieć, dał sobie związać ręce na plecach i cała grupa ruszyła w drogę.

Szli przez godzinę i kwadrans. W końcu znaleźli się przed dobrze znaną żołnierzowi górą. Zaczęli się wspinać, ale to była krótka trasa, może sto metrów. Żołnierz zatrzymał się przed niewielkim jeziorkiem utworzonym w płytkiej rozpadlinie. Meandrujący gdzieś w górze strumień spływał w tym miejscu z kilkumetrowej wysokości, tworząc malowniczy wodospad i zasilając jeziorko wodą. Żołnierz wskazał ręką wodną zasłonę.

- To tu - powiedział.

Kaliszuk spojrzał na mapę, a potem na niego. Byli już naprawdę blisko mety.

- Posłuchaj mnie uważnie. - Oczy sierżanta odbijały słabe światło księżyca. - Mnie jest wszystko jedno, czy będziesz żył, czy nie. Nie muszę cię zabijać, ale zrobię to, jeśli zaczniesz kręcić albo odmówisz dalszej współpracy. Jeżeli wszystko pójdzie gładko, uda nam się z tej jaskini wziąć to, co chcemy, odejdziesz wolny. Masz na to moje słowo. Ale musisz nam powiedzieć o wszystkich zabezpieczeniach.

Słowa niemal utonęły w szumie wodospadu.

Żołnierz przeprowadził błyskawiczną kalkulację. Ten wielki bydlak z pewnością nie wejdzie sam do kryjówki, każe mu iść przodem. Jeżeli nie powie Ruskiemu o systemie, detonacja umieszczonej tuż przy wejściu miny urwie łeb przede wszystkim jemu samemu. Co prawda ci przekłęci Ruscy dalej nie wejdą, bo nie wpuści ich druga czy trzecia linia pułapek, w ostateczności wybuchnie solidny ładunek podłożony pod celem ich wyprawy, ale cóż z tego, skoro żołnierz będzie już wtedy pukał do bram strzeżonych przez świętego Piotra?

Jeżeli im pomoże, szansa jest. Niewielka, ale zawsze. Jeżeli nie - nie ma żadnej.

Będą go torturować dotąd, aż pławiąc się we krwi i własnych odchodach, śliskimi ze strachu i bólu palcami rozbroi wszystkie ładunki. A potem i tak poderzną mu gardło albo w najlepszym razie zastrzelą. Rachunek był przeraźliwie prosty.

- Dobrze - powiedział. - Pomogę ci, jeżeli mnie potem puścisz. Pamiętaj, że to, co chcecie zabrać, jest również zaminowane. Sami tego nie rozminujecie. Więc jestem wam potrzebny aż do końca. Potem znikam. Nie musisz mnie zabijać.

- Właśnie to proponuję. Obaj jesteście żołnierzami. Zabijamy tylko wtedy, kiedy trzeba. - Olbrzym skinął głową. - Bierz się do roboty.

Żołnierz patrzył na niego jeszcze przez chwilę, a potem bez słowa odwrócił się. Wywiadowca trzymający w ręku koniec sznura wyciągnął nóż i szybkim ruchem przeciął mu więzy. Żołnierz przez chwilę rozmasowywał zdrętwiałe nadgarstki. Rozejrzał się dookoła, po czym ostrożnie wszedł do stawiku. Zbliżył się do ściany wody, po czym zanurzył się w niej, mając za sobą wywiadowcę, dotychczasowego eskortanta. Przez kilka minut nic nie było widać. W końcu z wody wynurzyła się ręka i skinęła na stojących na brzegu żołnierzy. Gęsiego weszli do wody, przeszli przez wodną zasłonę, po czym ostrożnie przekroczyli wystrzępiony skalny próg.

Wetknięta w skalną szczelinę tuż przy wejściu pochodnia rzucała na ściany chybocliwy blask. Oświetlała niewielką grotę o nierównych ścianach, ginącym w mroku suficie i płaskim, piaszczystym podłożu. Powietrze było suche, temperatura nieco wyższa niż na zewnątrz. Szum wodospadu był stłumiony, jakby dochodzący z dużej odległości.

Pośrodku skalnej krypty stał owalny przedmiot podobny do dwóch postawionych na sobie i zetkniętych krawędziami wanien, tyle że nieco większy. Gładkie, ciemnoszare ściany tej osobliwej trumny połyskiwały w niepewnym świetle pochodni.

Kaliszuk wpatrywał się w sarkofag z napięciem. Nie wiedział dokładnie, co się kryje w środku, pułkownik opowiedział mu o tym w kilku ogólnikowych zdaniach, ale zdawał sobie sprawę, że stoi przed niezwykłym tworem ludzkich rąk, urządzeniem, które całkowicie zmieni losy świata i przybliży cel, o który on i miliony jego rodaków walczą do utraty tchu już od tylu lat.

Jeniec podszedł do sarkofagu, kucnął i zaczął manipulować przy niepozornej skrzyneczce umieszczonej pod spodem.

- Co robisz? - Kaliszuk w dwóch krokach pokonał dzielącą ich odległość i położył ciężką rękę na ramieniu żołnierza.

- Rozbrajam zabezpieczenie. - Żołnierz podniósł wzrok. - Mogę?

Sierżant zdjął dłoń i cofnął się, nie spuszczać wzroku z rąk operujących przy opatrzonej kolorowymi lampkami skrzynce.

Żołnierz pracował jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym wyprostował się.

Uśmiechnął się w duchu. Rozbrajając ładunek zabezpieczający, przy okazji uaktywnił sygnał alarmowy, który powiadomił centrum dowodzenia ochrony zlokalizowane we wsi o osiem kilometrów stąd. Wiedział, że jego koledzy nie zdążą mu przyjść z pomocą, nawet na to nie liczył. Chciał po prostu pozostawić po sobie ślad.

- Ładunki wybuchowe zostały zdezaktywowane - powiedział.

- W porządku. - Sierżant nie okazał radości. Nic jeszcze nie było pewne ani oczywiste. - Ile to waży?

- Nie wiem - odparł jeniec, wzruszając ramionami. - Pewnie tonę albo więcej.

- Tonę? - Kaliszuk starał się nie okazywać zaskoczenia. Tego mu Kazakowce nie powiedział. Było ich pięcioro. Sześcioro, wliczając jeńca. Z pewnością nie dadzą rady ruszyć z miejsca tego żelastwa, nie mówiąc o wyniesieniu na zewnątrz czy transportowaniu po lesie.

- Ta skorupa waży najwięcej - powiedział jeden z wywiadowców. - To ołów, cholernie ciężki. To, co jest w środku, pewnie da się podnieść.

Kaliszuk spojrzał bystro na jeńca.

- Umiałbyś zdemontować tę skorupę?

- Nie. Jest przykręcona śrubami i zalutowana.

Wywiadowcy spojrzeli po sobie. To już był jakiś dający nadzieję konkret. Poza amunicją plecaki mieli wypchane różnymi narzędziami.

- Bierzemy się do roboty.

58

To była długa podróż w nieświadomość, ale w końcu nastąpił jej kres.

Michael Ören budził się długo. Nie miał pojęcia, jak długo.

Nie wiedział, gdzie się znajduje ani co robi w tym miejscu.

Otworzył oczy. Nachylały się nad nim dwie troskliwe, ale całkowicie obce twarze.

Poczuł, że leży na czymś w rodzaju noszy. Było ciemno, zimny wiatr kąsał twarz. Jednak nie odczuwał chłodu, był przykryty grubym kocem. Gdy próbował podnieść rękę do czoła, stwierdził, że dłonie - stopy zresztą również - ma przywiązane do boków noszy.

Spojrzał ponownie na nachylających się nad nim mężczyzn. Jeden z nich powiedział coś w nieznanym języku. Chciał zapytać, gdzie jest i czego od niego chcą, ale gardło miał kompletnie zaschnięte i nie umiał wydobyć z siebie głosu.

Usłyszał warkot samolotu. Gdzieś bardzo blisko. Nic nie było widać, ciemna bezksiężycowa noc uniemożliwiała obserwację, ale maszyna najwyraźniej podchodziła do lądowania. Po chwili silniki zmieniły ton, pilot zmniejszył moc, Ören usłyszał poskrzypywanie amortyzatorów. Huk zbliżył się.

Amerykanin uświadomił sobie, że leży na noszach spoczywających na ziemi, na krańcu obszernej leśnej polany pełniącej rolę zaimprovizowanego pasa startowego. Wzdłuż linii drzew płonęło kilkanaście ognisk znaczących trasę bezpiecznego lądowania.

Gdy samolot podkołował, dwaj opiekunowie podnieśli nosze z ziemi - nie sprawiali przy tym wrażenia, aby ciężar stanowił dla nich jakiś kłopot - i ruszyli w stronę samolotu. Boczne drzwi w kadłubie otworzyły się, stanął w nich przyjaźnie uśmiechający się smagły mężczyzna. Nosze sprawnie umieszczono wewnątrz kabiny. Konwojenci wcisnęli się razem z Örenem do środka, powodując, że ciasna kabina stała się zatłoczona do granic możliwości. Zasalutowali witającemu ich mężczyźnie, tamten odpowiedział ze swobodą charakterystyczną dla przełożonych stojących wysoko w hierarchii.

Pilot dodał gazu, samolot szarpnął i zaczął kołować w kierunku punktu startu.

Po minucie był już w powietrzu, ostro nabierając wysokości. Gdy maszyna wyrównała lot, smagły mężczyzna nachylił się do noszy i ponownie się uśmiechnął.

- Jak się pan czuje, panie Ören? - Jego angielszczyzna była śmieszna, miękka, niemal niezrozumiała.

- Gdzie jestem? - spytał Amerykanin. Tym razem głos wydobył się z gardła, cichy i schrypnięty.

- Na pokładzie samolotu wchodzącego w skład Sił Powietrznych Armii Czerwonej - odparł nieznajomy i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Formalnie rzecz biorąc, znajduje się pan na terytorium Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich.

CZĘŚĆ IV

20 KWIETNIA 1943 ROKU

1

Dzwonek do drzwi zabrzmiał raz, niezbyt długo i niezbyt natrętnie. Kazakowcew był już spakowany - ot, niewielki plecak z kilkoma niebudzącymi podejrzeń osobistymi drobiazgami - a mieszkanie sprawdzone skrupulatnie, niemal centymetr po centymetrze. On i Pietrow poświęcili całe przedpołudnie na dokładne przeszukanie lokalu i upewnienie się, że nie zostało w nim nic, co mogłoby komukolwiek nasunąć jakieś podejrzenia sugerujące prawdziwy charakter misji pułkownika czy w ogóle obecność przedstawicieli sił zbrojnych ZSRS w tym miejscu.

Lejtnant podeszedł do wizjera, popatrzył przez chwilę i to, co zobaczył, najwyraźniej go uspokoiło, bo odwiódł zasuwę i otworzył drzwi.

- Dzień dobry. - Był to technik z elektrowni, ten sam co wczoraj. I tak samo uśmiechnięty. - Znowu mamy jakieś przebicie, wie pan? Mogę na chwilę?

- Wychodziłem właśnie.

- A kolega? - zapytał, zerkając na stojącego w korytarzu Kazakowcewa.

- Kolega też. Wychodzimy do pracy.

- Zajmę nie więcej niż minutę.

Pietrow zawahał się. Uznał jednak, że lepiej nie pozostawiać po sobie żadnych niezakończonych spraw.

- Proszę. Tylko niech się pan pośpieszy.

Technik przekroczył próg i wydarzenia zaczęły się toczyć z szybkością przecinającej powietrze karabinowej kuli.

Zanim obaj Rosjanie zdążyli zareagować, w korytarzu znalazło się trzech następnych mężczyzn ubranych w szare mundury. Po uśmiechu technika nie zostało ani śladu, w rękach całej czwórki natomiast pojawiły się pistolety. Pietrow, pchnięty z ogromną siłą na ścianę, odbił się od niej z towarzyszeniem głuchego odgłosu uderzającej o mur głowy i oszołomiony upadł na ziemię. Solidne uderzenie ręką w odsłonięty kark do końca pozbawiło go przytomności i wyeliminowało z walki.

Kazakowcew zareagował jak kot. Gdy drugi z napastników przekroczył próg mieszkania i runął w jego stronę, cofnął się gwałtownie, sięgając jednocześnie za pazuchę. Tetetka już tkwiła w mocnej, spracowanej dłoni, gdy napastnik szczupakiem rzucił się w przód.

Kazakowcew zdążył przeładować i strzelić w ostatniej chwili, pod niewygodnym kątem i w dół. Wyraźnie widział, jak kula przebija ramię napastnika, który z jękiem upadł tuż przed pułkownikiem. Kazakowcew podniósł wzrok, by poszukać następnego przeciwnika, gdy usłyszał drugi strzał i poczuł, że prawa ręka zostaje uderzona z ogromną siłą. Zakrwawiony i dymiący jeszcze pistolet szerokim łukiem poleciał w tył, trzasnął o podłogę i wpadł pod szafę.

Nim pułkownik zdążył otrząsnąć się po postrzale, strzelec rzucił się w przód i uderzył go lufą w brzuch.

Nikołaj Stiepanowicz Kazakowcew poczuł, jak całe powietrze uchodzi mu z płuc. Miał wrażenie, że za chwilę się udusi. Nim złapał oddech, klęczał na podłodze z wykręconymi w tył rękoma, a na nadgarstkach ktoś zatrzasnął kajdanki.

Chłodna stal przyniosła nawet pewną przejściową ulgę.

Wala siedziała na krześle i toczyła wokół nieprzytomnym wzrokiem.

Pokój był ciemny, oświetlony tylko lampą skierowaną prosto w twarz więźniarki.

Przesłuchanie trwało już blisko dwudziestą godzinę, przerywane coraz częstszymi omdleniami. Pamiętała jak przez mgłę następujące po sobie wydarzenia. Niektóre kompletnie zniknęły w mroku. Była obolała, już dawno przestała dociekać, co boli ją najbardziej, koncentrowała się raczej na unikaniu bólu, próbowała go ignorować.

Od kilku godzin mówiła.

Początkowo nieskładnie, bez logiki i sensu. Ale gestapowcy byli fachowcami, więc szybko naprowadzili ją na właściwy tok narracji. Po pewnym czasie odpowiedzi stały się coraz rzadsze, Wala kilkakrotnie zemdliała. Teraz zasypiała.

Jak przez grubą zasłonę usłyszała trzaśnięcie drzwi, potem poskrzypywanie skórzanych butów. Dobiegła ją krótka komenda wypowiedziana warkliwym, ochrypłym głosem, zaskrzypiały inne buty, tym razem w liczbie czterech, drzwi trzasnęły ponownie i zapadła cisza. Wala z wysiłkiem podniosła głowę. Dwustuwatowa żarówka już nie świeciła jej prosto w oczy, pokój oświetlony był normalną sufitową lampą. Tęgi człowiek w gestapowskim mundurze o nalanej, jakby spuchniętej twarzy wziął spod ściany krzesło, postawił na wprost więźniarki i usiadł nie dalej jak o metr.

Widziała go już przedtem. Kilkakrotnie pojawiał się w pokoju w trakcie przesłuchania, zamieniał kilka słów ze śledczymi, przysłuchiwał się przez chwilę odpowiedziom i wychodził. Teraz pochłonięty był lekturą protokołu przesłuchania. Nie było tego wiele, trzy kartki zapisane gęstą maszynową czcionką. Po kilku minutach podniósł wzrok, odłożył maszynopis na biurko i nieoczekiwanie uśmiechnął się.

Wala uznała, że jest podobny do ropuchy, ale oczy tej ropuchy patrzyły na nią życzliwie.

- Pani Krystyno, jestem z pani zadowolony. Widzę, że zrozumiała pani swoje położenie i zdecydowała się na współpracę. To bardzo rozsądne. - Mówił powoli, ważąc słowa, a tłumacz, stojący za plecami gestapowca, przekładał te słowa na polski w mechaniczny, pozbawiony intonacji sposób. - Muszę pani powiedzieć, że bardzo cenię ludzi rozsądnych. I zawsze gotów jestem do różnych ustępstw, gdy ludzie, których o coś poproszę, zachowują się rozsądnie. Zawiesił głos, cierpliwie czekał na odpowiedź, ale nie doczekał się. - Jestem skłonny, w nagrodę za pani zeznania, wypuścić panią na wolność.

Tym razem Wala zareagowała. Skupiła wzrok i spojrzała bystro na gestapowca, jakby dopiero teraz zaczęły do niej docierać jego słowa.

- Wypuści mnie pan? - zapytała ochrypłym, zranionym głosem. - Tak po prostu?

- Wypuszczę. Ale nie po prostu. - Uśmiechał się już nie tylko oczami. Kąciki wąskich ust poszły do góry, mięsiste, grube wargi rozchyliły się, ukazując żółte od nikotyny zęby.

- Nie? - zapytała, choć zrozumiała wszystko.

- Nie. Pod pewnym warunkiem. - Wstał raptownie i rozpoczął spacer po pokoju. - Rozmawiałem z pani dowódcą, porucznikiem Wojtyńskim. Tak, niech się pani nie dziwi, jesteśmy w kontakcie. Ustaliliśmy, że wypuszczę panią. Chcę dotrzymać słowa, zwłaszcza że, jak powiedziałem, jestem zadowolony z pani zeznań. Wyjdzie pani. Oczywiście Wojtyński odsunie panią od swoich spraw, zapewne wyśle gdzieś w teren. Bardzo dobrze, życzę udanego urlopu. Pani jednak przed wyjazdem porozmawia ze swoim mężem, rotmistrzem Ekiertem, pseudonim... - podniósł z biurka protokół przesłuchań, przez chwilę szukał właściwego miejsca, wreszcie przeczytał - ...Duży. Powie mu pani, że przekazała nam wszystkie znane sekrety oddziału i że mamy w rękę waszego syna. Pani zniknie, a pan rotmistrz będzie składał nam od tej pory regularne meldunki.

- Nie robi tego. Jestem pewna.

- Pani nie powinna tak mówić. - Hahn nadal uśmiechał się szeroko, a Walę przeszedł dreszcz. Długi i silny. - Pani robi wszystko, by uratować dziecko, prawda? Udany chłopak, nawiasem mówiąc. Będzie miał u nas dobre warunki, zapewniam. Jednak gdy pani odmówi albo, co gorsza, odmówi pani mąż, a pani zniknie, dziecko również zniknie, i to na zawsze. Walka z dziećmi nie sprawia mi przyjemności, ale nie zawaham się, proszę mi wierzyć.

- Nie przekonam męża.

- Kobięca perswazja to potężna siła. Jestem przekonany, że dokona pani tej sztuki.

Wala pokręciła głową. W jej oczach wyczytać można było wszystko: strach, nienawiść, błaganie, rozpacz. Skrwawiona twarz wyrażała mękę. Musiała zaprzeczyć wszystkiemu, w co wierzyła, tradycji, w której została wychowana. Musiała poświęcić najświętsze z imponderabiliów. - Niech mnie pan zwolni z tego, błagam. Niech mnie pan wypuści razem z dzieckiem albo mnie zatrzyma, a wypuści syna. - Powiedziała głuchym głosem, patrząc w podłogę. Rozpacz zamieniła się w fizyczny ból, jakże inny od tego, który płynął z ran i obrażeń.

- Niech mnie pani nie błaga - odparł Hahn pewnym, jasnym głosem. Nie było w nim miejsca na wahanie czy rozterki. Nie było śladu nocnych dylematów spowodowanych pewnym telefonem. - Już podjąłem decyzję. Nie ma pani żadnego alternatywnego wyjścia. Może pani tylko podążyć wskazaną przeze mnie drogą.

Porucznik Krystyna Waliszewska-Ekiert, do niedawna dowódca plutonu kobiecego, nieustraszony i dzielny żołnierz, rozplakała się.

Płakała tak, jakby wypłakać chciała duszę.

Hahn stał i czekał.

3

Pokój Wojtyńskiego miał zaledwie dziesięć metrów kwadratowych, jakoś się jednak pomieścili. Porucznik leżał na łóżku, a reszta siedziała na krzesłach pościąganych z całego domu i ustawionych w małe półkole.

Za oknem kończył się kolejny kwietniowy dzień. Walka w getcie dogasała już, strzały było słychać coraz słabiej. Niemcy, podobnie jak wczoraj, wycofali się, nie mając sił i odwagi utrzymywać zdobytych pozycji po zapadnięciu zmroku. Możliwe nawet, że odeszli na dobre.

Zebrani w pokoju oficerowie milczeli ponuro. ,

- Żadnych wieści od patroli? - zapytał porucznik.

- Żadnych. Tamci zniknęli. - Stańczak założył nogę na nogę i zapalił papierosa. Nigdy specjalnie się nie przejmował krzywymi spojrzeniami Wojtyńskiego ani kolegów, a oni, co prawda niechętnie, ale zaakceptowali ten stan.

- Kiedy pogrzeb?

- Właśnie się odbył - odparł ponuro.

Wszyscy zeszywnieli.

Nim dzień zaczął się na dobre, dyżurny miał już sporo informacji na temat wydarzeń ostatniej nocy. Przybyły na miejsce patrol, zawiadomiony sygnałem alarmowym, dokonał dokładnych oględzin groty i otaczającego terenu, po czym wstępny raport pofrunął przez eter do centrali. Wałęcki w ciągu piętnastu minut posłał na Kielecczyznę grupę interwencyjną przebraną za niemiecką żandarmerię polową. Gdy grupa dotarła do celu, zastała na miejscu żołnierzy patrolu zabezpieczenia w dalszym ciągu przeczesujących teren w poszukiwaniu

śladów. Znaleźli wszystkich czterech zaginionych żołnierzy ochrony. Pierwszy leżał o kilka metrów od groty i najwyraźniej umarł stosunkowo niedawno, być może podczas próby ucieczki.

Mogło o tym świadczyć kilka ran postrzałowych pleców. Dwóch następnych żołnierzy zostało zastrzelonych w lesie, najpewniej podczas drogi powrotnej na kwaterę. Nie znaleziono śladów walki, napastnicy działali z zaskoczenia, o czym świadczyły przemyślnie wykonane kryjówki, z których dokonano ataku. Ślady stóp i łuski pozwalały w miarę dokładnie odtworzyć przebieg zdarzenia.

Kilkanaście minut później znaleziono ostatniego żołnierza. Wisiał powieszony za nogi, półnagi i niemal nie do rozpoznania. Musiał umierać długo i przeklinać każdy moment, który dzielił go jeszcze od śmierci.

Chęć mordu i zemsty, wściekłość podnosząca włosy na karku i zatykająca dech w piersi groza udzieliły się wszystkim, zarówno żołnierzom obu grup działających w terenie, jak i słuchającym meldunków oficerom i technikom z sekcji łączności. Nie podejrzewali, że można przeżywać śmierć kolegi w taki sposób.

Dalsze meldunki nakazywały jednak skupić się na celu poszukiwań.

Sarkofag był rozłożony, a jego zawartość zniknęła. Druga kryjówka, ta z emiterem i uzbrojeniem, pozostała nietknięta. Ślady wskazywały, że reaktor ciągnięty był po ziemi na czymś w rodzaju skleconych naprędcie sań. Jako siła pociągowa występowało czterech lub pięciu ludzi. Po kilku kilometrach ślady sań doprowadziły do leśnego duktu i urwały się. Zdobycz została w tym miejscu przeładowana na chłopską podwodę. Droga po dwóch kilometrach rozwidła się, patrol również podzielił się na dwie grupy.

Ostatni meldunek wskazywał wyraźnie, że poszukiwania zaczęły tracić impet.

- Coś jeszcze wiemy? - Wojtyński czuł się nieco lepiej niż wczoraj, ale znać było po nim wyczerpanie. Mówił cicho, sennie, jakby dziejące się dookoła wydarzenia były mu najzupełniej obojętne.

- Że najprawdopodobniej w Bodzentynie czekała na nich ciężarówka. Udało się ustalić jej typ: stary opel blitz z trzydziestego ósmego roku...

- Nie taki stary - mruknął Jamróż.

- Proszę?

- Nic, nic. Mów dalej.

- No więc to jest opel, na niemieckich numerach. Może, mówię, może, bo to tylko przypuszczenie, należy albo udaje, że należy do organizacji Todta. Nasi ludzie ruszyli do Kielc, Krakowa, Lublina, ale im większy promień poszukiwań, tym więcej możliwych kierunków ucieczki. - Stańczak rozejrzał się za popielniczką. Nie znalazłszy jej, wyciągnął z kieszeni niezbyt czysty spodeczek i strząsnął nań popiół. Starał się być samowystarczalny, inni nie palili.

- Dlaczego nie zadziałał ładunek pod sarkofagiem? - zapytał Wojtyński.

- Został rozbrojony przez naszego człowieka. Nawet mu się nie dziwię. Nie po tym, co zobaczył w lesie. Natomiast rozbijając ładunek, włączył system powiadamiania. Inaczej o sprawie dowiedzielibyśmy się dopiero dziś rano, już jak wyszłoby na jaw, że patrol gdzieś przepadł.

- Nic nam nie dało, że dowiedzieliśmy się w nocy. - Wojtyński wydał lekceważąco policzki. - Reaktor jest stracony.

- Jakoś nie przejmujesz się tym, że nasi wrogowie przejęli technologię zdolną zniszczyć świat? - Jamróż uśmiechnął się lekko. Dawno przestał się dziwić niektórym rzeczom.

- Przejmuję się tym, na co mam wpływ. A na to już nie mam. Do tej pory reaktor jest już za granicą albo został tak ukryty, że na pewno go nie znajdziemy. Odwołaj poszukiwania.

- Ale...

- Odwołaj. A ty - zwrócił się do Stańczaka - mów od początku.

Stańczak także nie zdziwił się poleceniem. W ogóle mało czemu się dziwił.

- Tym dwóm gościom, których wygarnęliśmy rano z mieszkania na Marszałkowskiej, wczoraj założyliśmy podsłuch. Już wieczorem wiedzieliśmy, że są trefni. Oni i twoja... Zosia znaczy, to ta sama ekipa. Potwierdziło się niestety to, co podejrzewałem.

- Czyli?

- GRU.

- A jednak.

- Owszem.

- Mówią?

- Co tylko chcesz. Całą trójkę zawieźliśmy do Obiektu Numer Trzy, wiesz, żeby nikt nie przeszkadzał i ewentualne wrzaski sąsiadów nie pobudziły. Ci dwaj faceci bardzo byli groźni i hardzi, najpierw grozili, potem obiecywali złote góry, ale jak im przez jajka przepuściliśmy trochę prądu, to zmienili front i zaczęli gadać do rzeczy. Oni...

- A Zosia?

- ...oni... Ach, Zosia. Nie wiem, czy chcesz tego słuchać.

- Mów. Dam sobie radę. - Porucznik leżał z zamkniętymi oczami, z twarzą skierowaną w sufit.

- Jak chcesz. Na początku też była strasznie harda, klęła i pluła. Nie chciała gadać w ogóle, trzeba było sposobem. Wiem od chłopaków, że ma klaustrofobię. W obiekcie jest zawsze parę trumien na podorędziu, więc kazałem jej się rozebrać i zamknąłem na golasa w jednej z nich. Po pięciu minutach wyła, żeby ją wypuścić. Na twarzy porucznika nie drgnął żaden mięsień. Nie odzywał się ani słowem, nie protestował. Po prostu słuchał.

- Po półgodzinie wyciągnąłem ją. Była zasikana jak nieboskie stworzenie. I gotowa do współpracy. A tych dwóch gości...

- Mów, co powiedziała - mruknął Wojtyński, nadal nie otwierając oczu.

- Poczekaj, zaraz powiem. Teraz o tych dwóch gościach, bo to ważne. Ten starszy to szef, pułkownik. Nazywa się Kazakowcew. Dowodzi operacją, którą nazwali „Jutrzenka”...

- Bardzo ładna nazwa - wtrącił Wojtyński. Już otworzył oczy i patrzył na Stańczaka uważnie. W jego głosie pojawiło się zainteresowanie.

- No, dość ładna. No więc Sowietci rzucili tu kilka tygodni temu szesnastu ludzi, wliczając Kazakowcewa. Miejscowi komuniści dostali rozkaz pomocy i środki, toteż zorganizowanie kwater, zaopatrzenia, samochodów i tak dalej nie przedstawiało specjalnych trudności, zwłaszcza że pan pułkownik dysponował funduszem w wysokości miliona dolarów na ewentualne koszty. Zresztą zdążył wydać zaledwie niecałych siedem dyszek, więc pozwoliłem sobie zarekwirować resztę, ku chwale ojczyzny. My też mamy wydatki, no nie?

Wałęcki i Jamróż gwizdnęli zgodnie. Suma była poważna, znacząco zasiłała budżet batalionu. Dowódca nigdy nie żałował środków na rzeczy, które pomagały w podtrzymaniu morale żołnierzy, zwłaszcza tych stamtąd.

- Celem było przejęcie reaktora? - Bardziej stwierdzenie niż pytanie. Głos monotony niczym lektor w metrze.

- Owszem, ale nie tylko. Z tego, co Kazakowcew zeznał, wynika, że początkowo wiedzieli tylko o emiterze i ta ich cała operacja miała na celu przechwycenie maszynki do przenoszenia w czasie. Jednak od Örena dowiedzieli się o reaktorze. Kazakowcew skontaktował się ze swoimi szefami, a oni rzecz jasna kazali zabierać

obie rzeczy. W terenie było tylko sześciu ludzi, jeden zginął w walce z naszymi, więc nie mieli i tak fizycznych możliwości osiągnięcia obu celów. Na dodatek nasz chłopak po rozbrojeniu sarkofagu próbował zwać, więc zastrzelili go podczas próby ucieczki i nie miał im kto wskazać drogi do drugiego schowka. Dlatego wzięli tylko reaktor.

- Dobra. A skąd w ogóle pomysł tej operacji?

- Ha, oni mają wszędzie swoich agentów. Zwłaszcza mieli ich sporo w trzydziestym dziewiątym. U Niemców, u naszych, u Amerykanów, gdzie chcesz. No więc o nas, a właściwie o batalionie, dowiedzieli się niemal równo z Niemcami. Jak już wojna jesienna się skończyła i zaczęła normalna, uczciwa okupacja, to na gestapo zjawił się Cupryś ze swoją urażoną niewinnością i wszystko szczegółowo Niemcom opowiedział. Równie dobrze mógłby szeptać Stalinowi do ucha, bo Sowieci zwiedzieli się raz dwa. No więc zaczęli motać operację już zimą czterdziestego, bo doszli do wniosku, że im się przyda znaczący skok technologiczny. Szef Kazakowcewa wynalazł tę twoją dziewczuszkę, i to nie uwierzysz gdzie. W Katyniu. Wpadła mu w oko podczas egzekucji jako jedna z wykonawczyń...

- Poważnie? Przecież ona jest Polką.

- Nie bardzo. Jej matka była Polką, ale tak w ogóle to bardzo ideowa komunistka. Żebyś słyszał, co wygadywała, zanim ją przycisnąłem. No więc ten szef Kazakowcewa ją zwerbował, przeszkolił, dał nauczyciela polskiego, żeby mówiła bez akcentu, opracował stosowną legendę i czekał na okazję, żeby ją nam podrzucić. Okazja nadarzyła się, jak Niemcy uderzyli na Rosję, w czerwcu czterdziestego pierwszego. Nasza panna była we Lwowie, poczekała, aż przejdzie front, po czym przyjechała do Warszawy, wyposażona w wiarygodne pełnomocnictwa.

- To znaczy?

- Ruscy przed czerwcem mieli u siebie w więzieniach od cholery naszych, a szef Kazakowcewa miał nieograniczone plenipotencje, by szukać, co mu potrzeba. Jeszcze wtedy pracował w NKWD, ale już był, zdaje się, na etacie w GRU. Albo odwrotnie, cholera wie. Więc w jakimś pierdlu wynalazł pannę z AK, była studentką Uniwersytetu Lwowskiego, która miała rodziców w Warszawie, i zmusił ją do napisania naszej Zosi rekomendacji. Że przyjaciółka ze studiów, że obie są głęboko w konspiracji, ale Zosia musi uciekać ze Lwowa w obawie przed siepaczami z NKWD, i takie tam. Potem front powędrował na wschód, Zosia przyjechała do Warszawy, skontaktowała się z rodzicami tej swojej rzekomej koleżanki, po czym przedstawiła rekomendacje wyprute z kołnierza płaszczyka. No więc starsi państwo przyjęli najlepszą przyjaciółkę córki z otwartymi rękoma i od razu zaproponowali mieszkanie u nich, bo jak mówili, wypełni im pustkę po wyjeździe ukochanego dziecka. Razem przepłakali wiele godzin nad losem nieszczęsnej dziewczyny, która zaginęła w bolszewickich kazamatach.

- Hans Kloss w spódnicy.

- Coś na kształt. No i panna z poparciem starszych państwa zgłosiła się do konspiry. A nie zgadniesz, kto był blisko zaprzyjaźniony z gospodarzami Zosi.

- Wala?

- Bingo. Wala.

- Tego Ruscy nie mogli wiedzieć.

- To akurat był przypadek i nasz niefort. Plan Ruskich był taki, żeby dziewczyna weszła w struktury AK, wywiedziała się co i jak i starała się dotrzeć jak najbliżej ciebie albo w ogóle kogokolwiek z nas. Nastawiali się

na długą pracę. Pech chciał, że trafiła na Walę akurat tuż po tym, jak ją przyjąłeś, a Wala miała zorganizować pluton kobiecy. Dziewczyna jej przypasowała, sprawdziła ją, ale w zasadzie polecenie starszych państwa wystarczyło. No i cała historia.

- No, niezupełnie.

- No, niezupełnie, fakt. Ona już miała uchwycyony przyczółek w batalionie, potem poznała ciebie. Centrala kazała jej zbliżyć się do ciebie tak bardzo, jak się da.

- Centrala...

- No przykro mi, to nie była jej inicjatywa. No więc kilka tygodni temu zameldowała, że rzeczywiście jest blisko. Centrala przysłała tu Kazakowcewa i koleżków. Ten zespół inwigilacyjny, o którym ci opowiadałem, był od nich, nawiasem mówiąc. Kazakowcew po przyjeździe do Warszawy zainstalował kwaterę główną na Marszałkowskiej, po czym nawiązał kontakt ze swoimi agentami. Jednym była Zosia, która już akurat mogła się pochwalić bardzo dogłębną znajomością z dowódcą inkryminowanego oddziału. - Stańczak być może nie chciał, żeby to zabrzmiało ironicznie, ale właśnie tak zabrzmiało. - Drugi ich agent był równie ciekawy, mianowicie to jeden z wysoko postawionych ludzi w Sonderkommando Spilker, tłumacz. Zwerbował go kilka miesięcy temu. Z tego właśnie powodu wiedzieli o Örenie i mogli zorganizować porwanie. Agent upozorował zawał serca tej amerykańskiej pierdoły, przewieźli go do Szpitala Ujazdowskiego, a przy bramie czekało paru zuchów z szybkostrzelnymi maszynkami i mołojką odwagą w sercu. Szybka akcja w stylu komandosów i naukowiec wpadł w ręce naszych sowieckich przyjaciół. Nawiasem mówiąc, pan tłumacz przy tej akcji został zastrzelony. - Stańczak zapalił następnego papierosa.

Jamróż wiedział, że protesty wywołają kłótnię. Bez pytania, ale z niemą aprobatą wszystkich obecnych, podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość.

- Jak go wywieźli?

- Rozumiem, że nie chodzi ci o tłumacza. Mieli ciężarówkę ze sprytnie wykonaną pod podłogą skrytką. Uśpili Örena narkotykami i dołączyli do konwoju organizacji Todta jadącego na wschód. Przekupili paru stosownych funkcjonariuszy. W sumie nic trudnego, sami tak robimy. Potem wsadzili pana inżyniera do samolotu i fiuuuuuu...

- Dobrze. Powiedz, jak wpadli na miejsce ukrycia reaktora.

Stańczak sięgnął do kieszeni. Wyciągnął stamtąd zdjęcie i podał Wojtyńskiemu.

- Poznajesz?

Porucznikowi wystarczył rzut oka.

- Owszem.

- No właśnie. Mapa, którą dostałeś od Ponurego. Jak się przedwczoraj spotkałeś tête-à-tête z Zosią, miałeś ją ze sobą, no nie?

- Miałem.

- Błąd.

- Niejeden.

- Podała ci jakiś lekki narkotyk, żebyś chwilę pospał spokojnie i nie przeszkadzał jej w pracy. Przeszukała twoje rzeczy. I traf chciał, okazało się, że masz fragment mapy. Ponieważ wiedziała, czego ma szukać, a Kazakowcew mówił jej wcześniej, że reaktor najprawdopodobniej ukryty jest w Górach Świętokrzyskich, dodała dwa do dwóch i wyszło jej, że mapa to jest to, zwłaszcza że było na niej kółkiem coś zaznaczone. Zrobiła fotkę -

miała przy sobie taki mały aparacik jak z filmów szpiegowskich - i przy najbliższej okazji, jeszcze tego samego wieczoru, przekazała negatyw szefowi. Ten niezwłocznie wysłał w teren ekipę maładców, którym objaśnił, gdzie mają szukać. Zakładał, że mapa wskazuje kryjówkę i ktoś jej pilnuje. No więc ekipa zaczęła przeczesywać teren, aż się natknęła na naszych chłopaków. Dwóch zastrzeliła, a od pozostałej dwójki uzyskała deklarację współpracy.

- Dałem ciała...

- Delikatnie powiedziane. Nie chcę być upierdliwy, ale zdaje się, że sam nas przestrzegałeś przed romansowaniem.

- No, nikt nie mógł wiedzieć, że ona będzie ruskim agentem - wtrącił Jamróż.

- Nie broń mnie. Moja wina i koniec. - Wojtyński podciągnął się i usiadł, opierając się o ścianę. - Musimy posprzątać ten bajzel.

- No, musimy. Aha, kocioł na Twardej to również ich robota. Zosia przekazała Kazakowcewowi adres, a on pozwolił sobie na mały anonimik do Hahna. Nic nie wiedział o Roweckim ani o Travisie, chodziło mu o ciebie. Miał już w ręku wszystkie potrzebne elementy, Örena i namiar na reaktor, więc chciał, żebyś wpadł w ręce gestapo, by w ten sposób zamaskować ślady całej operacji. Jak się nie udało Niemcom, Zosia próbowała cię zabić.

- Miała zostać w oddziale?

- Nie. Im nie chodzi o rozpracowanie ciebie czy nas. Im chodzi o zwycięstwo rewolucji w Europie i na świecie. Z powodu swojej zbyt rozległej wiedzy na niektóre tematy Zosia miała zostać zlikwidowana.

- Ach tak. To co z Obiektem Numer Dwa?

- To nie oni. Kazakowcew, choć go naprawdę mocno przycisnąłem, zaprzecza. Zosia też. W ogóle nie wiedziała nic o Obiekcie Numer Dwa. To musiała być robota Hahna albo Spilkera. Dowiem się. To tyle. Co mam z nimi zrobić?

Zapadła cisza. Wiatr targnął otwartym oknem i wywiał z pokoju resztki ciepła. Wojtyński zamknął oczy.

- Zlikwiduj ich. Jak najszybciej - powiedział w końcu.

- Tak jest. - Stańczak nawet się nie skrzywił. Zdarzało mu się w przeszłości wykonywać podobne polecenia.

- Wała zgłosiła się na kontakt alarmowy - odezwał się Jamróż, gdy cisza zrobiła się nie do zniesienia. Zmianie tematu towarzyszyło głębokie westchnienie ulgi.

- No właśnie. Co z Wałą?

- Ewakuowaliśmy wszystkie znane jej adresy, dziewczyny wyjechały z Warszawy na nowych papierach. Zostawiliśmy tylko ten jeden telefon. No i zadzwoniła.

- Spodziewałem się. - Wojtyński był wdzięczny porucznikowi, że przejął prowadzenie spotkania. Wszyscy zebrani w tym pokoju mężczyźni wiedzieli, że dowódcę czeka jeszcze wiele bezsennych nocy. I nic nie będzie już takie jak dawniej. - W jakim jest stanie?

- Prawie nie może chodzić. Ma rozległe ogólne obrażenia. Ale widać było, że chcieli ją utrzymać przy życiu. Nikt jej nie śledził.

- Powiedziała coś?

- Twierdzi, że nie.

- No, nie wiem. Każdy w końcu gada. Musi zniknąć.

- Jutro rano. Mam dla niej melinę w Radomiu.

- Duży wie?

- Wie. Powiedziałem mu. Chce się z nią koniecznie spotkać przed wyjazdem.

- Pozwól mu. Zróbmy chociaż tyle.

- Tak jest, dopilnuję.

- Aha, jeszcze jedno. Karol, trzeba znaleźć nowe miejsce na emiter i resztę kłopotów. Przeprowadzka to w tej chwili najważniejsza rzecz. Bierz samochód, saperów i jedź w teren. Do roboty.

- Tak jest.

- Odezwał się Ponury. Obiecałem mu pomoc materiałową, ale ze względu na nasze straty, nie wcześniej niż latem - powiedział Jamróż. - I tak jak chciałeś, poradziłem mu, żeby dokładnie prześwietlił tego Motora. Żeby na niego uważał.

- Dobrze. Zdrajcy bywają przyczyną nieznośnych kłopotów. - Wojtyński uśmiechnął się ironicznie. - Wszystko? Chcę zostać sam.

- Niezupełnie. Skontaktował się Rowecki. Nalegał na spotkanie z tobą. Akurat spałeś. Nie chciałem cię budzić, zgodziłem się. Zaraz będzie.

Wojtyński skrzywił się, ale wiedział, że sam najprawdopodobniej podjąłby identyczną decyzję.

Jakby na potwierdzenie słów porucznika zgrzytnęła otwierana brama i na podwórko wtoczył się jeden z policyjnych mercedesów. Trzasnęły drzwiczki, zaraz po tym trzasnęły drzwi wejściowe, rozległo się skrzypienie schodów i po chwili generał w towarzystwie Wiecheckiego stanął w progu pokoju.

Wszyscy z wyjątkiem Wojtyńskiego podnieśli się i stanęli na baczność.

- Dobry wieczór panom. - Grot uśmiechnął się życzliwie. Sprawiał wrażenie, jakby wydarzenia wczorajszego przedpołudnia nie dotyczyły go. Był zrelaksowany i uśmiechnięty.

- Dobry wieczór, panie generale.

Rowecki przywitał się z każdym, poczynając od Wojtyńskiego, po czym usiadł na wskazanym krześle.

- Na wstępie chciałbym wszystkim panom złożyć wyrazy uznania za przeprowadzenie wczorajszej akcji na Twardej. To przykład męstwa, kompetencji i odwagi.

- Robiliśmy, co do nas należało, panie komendancie - odparł Wojtyński. Niewielki rumieniec przełamał bladłość twarzy. Pochwały, jak zwykle, wprawiały go w zakłopotanie.

- Wiem. Ale robiliście to znakomicie. Dzięki dobrze pomyślanemu systemowi ochrony udało się nam wszystkim wynieść cało głowy z kotła. Nawiasem mówiąc, generał Travis również był pod ogromnym wrażeniem i prosił mnie o przekazanie jak najserdeczniejszych podziękowań.

Wojtyński skinął głową, pozostali siedzieli bez ruchu. Porucznik znał jednak generała na tyle, by wiedzieć, że nie przyszedł tylko z podziękowaniami. Był konkretny i przeważnie szkoda mu było czasu na ozdobniki.

- Już dwukrotnie odmawiał pan awansu, ale tym razem nalegam, aby było inaczej. Przedyskutowałem z członkami mojego sztabu wniosek o awansowanie pana od razu o dwie szarże, do stopnia majora. Żaden z moich współpracowników, podobnie jak ja, nie miał żadnych wątpliwości. To się panu należało już dawno, za poprzednie akcje, choćby za Franka. W związku z powyższym nadaję panu stopień majora ze starszeństwem z dniem dzisiejszym. I proszę nie odmawiać.

Wojtyński czuł się idiotycznie. Powinien wstać i stanąć na baczność, tymczasem leżał jak kłoda, nie mogąc się ruszyć.

- Dziękuję, panie generale - powiedział tylko. Coś drapało go w gardle. - Ku chwale ojczyzny.

- A ja dziękuję, że tym razem pan nie protestuje. - Grot uśmiechnął się. - To nie wszystko. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd trzy karteluszki zapisane równymi rzędkami maszynowego pisma. - Niniejszym otrzymuje pan Srebrny Order Virtuti Militari za szczególne męstwo na polu bitwy. Również batalion otrzymuje Srebrny Order Virtuti Militari za całokształt działań. Wszystkim biorącym udział w akcji oficerom nadaję Krzyż Walecznych. Oto zaświadczenia.

Podał Wojtyńskiemu karteluszki.

Komenda Główna Sił Zbrojnych w Kraju, Warszawa 20.04.1943.

Na podstawie upoważnienia Naczelnego Wodza Rzeczypospolitej Polskiej nadaję ob. Wojtyńskiemu Januszowi Krzyż Virtuti Militari V Klasy za bohaterską postawę wobec wroga i walkę z bronią w ręku.

Komendant Sił Zbrojnych w Kraju

Grot

- Nie zasłużyłem. - Wojtyński czuł się idiotycznie, był zażenowany, nie bardzo wiedział, jak się powinien zachować. Strona formalna wojskowego rzemiosła nużyła go i frustrowała. Ale wiedział, że tamci przywiązują do tego dużą wagę.

- Zasłużył pan. I wszyscy tutaj obecni. To, co robicie, dobrze przysłuży się Polsce.

- Dziękuję jeszcze raz w imieniu własnym i żołnierzy. Ku chwale ojczyzny.

- To ja dziękuję. A teraz druga sprawa. Na pewno chce pan wiedzieć. Dokończyłem rozmowę z generałem Travisem. Tak przy okazji, powiem panom, że wczorajsza bitwa nieco mu otworzyła oczy na niektóre sprawy. Może zaczął trochę więcej rozumieć z otaczającej nas rzeczywistości. Bardzo nie podobała mu się wiadomość o zaginięciu Örena i reaktora atomowego, nawet miałem wrażenie, że trochę mi nie wierzy, może myślał, że to jakaś gra. Ale przede wszystkim otrzymał rozkaz od prezydenta, by iść nam na rękę. Powzięliśmy pewne ustalenia. Emiter zostanie przekazany w przyszłym roku, a generał w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych obiecał znaczącą pomoc materiałową w razie powstania powszechnego, a także wywarcie nacisku na Brytyjczyków, aby możliwie największa ilość naszych sił zbrojnych z Zachodu przybyła do Polski. Co najmniej Brygada Spadochronowa i lotnictwo. Amerykanie pomogą także ułożyć nasze stosunki z Sowietami. To bardzo duży sukces, wspólny sukces.

Wszyscy spojrzeli po sobie z zadowoleniem. Mieli poczucie, że zrobili, co należało.

Czy rzeczywiście nadejdzie obiecana pomoc? Któż to może wiedzieć... Polityka sojuszników w ciągu roku może się zmienić jeszcze kilka razy. Wojna toczy się swoim torem, a interesy mocarstw zawsze będą dominować nad zobowiązaniami, a nawet nad zwykłym poczuciem przyzwoitości.

Ale była nadzieja.

Godzinę później, gdy wszyscy już poszli, a w domu zapadła cisza przerywana tylko niewyraźnymi śmiechami dochodzącymi z kuchni, Wojtyński leżał w ciemności i myślał o tym, co było. Miał zawsze skłonności do analizy rzeczywistości w kategoriach zysków i strat, postrzegania życia jako swego rodzaju partii szachów o możliwym do przewidzenia wyniku. Wierzył, że niemal wszystko można zaplanować, a ćwiczeniami dojść do perfekcji w sposobie realizacji celów. Trenował siebie i innych do utraty tchu, trawił godziny i dni na obmyślaniu kolejnych posunięć, mając w sobie z jednej strony ogromną chęć wygrywania, z drugiej - odpowiedzialność. Za siebie, za ludzi, za losy kraju w końcu.

Nigdy nie zwracał uwagi na splendory, charakterystyczna dla wojska tytułomania była dla niego w gruncie rzeczy czymś obcym. Chciał po prostu robić, co do niego należy i co uważał za swój obowiązek. Ale teraz było inaczej.

Doszedł do wniosku, że zmienia mu się optyka patrzenia na świat.

Zawiedzione uczucie? Na pewno. Dał się podejść jak sztubak, wielu ludzi zapłaciło życiem za jego głupie porywy serca. Czuł nawet nie złość, raczej - politowanie. Nad swoją głupotą i łatwowiernością. Bardzo wierzył w to, że emocje przeszkadzają w pracy, tymczasem dał się im ponieść.

Nigdy wcześniej tak o sobie nie myślał.

Jednocześnie, głupio przyznać, czuł coś na kształt dumy. Nie z siebie, sumienie mu na to na razie nie pozwalało. Był dumny z tego, czego dokonali jego ludzie, z bilansu osiągnięć i strat.

Coś stracili, ale znacznie więcej osiągnęli. Na miarę swoich możliwości. Miał wrażenie, że aktywa batalionu są znowu wysoko nad kreską.

Na dodatek wysiłek został doceniony.

Poczuł, że to naprawdę ważne. Przedtem nie było, a teraz się stało. Może przez kontakt z Roweckim, który mówił o imponderabiliach w sposób pozbawiony pompatyczności, jednocześnie szczery i wypływający z serca?

Major, pomyślał.

Kawaler Srebrnego Orderu Virtuti Militari major Janusz Wojtyński.

I uśmiechnął się.

EPILOG

5 MAJA 1943 ROKU

Gabinet miał niezbyt imponujące rozmiary i był pogrążony w półmroku.

Został urządzony w sposób surowy, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę rangę pracującego w nim człowieka. Ściany pomalowano na jasnoszary kolor, na podłodze leżał wiekowy dywan. Biurko, krzesło, kilka niezbyt wygodnych foteli oraz niski stolik pamiętały lepsze czasy. Jedynie wisząca na ścianie wielka mapa przedstawiająca zachodnią część Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich oraz stojące na biurku telefony zdawały się nawiązywać do współczesności.

Choć była trzecia nad ranem, Gospodarz nie myślał kłaść się spać. Dla niego były to normalne godziny pracy, do czego zresztą wszyscy współpracownicy zdążyli się już przyzwyczaić. Czuwali adiutanci, sekretarze, telefonistki, gońcy. Każdy mieszkaniec wielkiego imperium mógł zostać wyrwany ze snu przez niecierpliwy głos dobiegający ze słuchawki.

Pukanie było jak zwykle dyskretne. Gospodarz, zatopiony w lekturze meldunków z frontu, nie odpowiedział. Po chwili pukanie powtórzyło się i petent, nie czekając na zachętę, nacisnął klamkę. Mundur jednego z osobistych sekretarzy był wyprasowany i świeży, twarz ogolona, buty wypastowane na wysoki połysk.

- Towarzyszu Przewodniczący, zameldował się generał pułkownik Bieriezuchin - powiedział przy akompaniamencie strzelających obcasów.

- Niech wejdzie.

Upiór, który stanął w progu, w niczym nie przypominał dobrze znanego, energicznego i pełnego pomysłów oficera. Miał kredowobiałą twarz, niemal bezwłosą czaszkę i szklisty wzrok. Bieriezuchin stapał niepewnie, nie udało mu się, pomimo usilnych starań, ukryć drżenia rąk o ciemnej, jakby spalonej skórze.

Gospodarz obserwował go z niepokojem i obawą, choć - jak zwykle - doskonale panował nad wyrazem twarzy.

- Witajcie, towarzyszu generale. Jesteście chorzy?

- Dzień dobry, towarzyszu Stalin. Istotnie, nie najlepiej się czuję.

- To niedobrze. Jakże wieści?

Bieriezuchin zachwiał się nieco, ale Gospodarz nie zapraszał siadać. Tak właśnie powinno być. Hierarchia i zależność. Nawet wobec najbliższych współpracowników.

Generał przezwyciężył niemoc. Podeszedł do biurka, po czym położył na nim grubą kartonową teczkę.

- Tutaj jest szczegółowy raport, towarzyszu Stalin. Od samego początku operacji, aż do dzisiaj.

- Początki mnie nie interesują. Dobrze je znam - burknął Gospodarz, przyglądając się gościowi. - Mówcie o tym, co się dzieje teraz. I dlaczego to wszystko tak długo trwa.

- Po zainstalowaniu na miejscu Amerykanina i reaktora okazało się, że reaktor ma przeciek.

- Przeciek?

- Promieniowania radioaktywnego - Bieriezuchin z trudem przypominał sobie termin używany przez Örena. - To jakby niewidzialne promienie, śmiertelne i zabójcze. Efekt uboczny technologii atomowej. Należało przebudować salę badań, stworzyć specjalne ołowiane ekrany przeciwpromienne, a także odpowiednie stroje, które pozwoliłyby się zbliżyć do tego urządzenia.

- Skąd ten przeciek się wziął?

- Reaktor został lekko uszkodzony w czasie bombardowania w trzydziestym dziewiątym roku. Polacy, zanim ukryli go w jaskini w górach, umieścili go w specjalnym ołowianym sarkofagu. Ołów nie zabezpiecza całkowicie przed promieniowaniem, ale je ogranicza. Nasi ludzie w jaskini wyjęli go...

- Durnie!

- Inaczej nie daliby rady. Było ich pięcioro, spieszyło im się, a sarkofag ważył dwa razy tyle co samo urządzenie. Więc wyjęli reaktor i przetransportowali na lądowisko. Wszyscy, którzy mieli kontakt w tym czasie z reaktorem, to znaczy piątka ze Specnazu, załoga samolotu, technicy, którzy transportowali urządzenie z lotniska do ośrodka, wyglądają tak jak ja albo już nie żyją.

Gospodarz zwalczył w sobie chęć opuszczenia pokoju. Zaczął odczuwać strach, a jednocześnie poczuł, że ogarnia go coraz większa irytacja.

- Mówcie dalej - wycedził, sięgając po nieodłączną fajkę. Zawsze pomagała mu się uspokoić i skoncentrować.

- Rozpoczęto badania zgodnie z procedurą opracowaną przez naszych naukowców na podstawie wytycznych Amerykanina. Po dokładnych oględzinach podjęto próbę otwarcia urządzenia. Oczywiście nie chodziło o sam reaktor, schemat narysował Amerykanin bardzo dokładnie, ale przede wszystkim o system przetwarzający energię cieplną na energię elektryczną, i to jeszcze w takim małym urządzeniu. Gdyby udało nam się skopiować taki system, to oprócz broni jądrowej, nieporównanie potężniejszej od wszystkiego, co zna świat, mielibyśmy w ręku silniki o niezwyklej mocy, z paliwem uzupełnianym raz na rok, i dające się zastosować w każdym z rodzajów sił zbrojnych. - Bieriezuchin chwiał się na nogach, najwyraźniej wyczerpany długą przemową.

Gospodarz w końcu wskazał mu krzesło stojące naprzeciw biurka.

Bieriezuchin podziękował z wyraźną ulgą i opadł ciężko na miękki materiał wyściełający siedzisko.

- Podjęto próbę otwarcia urządzenia, ponieważ jego schemat zaginął, a Amerykanin nie potrafił przypomnieć sobie wszystkich interesujących nas szczegółów. Tłumaczył, że jest fizykiem, a nie inżynierem mechanikiem. - Bieriezuchin zamknął oczy. Musiał w końcu przekazać tę wieść. Zresztą, prawdę rzekłszy, w jego obecnym stanie było mu wszystko jedno. Gniew Gospodarza nie robił na nim takiego wrażenia jak choćby przed tygodniem. - Obudowa została otwarta, zresztą nie bez trudności. Nie chcieliśmy jej niszczyć. W końcu udało się sforsować zamki. I wtedy eksplodował ładunek wybuchowy umieszczony wewnątrz, pozostawiony przez poprzednich użytkowników, Amerykanów albo Polaków.

Wybuch wszystko dokładnie zniszczył, a co gorsza, spowodował wzmożone promieniowanie reaktora pozbawionego swoich organicznych osłon. Wszyscy nasi naukowcy oraz Amerykanin albo zginęli bezpośrednio od wybuchu, albo wskutek promieniowania najpóźniej dwadzieścia cztery godziny po eksplozji.

- A wy?

- Ja i paru ludzi znajdowaliśmy się za grubą szybą oddzielającą nas od pomieszczenia, w którym przeprowadzano badania. Stamtąd obserwowałem, jak zresztą codziennie, postęp prac. Ale swoją dawkę dostałem.

- Czy cokolwiek udało się uratować?

- Pozostały rysunki, które zdążył wykonać Amerykanin.

- A co z drugim urządzeniem, tym do przenoszenia w czasie?

- Zostało w Polsce. Zespół Kazakowcewa zdołał wywieźć tylko reaktor. Sam Kazakowcew wraz z resztą ekipy wpadł w ręce Polaków.

Gospodarz nadal siedział nieruchomo. Na ogół świetnie nad sobą panował, wybuchy gniewu, jeśli się zdarzały, były raczej starannie wyreżyserowanymi spektaklami obliczonymi na osiągnięcie zamierzonego efektu. Teraz jednak naprawdę czuł, że włosy na głowie podnosi mu wściekłość.

Fiasko operacji „Jutrzenka” to już drugi cios w ciągu ostatnich dwóch lat, zadany niemal na progu sukcesu.

Dwa lata temu został zadany cios pierwszy. Gdyby nie on, skończyłby się etap izolacji ojczyzny światowego proletariatu i dyktatu możliwych tego świata. Wykrwawiona wojną Europa nie oparłaby się stalowej, niezłomnej pięści Armii Czerwonej. Rozgrzane gąsienice chłodziłyby się w szumiących falach Atlantyku.

Gmach Sprawy, wznoszony wysiłkiem milionów, runął bladym światem dwudziestego drugiego czerwca czterdziestego pierwszego roku.

Idea operacji „Jutrzenka” zdawała się uśmiechem losu, możliwością naprawy nieodwracalnego. Nowa broń po kilku miesiącach przewróciłaby do góry nogami dotychczasowy układ sił, pozwoliłaby Związkowi Sowieckiemu ponownie zagrać główną rolę w światowych zmaganiach. Od tej pory byłoby już tylko jedno mocarstwo zdolne podyktować nowe warunki pokoju albo wojny, jeśli taka mocarstwa byłaby wola, i wprowadzić na świecie nowy porządek społeczny.

Na wieki.

Głupota Kazakowcewa i ładunek wybuchowy podłożony ręką polskiego sapera zniweczył i te nadzieje.

Gospodarz zamknął grubą teczkę zawierającą kompletną dokumentację operacji „Jutrzenka” wraz z najnowszymi szkicami i schematami. Gestem odprawił Bieriezuchina, poczekał, aż zamkną się za nim drzwi, po czym podniósł słuchawkę telefonu. Nie czekając na zgłoszenie się dyżurnego, powiedział:

- Na dziesiątą poproście wszystkich członków Państwowego Komitetu Obrony.
- Tak jest, towarzyszu przewodniczący.
- I wezwijcie szefa archiwów państwowych. Natychmiast.

Odłożył słuchawkę, wstał i podszedł do okna. Uczymy się pomalutku, uczymy się, pomyślał. Każda lekcja niesie ze sobą wnioski na przyszłość.

Moskwa była cicha i ciemna. Ze spokojem oczekiwała nadejścia dnia.

KONIEC

Przedstawione wydarzenia są fikcją literacką, nie oznacza to jednak, iż wszyscy bohaterowie również są fikcyjni. W tekście występuje szereg postaci historycznych:

Stefan Rowecki, ps. Grot, generał brygady, komendant Główny ZWZ-AK (1940-1943);

Tadeusz Komorowski, ps. Bór, generał brygady, początkowo zastępca Komendanta Głównego, następnie Komendant Główny AK (1943-1944);

Tadeusz Pelczyński, ps. Grzegorz, pułkownik, Szef Sztabu Komendy Głównej AK (1941-1944);

Jan Piwnik, ps. Ponury, porucznik, Komendant Kedywu Okręgu Radomsko-Kieleckiego, dowódca świętokrzyskich zgrupowań partyzanckich AK, cichociemny;

Eugeniusz Kaszyński, ps. Nurt, podporucznik, następca „Ponurego” na stanowisku dowódcy świętokrzyskich zgrupowań AK, cichociemny;

Jakub Szwiec, ps. Robot, podporucznik, cichociemny;

Mordechaj Anielewicz, ps. Malach, przywódca powstania w getcie, jeden z szefów Żydowskiej Organizacji Bojowej;

Arie Wilner, ps. Jurek, jeden z czołowych bojowników ŻOB;

Heinrich Himmler, SS-Reichsführer (marszałek), dowódca SS i policji III Rzeszy;

Friedrich Krüger, SS-Obergruppenführer (generał broni), najwyższy dowódca SS i policji Generalnego Gubernatorstwa, sekretarz do spraw bezpieczeństwa w „rządzie” GG (1939 - 1943);

Jürgen Stroop, SS-Brigadeführer (generał brygady), dowódca SS i Policji Dystryktu Warszawskiego (1943);

Ferdinand von Sammern-Frankennegg, SS-Oberführer (brygadier, stopień nie mający odpowiednika w polskiej nomenklaturze wojskowej, pomiędzy pułkownikiem a generałem brygady), dowódca SS i Policji Dystryktu Warszawskiego (1942-1943);

Ludwig Hahn, SS-Sturmabführer (major), dowódca Sipo (Sicherheitspolizei, Policja Bezpieczeństwa) i SD (Sicherheitsdienst, Służba Bezpieczeństwa) Dystryktu Warszawskiego;

Alfred Spilker, SS Hauptsturmführer (kapitan), dowódca Sonderkommando IVA, samodzielnej komórki gestapo do zwalczania polskiego podziemia;

Major Sternhagel, w rzeczywistości oficer Schutzpolizei, a nie Wehrmacht, brał udział w walkach w getcie;

Otto Dehmke, SS-Untersturmführer, zginął podczas prób zdjęcia flag w getcie 20 kwietnia 1943 roku;

Josif Wissarionowicz Stalin, Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych ZSRS.

Dla potrzeb fabuły zaczerpnąłem z rozmaitych źródeł garść cytatów. I tak słowa:

Oni robią wszystko. Jesteśmy przeszczipłowani przez Polaków. Nawet polskie dzieci nas śledzą. Polacy umieją nas zdemoralizować, stosując najrozmaitsze metody: od alkoholu, knajp i dziwek do zmiękczenia ideologicznego, terroru i zbrojnych zamachów ulicznych - zostały wypowiedziane przez Ludwiga Hahna w rozmowie z Jürgenem Stroopem po jego przyjeździe do Warszawy w kwietniu 1943 roku (Kazimierz Moczarski, „Rozmowy z katem”);

My nie chcemy ratować życia. Żaden z nas żywy z tego nie wyjdzie. My chcemy ratować ludzką godność - wypowiedział na kilka dni przed wybuchem powstania w getcie Arie Wilner w rozmowie z oficerem AK Henrykiem Wolińskim Wacławem.

Lokal przy Twardej 36, dokładnie taki, jakim starałem się go opisać, istniał w rzeczywistości. Szczegóły wynalazłem w książce Tomasza Szaroty „Stefan Rowecki, Grot”.

Niektóre fakty z przebożatej biografii jednego z najsłynniejszych polskich partyzantów Jana Piwnika, Ponurego (akcja odbicia więźniów w Pińsku), a także dramatyczny wątek zdrady, której dopuścił się jego bliski współpracownik, ppor. Jerzy Wojnowski, Motor, zaczerpnąłem z książki Cezarego Chlebowskiego „Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie”. Książka ta posłużyła mi również za źródło tekstu rozkazu Komendanta Głównego Armii Krajowej nadającego Ponuremu Krzyż Virtuti Militari za akcję pińską.

Historię lądowania niemal na placu apelowym obozu dla sowieckich jeńców wojennych wynalazłem w książce Cezarego Chlebowskiego „Cztery z tysiąca”, w opowiadaniu „Cichociemny”. Jego bohaterem był rotmistrz Jerzy Sokołowski, Mira. Pechowy skok wykonał 27 marca 1942 roku.

Edward Radziński w książce „Stalin” obszernie ukazał sposób bycia Josifa Wissarionowicza, a także niektóre z jego charakterystycznych powiedzonek („uczymy się pomalutku, uczymy się”).

Dla potrzeb fabuły wykorzystałem dwie postacie - Eberharda Mocka i Kurta Smolorza - wymyślone przez Marka Krajewskiego w jego fascynującym cyklu o najbardziej znanym policjancie z Breslau. Pan Marek Krajewski udzielił mi pozwolenia na tę niewinną gierkę słowną, za co chciałbym mu serdecznie podziękować.

Podziękowania należą się również wielu innym osobom, ponieważ książka ta, powstała w trudzie i bólu, nie miałaby szans ujrzeć światła dziennego bez ich pomocy i życzliwości.

Tak więc dziękuję najlepiej, jak umiem:

Mojej żonie Kasi za anielską cierpliwość i pomoc ogólną. Kasia jest zawsze pierwszym, życzliwym, acz bardzo krytycznym, wnikliwym i uważnym czytelnikiem powstającego tekstu;

Andrzejowi Dudziukowi, ekspertowi w dziedzinie strzelectwa i historykowi, za szereg niezwykle cennych uwag dotyczących zasad obchodzenia się z bronią, a także jej zastosowań, szczególnie w warunkach bojowych;

Doktorowi Bohdanowi Firkowi za cierpliwe konsultacje medyczne, zwłaszcza odnośnie możliwości użycia sulfonamidów oraz sposobów ratowania ofiar postrzałów i ran kłutych;

Leszkowi Giętko oraz Sebastianowi Prociowi za odwagę mówienia prawdy w oczy, a także wychwytywanie rozmaitych gaf i literackich wpadek;

Darkowi Balcerzykowi za wnikliwą analizę tekstu, krytykę i wskazywanie rozwiązań;

Krzysztofowi Kubicielowi za pomoc organizacyjną;

Mariuszowi Kani za pomoc sprzętową;

Sławkowi Brudnemu i Władysławowi Ordędzie, bez których pomocy i dobrej woli ta książka z pewnością nie miałaby szans ujrzeć światła dziennego;

Oraz Rodzinie za dodawanie otuchy i wiary.

Wybrana bibliografia:

Kazimierz Moczarski, Rozmowy z katem; .

Cezary Chlebowski, Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie, Cztery z tysiąca;

Wiktor Suworow, Łodolamacz, Dzień M, GRU;

Mark Solonin, 22 czerwca 1941, 23 czerwca, dzień M;

Tomasz Szarota, Stefan Rowecki Grot, Życie codzienne okupowanej Warszawy;

Stefan Rowecki, Wspomnienia 1906 -1939;

Lesław M. Bartelski, Getto. Warszawskie Termopile 1943;

Gunnar S. Paulsson, Utajone Miasto;

Hanna Krall, Zdążyć przed Panem Bogiem;

Władysław Bartoszewski, 1856 dni Warszawy, Warszawski pierścień śmierci;

Paul Carell, Operacja Barbarossa.